

6 (57)
JESIEŃ 2012

CENA 15 ZŁ
(W TYM 5% VAT)

NOWY OBYWATEL

Otrzymałaś
wiadomość od:
Prezydent

Twoje poprawki
do ustawy zostały
zapisane

Przeniósłeś
poparcie na
innego posła

Zgłosił
obywatel

Czy wyrażasz
zgody na powstanie
parku narodowego?

Zaloguj się,
by oddać głos
w referendum

Europa 5,5 EUR
USA 7 USD
ISSN 2082-7644
INDEX 361569

9 772082 764118 >

NOWA WIZJA DEMOKRACJI



VIII FESTIWAL OBYWATELA

ODZYSKAJMY DEMOKRACJĘ!

Łódź, 19–21 października 2012

demokracja gospodarcza

związki zawodowe

masowe ruchy protestu

sprawiedliwość społeczna

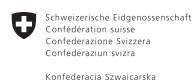
demokracja bezpośrednia i płynna

obywatelski monitoring władzy

demokratyczne media

samorządność uczniowska

NOWYBYWATEL.PL/FESTIWAL



Projekt współfinansowany przez
Szwajcarię w ramach szwajcarskiego
programu współpracy z nowymi krajami
członkowskimi Unii Europejskiej

PARTNERZY



Nic nie jest takie, jakim się wydaje



Fot. Katarzyna Reszka

Gdyby zapytać kogokolwiek spośród osób tworzących debatę publiczną o chęć zmierzenia się z niewygodnymi faktami, o zdolność do zmiany opinii pod wpływem nieznanych wcześniej informacji, o umiejętność rewizji dotychczasowego światopoglądu, sądzę, że niemal wszyscy odpowiedzą podobnie: tak, jestem do tego gotów. Nikt nie chce być – i we własnym mniemaniu nie jest – dogmatykiem i „betonem”, nikt nie ma skostniałego umysłu i takich poglądów. Ba, wiele osób obraziłoby się na samą wątpliwość, czy tak właśnie jest.

W praktyce wynika z tego jednak zazwyczaj niewiele. Niemal każdy taki nie-dogmatyk „wie lepiej”, jak jest „naprawdę”, a poglądy odmienne są niemądre, fałszywe, nieprzemyślane, szkodliwe i „oszołomskie”. Nie dotyczy to bynajmniej tylko gadających i piszących głów z mainstreamu. Swoją „polityczną poprawność” mają też grupki różnych „dysydentów”, kontestujących dominujący światopogląd. Oni też „wiedzą lepiej”. Skrajna lewica ma swoje dogmaty, skrajna prawica swoje, jednakowo ukochane i ugruntowane. Bywa i tak, że im bardziej marginalna jest dana grupa, tym mocniej trzyma się swoich poglądów, bo bez nich nie istnieje. Z kolei mainstreamowy dyspozycyjny dziennikarz, polityk czy „ekspert” powie czasami coś zaskakującego, gdy w jego środowisku trwa wojenka o wpływy i podział łupów lub gdy po prostu spłaci ostatni kredyt i na chwilę przypomni sobie, że potrafi oddychać pełną piersią.

Cytując klasyka: piszę bom smutny i sam pełen winy. Wszyscy bywamy zakładnikami własnych poglądów i środowisk głoszących je wraz z nami. Umysły nas wszystkich mają skłonność do kostnienia. Wszyscy czasami wolimy ugryźć się w język czy nacisnąć klawisz *backspace* na klawiaturze. Nie rzucę pierwszym kamieniem, bo w tej kwestii zbyt wiele ich już jest w powietrzu.

Bieżący numer „Nowego Obywatela” przynosi sporą dawkę tekstów przeznaczonych dla osób, które zamiast utwierdzać się w swoich zawsze słusznych poglądach chciałyby się czasami zmierzyć z czymś, co niekoniecznie idealnie pasuje jako kolejny element układanki. Są wśród nich m.in. tezy idące pod prąd

również tego, co my sami głosimy na co dzień. Na przykład, że choć podnoszenie wieku emerytalnego wymaga wielu działań osłonowych, to jednak dokonuje się w wielu krajach Europy. Że oprócz publicznej służby zdrowia istnieją ciekawe przykłady samoorganizacji pacjentów. Że są państwa, w których związki zawodowe najszybciej rozwijają się wśród pracowników z „dziwnych” profesji i branż. Że w ekonomii ważne są nie tylko rozwiązania społeczne, ale także wiara w człowieczą moc oraz duża dawka optymizmu, który potrafi góry przenosić.

Oczywiście są wśród tych tekstów również i wymierzone w mity i komunały głównego nurtu. Jeden z autorów wykazuje, że Polska nie jest gospodarczą „zieloną wyspą”, lecz obszarem zapaści cywilizacyjnej w kilku istotnych dziedzinach. Inny artykuł przekonuje, że nasz białoruski sąsiad nie musi i nie powinien wybierać między ponurym satrapą a „wolnością” w postaci banków i wielkich koncernów. Kolejny z tekstów wskazuje, że kraje Europy Środkowo-Wschodniej nie stały się – wbrew legendzie o transformacji zakończonej sukcesem – ani demokratyczne, ani suwerenne, ani „przyjazne” obywatelom. Nasza rozmówczyni-naukowiec obnaża mit, jakoby ekonomia stanowiła coś w rodzaju zbioru wzorów matematycznych, w które wystarczy wstawić ten sam zestaw cyfr, aby zawsze i wszędzie otrzymać spodziewany wynik.

Jednak szczególnym wyzwaniem dla Czytelników przyzwyczajonych do poglądów i rozwiązań, które propagujemy, będzie, jak sądzę, wywiad otwierający niniejszy numer. Cezary Mech dzieli się z nami przemyśleniami stawiającymi na głowie wiele przekonań na temat systemu emerytalnego, finansów państwa, rozwiązań socjalnych, polityki prorodzinnej, a szerzej – tego, jak wyobrażamy sobie kondycję Polski i jej możliwe scenariusze rozwojowe. Nie ukrywam, że cała redakcja miała i ma nadal ciężki orzech do zgryzienia po przeczytaniu zapisu tej rozmowy.

Otwarte umysły? Brak dogmatów? Niezależne poglądy? Zapraszam do lektury. Nikt nie obiecywał, że będzie lekko.

REMIGIUSZ OKRASKA

6 **Finis Poloniae?**

WYWIAD

rozmowa z dr. Cezarym Mechem

14 **Cywilizowany Zachód, czyli reformy emerytalne nie po polsku**

Janina Petelczyc

Nie wystarczy podniesienie wieku emerytalnego. Takie działanie będzie miało sens wyłącznie wówczas, gdy zapewnione zostaną miejsca pracy dla osób starszych, nikt nie będzie ich dyskryminował na rynku pracy i osoby te będą w takim stanie zdrowia, który umożliwi aktywność zawodową. Potrzebne są zatem reformy wieloaspektowe, obejmujące nie tylko zabezpieczenie społeczne, ale i politykę rynku pracy, politykę zdrowotną, a nawet edukacyjną.

22 **Szarość zielonej wyspy**

dr hab. Ryszard Szarfenberg

28 **Witajcie na pustyni po transformacji! Postkomunizm, Unia Europejska i nowa lewica na Bałkanach**

Srećko Horvat, Igor Štiks

Pomimo retoryki opartej na założeniu wciąż niedokończonej transformacji widać wyraźnie, że model gospodarki opartej na wolnym rynku zdominował kraje postsocjalistyczne i jego pozycja wydaje się zupełnie niezagrażona. Kraje Europy Wschodniej w pełni podporządkowały się regułom świata kapitalistycznego, odgrywając w nim jednak rolę raczej peryferyjną.

37 **Ucząc się na polskich błędach**

Łukasz Maślanka

42 **Reklama dźwignią ładu?**

Bartłomiej Grubich

Wiele osób uznaje, że reklamy dodają uroku, kolorytu, że są świadectwem naszej przynależności do kultury Zachodu. To oczywiście nieporozumienie – sfera reklam w miastach zachodnich jest znacznie bardziej uregulowana pod względem ilościowym, jakościowym i tematycznym.



6

Koncentrowanie debaty na aspekcie solidarnościowym zamiast na polityce prorodzinnej, powoduje niestety, że wspólnym mianownikiem staje się dążenie do obniżenia świadczeń emerytalnych. Działania określane jako naprawcze omijają główny problem, jakim jest brak osób młodych, które będą pracować na świadczenia rodziców i dziadków.



22

Jeżeli uznajemy, że sytuacja osób w najgorszym położeniu jest ważna dla oceny postępu na drodze rozwoju kraju, to niewątpliwie od kilku lat mamy w Polsce wyraźny regres. Nie ma w tym niczego zaskakującego, gdyż dominująca siła polityczna, mimo swojej postideologicznej i promodernizacyjnej retoryki, prowadzi typową politykę wspierania bogatych z przekonaniem, że to pomoże pozostałym.



37

Ruchy lewicowe (czy szerzej – antyliberalne) powinny już teraz zacząć się zastanawiać, w jaki sposób uchronić Białorusinów przed tymi wszystkimi zjawiskami, które spotkały nas i inne narody Europy Środkowo-Wschodniej po roku 1989: atrofią państwa, masową i często przestępczą prywatyzacją, demontażem systemu socjalnego, ustrojem nakierowanym na wzrost nierówności społecznych oraz rządami układu oligarchiczno-bezpieczniackiego.

50 Wielka Orkiestra Codziennej Samopomocy

Konrad Malec

Przykład z Inowrocławia pokazuje, że samoorganizacja pacjentów może stanowić pożyteczny „plaster” na niedomagania polskiego lecznictwa. Dzięki działalności gospodarczej *non profit*, pozyskiwanym dotacjom, a także zaangażowaniu społecznemu, Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy „Flandria” jest w stanie zaoferować swoim członkom m.in. bezpłatną opiekę w trudnych sytuacjach życiowych, wsparcie w „poruszaniu się” po systemie służby zdrowia oraz znaczne rabaty na płatne artykuły i usługi medyczne.

56 My, obywat@tele

Filip Białek

W wielu krajach rządy i instytucje publiczne prowadzą zaawansowane działania na rzecz budowy społeczeństwa informacyjnego. W Polsce społeczeństwo informacyjne tworzy się bez pomocy gabinetu Donalda Tuska, a bardzo często wbrew niemu.

62 Nowa demokracja?

Mateusz Batelt

Wykorzystując mechanizmy demokracji płynnej można jednak skutecznie zdemokratyzować proces decyzyjny nie tylko w partiach politycznych, ale także w organizacjach obywatelskich oraz takich miejscach, jak np. redakcja czasopisma, komisja parlamentarna czy samorząd lokalny. W ten sposób u zaangażowanych osób powoli tworzy się świadomość demokratyczna.



66 Podzielmy się

Natalia Ćwik

Jakże często kupujemy coś, co nie jest nam w zasadzie potrzebne, i wyrzucamy rzeczy, które nie są wcale zużyte, a jedynie postrzegamy je jako nieprzydatne lub niemodne. Czy jest sposób, aby temu zapobiec? *Sharing economy* – ekonomia dzielenia się – wydaje się jednym z kół ratunkowych dla „systemu w kryzysie”. Na dodatek zbliża do siebie ludzi żyjących w zatomizowanych społeczeństwach.



GOSPODARKA SPOŁECZNA

WYWIAD

72 Uwaga na jednorękich ekonomistów!

rozmowa z prof. Elżbietą Mączyńską

Jeffrey Sachs, były doradca Leszka Balcerowicza, mówi, iż jest zwolennikiem „ekonomii klinicznej”. Tłumaczy, że żona-lekarka uzmysłowiła mu, jak ważne jest całościowe podejście do organizmu. Pozwala ono wyeliminować „syndrom hepatologa”, który co prawda wyleczy pacjenta, ale leki, które zastosuje, zaatakują inne organy i wyleczony pacjent, ze zdrową wątrobą, wkrótce umrze np. na chorobę nerek.



78 Związki pracujących inaczej

Joanna Jurkiewicz, Przemysław Wewiór

Organizacje pracownicze wraz ze zmierzchem fordyzmu nie stały się zbędne. Przeciwnie, osoby pracujące, lecz pozbawione praw i zabezpieczeń socjalnych, potrzebują reprezentacji jeszcze bardziej niż pracownicy chronieni stosunkiem pracy. Zmieniająca się rzeczywistość ekonomiczna postawiła więc przed związkami zawodowymi nowe wyzwania, ale jednocześnie dała im szansę na powiększenie szeregów, jeśli tylko potrafią odpowiedzieć na potrzeby nowych pracujących.

84 Zdolni do wszystkiego

Konrad Malec

Spółdzielnie socjalne osób niepełnosprawnych dają nie tylko możliwość zarobkowania. Są także miejscem samorealizacji i reintegracji społecznej. Na dłuższą metę „branie na litość” raczej nie sprawdza się jako pomysł na biznes. Poza tym spółdzielcy mają większe ambicje.

90 Dotacja na godne życie

Michael Lind, Lauren Damme

Po stronie podaży zwiększa się zatem m.in. liczba sprzątaczek, opiekunek do dziecka, obsługi base-nów. Jednocześnie po stronie popytu rosnąca liczba Amerykanów ubogich oraz z klasy średniej może znaleźć się w trudnej sytuacji, nie mając możliwości opłacenia osobistej pomocy, która pozwoliłaby im w podeszłym wieku pozostać w swoich domach oraz normalnie funkcjonować tak długo, jak to możliwe.



PROJEKT OKŁADKI
Michał Sobczyk · Magda Warszawa
/ Kooperatywa.org

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Konrad Malec, Remigiusz Okraska (redaktor naczelny),
Michał Sobczyk, Szymon Surmacz, Krzysztof Wołodźko

WSPARCIE REDAKCJI W NR 57

Aleksandra Sech, Anna Sobótka, Piotr Świderek, Magdalena Warszawa,
Magdalena Wrzesień, Aleksandra Zarzecznańska

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Rafał Bakalarczyk, Mateusz Batelt, Joanna Duda-Gwiazda,
Bartłomiej Grubich, Maciej Krzysztofczyk, dr hab. Rafał Łętocha,
dr hab. Sebastian Maćkowski, Krzysztof Mroczkowski,
Janina Petelczyc, dr Joanna Szalacha, dr Jarosław Tomasiewicz,
Karol Trammer, Bartosz Wieczorek

RADA HONOROWA

Jadwiga Chmielowska, prof. Mieczysław Choraży, Piotr Ciompa,
prof. Leszek Gilejko, Andrzej Gwiazda, dr Zbigniew Hałat, Grzegorz Ilka,
Bogusław Kaczmarek, Jan Koziar, Marek Kryda, Bernard Margueritte,
Mariusz Muskat, dr hab. Włodzimierz Pańków, dr Adam Piechowski,
Zofia Romaszewska, dr Zbigniew Romaszewski, dr Adam Sandauer,
dr hab. Paweł Soroka, prof. Jacek Tittenbrun, Krzysztof Wyszowski,
Marian Zagórny, Jerzy Zalewski, dr Andrzej Zybala

„NOWY OBYWATEL”

ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź
tel./fax 42 630 22 18
propozycje tekstów: redakcja@nowyobywatel.pl
reklama, kolportaż: biuro@nowyobywatel.pl
nowyobywatel.pl

ISSN 2082-7644

NAKŁAD 1500 szt.

WYDAWCA

Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania, zmian stylistycznych
i opatrywania nowymi tytułami materiałów nadesłanych do
druku. Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Nie wszystkie
publikowane teksty odzwierciedlają poglądy redakcji i stałych
współpracowników. Przedruk materiałów z „Nowego Obywatela”
dozwolony wyłącznie po uzyskaniu pisemnej zgody redakcji,
a także pod warunkiem umieszczenia pod danym artykułem
informacji, że jest on przedrukiem z kwartalnika „Nowy Obywatel”
(z podaniem konkretnego numeru pisma), zamieszczenia adresu
naszej strony internetowej (nowyobywatel.pl) oraz przesłania
na adres redakcji 2 egz. gazety z przedrukowanym tekstem.

SPRZEDAŻ

W całej Polsce „Nowego Obywatela” można kupić w sieciach
salonów prasowych Empik, Ruch, Inmedio, Relay.

SKŁAD, OPRACOWANIE GRAFICZNE

kooperatywa.org

DRUK I OPRAWA

Drukarnia READ ME w Łodzi
92-403 Łódź, Olechowska 83

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

SPIS TREŚCI

97 Obiecywali jak nigdy, nie dotrzymali słowa jak zawsze

Przemysław Wewiór

Przedsiębiorstwo prowadziło dział Społecznej
Odpowiedzialności Biznesu, a jednocześnie nie
pozwalalo pracownikom na korzystanie z przy-
sługujących im przerw w pracy, nakazując za-
łatwianie potrzeb fizjologicznych w pieluchy.

104 Biura kariery czy iluzji?

dr Mieczysław Groszek

Brak pracy nie powinien być problemem absol-
wenta. To przede wszystkim problem rektorów
i właścicieli szkół wyższych, w tym państwa
jako właściciela szkół publicznych. Bo pierw-
szym problemem systemowym jest liczba miejsc
pracy. Tu jest rola dla państwa jako tworzącego
regulacyjne ramy dla wzrostu zatrudnienia.

106 Analitycy i Poeci

Paul Kingsnorth

Większość ekologów głównego nurtu spędza
teraz czas, spierając się, czy wolą farmy wiatrowe
od elektrowni wodnych, energii jądrowej czy
sekwestracji dwutlenku węgla. Wszystkie te
prognozy opierają się na seriach odmóżdżających
wyliczeń, wyciągniętych z tych czy innych
naukowych opracowań – jakby świat był jednym
wielkim arkuszem kalkulacyjnym, w którym
wystarczy jedynie wszystko poprawnie obliczyć.

110 Ekonomia optymizmu

Krzysztof Mroczkowski

Właśnie na zrozumieniu ducha Postępu opiera
się – bardziej niż na jednostkowych doświadcze-
niach sukcesów poszczególnych państw – sedno
bogacenia się społeczeństw i poprawy ich wa-
runków życia. Postęp w osiąganiu coraz lepszych
warunków bytowania, odrywający jednostki od
materialnych zmartwień, pozwala uwolnić na
rzecz humanistycznych procesów rozwojowych
coraz większą część potencjału człowieka.

NASZE TRADYCJE

117 Na ratunek!

Paweł Hulka-Laskowski

Roztrząsanie spraw demokracji czy dyktatury
to sprawa sytych, głodni nie mieli ani
ojczyzny, ani przyszłości, ani przekonań
polityczno-społecznych. Tragiczny popyt
na chleb zmniejszył z natury rzeczy popyt
na ideologie społeczno-polityczne.

119 **Słowa mogą być bronią**

Bieda, bezrobocie, zapaść cywilizacyjna całych rzesz i regionów, jawnie szkodliwe decyzje wymierzone w najsłabszych, cynizm i pogarda okazywane im przez elity władzy i biznesu – to wszystko przechodzi bez reakcji luminarzy literatury i sztuki. Syci i zadowoleni mają syte i zadowolone poglądy. W końcu byt określa świadomość, jak zauważył pewien niemodny dziś myśliciel.

128 **Ziemia dla chłopów**

Maria Dąbrowska

Kto twierdzi, że zamożność, aprowizacja i bezpieczeństwo kraju winny zależeć głównie od stanu i obszaru wielkich majątków ziemskich, ten mówi, że byt narodu i państwa powinien się wspierać na świetności kilkunastu tysięcy rodzin, posiadających zaledwie piątą część użytków rolnych i stanowiących znikomy ułamek odsetka obywateli. Byłoby to niby wsparcie olbrzymiego gmachu na wątej zapalcie, choćby ta zapalcza i ze szczerego była złota.

134 **„Latarnia”**

Stefan Żeromski

Nowe, powojenne życie z jego zgiełkliwym przemysłem i zabiegliwym handlem, z młodzieńczym upajaniem się pięknem istnienia i bez troską zabawą rozbiło swoje namioty na cieniach padających po ziemi od mogił bohaterów zabitych przez ślepe pociski lub nie mniej ślepe ciosy ręki człowieczej.

Z POLSKI RODEM

136 **Korczak, jakiego znać nie chcemy**

Jarosław Górski

Poglądy Korczaka – i te na wychowanie, i te dotyczące życia społecznego w ogóle – są wciąż na tyle rewolucyjne, na tyle sprzeczne z powszechnie panującymi poglądami i przesadami wychowawczymi, z rodzinną i instytucjonalną praktyką wychowawczą, że nie chcemy się z nimi konfrontować, nie chcemy ich znać. Wpasowanie jednego z najciekawszych myślicieli i praktyków społecznych w odwieczny frazes o miłości aż po śmierć pozwala pozbyć się problemu z jego koncepcją i doświadczeniem.

144 **Myśl i sumienie Partii**

Kamil Piskala

Stał na stanowisku, że pierwszym zadaniem socjalistów powinna być walka o odbudowę niepodległej Polski i nadanie jej demokratycznego charakteru. We własnym państwie, korzystając ze swobód politycznych i wolności agitacji, polski proletariatus miał już walczyć o realizację ideału socjalistycznego.

151 **Inne drogi rozwoju**

RECENZJA

Krzysztof Wołodźko

Dla tworzenia i utrzymania ładu społecznego niezbędne jest funkcjonowanie rządu wrażliwego na potrzeby obywateli, odpowiedzialnego za ich dobrobyt i odpowiadającego przed ogółem społeczeństwa. Ten właśnie model „wrażliwego rządu” zawierać ma tradycyjne elementy konfucjańskie, stanowiące naturalną część tożsamości niektórych państw azjatyckich.

NIC ŚMIESZNEGO

© PIOTR ŚWIDEREK
BARDZOFAJNY.NET



Finis Poloniae?

z dr. Cezarym Mechem
rozmawia Michał Sobczyk

- Niedawne zmiany w systemie emerytalnym przedstawiane są jako niezbędna odpowiedź na obecny, a zwłaszcza nadchodzący kryzys finansów publicznych, który ma wywołać zmiana struktury demograficznej. Wiele z nich uzasadnia się także dbałością o wysokość przyszłych świadczeń.

- **Cezary Mech:** Niewątpliwie wprowadzane rozwiązania są swoistą „antyreformą” wobec tego, co proponowano 15 lat temu. Obiecano wówczas, że odtąd wszyscy zbieramy na własne emerytury: składki są liczone, pomnażane i w przyszłości będziemy z tego wszystkiego korzystać. Nagle okazuje się, że jeśli w ogóle będziemy mogli z tych składek skorzystać, to tylko w połowie wysokości. Obecna „reforma” służy jedynie ratowaniu finansów publicznych poprzez odbieranie ludziom tego, co odłożyli.

Jeśli sytuacja jest tak tragiczna, że niezbędne było podwyższenie wieku emerytalnego, to należałoby potraktować wszystkich dłużników tak samo. Trudno jednak wyobrazić sobie, że rząd proponuje inwestorom zagranicznym: „Wprawdzie obiecaliśmy wam wykup długów w momencie zapadalności obligacji, ale zrobimy to kilka lat później - przecież oprocentowanie jest dość wysokie, więcej skorzystacie na swoich inwestycjach. Oczywiście jeśli nadal będziecie żyć, bo w przeciwnym razie my te pieniądze przejmujemy...”. Inwestorów zagranicznych nie dałoby się w ten sposób potraktować, ponieważ następnego dnia moglibyśmy mieć narzuconego przez Unię Europejską Generalnego Gubernatora/komisarza, który udowodniłby nam, że jednak można te środki wypłacić. A gdyby nawet jakimś cudem udało się rządowi przekonać Unię, że znajdujemy się w tak dramatycznej sytuacji, iż konieczne jest zawieszenie spłaty długu, to przy kolejnej emisji obligacji po prostu nikt nie chciałby ich od nas kupić.

To samo będzie, jeśli chodzi o zmiany w systemie emerytalnym: obywatele będą postrzegali składki na ubezpieczenie społeczne nie jako pewne zabezpieczenie dochodów na starość, lecz jako dodatkowy podatek, a więc będą się starali ich unikać.

Co więcej, wystąpi olbrzymi nacisk ze strony wszystkich grup zawodowych, aby uzyskać specjalne traktowanie. Uwidoczniło się to już podczas konsultacji społecznych ustawy emerytalnej, gdy nagle okazało się, że ministerstwo rolnictwa i urzędy z nim związane zabezpieczają korzystniejsze zasady dla rolników. Również pracownicy wymiaru sprawiedliwości twierdzili, że reforma stanowi zamach na ich prawa i starali się zapewnić sobie zasady lepsze niż mające obowiązywać inne grupy. Charakterystyczne, że minister zdrowia stwierdził, iż pracownicy powyżej określonego wieku najprawdopodobniej nie będą w stanie efektywnie pracować, jednak zdanie to dotyczyło wyłącznie grupy zawodowej, nad którą ma pieczę - pielęgniarzek.

Podwyższenie wieku emerytalnego sprawi, że młode pokolenie, zamiast pracować na ten dodatkowy podatek, będzie wybierało kraje, w których płace i świadczenia są wyższe. Nierespektowanie oszczędności emerytalnych będzie miało zatem dewastujący wpływ na finanse publiczne i kondycję gospodarczą Polski.

- **Paradoksalny efekt, biorąc pod uwagę deklarowane intencje autorów reformy...**

- Żeby była jasność: zmiany, o których mowa, są tak naprawdę skokiem na nasze pieniądze zgromadzone w ZUS-ie. Posiada on na rachunkach ok. dwóch bilionów złotych, a wspomniana kwota będzie rosła. *Perpetuum mobile*, które wymyślono, polega na tym, żeby tych środków, do których mamy prawo, nie wypłacać



nam. Każdy następny rząd będzie miał do dyspozycji łatwy sposób na oszczędności: po prostu będzie podwyższał wiek emerytalny. Jeśli dojdzie do tego, że któryś z rządów podwyższy go do 100 lat, w praktyce będzie to oznaczało, że bilionowe długi państwa względem emerytów przestaną istnieć. Ale to przecież nie oznacza, że seniorzy będą w stanie pracować przed osiągnięciem setnego roku życia. To jedna wielka fikcja, sprowadzająca się w rzeczywistości do dodatkowych obciążeń dla bliskich tych osób, co przy małej liczbie dzieci oznacza koszmarną sytuację finansową i bytową całych rodzin. Forsowane reformy oznaczają również konieczność stałego podwyższania składki rentowej i nieprzyznawania świadczeń osobom w ewidentnej sytuacji chorobowej – tylko w ten sposób będzie można sfinansować jakiegokolwiek świadczenia dla rosnącej rzeszy osób coraz starszych i schorowanych na tyle, że nie będą w stanie pracować przed osiągnięciem wieku emerytalnego.

- Kolejne zmiany dotyczą zasad waloryzacji świadczeń.

- Wszystkie korekty w systemie emerytalnym wydają się bardzo spójnym projektem. Do tej pory zasadą było, że to, co mamy zaoszczędzone na emeryturę, nie powinno przynajmniej tracić na wartości. Wprowadzenie waloryzacji kwotowej w miejsce procentowej, powiązanej z inflacją, oczywiście na początku robi dobre wrażenie na tych, którzy mają najniższe świadczenia, gdyż oni są beneficjentami netto takich zmian. Jednak wszyscy pozostali tracą. Przy czym gorszy jest sam wyłom systemowy, ponieważ uniezależnienie emerytur od inflacji oznacza w praktyce, że jeśli sytuacja finansów publicznych okaże się trudna, rząd będzie mógł przeznaczyć na wzrost świadczeń już nie 71 zł na każdego emeryta, jak w tym roku, ale np. złotówkę.

Ma to olbrzymie, dewastujące skutki społeczne i jest trudne do wyobrażenia w aspekcie prawnym – respektowania praw nabytych.

Pokazuje to również bardzo dużą ułomność wymiaru sprawiedliwości w ramach Unii Europejskiej. Interesy inwestorów są respektowane bardzo starannie, nawet jeśli ktoś nie jest w stanie spłacać zobowiązań zaciągniętych wobec nich. Natomiast prawa emerytalne obywateli – już niekoniecznie. Nie dziwny się, że mogą występować takie absurdalności jak w Grecji, gdzie Komisja Europejska wymusiła na państwie redukcję emerytur. Emeryci, którzy posiadali kredyty przyznane im na podstawie wysokości otrzymywanych świadczeń, po ich zmniejszeniu musieli spłacać raty w dotychczasowej wysokości, i nagle się okazało, że nie mają środków do życia...

- Dla odmiany, przesunięcie części środków z Otwartych Funduszy Emerytalnych do ZUS wydaje się korzystne dla świadczeniobiorców, skoro podmioty komercyjne, przy wysokich kosztach funkcjonowania, osiągają kiepskie wyniki finansowe.

- Takie przesunięcie oznacza przeniesienie naszych pieniędzy z instytucji finansowych, które lokują je w różnego typu aktywa i wartości materialne, do instytucji, która nie posiada żadnego majątku. ZUS opiera się na składkach przyszłych pokoleń, a jego sytuacja jest zdecydowanie zła, skoro liczba beneficjentów świadczeń rośnie, natomiast liczba przyszłych podatników – maleje.

Reforma sprzed piętnastu lat, obok postulowanej polityki prorodzinnej, miała być właśnie odpowiedzią na problem ze świadczeniami emerytalnymi

z systemu ZUS-owskiego. Założenie było następujące: zabezpieczmy się przed jego załamaniem w ten sposób, że część odkładanej składki będzie inwestowana za pośrednictwem OFE w realne aktywa. Zrobimy z emerytów kapitalistów, a więc tych, którzy żyją z procentów i dywidendy, z tego, że posiadają akcje przedsiębiorstw. Mniej więcej $\frac{1}{3}$ wytwarzanego PKB w krajach wysoko rozwiniętych jest przeznaczana na obsługę kapitału. Wyprzedając majątek w ramach prywatyzacji powodujemy, że te środki wypływają do zagranicznych inwestorów, a wykupując od nich akcje i obligacje polskie, tworzymy z emerytów warstwę posiadaczy. Zaś ograniczając OFE, powodujemy, że wypływają one za granicę lub do najbogatszych obywateli. Jeśli emeryci nie będą korzystać z dochodów z kapitału, wzrost środków oraz zobowiązań ZUS-u będzie wymuszał ciągle podnoszenie wysokości składki i podatków.

W niczym nie zmienia to faktu, na który zresztą wielokrotnie zwracałem uwagę jeszcze będąc prezesem Urzędu Nadzoru nad Funduszami Emerytalnymi, że trzeba działać w tym kierunku, aby system finansowy był systemem tanim, a więc takim, w którym panuje duża konkurencja, dzięki której opłaty i obciążenia są jak najniższe. Wymusza ona ponadto u zarządzających aktywami zainteresowanie osiąganiem jak najlepszych wyników inwestycji. Nawet w dzisiejszym świecie kryzysu zaufania likwidacja instytucji finansowych nie jest bowiem żadnym rozwiązaniem. Można ją porównać do dążenia do amputacji schorowanego

narządu zamiast jego leczenia. Zresztą pamiętajmy, że OFE są tanie w porównaniu z funduszami inwestycyjnymi czy działalnością bankową.

- Przejdźmy do Pańskich postulatów zmian w systemie emerytalnym.

- Na pewno należałoby zacząć od wycofania się z podwyższenia wieku emerytalnego. Po drugie, należy odejść od waloryzacji kwotowej. Jeśli państwo stać będzie na dodatkowe świadczenia dla osób w gorszej sytuacji finansowej, to bardzo dobrze - jednak wysokość wszystkich emerytur powinna co najmniej nadążać za inflacją.

Gdy w wyniku jakiegoś nieszczęścia nie będziemy mogli dalej pracować, składki emerytalne, które zgromadziliśmy, powinny być przelewane do funduszu rentowego i stanowić uzupełnienie środków ze składki rentowej, decydujących o wysokości świadczenia rentowego. Nie może być tak, że kiedy ktoś umiera, beneficjentem renty jest rodzina, natomiast kwota, którą odłożył na koncie emerytalnym, nagle wyparowuje. Zgodnie z logiką reformy sprzed półtorej dekady, każdy miał pobierać świadczenie w wysokości zgromadzonych składek, a renta jest dodatkowym ubezpieczeniem przysługującym tym, którzy utracą zdolność do wykonywania pracy. Gdy pracownik przechodzi na rentę, środki na jego koncie emerytalnym „czekają”, aż uzyska on prawo do emerytury. Otóż takich odłożonych i niewykorzystywanych środków emerytalnych



© neovain, <http://www.flickr.com/photos/neovain/1364039601/>

osób, które nabyły prawa do renty, w roku 2010 było w ZUS aż 9,3 mld zł. Było w nim również 8,4 mld zł składek emerytalnych, których właściciele zmarli, nie doczekawszy świadczenia. Powyższe środki, zgodnie z solidarnościowym mechanizmem właściwym ubezpieczeniom społecznym, powinny zasilić fundusz rentowy. Niestety, podczas debaty nad podniesieniem składki rentowej nie zaliczono ich do funduszu rentowego, a nawet w ogóle o nich nie wspomniano. I nagle się okazało, że o tych wielomiliardowych kwotach wszyscy zapomnieli! Dyskutowano jedynie o 17-miliardowym deficycie funduszu rentowego, jako różnicy między wysokością wydatków na renty a przychodami ze składki, bez uwzględnienia środków zgromadzonych na rachunkach. Tymczasem „znikająca” kwota, łącznie 17,7 mld zł, jest i tak zaniżona, z uwagi na to, że część osób posiada rachunki prowadzone dopiero od momentu reformy emerytalnej, ponieważ nie dopełniła formalności związanych z wyliczeniem kapitału początkowego albo nie była jeszcze objęta tym obowiązkiem. O ile nieuwzględnienie środków rencistów może mieć pewne uzasadnienie, o tyle „przeoczenie” kwoty 8,4 mld zł ma daleko idące konsekwencje finansowe, gdyż zmienia motywacje odprowadzających składki do ZUS-u, nieekwiwalentne uzyskiwanym świadczeniom.

Wymyślono mechanizm umarzania środków odłożonych w ZUS, polegający na tym, że fundusze, które powinny być przeznaczone na renty, znikają na kontach. Dla jego zobrazowania założmy przesunięcie wieku emerytalnego do 100 lat, których nikt nie dożyje, a wtedy ponad 2 bln zł długów emerytalnych państwa zwyczajnie nie będzie wymagało spłacenia.

Co do wszelkich przywilejów emerytalnych, musi być przestrzegana zasada, że są one finansowane przez beneficjentów, a nie z podatków. Zarówno państwo, jak i pracodawcy muszą dokładnie wiedzieć, ile dany przywilej kosztuje – i musi on być odpowiednio opłacony w postaci wyższej składki. Możliwe, że beneficjenci będą wówczas woleli otrzymywać wyższe wynagrodzenia, a niższe świadczenia emerytalne, ale z możliwością wcześniejszego rozpoczęcia ich wypłacania, czyli pobierania emerytur przez dłuższy okres.

Jeśli chodzi o świadczenia kapitałowe, należy dążyć do realnej konkurencji między funduszami. Przykładowo, należy się zabezpieczyć przed tym, by ich pomysłem na prowadzenie biznesu było wzajemne kopiowanie struktury inwestycji – nawet jeśli odbędzie się to kosztem ograniczenia zakresu publicznie dostępnych informacji na ten temat. Niewątpliwie w przypadku OFE kluczowe znaczenie ma także obniżanie różnego rodzaju kosztów transakcyjnych oraz ściślejszy nadzór nad transakcjami na rynku kapitałowym, aby nie było pokusy transferowania środków, np. poprzez sprzedaż aktywów po zaniżonych cenach. Trzeba też ograniczać możliwość inwestycji zagranicznych, wiążących się ze zwiększonym ryzykiem i ograniczeniem nakładów na tworzenie miejsc pracy w kraju.



MECH

Cezary Mech (ur. 1959) – ekonomista, komentator ekonomiczny, były urzędnik państwowy. Absolwent Szkoły Głównej Planowania i Statystyki oraz studiów podyplomowych na Uniwersytecie Warszawskim i w Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Zarządzania im. Leona Koźmińskiego. W latach 1990–1994 studiował w International Graduate School of Management (IESE) w Barcelonie, jednej z najlepszych szkół biznesu na świecie, uzyskując doktorat w dziedzinie finansów (*cum laude*). Pracował naukowo m.in. w Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN, IESE oraz University of Wales; był również zatrudniony w różnych instytucjach finansowych, w tym PKO BP i PADCO w Kijowie. W 1998 r. doradca Premiera, w latach 1998–2002 prezes Urzędu Nadzoru nad Funduszami Emerytalnymi, w 2001 r. został pierwszym wiceprezydentem AIOS, Stowarzyszenia Instytucji Nadzorujących Fundusze Emerytalne. Od 2003 r. kierował Biurem Polityki Finansowej w Urzędzie m.st. Warszawy, rok później został przewodniczącym Komisji Finansów Związku Miast Polskich. W latach 2005–2006 podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów, był głównym autorem ustawy powołującej Komisję Nadzoru Finansowego. Był zastępcą przewodniczącego Komisji Nadzoru Bankowego, Komisji Nadzoru Ubezpieczeń i Funduszy Emerytalnych, członkiem Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, a także europejskich rad i komitetów zajmujących się finansami i nadzorem nad rynkiem finansowym. Po odejściu z rządu został zastępcą szefa Kancelarii Sejmu, w 2008 r. objął stanowisko doradcy prezesa NBP; był też doradcą szefa GUS. Obecnie prezes Agencji Ratingu Społecznego, firmy zajmującej się oceną emitentów papierów wartościowych pod kątem szeroko rozumianej etyki biznesu, oraz prezes Stowarzyszenia Rynku Kapitałowego UNFE. W latach 90. należał do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, następnie autor programu gospodarczego Prawa i Sprawiedliwości przed wyborami w 2005 r. Będąc w rządzie i Sejmie otwarcie protestował przeciwko wstąpieniu Polski do strefy euro oraz podpisaniu Traktatu Lizbońskiego. Członek rady programowej „Gazety Bankowej”, ekspert programów radiowych i telewizyjnych o tematyce ekonomicznej, autor wielu artykułów prasowych, bloger (www.stefczyk.info/blogi/przez-pryzmat-ekonomii).

Wreszcie, powinno się pilnie umożliwić tanie i efektywne dodatkowe ubezpieczanie się. To niewyobrażalne, dlaczego do tej pory nie istnieje możliwość płacenia wyższej składki do OFE dla tych, którzy chcą mieć wyższe emerytury. Ponadto powszechne powinny być pracownicze programy emerytalne.

- Jaką widzi Pan tutaj rolę państwa?

- Wiedząc, że świadczenia będą niskie, powinno się zabezpieczyć własnych pracowników. Tymczasem państwo doprowadziło do absurdu sytuacji, że tym, którzy chcieliby w sektorze publicznym uruchomić jakiś dodatkowy program emerytalny, prawo tego nie umożliwia.

Dodatkowe świadczenia na rzecz pracowników sfery publicznej byłyby wyraźnym sygnałem, że emerytury będą niskie i że należy o nie zadbać. Niewątpliwie odbiłoby się to głośnym echem i spowodowało parcie w sektorze prywatnym, żeby tworzyć pracownicze programy emerytalne. My jednak wszystko robimy na odwrót. Poddajemy się lobbingowi instytucji finansowych i nie kształtujemy dla nich konkurencyjnego rynku, kosztem świadczeniobiorców i rozwoju kraju. Ulegamy różnym grupom interesów, przyznając im przywileje emerytalne bez żadnego pokrycia w aktywach, a więc stanowiące zobowiązania podatkowe przyszłych pokoleń. Nie dbamy o wysokość świadczeń emerytalnych, utrzymując ludzi w przekonaniu, że będą one wyższe, niż wiemy, że będą - a na koniec jeszcze odbieramy im środki, które zgromadzili. A na to wszystko nakłada się niefrasobliwość, jeśli chodzi o to, aby w przyszłości mieć jakichkolwiek podatników. W świecie swobody przepływu pracowników młodzi ludzie będą uciekali do bardziej przyjaznych systemów podatkowych i lepiej funkcjonujących organizacji gospodarczych.

- Podkreślał Pan wielokrotnie, że bardzo poważnie zakłócony jest proces wyboru funduszy.

- Po pierwsze, nastąpiło daleko idące ograniczenie konkurencji, na co złożyły się m.in. procesy konsolidacyjne oraz wzrost kosztów funkcjonowania tych instytucji wskutek błędnej decyzji o prywatyzacji giełdy, mającej monopol na bycie płaszczyzną sprzedaży i zakupu aktywów. Po drugie, w przeciwieństwie do innych segmentów rynku finansowego, występują istotne utrudnienia w przenoszeniu się z jednego OFE do drugiego. Można to zrobić jedynie drogą elektroniczną, co w połączeniu z zakazem akwizycji oraz opłatą karą za zmianę funduszu petryfikuje strukturę rynku. Utrudnione jest także porównywanie wyników finansowych poszczególnych funduszy. Powinny być one prezentowane częściej i nie za cały okres pobierania składek, lecz w sposób ukazujący rentowność w ujęciu rocznym, tak jak w przypadku naszych inwestycji w systemie bankowym. Jedynie do pewnego stopnia zrealizowano wielokrotnie zgłaszany postulat, aby ludzie, którzy nie zdecydowali się na żaden fundusz, byli lokowani w tych osiągających najlepsze wyniki.

- Uderza fakt, że specjaliści bardzo różnie odpowiadają na pytanie o wysokość przyszłych emerytur, choć wysokość odprowadzanych składek jest przecież znana. Czy w ramach systemu kapitałowego tego rodzaju niepewność jest „złem koniecznym”, czy też można ją znacząco zredukować bez szkody dla świadczeniobiorców?

- Wiarygodne szacunki nie są nagłaśniane, z przyczyn politycznych - i jest to skandal! Uwidoczniło się to bardzo wyraźnie już dziesięć lat temu, przy okazji likwidacji Urzędu Nadzoru nad Funduszami Emerytalnymi. Zaprezentowaliśmy wtedy opinii publicznej niski wymiar przyszłych świadczeń w porównaniu z ostatnią płacą. Chcieliśmy w ten sposób pokazać, jak istotna jest większa efektywność części kapitałowej, ale także zwrócić uwagę na konieczność dodatkowego zabezpieczenia, czy to w postaci pracowniczych programów emerytalnych, czy też indywidualnych oszczędności. Reakcją nie było zrozumienie, lecz krzyczące nagłówki gazet. Na drugiej stronie „Gazety Wyborczej” znalazło się wytłuszczone „Nie straszyć” - stwierdzenie ówczesnego wicepremiera Hausnera, który powiedział wprost, że gdyby mógł mnie odwołać, to już by to zrobił. Tymczasem brak ukazania, jaką wysokość mogą mieć emerytury, jest poważnym błędem, ponieważ uniemożliwia, a na pewno utrudnia ludziom podejmowanie racjonalnych decyzji co do wydatków i oszczędności na przyszłość.

Drugim aspektem jest kwestia zabezpieczeń dających zwiększoną pewność co do wysokości emerytur. W systemach typu *pay-as-you-go* świadczenia są proporcjonalne do ostatniej płacy lub średnich płac z jakiegoś okresu. Systemy takie, jako nieskapitalizowane, załamują się w sytuacji, gdy świadczeniobiorców przybywa, a podatników ubywa - mają wówczas miejsce bolesne dostosowania. W ramach systemów kapitałowych również można wprowadzić zdefiniowane świadczenie, jednak musi być ono okupione zwiększonymi kosztami. W praktyce oznaczałoby to świadczenia bardziej pewne, ale o niższej wysokości, ponieważ fundusze pobierałyby dodatkowe prowizje o charakterze ubezpieczeniowym.

Oczywiście w systemach kapitałowych istnieje naturalna tendencja do odchodzenia od zdefiniowanego świadczenia na rzecz zdefiniowanej składki. Jest to spowodowane tym, że podmioty, które gwarantowały wysokość świadczeń, odpowiadały za nie całym swoim majątkiem. W efekcie w sytuacji, gdy rentowność ich inwestycji na rynku kapitałowym spadała, np. wskutek przeszacowania wartości aktywów, musiały z własnych środków pokrywać różnicę.

Bez wątpienia państwo powinno w jakiś sposób gwarantować obywatelom pewien minimalny dochód. Zresztą jeśli chodzi o emerytury, to pierwotnie proponowane rozwiązania uważam za dobre. Należy dbać, żeby ludzie wiedzieli, ile mniej więcej będą wynosić ich świadczenia, a przede wszystkim nie odbierać im praw

i oszczędności, które już mają. Jeśli zaś chodzi o system finansowy, należy dążyć do tego, żeby ci, którzy zarządzają naszymi pieniędzmi, byli pod dużą presją, by jak najefektywniej je inwestować – z korzyścią zarówno dla wysokości emerytur, jak i dla samych siebie.

- **Wśród krytyków obecnego systemu stosunkowo głośni są zwolennicy „systemu kanadyjskiego”, opartego o ideę tzw. emerytury obywatelskiej.**
- Uważam, że cała sekwencja zmian w systemie emerytalnym – przerzucenie pieniędzy z OFE do ZUS-u (a więc z miejsca, gdzie posiadają pokrycie w aktywach, do instytucji opartej na podatkach), podniesienie składek rentowych bez uwzględnienia, że renciści mają także środki na kontach emerytalnych, wprowadzenie waloryzacji kwotowej, podwyższenie wieku emerytalnego – prowadzi ostatecznie do jakiejś formy emerytury obywatelskiej, o wysokości w znacznej mierze uzależnionej od aktualnej kondycji finansowej państwa. A ona będzie się pogarszać (ze względów demograficznych) i zawsze będzie się okazywało, że środków w budżecie jest za mało. W efekcie będziemy dostawali coraz niższe świadczenia, aż w końcu politycy dojdą do wniosku, że najlepiej dać wszystkim po równo. Na początku będzie to korzystne dla najbiedniejszych, niemniej po kolejnych obniżkach wszyscy będą biedakami. Ludzie niezależnie od tego, ile odłożyli na emeryturę, będą

żyli w bardzo złych warunkach, a nieliczne młode pokolenia i tak nie będą chciały ponosić wydatków związanych z ich utrzymaniem i wyborem emigrację.

Wspomniane rozwiązanie jest szalenie niesprawiedliwe także dlatego, że premiuje tych, którzy uciekają od wszelkich składek. Zauważmy, że 98% przedsiębiorców płaci je w minimalnej wysokości. Pracownicy najemni są opodatkowani wyżej, a dostaną takie same świadczenia jak ci, którzy w ogóle nie odkładają na przyszłe emerytury.

Nie porównujemy się do Kanady. Gdybyśmy byli na ich poziomie rozwoju, wówczas moglibyśmy rozmawiać o emeryturze obywatelskiej, jako dodatku do oszczędności odłożonych na starość.

- **Jest Pan zwolennikiem emerytur rodzinnych. Jakie są argumenty za wprowadzeniem tego rozwiązania i na czym w praktyce miałyby ono polegać?**
- Ze względu na poprawność polityczną, która chce zaprzeczyć faktowi, że mężczyźni żyją krócej, forsuje się tablice długości życia uśrednione dla obu płci. Instytucje emerytalne, zmuszone do funkcjonowania w tym wirtualnym świecie, zaczynają dyskryminować kobiety, np. utrudniając im rejestrację. Chcą mieć w portfelach jak najwięcej mężczyzn, gdyż wówczas oszczędzają: emerytury o określonej wysokości wypłacają przeciętnie o kilka lat krócej. Co więcej, znacznie rosną koszty systemowe, ponieważ ubezpieczyciele muszą

Nawet w dzisiejszym świecie kryzysu zaufania likwidacja instytucji finansowych nie jest żadnym rozwiązaniem. Można ją porównać do dążenia do amputacji schorowanego narządu zamiast jego leczenia.



wziąć pod uwagę ryzyko, że w swoim portfelu będą jednak mieli więcej kobiet. Wszelkiego typu upolitycznione transfery, jakie są proponowane, poza kosztami systemowymi są także podatkiem, który ma płacić tylko jedna płeć, mężczyźni - co jest dodatkowym absurdem.

W przypadku emerytury rodzinnej stosuje się tablice realnej długości życia obu płci, pozwalając jednocześnie, żeby w sytuacji, gdy jedno z małżonków umrze, a drugie jest w wieku emerytalnym, świadczenie podlegało dziedziczeniu. Gdy instytucja finansowa zabezpiecza świadczenie dla obojga małżonków, nie ma możliwości dyskryminowania kobiety.

Emerytura rodzinna jest rozwiązaniem, które nie tworzy sztuczności na rynku kapitałowym, a więc jest tańsze. Jest ono również o tyle sprawiedliwe i logiczne, że przecież wiadomo, iż dochody małżonków służą zaspokajaniu potrzeb całej rodziny.

- Jakie inne rozwiązania o charakterze prorodzinnym mogłyby uwzględnić system emerytalny?

- Zaczniemy od tego, że od działań prorodzinnych uzależnione jest to, czy w ogóle przetrwamy jako naród i społeczeństwo, oraz jaka będzie przyszła kondycja finansowa naszego państwa. Mówimy dużo o emeryturach, ale przecież główne problemy w przypadku starzenia się społeczeństwa to lawinowy wzrost kosztów i pogorszenie dostępu do służby zdrowia, co w zderzeniu z niskimi świadczeniami grozi katastrofą społeczną. Dlatego nie powinno się opodatkowywać wydatków na dzieci, bo to tak, jakbyśmy postanowili opodatkować nakłady inwestycyjne przedsiębiorstw. Płacimy co miesiąc ok. tysiąca złotych różnego typu podatków i składek na osobę, niezależnie od wieku - z czego wynika, że mniej więcej tyle wynosi niepotrzebne, antyrodzinne opodatkowanie dzieci. Póki jeszcze młodzież z wyżu czasów „Solidarności” może je mieć - bo za chwilę się okaże, że z przyczyn biologicznych już nie może - powinniśmy na każde z nich wypłacać co najmniej pięćset złotych ryczałtowego, miesięcznego zwrotu podatkowego.

Powinna zostać zbudowana cała sfera przywilejów dla rodzin, wśród których rzeczą naturalną byłaby jakaś forma becikowego dla matki. Zaproponowałem, żeby był to zapis ZUS-owski w wysokości 10 tysięcy złotych (waloryzowanych), dokonywany przy urodzeniu każdego dziecka. W przyszłości przecież swoimi podatkami i składkami sfinansuje ono wypłatę tego świadczenia, a możliwe, że samo także będzie miało dzieci. Byłoby to zatem swego rodzaju *perpetuum mobile*, a jednocześnie sposób na zrekompensowanie matkom okresowej przerwy w pracy.

Wspomniane 10 tys. zł mogłoby być również wykorzystywane wcześniej, np. na wkłady mieszkaniowe lub wydatki związane z kształceniem, aby jednak nie były to pieniądze bez pokrycia, musiałyby być wypłacone z konta w OFE. Kluczowe jest nie tylko, żeby te dzieci w ogóle były, ale również, aby otrzymały jak naj-

lepsze wykształcenie, gdyż jeśli uzyskają w przyszłości wyższe płace, to będą odprowadzały wyższe składki.

Innym rozwiązaniem ukazującym zależność wysokości świadczeń zdrowotnych i emerytalnych od tego, czy mamy dzieci, mogłoby być przekazywanie części składki, którą odprowadzamy do ZUS, na konta emerytalne naszych dziadków, może także pradiadków czy rodziców, w równej wysokości. Dostawaliby podwyżki, kiedy nam by się lepiej powodziło, a jednocześnie dla tych, którzy nie mieliby dzieci, byłoby jasne, że muszą dodatkowo oszczędzać. Mechanizm ten stanowiłby ponadto przypomnienie, że tak naprawdę całość wspomnianej składki jest świadczeniem na rzecz starszego pokolenia.

Powinien zostać zbudowany kompleksowy program prorodzinnny, który jednocześnie na konkretnych przykładach ukazywałby, że jeśli nie będziemy mieli dzieci, to nie liczymy na to, że kraj będzie się rozwijał, a nam będzie się lepiej żyło.

- Jakie kwestie poza polityką prorodzinną obejmuje odpowiedzialne myślenie o przyszłości kraju?

- Polityka gospodarcza powinna być budowana na solidnym fundamencie zasad etycznych, ponieważ bez tego żadnej naprawy nie będzie. Musi opierać się na trzech filarach: polityce prorodzinnej, tworzeniu miejsc pracy i budżecie zadaniowym, czyli optymalizacji wydatków publicznych.

Musimy wiedzieć, w którym miejscu chcemy być, oraz co powoduje powstawanie miejsc pracy o dużej wartości dodanej - w te dziedziny trzeba zainwestować. Ale żeby to zrobić, musimy posiadać budżet zadaniowy, w ramach którego patrzy się na wydatki z punktu widzenia tego, czy w przyszłości zwrócą się w postaci większej bazy podatkowej i wpływów z podatków.

W przypadku państwa powinniśmy działać analogicznie do racjonalnych przedsiębiorstw: nie patrzeć na to, czy w każdym momencie bilansuje nam się budżet, lecz przyjmować te projekty, które zaowocują większymi dochodami. Inaczej nie zbudujemy infrastruktury wzrostu, jaką mają kraje wysoko rozwinięte. Problem polega na tym, że niezbędne inwestycje można sfinansować jedynie na dwa sposoby: z dochodów podatkowych lub pożyczając pieniądze. Jeśli z tej drugiej opcji zrezygnujemy - bo gdy pożyczymy pieniądze, to wyjdzie nam deficyt budżetowy, który jest zakazany - to pozostanie tylko wzrost wymiaru podatków. W sytuacji swobody przepływu osób wyższe podatki nasilą ucieczkę pracowników z naszego kraju.

Obecnie mamy bardzo nieefektywny system budżetowy. W krótkiej perspektywie „nie opłaca się” mieć dzieci, więc ich nie mamy - do prostej zastępowalności pokoleń brakuje nam ich 3,5 miliona - mimo że to one są zabezpieczeniem naszej przyszłości finansowej w wymiarze indywidualnym oraz całego państwa. Powoli rezygnujemy z publicznej służby zdrowia, ponieważ nas na nią „nie stać”, tymczasem możliwe, że nakłady

na zdrowie obywateli mogłyby z czasem się zwrócić, o ile dotyczyłyby dzieci i osób aktywnych zawodowo. Nie znajduje się pieniędzy na odpowiednie kształcenie młodego pokolenia, mimo że w przypadku osób lepiej wykształconych wpływy z podatków są wyższe.

Powinniśmy wrócić do niezrealizowanego programu gospodarczego Prawa i Sprawiedliwości z 2005 r. Poszliśmy bardziej liberalną drogą i już widać tego konsekwencje: wyż „solidarnościowy” nie ma dzieci. Jeśli w ciągu najbliższych dwóch lat nic nie zostanie zrobione, to późniejsze naprawy będą nas kosztowały więcej wyrzeczeń.

- Może jednak poważne wyrzeczenia są nieuniknione? Zasada, by w starzejącym się społeczeństwie wzrastały obciążenia na rzecz solidarnościowego komponentu systemu emerytalnego, wydaje się słuszna z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej.

- Koncentrowanie debaty na aspekcie solidarnościowym zamiast na polityce prorodzinnej, powoduje niestety, że wspólnym mianownikiem staje się dążenie do obniżenia świadczeń emerytalnych - najpierw tych najwyższych, a z czasem wszystkich.

Działania określane jako naprawcze omijają główny problem, jakim jest brak osób młodych, które będą pracować na świadczenia rodziców i dziadków. Tej kwestii kolejne rządy w ogóle nie podejmowały, a obecnie podchodzą do systemu emerytalnego z punktu widzenia syndyka masy upadłościowej: po prostu rozdają to, co zostało. Gdyby wspierano rodziny, mogliby tę „firmę” naprawić, tymczasem z bankruta niewiele można wycisnąć, nawet pod hasłami solidarnościowymi.

Odpowiedź na pytanie, jak wyjść z tego pata, została opracowana ponad 10 lat temu w raportach UNFE: „Bezpieczeństwo dzięki konkurencji”, „Bezpieczeństwo dzięki zapobiegliwości” i „Bezpieczeństwo dzięki emeryturze”. Niestety, nie było i nie ma woli politycznej do implementacji proponowanych rozwiązań. Dlatego pozostaje nam jedynie przyglądanie się, jak kasandryczne przewidywania co do głodowych warunków życia spełniają się punkt po punkcie...

- W krajach kojarzonych z *welfare state* spotkać można zarówno aktywną politykę prorodziną (tu np. Francja), jak i odpowiedniki naszych OFE (Szwecja). Czy jakaś forma tradycyjnego państwa opiekuńczego, uzupełnionego o wszystkie te elementy, o których Pan wspominał, może być trwałym modelem na dzisiejsze czasy - alternatywą wobec kolejnych reform w duchu liberalnym?

- Proponowane rozwiązania są modelem mieszanym. Nam jednak grozi, że zestarzejemy się, zanim wzbogacimy. I zamiast *welfare state* pozostanie liberalno-solidarnościowe „klepanie biedy”. Wiadomo, że wzrost gospodarczy i innowacyjność generują dwudziesto- i trzydziestolatkowie; czterdziesto- i pięćdziesięciolatkowie mogą co najwyżej zachowywać aktywność

gospodarczą. A pozostali? Sześćdziesięciolatkowie i starsi nie będą generować wzrostu, tego możemy być pewni. Zmuszając przedsiębiorców, żeby zatrudniali 60-latków, a nawet 67-latków, wymuszamy tym samym ogromne nakłady na stanowiska pracy, których utrzymywanie się nie opłaca. Nie łudźmy się! Globalizacja ma to do siebie, że jeśli przedsiębiorcy będą mieli do wyboru zatrudnianie starszych ludzi w Europie lub młodych w innych częściach świata, to wybiorą tę drugą opcję. Przeniosą działalność np. do Indii i żadne akcje na rzecz „niedyskryminowania starszych pracowników” nic tutaj nie pomogą. Te procesy są znane, a jednak rząd nie wyciąga z nich żadnych wniosków.

Nie widać też spójności w jego działaniach. Z jednej strony podnosi wiek emerytalny, z drugiej - nic nie wspomina o zwiększeniu nakładów na służbę zdrowia, aby 60-latkowie rzeczywiście mogli pracować. Tymczasem Unia wymaga uelastycznienia rynku pracy, aby przedsiębiorstwa były bardziej konkurencyjne, ale za to pracownicy łatwiej zwalniani. Wyobraźmy sobie tę armię starych, chorych ludzi, bezrobotnych i bez świadczeń emerytalnych! Wszyscy oni znajdują się na utrzymaniu swoich nielicznych dzieci.

Na polską rodzinę przypada obecnie nieco ponad jedno dziecko. Następne pokolenie, o połowę mniej liczne, musiałoby mieć po czwórze dzieci, aby to nadrobić. To nierealne. W praktyce z Polski zostanie tylko nazwa, jak została nazwa Burgundii, chociaż narodu już nie ma. Proces europeizacji zagłuszył w nas instynkt narodowy. Protestujemy przeciwko podwyższeniu wieku emerytalnego, co i tak nic nie da, bo arytmetyka procesów demograficznych jest nieubłagana, a jednocześnie godzimy się na antyrodzinną, antyurodzeniową i proemigracyjną politykę kolejnych rządów. W efekcie starsze pokolenie, coraz bardziej dominujące liczebnie, będzie przejadać środki młodych rodzin na utrzymanie dzieci. To starsze pokolenie to właśnie my, którzy dziś decydujemy w Polsce i zachowujemy się jak hulaka, który przepija majątek, zadłuża się za granicą, oszczędza na posiadaniu dzieci i kradnie pieniądze na renty i emerytury młodych. A potem poprosi, żeby go utrzymywać. Tylko kogo?

Kiedy 30 lat temu wprowadzano w Polsce stan wojenny, rosyjski opozycjonista Władimir Bukowski nazwał go „samookupacją”. Stwierdził, że wyrządził on nam wielką szkodę ekonomiczną i demograficzną, gdyż w jego następstwie olbrzymia liczba Polaków na zawsze opuściła swój kraj. Prowadzimy samookupację, osłabiamy się. Własną polityką spowodowaliśmy, że 2 miliony Polaków wyemigrowały, 3,5 miliona dzieci nie urodziło się, a na koniec podpisaliśmy Traktat Lizboński, który uzależnia siłę głosu danego kraju w Unii od liczby ludności. To proces samolikwidacji.

Dziękuję za rozmowę.

Warszawa, 5 czerwca 2012 r.

Cywilizowany Zachód, czyli reformy emerytalne nie po polsku

JANINA PETELCZYC

Reforma emerytalna mająca na celu podwyższenie wieku uprawniającego do przejścia na emeryturę stała się faktem. Rząd podczas forsowania nowych rozwiązań powoływał się na trendy z innych krajów, w tym europejskich. Zobaczmy zatem, jak naprawdę wyglądały reformy systemów emerytalnych i czy Polska faktycznie uczyniła coś podobnego.

Zmiany przyjęte przez koalicję PO-PSL przy poparciu większości posłów Ruchu Palikota zakładają stopniowe podwyższanie wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn od 1 stycznia 2013 r. o 1 miesiąc co cztery miesiące. Poziom 67 lat zostanie osiągnięty dla mężczyzn w 2020 r., dla kobiet w 2040 r. Nowe regulacje obejmą kobiety urodzone po 31 grudnia 1952 r. oraz mężczyzn urodzonych po 31 grudnia 1947 r.

Tykająca bomba demograficzna

Nie ulega wątpliwości, że społeczeństwo europejskie się starzeje. Ludzie żyją dłużej, a dzieci rodzi się coraz mniej. W efekcie wzrasta średni wiek Europejczyków, co potwierdzają wszystkie statystyki krajowe i międzynarodowe. Według danych Eurostatu, w 2010 r. w krajach UE, Europejskiego Obszaru Gospodarczego i Szwajcarii osoby w wieku 65 lat i więcej stanowiły

16% populacji, a według prognoz liczba ta będzie rosnąć i w 2060 r. osiągnie 29,3% - niemal co trzeci Europejczyk będzie miał powyżej 65 lat. W Polsce obecnie osoby 65+ stanowią 13,5% ludności, a do 2060 r. liczba ta wzrośnie aż do 34,5% i będzie to najwyższy wskaźnik w Europie¹. Stale rośnie współczynnik obciążenia demograficznego, czyli stosunek liczby mieszkańców w wieku nieprodukcyjnym do liczby osób w wieku produkcyjnym. Obecnie kształtuje się on na poziomie 23,6%, a do 2060 r. wzrośnie aż do 52,4%. W naszym kraju ten wzrost będzie jeszcze większy - z 19 do 64,6%².

W zaistniałej sytuacji demograficznej i gospodarczej zarówno systemy oparte na repartycji, a więc takie, w których pokolenie pracujące finansuje emerytów, jak i kapitałowe, w których nasze składki są odkładane na nasze przyszłe emerytury - wymagają reform. Należy



©garryknight, <http://www.flickr.com/photos/garryknight/5836253352/>

jednak mieć świadomość, że nie wystarczy podniesienie wieku emerytalnego. Takie działanie będzie miało sens wyłącznie wówczas, gdy zapewnione zostaną miejsca pracy dla osób starszych, nikt nie będzie ich dyskryminował na rynku pracy i osoby te będą w takim stanie zdrowia, który umożliwi aktywność zawodową. Potrzebne są zatem reformy wieloaspektowe, obejmujące nie tylko zabezpieczenie społeczne, ale i politykę rynku pracy, politykę zdrowotną, a nawet edukacyjną.

Kto przeprowadził reformę?

Reformy systemów emerytalnych zmierzające do zmiany wieku uprawniającego do świadczeń przeprowadzono w ostatnich latach już w 15 państwach Unii Europejskiej. Najdłużej będą pracować Irlandczycy – do 68. roku życia. Do 67 lat podwyższony będzie wiek uprawniający do uzyskania świadczenia emerytalnego w Holandii, Danii, Hiszpanii, Czechach i Niemczech. Z kolei w Estonii, na Litwie, Łotwie, Węgrzech, w Chorwacji i Grecji wiek emerytalny ma docelowo wynieść 65 lat, a w Wielkiej Brytanii – 66 lat. Francuzi, aby przejść na emeryturę, będą musieli osiągnąć wiek 62 lat lub 67, aby uzyskać pełne świadczenie, jeśli nie mają wymaganych okresów składkowych. W dwóch państwach wiek zostanie podniesiony przy

Tabela 1. Wiek emerytalny w krajach UE, które przeprowadziły reformy

Kraj	Wiek wyjściowy		Wiek docelowy		Rok pełnego wprowadzenia reformy
	K	M	K	M	
Bułgaria	60	63	63	65	2021
Czechy	60-65	53-65	67	67	2044
Dania	65	65	67	67	2022
Estonia	62	63	65	65	2017
Francja	60	60	62 (67)	62 (67)	2020
Grecja	60	65	65	65	2013
Hiszpania	65	65	67	67	2013
Holandia	65	65	67	67	2025
Irlandia	65	65	68	68	2028
Litwa	60	62	65	65	2020
Łotwa	62	62	65	65	2021
Niemcy	65	65	67	67	2012
Rumunia	<60	<65	63	65	2030
Węgry	62	62	65	65	2024
Wielka Bryt.	60	65	66	66	2020
Polska	60	65	67	67	2040

Opracowanie własne na podstawie: *Obowiązujący wiek emerytalny w 26 państwach członkowskich UE i Chorwacji oraz Pension Reform in Central and Eastern Europe.*



©@opensourceway, <http://www.flickr.com/photos/opensourceway/5537457507/>

zachowaniu zróżnicowania między kobietami i mężczyznami: w Bułgarii z obecnych 60 lat dla kobiet i 63 dla mężczyzn wiek emerytalny będzie podnoszony co roku o 4 miesiące i w efekcie wyniesie on 63 lata dla kobiet i 65 dla mężczyzn w 2021 r. Natomiast w Rumunii planuje się podniesienie wieku emerytalnego do 63 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn do roku 2030³. Obecnie toczą się też dyskusje na temat reform m.in. w Austrii i Portugalii oraz na Malcie i Słowacji.

Reformy rynku pracy

Jak wspomniano, system emerytalny jest jednym z elementów w układzie naczyń połączonych. Opóźnienie wieku uprawniającego do przejścia na emeryturę wymaga zwiększenia aktywności zawodowej osób starszych (powyżej 50. roku życia), która wciąż w wielu państwach europejskich, w tym w Polsce, jest bardzo niska. Teoretycznie jednym z celów Strategii Lizbońskiej było zwiększenie uczestnictwa ludzi starszych w rynku pracy, aby w 2010 r. wskaźnik zatrudnienia osób w wieku 15-64 lata osiągnął 70%, a dla osób z przedziału 55-64 lata wyniósł 50%. Celów Strategii nie udało się jednak osiągnąć.

Z kolei unijna strategia wzrostu na najbliższe dziesięciolecie „Europa 2020 – Strategia na rzecz inteligentnego i zrównoważonego rozwoju sprzyjającego włączeniu społecznemu” stawia nie mniej ambitne cele. Do 2020 r. planowane jest utrzymanie stopy zatrudnienia osób w wieku 20-65 na poziomie 75%. Realizacji tego celu służyć ma zwłaszcza wprowadzanie

na rynek pracy grup o niskiej zatrudnialności, a więc kobiet, młodzieży, osób niewykwalifikowanych, legalnych imigrantów i – z punktu widzenia reform emerytalnych najważniejszych – osób starszych⁴.

Tymczasem według danych Europejskiego Urzędu Statystycznego Eurostat stopa zatrudnienia osób w wieku 55-64 w Unii Europejskiej wynosi 46,3%. W Polsce jest to 34%, czyli pracuje tylko co trzecia osoba w tym wieku. Niższa jest jedynie na Malcie (30,2%). Z kolei państwo, w którym stopa zatrudnienia osób w wieku przedemerytalnym jest najwyższa, to Szwecja – 70,5%. Wysoki jest także współczynnik zatrudnienia osób starszych w Niemczech (57,7%), Danii (57,6%) i Holandii (53,7%), przy czym w tym ostatnim kraju dominuje zatrudnienie w niepełnym wymiarze czasu pracy⁵.

W celu zwiększenia poziomu aktywności zawodowej osób powyżej 50. roku życia należy przeprowadzać wiele równoległych działań. Są to m.in. kampanie świadomościowe, mające przyczynić się do walki z dyskryminacją ze względu na wiek oraz do wzmocnienia woli samych osób starszych do pozostania zatrudnionym. Innym bardzo ważnym elementem jest dbałość o odpowiednią profilaktykę i służbę zdrowia, aby osoby starsze jak najdłużej pozostawały w kondycji umożliwiającej pracę. Olbrzymie znaczenie odgrywa również dialog ze społeczeństwem, które powinno mieć podstawową wiedzę o funkcjonowaniu systemu i rozeznanie we własnej, indywidualnej sytuacji emerytalnej. Przede wszystkim jednak takim działaniom muszą towarzyszyć zmiany w polityce rynku pracy,



©©© Daniel*1977, <http://www.flickr.com/photos/didmyself/3676403326/>

ponieważ największą barierą zatrudnienia osób starszych jest bezrobocie.

Dobre, bo duńskie

Przyglądając się państwom, w których stopa zatrudnienia osób powyżej 55. roku życia jest wysoka, można dostrzec, że zawdzięczają to w dużej mierze reformom rynku pracy, przeprowadzonym w odpowiednim momencie i dostosowanym do możliwości danego państwa oraz jego pracowników i pracodawców.

Jednym z takich państw jest Dania. Udało się tam osiągnąć wszystkie wskaźniki, które wyznaczono w Strategii Lizbońskiej. W 2010 r. stopa zatrudnienia osób w wieku 15-64 wynosiła 73,4%, a ponad 70-procentowe zatrudnienie udało się osiągnąć także kobietom - 71,1% to najwyższy wskaźnik zatrudnienia kobiet w Unii Europejskiej. Stopa zatrudnienia osób w wieku 55-64 lata wynosi w Danii 57,6% (i znów 50-procentowy wskaźnik udało się przekroczyć także kobietom, z których 52,4% w tym wieku pracuje)⁶.

Duński rynek pracy wyróżnia fakt, że nie ma w tym państwie jednolitego kodeksu pracy, a wszelkie kwestie związane z zatrudnieniem regulowane są na podstawie umów zbiorowych pracy. Większość zagadnień w stosunkach pracodawca - pracownik, takich jak wymiar czasu pracy, minimalny czas urlopu, maksymalny wiek emerytalny, okres wypowiedzenia czy prawa do urlopów macierzyńskich, przyjętych zostało w umowie głównej między Duńską Federacją Związków Zawodowych a Duńską Konfederacją

Pracodawców. Umowa ta podlega negocjacom co cztery lata, natomiast w odniesieniu do warunków płacowych, tj. poziomu wzrostu wynagrodzeń - co dwa lata. Pozwala to na dostosowywanie na bieżąco rynku pracy do zmieniających się warunków społeczno-gospodarczych. Dialog społeczny odgrywa ogromną rolę, a należy podkreślić, że pozycja związków zawodowych jest w tym państwie bardzo silna, ponieważ należy do nich ponad 80% osób aktywnych zawodowo⁷.

W Danii już w 1999 r. dostrzeżono wyzwanie, jakim jest starzejące się społeczeństwo. Wprowadzono wówczas „dobrowolną wcześniejszą emeryturę”, która jednak była tym niższa, im wcześniej dana osoba decydowała się na nią przejść, a staż pracy uprawniający do tego świadczenia zwiększono z 20 do 25 lat. Jednocześnie w tym samym czasie wprowadzono wolny od podatku bonus w wysokości 122 tys. duńskich koron, przeznaczony dla osób, które pozostawały na rynku pracy po ukończeniu 62 lat. Do tej kwoty wynagrodzenia pracownik był zwolniony z podatku. W Danii wprowadzono również zachęty do pozostawania na rynku pracy po osiągnięciu wieku emerytalnego. W ciągu roku dodatkowej pracy emerytura może wzrosnąć nawet o 7%, jednak pod warunkiem przepracowania 1500 godzin, czyli więcej niż średnia godzin rocznie duńskiego pracownika⁸.

Wprowadzono także dodatkowe programy zachęcające do pozostania aktywnym zawodowo. Promuje się pracę na pół etatu lub z elastycznym czasem pracy dla starszych pracowników, np. urzędnicy państwowi

powyżej 62. roku życia mogą korzystać z dodatkowych dni wolnych. Z kolei „Porozumienie w sprawie dobrobytu, opieki społecznej i inwestycji w przyszłości” zawiera interesujące rozwiązania. Są wśród nich dotacje dla pracodawców, którzy zatrudniają osoby powyżej 55. roku życia – wypłaca się je przez 6 miesięcy od momentu zatrudnienia. Inna regulacja to „praca dla seniora” w sektorze publicznym, oferowana bezrobotnym powyżej 55. roku życia bez prawa do zasiłku. Początkowo rozwiązanie to było przewidziane dla 1500 osób (liczba bezrobotnych 55+ w okresie wprowadzania tego prawa wynosiła 20 tys.), następnie zakres ten rozszerzono. Pozwoliło to na znalezienie pracy osobom w szczególnie trudnej sytuacji, a więc długotrwale bezrobotnym w starszym wieku. W ramach porozumienia stworzono także specjalny fundusz, z którego dofinansowuje się projekty zmierzające do poprawy zdrowia i ułatwienia powrotu do pracy osób niepełnosprawnych. Zniesiono także górną granicę wieku uprawniającą do pracy w służbie cywilnej (przed 2008 r. osoba, która skończyła 70 lat, musiała odejść na emeryturę). Zgodnie z prawem wiek przestał też być powodem do zwolnienia.

W takich okolicznościach – przy licznych zachętach dla pracodawców i pracowników do pozostawiania w zatrudnieniu po osiągnięciu określonego wieku i osiągnięciu wysokich wskaźników zatrudnienia – wprowadzono reformę emerytalną. W pierwszej połowie 2011 r. zawarto porozumienie rządowe dotyczące wydłużenia wieku emerytalnego z 65 do 67 lat w okresie między 2019 a 2022 r. Ponadto nastąpi również podniesienie wieku uprawniającego do wcześniejszych emerytur: z 60 do 64 lat między 2014 a 2023 r.

Niemiecka jakość

Również Niemcy charakteryzują się wysoką stopą zatrudnienia osób w wieku 55-64 lata – 57,7%, w tym 65% dla mężczyzn i 50,5% dla kobiet⁹. Niemcy zasługują na szczególne zainteresowanie także ze względu na fakt, że nastąpił tam duży wzrost zatrudnienia osób starszych w ciągu ledwie kilku lat – jeszcze w 2005 r. stopa zatrudnienia osób w wieku 55-64 wynosiła tylko 44,9%, w tym 52,7% dla mężczyzn i 37,3% dla kobiet¹⁰.

Niemcy, tak jak Dania, są krajem, w którym dużą rolę odgrywa dialog społeczny. Kwestie związane z zatrudnieniem regulują Kodeks cywilny (Bürgerliches Gesetzbuch), ustawy z zakresu prawa pracy oraz układy zbiorowe pracy wyznaczające szczegółowo wysokość płac, godziny pracy, liczbę dni wolnych, terminy wypowiedzeń itp. Układy zbiorowe mogą być indywidualnie negocjowane z pracodawcą.

Niemiecki parlament już w 2007 r. przyjął ustawę o podwyższeniu wieku emerytalnego, decydując się na stopniowe podnoszenie granicy wieku uprawniającej do świadczeń zarówno kobietom, jak i mężczyznom – z 65 do 67 lat. Reforma rozłożona jest na wiele lat, rozpoczęła się w 2012 r., ale dopiero w 2029 r. będzie



©© Daniel*1977, <http://www.flickr.com/photos/didmyself/3753798267/>



©© t3mujiu, <http://www.flickr.com/photos/t3mujiu/5018415410/in/photostream/>

trzeba mieć 67 lat, by przestać pracować, czyli pierwszym rocznikiem w pełni objętym nowym systemem będzie 1964. Wyjątkiem są osoby, które przez 45 lat opłacały składki (wliczając w to opiekę nad dzieckiem do 10. roku życia) – nadal będą mogły opuścić rynek pracy w wieku 65 lat.

U naszych zachodnich sąsiadów obok podnoszenia wieku emerytalnego prowadzono równolegle, podobnie jak w Danii, liczne działania aktywizujące starszych pracowników.

Aby zachęcić pracodawców do zatrudniania osób starszych, w 2003 r. wprowadzono hojne subsydia dla zatrudniających pracowników powyżej 50. roku życia. Dotacje te sięgają nawet 50% wynagrodzenia przez 3 lata. Z drugiej strony, by zwiększyć partycypację osób starszych na rynku pracy i ich atrakcyjność w oczach pracodawców, duży nacisk kładziono na kształcenie ustawiczne – osoby z małych i średnich przedsiębiorstw (do 100 pracowników), które podejmują szkolenia poza firmą, mogą otrzymać zwrot kosztów szkolenia od Federalnej Agencji Zatrudnienia. Innym programem realizowanym przez rząd jest „*Er-fahrung ist Zukunft*” (Doświadczenie to przyszłość). Jego celem jest wypracowanie nowego wizerunku osób starszych. Jednym z elementów tego programu są również szkolenia, które pozwalają osobom starszym dłużej pozostawać na rynku pracy.

Poza tym w Niemczech od 2000 r. prowadzona była społeczna kampania „50plus – they can do it”. Miała ona na celu sprzyjanie reintegracji starszych, wykwalifikowanych bezrobotnych. Federalna agencja zatrudnienia dostrzegła bowiem niewykorzystany potencjał osób w wieku 50–55 lat i chciała uzupełnić braki na niemieckim rynku pracy, zwłaszcza w branżach inżynieryjnych i IT. Dla osób bezrobotnych zorganizowano szkolenia, a każdy bezrobotny, do którego kierowany był program, miał też własnego doradcę zawodowego. Program odniósł połowiczny sukces: udało się zatrudnić wielu inżynierów, ale branża IT okazała się niedostępna dla poszukujących pracy specjalistów w wieku 50–55 lat¹¹.

Ponieważ znaczną przeszkodą, uniemożliwiającą osobom starszym pozostawanie na rynku pracy, są stereotypy, w Niemczech prowadzono działania antydyskryminacyjne. Przykładem takich działań jest portal altersdiskriminierung.de, na którym znajdują się informacje prawne i opisy aktualnych wydarzeń związanych z walką z dyskryminacją osób starszych. Na portalu znajdują się także orzeczenia sądów w sprawach o dyskryminację ze względu na wiek (kary sięgają nawet 10 tys. euro).

Na rynku pracy szczególnie zagrożone są kobiety, które dotyka podwójna dyskryminacja: ze względu na wiek oraz z uwagi na płeć. Dlatego w latach 2005–2008 Niemcy wraz z Danią, Finlandią, Litwą i Słowacją brały udział w projekcie „Plus for women 45+”, realizowanym w ramach programu „European Gender Equality

and Diversity Network”. Jego celem było zwalczanie stereotypowych poglądów na temat kobiet po 45. roku życia i ogólna poprawa wizerunku tej grupy. Oprócz reklam telewizyjnych, radiowych i informacji w prasie odbywały się liczne konferencje na ten temat¹².

Emerytura po szwedzku

Na szczególną uwagę zasługują szwedzki system emerytalny oraz tamtejsze reformy zabezpieczenia społecznego. System ów, dość często porównywany do modelu polskiego po 1999 r., przy bliższej analizie okazuje się jednak zupełnie inny.

Po reformach przeprowadzanych w połowie lat 90. XX wieku szwedzki system emerytalny opiera się na konstrukcji trójfilarowej. Pierwszy filar, publiczny (*älderspension*), jest zdywersyfikowany i składa się z trzech podsystemów: emerytury bazowej, kapitałowej i gwarantowanej.

Emerytura bazowa (*Inkomstpension*) opiera się na metodzie repartycyjnej, czyli osoby obecnie pracujące opłacają składkę (16%), z której finansowane są emerytury dzisiejszych świadczeniobiorców. Tak samo jak w Polsce, system ten jest oparty na zasadzie zdefiniowanej składki (*NDC – national defined contribution*). Oznacza to, że każdy członek systemu ma indywidualne konto, na którym liczony jest jego wkład, będący podstawą do określenia wysokości świadczenia w momencie przejścia na emeryturę. Do zalet systemu NDC można zaliczyć utrzymanie równowagi między wydatkami na emerytury a wpływami ze składek, uławnienie reakcji na zmiany demograficzne i trendy rynku pracy oraz zachętę do jak najpóźniejszego przechodzenia na emeryturę. Krytycy tego podejścia wskazują, że może ono zwiększyć rozwarstwienie ekonomiczne pomiędzy emerytami. Szwedzki rząd stara się jednak spłaszczać dochody emerytalne poprzez stosowanie specjalnych skal w opodatkowaniu.

Drugi podsystem pierwszego filaru to emerytury kapitałowe (*Premiepension*) – odpowiednik polskiego OFE. W Szwecji jest to jednak tylko element pierwszego filaru. Składka w wysokości 2,5% transferowana jest do maksymalnie pięciu funduszy emerytalnych, które ubezpieczony może wybrać z prawie 800 istniejących. Fundusze są bardzo różne, jedne inwestują agresywnie, inne bezpiecznie; są także specjalne fundusze dla starszych ubezpieczonych, nienarażające osób w wieku przedemerytalnym na wysokie straty, które mogą być efektem inwestycji w akcje kapitałowe. W każdej chwili można zmienić fundusz, nie ponosząc żadnych kosztów.

Trzeci podsystem I filaru zabezpieczenia emerytalnego to tzw. emerytura gwarantowana (*Garantipension*). Jest finansowana z budżetu państwa oraz funduszu rezerwowego. Aby otrzymać emeryturę gwarantowaną, należy mieć skończone 65 lat, od co najmniej 40 lat mieszkać w Szwecji i albo nie mieć prawa do emerytury składkowej, albo otrzymywać ją na

Podniesienie wieku emerytalnego będzie miało sens wyłącznie wówczas, gdy zostaną zapewnione miejsca pracy dla osób starszych, nikt nie będzie ich dyskryminował na rynku pracy i osoby te będą w stanie zdrowia umożliwiającym aktywność zawodową.

poziomie poniżej minimum. Maksymalna wysokość emerytury gwarantowanej w 2012 dla osoby samotnej wynosi 116 298 SEK, a dla osoby pozostającej w związku 103 749 SEK rocznie. Jeżeli osoba uprawniona do emerytury gwarantowanej nie mieszkała w Szwecji od 40 lat, wówczas jej emerytura będzie proporcjonalnie zmniejszona.

Należy jeszcze dodać, że koszt zmiany systemu, a więc przejścia z całkowicie repartycyjnego na repartycyjno-kapitałowy, pokrywany jest z pieniędzy zgromadzonych w Funduszu Rezerwowym ATP, który został utworzony w 1960 r. Do funduszu tego wpływają nadwyżki ze składek opłacanych przez ubezpieczonych w starym systemie. Pozwala to finansować dziurę w starym systemie, która powstała przy przejściu do systemu kapitałowego, gdy część składek nie finansuje już obecnych emerytur, lecz jest inwestowana na zasadzie kapitałowej¹³.

Drugi filar zabezpieczenia emerytalnego w Szwecji stanowią zakładowe systemy emerytalne, odpowiednik naszych Pracowniczych Programów Emerytalnych. W Szwecji w II filarze ubezpieczonych jest 90% osób zatrudnionych, podczas gdy w Polsce (gdzie, przypomnijmy, PPE stanowią tylko element III filaru) ledwie 2,13% zatrudnionych¹⁴. Zakładowe systemy emerytalne są bardzo ważną częścią zabezpieczenia dochodu na starość i stanowią około 15% przyszłej emerytury. W przypadku tworzenia takich systemów bardzo ważną jest odpowiedzialność pracodawcy za pracowników i zapewnienie im wyższego dochodu na starość.

Trzeci filar zabezpieczenia emerytalnego w Szwecji stanowią indywidualne ubezpieczenia emerytalne. Są to oszczędności gromadzone w bankach, zakładach ubezpieczeń na życie i w funduszach inwestycyjnych.

W Szwecji wiek uprawniający do przejścia na emeryturę jest elastyczny. Przed reformą wynosił 65 lat

zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Obecnie można przestać pracować już między 61. a 67. rokiem życia, przy czym wcześniejsze przejście na emeryturę sprawia, że świadczenie jest proporcjonalnie niższe. Szacuje się, że za każdy rok pracy świadczenie wzrasta o około 9%, natomiast osoby ubiegające się o emeryturę gwarantowaną muszą mieć ukończone 65 lat. Czynnikiem zachęcającym do pozostawania na rynku pracy są wysyłane do każdego pracownika co roku „pomarańczowe koperty” z informacją o przyszłej emeryturze i szacunkową wysokością świadczenia, gdy dana osoba przejdzie na emeryturę w wieku 61, 65 lub 67 lat.

Przeprowadzając reformy, szwedzki rząd działał wieloaspektowo, realizując programy mające zwiększyć stopę zatrudnienia osób starszych - dzięki temu, jak wspomniano, zatrudnionych jest ponad 70% osób w wieku 55-64 lata, co jest najwyższym wskaźnikiem w Europie.

W 2000 r. Narodowy Instytut Pracy (Arbetslivsinstitutet - ALI) prowadził projekt badawczy „Długie życie zawodowe dla wszystkich grup wiekowych”. Rozpoczęto wówczas wdrażanie programów antydyskryminacyjnych, które miały przekonać pracodawców, że zatrudnianie starszych pracowników przynosi wiele korzyści. Kładzie się nacisk przede wszystkim na efektywność wynikającą z większego doświadczenia tych osób. Ponieważ jednak wciąż wielu starszych pracowników rezygnuje z pracy ze względu na niekorzystne warunki i presję ze strony młodszych, a jednocześnie pracodawcy chętniej zatrudniają osoby w niższym wieku - 1 stycznia 2009 r. wprowadzono nową ustawę antydyskryminacyjną. Zabrania ona jakichkolwiek ograniczeń wiekowych w dostępie do edukacji, życia zawodowego i organizacyjnego oraz innych form aktywności społecznej¹⁵.

Podnoszeniu kwalifikacji i wartości starszego pracownika w oczach pracodawcy służy publiczny system edukacji dla dorosłych, prowadzony przez samorządy i szkoły dla dorosłych. Zaawansowane kształcenie zawodowe, szkolenia oraz dodatkowe programy edukacyjne są w przeważającej mierze opłacane ze środków publicznych, a korzystać z nich mogą wszyscy niezależnie od wieku.

Zatrudnianie osób starszych wymaga czasami stworzenia specjalnych, korzystniejszych warunków. Dlatego państwo wprowadziło zachęty finansowe dla firm, które inwestują w poprawę warunków pracy. Istnieją też specjalne dotacje i ulgi podatkowe dla firm zatrudniających starszych pracowników¹⁶. Z kolei ci, którzy nabyli prawa do emerytury i nadal pracują, korzystają z ulg podatkowych. Ich pracodawca nie musi także odprowadzać do Skarbu Państwa podatku obciążającego płace (16,2%), a po osiągnięciu przez nich wieku 72 lat - także składki emerytalnej (10,21%). Zlikwidowano dodatkowe opłaty fiskalne obciążające pracujących emerytów. W Szwecji nie ma barier utrudniających ponowne zatrudnienie osób otrzymujących

emerytury. Warto podkreślić, że mimo możliwości łączenia dochodów z emeryturą część osób decyduje się wyłącznie na pensję z pracy. Rezygnacja ze świadczenia oznacza bowiem, że kapitał emerytalny nie jest uszczuplany, lecz nadal rośnie i w przyszłości świadczenie będzie jeszcze wyższe.

W lutym 2012 r. w Szwecji ponownie rozgorzała debata na temat wieku emerytalnego, gdy premier Fredrik Reinfeldt zapowiedział, że biorąc pod uwagę uwarunkowania ekonomiczne i demograficzne oraz fakt, że co drugi Szwed urodzony w 2012 r. dożyje 100 lat, wiek emerytalny powinno się podnieść do 75 lat. Najprawdopodobniej w najbliższych latach wiek emerytalny nie zostanie podniesiony, a premier zaznaczył, że nie byłaby to obowiązkowa granica, lecz umożliwienie dalszej pracy osobom, które chcą ją kontynuować po 67. roku życia. Obecnie istnieje taka możliwość, gdy pracownik umówi się z pracodawcą, jednak okres wypowiedzenia wynosi wówczas tylko miesiąc.

Korzystne rozwiązania dla pracodawców i starszych pracowników, aktywizująca polityka rynku pracy, szeroko propagowana profilaktyka zdrowotna oraz zachęta do stałego dokształcania się sprawiają, że starsi pracownicy w Szwecji czują się potrzebni i mimo możliwości przejścia na emeryturę już w wieku 61 lat, najczęściej decydują się na kontynuowanie pracy.

Czy to konieczne?

Wydłużanie się ludzkiego życia, w tym również funkcjonowania w dobrym zdrowiu, sprawia, że systemy emerytalne narażone są na coraz większe problemy finansowe. W obecnej sytuacji konieczne wydaje się powiązanie wieku emerytalnego z dłuższym średnim trwaniem życia. Pomoże to zarówno w utrzymaniu równowagi między czasem aktywności zawodowej a latami spędzonymi na emeryturze, jak i zmniejszy problemy fiskalne i budżetowe systemów emerytalnych.

Przeprowadzanie tak trudnych zmian, narażonych na szczególny brak akceptacji, wymaga dialogu społecznego. Tylko system emerytalny wdrażany w oparciu o powszechne uznanie przesłanek leżących u podstaw takiej decyzji może stać się narzędziem, które obok zapewniania podstawowego dochodu osobom nieaktywnym zawodowo, poprzez budowę kapitału społecznego wspiera wzrost gospodarczy i rozwój społeczny.

Przeprowadzając reformy emerytalne, trzeba zadbać o działania na różnych płaszczyznach życia społecznego i gospodarczego. Dobre przykłady państw, które dokonują takich zmian, pokazują, że dostosowywanie rynku pracy do osób starszych, promowanie jak najdłuższej aktywności zawodowej, propagowanie profilaktyki zdrowotnej i walka z dyskryminacją ze względu na wiek sprawiają, że seniorzy będą nie tylko musieli, ale także chcieli dłużej pracować. Należy mieć przy tym jednak na uwadze różne sytuacje indywidualne, zachowując furtkę w postaci możliwości

wcześniejszego przejścia na emeryturę lub – jak w Szwecji – pozostawiając wybór samym zainteresowanym poprzez wprowadzenie elastycznego wieku uprawniającego do świadczeń.

Zmiany demograficzne, którymi straszą media, mogą być nie tylko zagrożeniem i wyzwaniem, ale także szansą. Należy dbać o odpowiednie wykorzystanie potencjału i dążyć do zwiększania uczestnictwa w społeczeństwie wszystkich jego członków. Sprawa wymaga szczególnego zainteresowania właśnie teraz, nim katastrofa demograficzna stanie się faktem.

JANINA PETELCZYC

Przypisy:

1. Dane z Europejskiego Urzędu Statystycznego Eurostat pt. *Population projections*, http://epp.eurostat.ec.europa.eu/statistics_explained/index.php/Population_projections, dostęp: 26.06.2012 r.
2. Ibidem.
3. *Obowiązujący wiek emerytalny w 26 państwach członkowskich UE i Chorwacji oraz ew. zapowiedzi zmian w tym zakresie*, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Departament Komitetu ds. Europejskich, 13.02.2012 r., http://www.myslowice.znp.edu.pl/ZNP/News/Zestawienie_wiek_emerytalny.pdf, dostęp: 13.05.2012 r.
4. *Europa 2020. Strategia na rzecz inteligentnego i zrównoważonego rozwoju sprzyjającego włączeniu społecznemu*, Bruksela 2010, s. 12.
5. Eurostat, *Employment rates for selected population groups, 2000-2010*, http://epp.eurostat.ec.europa.eu/statistics_explained/images/7/7e/Employment_rates_for_selected_population_groups%2C_2000-2010_%28%25%29.png, dostęp: 19.07.2012 r.
6. *European Union Labour Force Survey Annual results 2010*, <http://epp.eurostat.ec.europa.eu/cache/ITY/OFFPUB/KS-SF-11-030/EN/KS-SF-11-030-EN.PDF>, 19.07.2012 r.
7. G. Uścińska, J. Petelczyc, P. Roicka, *Diagnoza osób w wieku 45+ na rynku pracy i w wybranych krajach UE na podstawie danych zastanych*, ekspertyza wykonana w ramach projektu E. Kryńska, „Elastyczne formy zatrudnienia i organizacji pracy i ich wpływ na aktywność zawodową zasobów pracy w wieku 45+”, IPiSS, Warszawa, 2011, s. 51.
8. *Ageing and Employment Policies*, Denmark, OECD 2005, <http://www.oecd.org/dataoecd/38/48/35706830.pdf>, dostęp: 19.07.2012 r.
9. Eurostat, op. cit.
10. *The employment of seniors in the European Union*, <http://epp.eurostat.ec.europa.eu/cache/ITY/OFFPUB/KS-NK-06-015/EN/KS-NK-06-015-EN.PDF>, dostęp: 19.07.2012 r.
11. G. Uścińska, J. Petelczyc, P. Roicka, *Diagnoza...*, op. cit., s. 66.
12. Ibidem, s. 66.
13. J. Petelczyc, *System emerytalny w Szwecji*, Analizy Norden Centrum, 2012, nr 2 (7), s. 8.
14. *Pracownicze programy emerytalne w 2011 r.*, Urząd Komisji Nadzoru Finansowego, Warszawa, maj 2012 r.
15. E. Advokatbyrå, *Age Discrimination Internationally*. Sweden, <http://www.agediscrimination.info/international/Pages/Sweden.aspx>, dostęp: 28.03.2012 r.
16. G. Uścińska (red.), J. Petelczyc, P. Roicka, *Diagnoza osób w wieku 45+ na rynku pracy i w wybranych krajach UE na podstawie danych zastanych, aspekt prawny*, IPiSS: Warszawa 2011, s. 72.

Szarość zielonej wyspy

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG

W 2009 r. na konferencji prasowej premier Donald Tusk ogłosił, że Polska jest zieloną wyspą w Europie. Podstawą tego stwierdzenia był fakt, że tylko u nas odnotowano dodatni wzrost gospodarczy w porównaniu z poprzednim rokiem. W pozostałych państwach UE mieliśmy do czynienia z kryzysem gospodarczym, a w kraju nad Wisłą wystąpiło „jedynie” spowolnienie dynamiki PKB.

Taka sytuacja wzbudziła spore zainteresowanie na świecie. Z tego też powodu dyskurs kryzysowy jest w Polsce do dzisiaj słabo obecny, a zagrożenie kryzysem i losy Grecji są wygodnym straszakiem i uzasadnieniem dla reform polegających na cięciach i ograniczaniu wydatków publicznych. Spowolnieniu gospodarczemu towarzyszą niepokojące trendy, które zaburzają nieco obraz oazy spokoju na wzburzonym oceanie. Ogólny spadek ubóstwa (szczególnie jego skrajnej formy), trwający od kilku lat, zatrzymał się, a w przypadku najsłabszych grup społecznych sytuacja zaczęła się wręcz pogarszać.

Reformy podejmowane przez rząd PO-PSL nie ochroniły najbiedniejszych, co należy uznać za porażkę z perspektywy sprawiedliwości społecznej, nadającej sytuacji najuboższych duże znaczenie w ocenie zmian.

Polska jako gospodarcza zielona wyspa

Porównanie wzrostu PKB rok do roku za 2009 r. dało Polsce unikalne miejsce wśród państw EU. Byliśmy jedynym krajem z dodatnim wzrostem gospodarczym, co pokazuje powyższa mapa.

Fakt ten był dyskutowany przez polityków partii rządzącej, którzy wyjaśniali go swoją roztropną polityką gospodarczą. Niechętni rządowej interpretacji twierdzili, że wynikało to przede wszystkim

z niewielkiego udziału polskich banków w handlu najbardziej ryzykownymi papierami wartościowymi. Bardziej rozsądnie jest przyjąć, że na taki wynik Polski złożyło się wiele czynników, w tym inwestycje publiczne, finansowane w dużej części ze środków UE.

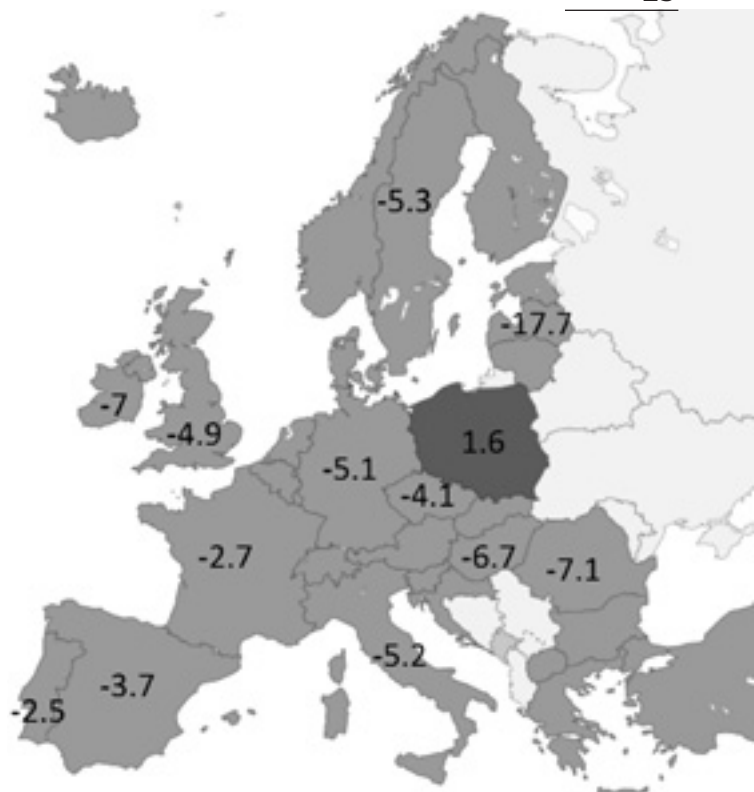
W ujęciu dynamicznym porównanie wzrostu realnego PKB na mieszkańca między 2007 r. a szacunkami dla 2011 r., dla krajów nie odbiegających od Polski pod względem zamożności w przeliczeniu na siłę nabywczą (przedział od 10 do 20 tys. dolarów w 2007 r., 32 kraje ze 182), dało Polsce miejsce w pierwszej dekadzie. Wskaźnik ten wzrósł o 23%, a wśród krajów europejskich, które Polskę wyprzedziły, była w tej grupie tylko Białoruś. Jeżeli porównalibyśmy jedynie kraje centralnej i wschodniej Europy (bez zadbania o porównywalny punkt wyjścia), to pierwsze miejsce zajmowaliśmy *ex aequo* z Albanią.

Biorąc pod uwagę wszystkie 182 kraje, najlepszy wynik zanotowały Chiny (51%), niedaleko były Indie (36%) oraz Argentyna (wzrost o 30%). Na końcu znaleźli się najwięksi przegrani kryzysu, z ujemnym wzrostem od kilkunastu do kilku procent: Bahrajn, Łotwa, Irlandia, Grecja, Islandia, Estonia, Włochy.

W świetle danych międzynarodowych kondycja gospodarki polskiej wygląda więc bardzo dobrze. Czy podobne wrażenie będziemy mieli, gdy spojrzymy na

Mapa. Zielona wyspa; dynamika PKB w latach 2008-2009

Źródło: dane i mapa - portal Eurostatu, baza Real GDP growthrate.



dynamikę wskaźnika wzrostu polskiego PKB w okresie 1996-2010? Okazuje się, że spowolnienie z lat 2001-2002 było głębsze niż to w latach 2009-2010. A na tle doświadczeń Czech i Słowacji dynamika gospodarcza Polski wydaje się być bardziej zrównoważona. Załamania wzrostu nie były tak głębokie, ale również dynamika nie jest tak spektakularna, jak w przypadku Słowacji w latach 2004-2007.

Ubóstwo i wykluczenie

Opisywanie sytuacji kraju wyłącznie za pomocą wskaźników PKB nie mówi nam wiele o żywotnych kwestiach związanych z zatrudnieniem i zdolnością do utrzymania się czy o nierównościach w tych obszarach między gospodarstwami domowymi. Jak przekonywał już pod koniec lat 60. Dudley Seers, takie informacje są dla oceny rozwoju ważniejsze niż dochód narodowy na mieszkańca¹.

Zanim przyjrzymy się danym obiektywnym, zobaczmy najpierw, jak Polacy na tle innych narodów subiektywnie oceniali wpływ kryzysu na sytuację swoich gospodarstw domowych. W drugiej edycji badań Life in Transition Survey z 2010 r. przedstawicielom 39 tys. gospodarstw domowych z 34 krajów zadawano następujące pytanie: *Jak Pan/Pani wie, kryzys gospodarczy wpływa na cały świat i na nasz kraj. Jak bardzo, jeżeli w ogóle, kryzys wpłynął na Pana/Pani gospodarstwo domowe w ciągu dwóch ostatnich lat?* Połączyłem odpowiedzi „tylko trochę” i „wcale” oraz „bardzo” i „znacznie”, otrzymując w ten sposób subiektywny wskaźnik braku negatywnego wpływu kryzysu oraz subiektywny wskaźnik negatywnego wpływu kryzysu (patrz wykres 1 na następnej stronie).

Wynik Polski, ze wskaźnikiem braku negatywnego wpływu kryzysu na poziomie 62% i z wynikiem 26% respondentów deklarujących znaczny jego zakres, oznacza przynależność do grupy krajów, w których wpływ kryzysu był umiarkowany. Sytuacja była

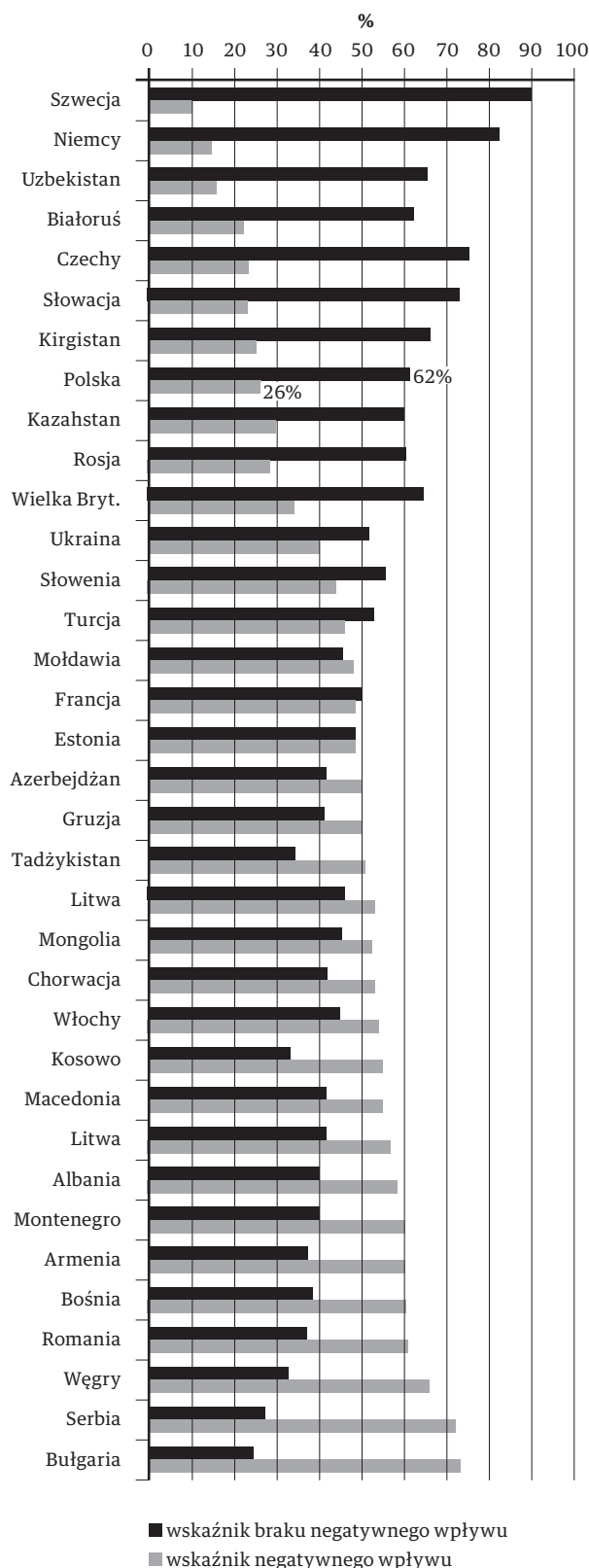
jeszcze lepsza w Szwecji czy Niemczech, zaś najgorzej wypadły pod tym względem Bułgaria i Węgry, gdzie ponad 60% respondentów twierdziło, że kryzys bardzo pogorszył ich sytuację.

Pomimo tej względnie dobrej pozycji ogólnej, gdy spojrzymy na wpływ kryzysu na gospodarstwa domowe niezależnie i zamożne, uzyskamy bardziej zróżnicowany obraz (patrz wykres 2 na stronie 25). Dla tych pierwszych wskaźniki układają się jak te dla Węgier, a dla drugich – jak dla Wielkiej Brytanii.

Niezależnie od tego, że porównania międzynarodowe i zestawienia kolejnych okresów wyglądają korzystnie, spowolnienie gospodarcze ma poważne konsekwencje społeczne. Od poprzedniego gospodarczego tąpnięcia sytuacja w Polsce pod względem różnych wskaźników społecznych szybko się poprawiała. **Ten pozytywny trend zatrzymał się, a w przypadku grup, które zawsze w Polsce były bardziej zagrożone ubóstwem, sytuacja wyraźnie się pogorszyła.**

Wyraźny spadek stopy ubóstwa oficjalnego jest związany głównie z niewaloryzowaniem progów dochodowych z Ustawy o pomocy społecznej (te progi są właśnie granicą ubóstwa przyjmowaną przy obliczaniu odsetka ubogich oficjalnie). Zatem nawet niewielki wzrost dochodów sprawia, że coraz mniej gospodarstw spełnia to kryterium i nie kwalifikuje się do objęcia pomocą. Spadek jest więc w części zjawiskiem sztucznym, a nie realnym. W 2011 r. doszło do tego, że odsetek ubogich wyznaczony granicą minimum egzystencji (ubóstwo skrajne, nieuwzględniające potrzeb uczestnictwa w społeczeństwie) był wyższy niż ten obliczony według kryteriów stosowanych w praktyce pomocy społecznej.

Wykres 1. Subiektywny wpływ kryzysu gospodarczego na sytuację gospodarstw domowych w 34 krajach



Źródło: dane Life in Transition Survey II, 2010 r., obliczenia i opracowanie własne.

Najbardziej niepokojący jest trend w zakresie ubóstwa skrajnego, którego granicę stanowi minimum egzystencji, aktualizowane co roku przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych. Jego dynamiczny spadek z lat 2005-2007 zatrzymał się w latach 2008-2010 (na poziomie 5,7%), a w 2011 r. wskaźnik ten wzrósł do 6,7%. Podkreślić należy, że mamy tu do czynienia z ubóstwem, które grozi podstawom egzystencji, a odsetek wydający się niskim oznacza w skali kraju ponad 2,5 miliona ludzi.

O ile trendy dla większości grup są zgodne z ogólną tendencją (spadek, a następnie stagnacja), to w przypadku osób utrzymujących się z niezarobkowych źródeł (co oznacza przede wszystkim klientów pomocy społecznej) mamy wyraźny trend wzrostowy - z 16% do 22%. Oznacza to, że gospodarstwa domowe będące w najgorszej sytuacji, są najbardziej podatne na konsekwencje spowolnienia gospodarczego. A jednym z odpowiedzialnych za tę większą podatność jest system pomocy społecznej.

Sytuacja wygląda podobnie, gdy analizujemy położenie różnych typów rodzin. Najbardziej narażone na skrajne ubóstwo są rodziny wielodzietne. Należy powitać z zadowoleniem prawie dwukrotne obniżenie tego ryzyka od roku 2005, ale w latach 2008-2011 mamy do czynienia z niepokojącym trendem wzrostowym z 18% do 24%. Rodziny wielodzietne okazują się grupą najbardziej podatną na konsekwencje spowolnienia gospodarczego, czyli nie chroni ich dostatecznie system pomocy społecznej i świadczeń rodzinnych (tu progi są nieco wyższe, ale również zostały zamrożone).

Jeżeli weźmiemy pod uwagę dane dotyczące zagrożenia i wykluczenia społecznego według metodologii przyjętej w badaniach panelowych Diagnoza Społeczna (fale 2007, 2009, 2011), to zobaczymy, że sytuacja się pogarsza. O ile pomiędzy rokiem 2007 a 2009 mieliśmy do czynienia ze zmniejszaniem się skali zagrożenia wykluczeniem społecznym, to rok 2011 wyraźnie pokazuje jego wzrost w stosunku do lat 2007 i 2009.

Gdy analizujemy dane dotyczące wykluczenia, sytuacja wydaje się jeszcze łatwiejsza do interpretacji. W latach 2007-2011 nastąpił wyraźny wzrost stopy wykluczenia społecznego. Najbardziej dynamiczny był on w przypadku gospodarstw domowych utrzymujących się z niezarobkowych źródeł, czyli przede wszystkim najuboższych przedstawicieli polskiego społeczeństwa.

Reformy (anty)socjalne

W okresie spowolnienia gospodarczego głównymi problemami polskiego rządu, a szczególnie ministra finansów, są deficyt finansów publicznych i dług publiczny. Ten pierwszy z powodu regulacji UE (próg 3% PKB został przekroczony), a ten drugi ze względu na ustawę o finansach publicznych i Konstytucję (progi 55% i 60% PKB, wskaźnik długu był blisko pierwszego

z nich). Plan konsolidacji Ministerstwa Finansów koncentruje się głównie na ograniczaniu wydatków. Według założeń ministerstwa docelowo poziom wydatków publicznych nie powinien przekraczać 40%, a dług publiczny 45% PKB².

Wśród działań zmniejszających problemy finansów publicznych najgorętsze dyskusje wywołał projekt zmniejszenia poziomu składki odprowadzanej do otwartych funduszy emerytalnych³. Szczytowym punktem sporu była debata telewizyjna między ministrem finansów Jackiem Rostowskim a głównym reformatorem polskiej gospodarki w okresie transformacji, prof. Leszkiem Balcerowiczem. Reforma ta była najłatwiejsza ze względu na szybkie korzyści dla stanu finansów publicznych i oddalone w czasie konsekwencje dla przyszłych emerytów, ale burza medialna (i wśród ekspertów) była potężna.

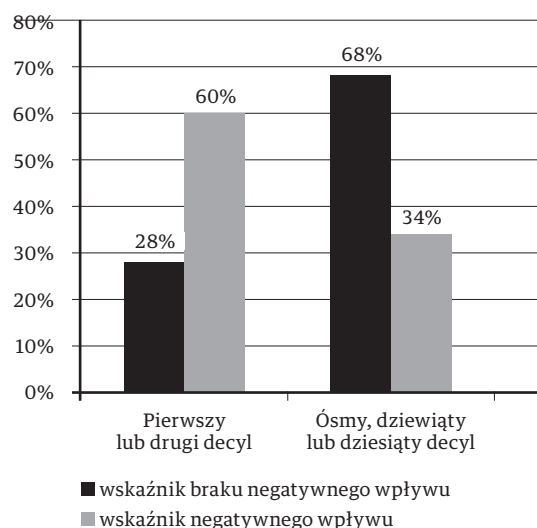
Innym rozwiązaniem jest tymczasowe podniesienie wszystkich stawek VAT o 1 punkt procentowy, przy obniżeniu stawki na niektóre produkty żywnościowe z 7% do 5%⁴. Akurat ta reforma została zaprojektowana tak, aby zminimalizować jej większy negatywny wpływ na sytuację osób najbiedniejszych. Bez obniżki VAT na żywność relatywnie dużo większe koszty reformy poniosłaby uboższa część polskiego społeczeństwa⁵.

Do najbardziej bolesnych dla najuboższych należą cięcia polegające na wspomnianym powstrzymywaniu się od waloryzacji progów uprawniających do świadczeń z pomocy społecznej oraz do świadczeń rodzinnych, a także zamrożenie wysokości samych świadczeń. Rząd zignorował decyzję Komisji Trójstronnej w tej sprawie z 2010 r., a jest przecież jej częścią. Konsekwencją rezygnacji z podwyższania progów dochodowych w pomocy społecznej jest to, że dla większości typów gospodarstw domowych stały się one niższe od minimum egzystencji, np. dla rodziny pięcioosobowej (dwoje dorosłych i troje dzieci) kryterium dochodowe pomocy społecznej było w 2011 r. niższe aż o 438 zł.

Utrzymywanie poziomu progów ubóstwa w pomocy społecznej poniżej minimum egzystencji oznacza, że część gospodarstw domowych, która jest skrajnie uboga, nie nabędzie uprawnień do świadczeń z pomocy społecznej. Trudno nie uznać tego za skandal, ale nie wywołuje to zaciętych debat ministrów z profesorami akademickimi w najlepszym czasie antenowym telewizji publicznej.

Ponadto progi te służą także do obliczania wysokości niektórych świadczeń pieniężnych (zasiłek okresowy⁶), więc ich niepodwyższanie powoduje też, że nadal uprawnieni do zasiłków otrzymują je niższe. Przypomnijmy, że nasze prawo pomocy społecznej gwarantuje tylko 50% zasiłku okresowego (czyli różnicy między progiem ustawowym a dochodem rodziny). Ma on charakter minimalnego dochodu gwarantowanego dla osób w wieku produkcyjnym – jeżeli już nie mamy prawa do żadnych innych świadczeń, pozostaje nam tylko on.

Wykres 2. Rozkład subiektywnego wpływu kryzysu na gospodarstwa domowe w Polsce w zależności od pozycji w strukturze społecznej



Źródło: dane Life in Transition Survey II, obliczenia i opracowanie własne (usytuowanie w rozkładzie zamożności na podstawie autodeklaracji, nazwa „decyl” w tym przypadku oznacza kolejne stopnie zamożności, do których przypisywali się respondenci).

Zasiłki rodzinne są jednym z instrumentów społecznej polityki rodzinnej. Mimo że polskie społeczeństwo popiera pomaganie wszystkim rodzinom, a nie tylko biednym⁷, wciąż są one dostępne tylko dla tych ostatnich. Natomiast spadek realnej wartości kryteriów (obecne 504 zł było warte w 2006 r. niemal 200 zł więcej) sprawia, że zasiłki otrzymują tylko coraz biedniejsi.

Jeżeli świadczenia ustalone są kwotowo (jak większość świadczeń rodzinnych), to zamrożenie ich wysokości oznacza, że realna wartość tych świadczeń ulega zmniejszeniu. Przykładem niech będzie jednorazowa zapomoga z tytułu urodzenia dziecka (tzw. becikowe). Od 2006 r. jego wartość nominalna to 1000 zł, ale gdy weźmiemy pod uwagę ogólny wzrost cen, to wartość realna tej kwoty w 2011 r. była niższa o 189 zł.

Najważniejszą konsekwencją niepodwyższania progów dochodowych jest to, że wraz ze wzrostem ogólnej zamożności i kosztów życia coraz mniej rodzin jest uprawnionych do świadczeń. Od 2005 r. z powodu zamrożenia progu dla świadczeń rodzinnych prawo do nich utraciło ponad 800 tys. dzieci⁸.

Ogólnie ujmując, reformy systemu podatkowo-transferowego w latach 2007–2011 przyniosły duże korzyści najbogatszym (dochody dziesiątego decyla wzrosły średnio o ponad 6%) i niewielkie lub żadne najuboższym (przeciętny wzrost dochodu pierwszego decyla o nieco ponad 1%, przy niewielkim spadku dochodów drugiego decyla)⁹.

Rynek pracy

Nie ulega wątpliwości, że przed ubóstwem lepiej chroni dobrze płatna i stabilna praca niż świadczenia pieniężne oferowane przez system pomocy społecznej czy

zasiłki dla bezrobotnych. Czy jednak umowy na czas określony są jednoznaczne z pojęciem dobrej (godnej) pracy? Odpowiedź na to pytanie zależy od wielu innych cech pracy, np. poziomu dochodu i zabezpieczenia w razie wystąpienia ryzyk socjalnych – dobra praca jest dobrze opłacana i oparta na umowie gwarantującej odprowadzanie odpowiednio wysokiej składki na ubezpieczenie społeczne i zdrowotne.

Jednym z posunięć polskiego rządu w przygotowaniach do odparcia uderzenia kryzysu był tzw. pakiet antykryzysowy dla niepublicznych podmiotów gospodarczych¹⁰. Głównym jego celem było ograniczenie działania dotychczasowych regulacji rynku pracy, dotyczących czasu pracy, nadgodzin i kodeksowych umów na czas określony. Ponadto przewidziano dla przedsiębiorców mających problemy ekonomiczne możliwość zastosowania ograniczenia czasu pracy i wysokości płac oraz przestoju produkcji/działalności. Praktyczne znaczenie ustawy wydaje się jednak niewielkie, np. przewidywano, że w ciągu dwóch lat 94 tys. pracowników dotknie redukcja płac, a w 2010 r. było to niecałe 2,5 tys.¹¹ Ważne jest jednak to, że uelastycznianie prawa pracy w Polsce posuwa się coraz dalej. W wyniku poprzednich reform Polska stała się liderem UE, jeżeli chodzi o pracujących na podstawie umów na czas określony w stosunku do ogółu zatrudnionych (do 2009 r. najwyższy wskaźnik miała Hiszpania).

Uderzające jest nie tylko objęcie przez Polskę przewodnictwa w tym rankingu, ale również prawie sześciokrotna dynamika przyrostu, gdy porównamy późne lata 90. (5%) z przełomem pierwszej i drugiej dekady XXI wieku (26%). Istotna jest też wyjątkowość tego trendu zarówno na tle krajów zachodnich, jak i postkomunistycznych. Tym razem nie obyło się bez debaty publicznej, dla której hasłem wywoławczym stały się „umowy śmieciowe”. Na razie nie zakończyła się ona konkluzjami ustawodawczymi. Zderzyły się w niej poglądy dużej części ekspertów akademickich ds. polityki rynku pracy, powtarzających, że uelastycznienie i deregulacja są dobre lub stanowią mniejsze zło w dobie walki o międzynarodową konkurencyjność, oraz poglądy tych, którzy od dawna zwracali uwagę na erozję praw pracowniczych i prekaryzację. Oni też zwykle dodają, że są to skutki strategii deregulacyjnej, a ta ma u podstaw głównie ideologiczne przekonanie, że im mniej regulacji na rynku pracy, tym lepiej dla wszystkich.

Zielona wyspa „wdraża” strategię Europa 2020

Co nowego do tego obrazu wnosi nowa dziesięcioletnia strategia UE Europa 2020? Rząd „zielonej wyspy” postanowił, że dokona takich reform, które sprawią, że do 2020 liczba Polaków w gorszym położeniu ekonomicznym zmniejszy się o 1,5 miliona¹². Według metodologii przyjętej przez UE, w Polsce było w 2010 r. 10,4 miliona takich osób. Zaplanowano więc, że do



©©© karolajnat, <http://www.flickr.com/photos/karolajnat/2108561001/in/photostream/>

2020 ta liczba zmniejszy się o 14%. Nie tylko wydaje się to mało ambitne, ale również nie wiadomo, w jaki sposób będą dokonywane pomiary postępów na tej drodze. W wyniku lobbingu i kompromisów Komisja Europejska przyjęła, że do pomiaru etapów osiągania tego celu służyć będą trzy różne wskaźniki. Problem w tym, że każdy z nich zakłada inną koncepcję ubóstwa i walki z nim. Ubóstwo relatywne pod względem dochodu wymaga strategii zmniejszania nierówności zasobów. Wspieranie ubogich w zaspokajaniu ich podstawowych potrzeb sugeruje koncepcja wielowymiarowej deprywacji potrzeb materialnych. Niski poziom zatrudnienia w gospodarstwach domowych – tu głównymi problemami są bezrobocie i bierność zawodowa.

Autor tego artykułu jako przedstawiciel jednej z polskich sieci socjalnych organizacji obywatelskich podkreślał na spotkaniu Międzyresortowego Zespołu do spraw Strategii Europa 2020, że w pierwszej wersji oraz w aktualizacji Krajowego Planu Reform nie ma żadnej ścieżki realizacji celu przeciwdziałania ubóstwu i wykluczeniu. Z wypowiedzi przedstawicielki Ministerstwa Gospodarki wynikało, że zrealizuje się on w wyniku osiągnięcia innych celów strategii Europa 2020. Zapewne nie taka była intencja jego wyodrębnienia. Dodatkowy dowód na to, że obecny rząd, a w szczególności MPiPS, nie jest w stanie sprecyzować programu społecznego, to brak opracowania przez Polskę Krajowego Raportu Społecznego (odpowiednik krajowych programów na rzecz zabezpieczenia społecznego i integracji społecznej z okresu Strategii Lizbońskiej), który co prawda obecnie jest dobrowolny,

ale zalecał go Komitet Ochrony Socjalnej i został przygotowany do tej pory przez 13 państw UE.

Zajmując stanowiska w trakcie dyskusji nad zagadnieniami ubóstwa i wykluczenia w strategii Europa 2020, eksperci rządowi stanowczo sprzeciwiali się przyjęciu wskaźnika ubóstwa relatywnego i proponowali wielowymiarową deprivację, co oznacza, że bardzo nie odpowiada im strategia ograniczania nierówności. Gdyby byli konsekwentni, powinni przyjąć preferowany wskaźnik jako kluczowy w Krajowym Programie Reform – wówczas ich cel wydawałby się bardzo ambitny, gdyż chodziłoby o ograniczenie skali problemu o połowę. Może nie okazałoby się to trudne, gdyż spadek tego wskaźnika w ostatnich latach w Polsce był bardzo znaczący – z ponad 33% w 2005 do 14,2% w 2009. W krajach rozwiniętych z lepszą polityką społeczną, takich jak Szwecja, skala zjawiska wynosi 1-2%.

Wnioski

Jeżeli uznajemy, że sytuacja osób w najgorszym położeniu jest ważna dla oceny postępu na drodze rozwoju kraju, to niewątpliwie od kilku lat mamy w Polsce wyraźny regres. Można go wyjaśniać spowolnieniem gospodarczym i nieskutecznością rządu, który nie był w stanie tak zareagować na trudności ekonomiczne, aby uchronić najuboższych. Przeciwnie, skutki reform z ostatnich lat poprawiały głównie sytuację najbogatszych. Nie ma w tym niczego zaskakującego, gdyż dominująca siła polityczna, mimo swojej postideologicznej i promodernizacyjnej retoryki, prowadzi typową politykę wspierania bogatych z przekonaniem, że to pomoże pozostałym.

Ostatnie wybory parlamentarne nie zmieniły układu politycznego, więc nie należało oczekiwać głębokich reform z intencją ochrony lub poprawy sytuacji najuboższych. Praktyka dowodzi słuszności takiego sceptycyzmu. Z wielkim trudem i dopiero po stwierdzeniu, że kryteria dochodowe z pomocy społecznej były bardziej restrykcyjne niż minimum egzystencji, Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, ustami J. Dudy, obiecało działać. Po ponad półtora roku od tej obietnicy pojawiły się konkrety – od października 2012 r. kryteria oraz m.in. zasiłki rodzinne mają wzrosnąć. Tak się składa, że właśnie w tym roku mijają trzy lata i kolej na ustawowo zaplanowaną zwykłą weryfikację progów (pierwsza była w 2006 r., druga w 2009 r. – progów nie podwyższono, trzecia – obecnie). Strona związkowa uznała propozycję rządu za niewystarczająco chroniącą przed kolejną utratą wartości oferowanego wsparcia. Obrazuje to, jak bardzo system weryfikacji progów jest antyspołeczny i łatwy do obejścia¹³.

Nie wiadomo, jak sytuacja będzie wyglądała w latach 2013-2014. Wzrost gospodarczy w Polsce jest nadal względnie wysoki, ale część komentatorów przewiduje ponowne spowolnienie lub nawet kryzys. Gdyby do tego doszło, zapewne nie zobaczymy nic więcej

ponad to, co już zaproponowano, czyli zaciskanie pasa finansom publicznym i ułatwianie życia przedsiębiorcom. Czy to wystarczy, aby zapewnić spokój społeczny na zielonej wyspie?

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG

Artykuł jest skróconą i zaktualizowaną na potrzeby „Nowego Obywatela” wersją tekstu, który ukazał się w pracy zbiorowej: G. Firlit-Fesnak i in. red., „Integracja społeczna jako wyzwanie dla polityki społecznej i pracy socjalnej. Soziale Integration als Herausforderung für die Sozialpolitik und Sozialarbeit”, Wydawnictwo ASPRA-JR, Warszawa 2012.

Przypisy:

1. Zob. R. Szarfenberg, *Rozwój społeczny, czyli detronizacja PKB*, „Nowy Obywatel” nr 2/2011.
2. Pierwszy pakiet reform dla konsolidacji finansów publicznych, Ministerstwo Finansów, marzec 2010.
3. Ustawa o zmianie niektórych ustaw związanych z funkcjonowaniem systemu ubezpieczeń społecznych weszła w życie 1 maja 2011 r.
4. *Wieloletni plan finansowy państwa 2010-2013*, Rada Ministrów, sierpień 2011.
5. M. Myck i in., Raport Przedwyborczy CeneA 2011. Część I: 2006-2011: kto zyskał, a kto stracił?, CeneA 2011, s. 43-44. Informacja prasowa pt. 2006-2011: podatki i ich wpływ na budżet państwa i dochody Polaków, CeneA 13 września 2011 r., s. 2, wykres 2.
6. Niedawno na jednym ze spotkań usłyszałem od urzędnika z jednej z warszawskich dzielnic, a potwierdziła to dyrektor ośrodka pomocy społecznej z innej dzielnicy, że zasiłków okresowych w praktyce się nie wypłaca. Bardzo mnie to zdziwiło, gdyż 50% tego zasiłku jest gwarantowane. Jeżeli byłyby to informacje prawdziwe, można by sądzić, że w praktyce prawo pomocy społecznej jest nagminnie obchodzone.
7. Polityka państwa wobec rodziny, CBOS, 2012.
8. M. Myck i in., op. cit.
9. M. Myck i in., Raport Przedwyborczy Cen EA 2011. Część I op. cit., s. 32.
10. Ustawa z dnia 1 lipca 2009 r. o łagodzeniu skutków kryzysu ekonomicznego dla pracowników i przedsiębiorców weszła w życie 22 sierpnia 2009 r., a obowiązywała do końca 2011 r.
11. Sprawozdanie z wykonania planu finansowego funduszu gwarantowanych świadczeń pracowniczych za 2010 r.
12. Krajowy program reform, kwiecień 2011. Ocena aktualizacji tego programu dokonanej w 2012 r. w wymiarze przeciwdziałania ubóstwu i wykluczeniu społecznemu zob. R. Szarfenberg, *Strategia Europa 2020 oraz aktualizacja Krajowego Programu Reform 2012/2013 - przeciwdziałanie wykluczeniu społecznemu*, http://rszarf.ips.uw.edu.pl/pdf/kpr_akt.pdf
13. W Komunikacie Trójstronnej Komisji do Spraw Społeczno-Gospodarczych z posiedzenia w dn. 13 lipca 2009 r. jest wzmianka o tym, że przypominano stronie rządowej o konieczności weryfikacji progów. W 2010 r. Komisja Trójstronna przyjęła uchwałę 37 w sprawie weryfikacji kwot kryteriów dochodowych od 1 października 2010. Szczegóły dotyczące zamierzeń obecnego rządu zob. Komunikat z posiedzenia Trójstronnej Komisji do Spraw Społeczno-Gospodarczych w dniu 14 czerwca 2012 r. Rozporządzenie w tej sprawie ukazało się już w Dzienniku Ustaw nr 823 z 17 lipca. Projekt rozporządzenia w sprawie wysokości dochodu rodziny albo dochodu osoby uczącej się, stanowiących podstawę ubiegania się o zasiłek rodzinny oraz wysokości świadczeń rodzinnych, ukazał się z datą 10 lipca 2012 r. i jest już dostępny na stronach BIP MPiPS.

WITAJCIE NA PUSTYNI

Postkomunizm, Unia Europejska i nowa lewica na Bałkanach

SREĆKO HORVAT, IGOR ŠTIKS

Uwaga świata jest dzisiaj skupiona na politycznych zmianach zachodzących na Bliskim Wschodzie, na fali protestów rozciągających się od Tel Awiwu przez Madryt po Wall Street, na kryzysie w Grecji. W obliczu tych wydarzeń nie dostrzega się coraz większego napięcia politycznego i społecznego na Bałkanach, w regionie obejmującym liczne państwa postkomunistyczne. W ciągu 2011 r. protesty, których główne postulaty miały charakter socjalny, wybuchały i trwały w Rumunii, Albanii, Serbii, Macedonii oraz – co warto szczególnie podkreślić – w Chorwacji.

W tym ostatnim kraju, po pierwszych demonstracjach, minister spraw wewnętrznych Tomislav Karamarko określił grupy protestujące mianem „Indian”, co miało w lekceważący sposób opisywać protesty jako pseudopolityczne wygłupy nieistotnych grup i stowarzyszeń. Ta arogancja nie tylko obróciła się przeciwko ministrowi – demonstranci odpowiedzieli pięknym za nadobne i wykorzystali określenie użyte przez ministra do nazwania protestów „Indiańską Rewolucją” – ale także ukazała w pełni sytuację społeczno-polityczną, w jakiej znalazła się Europa Wschodnia, a szczególnie Bałkany.

Pomimo obietnic składanych hojnie na fali przemian, do których doszło w 1989 r., obywatele żyjący w krajach postkomunistycznych – ci „Indianie Dzikiego Wschodu” – czują się w ogromnym stopniu wyrzuceni poza nawias i są przekonani, że nie mają żadnego wpływu na podejmowane decyzje. W większości tych państw wybory okazały się być jedynie powierzchownym liftingiem, który nie zmieniającej politycznej oligarchii i nie jest w stanie stymulować

jakościowych zmian w programach politycznych czy nawet tylko w retoryce. W wyniku zakrojonej na szeroką skalę prywatyzacji wiele osób straciło pracę, w znacznej mierze pogorszyły się płace i warunki zatrudnienia, olbrzymiej redukcji uległy oszczędności w krajowych systemach emerytalnych, zlikwidowano lub ograniczono liczne przywileje socjalne, takie jak dostęp do bezpłatnej edukacji czy opieki zdrowotnej. Ponadto znaczący procent społeczeństwa jest zadłużony w zagranicznych bankach i instytucjach finansowych, które szybko rozprzestrzeniły się na Bałkanach i obecnie kontrolują cały sektor finansowy w regionie. Do zubożenia ludności przyczyniły się także niszczycielskie wojny, które przetoczyły się w latach 90. XX wieku przez terytorium byłej Jugosławii, pochłaniając ponad 130 tysięcy ofiar. Dzisiaj proces pauperyzacji związany jest przede wszystkim z „eurokompatybilnymi” elitami, których głównym zadaniem było i jest wprowadzanie w życie neoliberalnych reform, przedstawianych jako niezbędny krok na drodze ku integracji z Unią Europejską.

PO TRANSFORMACJI!

„Transformacja” to pojęcie opisujące przekształcanie byłych państw socjalistycznych w liberalne demokracje, w których obowiązuje wolnorynkowy model gospodarki (najwyraźniej jedno bez drugiego istnieć w dzisiejszym świecie nie może, tworząc nierozzerwalną polityczno-gospodarczą hybrydę). Nazwa ta została wprowadzona do sfery publicznej i dyskursu politycznego z silnymi konotacjami biblijnymi jako odpowiednik „krajów obfitości”. Ale nawet dzisiaj, 20 lat po zmianie systemu, wciąż słyszymy, że proces „transformacji” jeszcze się nie zakończył. Społeczeństwa wciąż błąkają się po pustyni i nie widać końca tej wędrówki. **Pomimo retoryki opartej na założeniu wciąż niedokończonej transformacji widać wyraźnie, że model gospodarki opartej na wolnym rynku zdominował kraje postsocjalistyczne i jego pozycja wydaje się zupełnie niezagrażona. Kraje Europy Wschodniej w pełni podporządkowały się regułom świata kapitalistycznego, odgrywając w nim jednak rolę raczej peryferyjną.**

W praktyce oznacza to nieograniczony dostęp do taniej i wysoko wykwalifikowanej siły roboczej, żyjącej w pobliżu kapitalistycznych potęg. Oznacza też niemal całkowitą zależność gospodarczą od krajów wysokorozwiniętych i pochodzących z nich ponadnarodowych banków i korporacji. I wreszcie - rosnące zadłużenie.

Z punktu widzenia systemu politycznego poszczególne kraje wykształciły procedury funkcjonujące w ustroju liberalno-demokratycznym. Pomimo tego mantra o niedokończonej transformacji wciąż jest obecna w mediach i dyskursie akademickim, a elity polityczne wykorzystują ją do uzasadnienia kolejnych prywatyzacji. Wygląda to tak, jakby nikt nie miał odwagi powiedzieć głośno, że transformacja oznacza zaprzeczenie krajów i społeczeństw ideologii systemu kapitalistycznego. Z tego punktu widzenia transformacja



© Joseph A Ferris III, <http://www.flickr.com/photos/josephferris76/5425582109/>

już dawno się zakończyła - nie ma czego przekształcać, system zakorzenił się na dobre.

Stosowanie retoryki niedokończonej transformacji można tłumaczyć na dwa sposoby. Po pierwsze wynika ono z dążenia do uniknięcia konfrontacji z twardymi konsekwencjami przemian społeczno-gospodarczych, do których doszło w wyniku transformacji. Po drugie - z chęci zachowania użytecznego odniesienia do warunków panujących w ówczesnych systemach socjalistycznych. Jednym z podstawowych założeń tej niekończącej się transformacji jest konieczność ciągłego prowadzenia za rękę oraz nadzoru nad planowym wprowadzaniem nowego porządku.

Wielu obserwatorów przemian zachodzących w tych krajach wskazuje na występowanie „nostalgii za komunizmem”. Apolityczna tęsknota za owym okresem, podobna do przedstawionej w niemieckim filmie „Good Bye Lenin!”, spotyka się często z sympatią i zrozumieniem, podczas gdy na wyniki sondażu przeprowadzonego w Rumunii, wskazujące, że 61 proc. społeczeństwa żyło się lepiej za rządów Ceaușescu, komentatorzy polityczni reagują oburzeniem i niedowierzaniem. Zagorzali liberałowie mogą interpretować

wyniki tych badań jako podręcznikowy przykład teorii „zadowolonego niewolnika”. Opiera się ona na założeniu, że ludzie żyjący w zniewoleniu wciąż odczuwają silną nostalgię za tyranią, nawet pomimo odzyskania wolności i poczucia bliskości „ziemi obiecanej”, tylko dlatego, że poprzedni system zapewniał im realizację podstawowych potrzeb życiowych.

Odczytywanie „nostalgii” jako ekspresji dążenia do powrotu do krainy szczęśliwości realnego socjalizmu – jakby ktokolwiek w ogóle brał taką ewentualność pod uwagę – oznacza zupełne pomijanie pytań o przyczyny takiego sentymentu. Dlaczego ludzie mają poczucie braku wpływu na decyzje podejmowane przez polityków, zarówno w sferze ustrojowej, jak i gospodarczej? Dlaczego znowu czują się zniewoleni? **Dlaczego i kiedy liberalna demokracja okraszona wolnym rynkiem nie spełnia oczekiwań obywateli? Czy istnieje alternatywa dla obecnego porządku społeczno-politycznego? Dlaczego ludziom nie żyje się lepiej po transformacji?**

Ponieważ nostalgia za komunizmem nie jest związana z jakimiś konkretnymi ruchami czy programami politycznymi; odpowiedzi na te pytania należy szukać w powszechnym poczuciu, że zmiany zachodzące w krajach postkomunistycznych nie przyniosły i nie przyniosą powszechnego dobrobytu. Dlatego jedyną drogą ucieczki jest powrót do idei związanych ze szczodrym systemem przywilejów i pomocy społecznej, funkcjonującym w tych krajach w przeszłości. Mitja Velikonja, słoweński socjolog, który prowadzi badania dotyczące „Titostalgii”, wskazuje na istnienie dwóch nurtów nostalgii za systemem komunistycznym. Pierwszy z nich, pasywny, dotyczy wychwalania symbolicznych elementów poprzedniego systemu; drugi, bardziej aktywny, skupia się na krytyce obecnej rzeczywistości przez pryzmat niepodlegających dyskusji osiągnięć systemu socjalistycznego, takich jak gospodarcza i społeczna emancypacja szerokich grup społecznych. Ci, którzy albo nie chcą, albo nie są w stanie uznać słuszności tych odczuć, zbywają milczeniem rosnące niezadowolenie społeczne i oddolne podważanie zasadności transformacji zarówno w odniesieniu do reform, jak i do związanej z nią ideologicznej konstrukcji opartej o dominację.

Balkanopolitik Unii Europejskiej

Unia Europejska jest najważniejszym protagonistą transformacji zachodzącej w krajach Europy Wschodniej. Zgodnie z dyrektywą przyjętą w 1993 r. w Kopenhadze zadaniem UE jest szkolenie, dyscyplinowanie oraz karanie państw w zamian za obietnicę przyjęcia – po przebyciu drogi trudnej i pełnej zagrożeń – do grona krajów wspólnoty, gdzie czeka nagroda w postaci pełnej demokracji i poprawy poziomu życia.

Rzeczywistość jednak nie sprostала nadziejom: nawet po spełnieniu wszystkich warunków akcesji i przyjęciu do UE obietnice składane przez państwa „starej” Unii nie zostały dotrzymane. Wszystkie, poza

© Moyan Brenn, http://www.flickr.com/photos/aigle_dore/5951682187/



trzema krajami „starej” Europy, natychmiast wprowadziły silne ograniczenia dotyczące zatrudniania obywateli „nowej” Unii, łamiąc przy tym obietnicę równości obywateli państw tworzących Unię Europejską. Co gorsza, wciąż prowadzony jest monitoring emigrantów ze wschodnich Bałkanów, którzy są także obywatelami UE. Traktuje się ich często jako obywateli trzeciej kategorii. Przykładem może być niedawna akcja wydalenia z Francji, jako nielegalnych imigrantów, obywateli Rumunii (głównie Romów). W następstwie przyjęcia do Unii Europejskiej nie doszło do obiecanej poprawy sytuacji ekonomicznej gospodarstw domowych, trudno też powiedzieć, że w nowo przyjętych krajach rozwija się wzorowy model demokracji.

Unia Europejska była i wciąż pozostaje najsilniejszym graczem na postkomunistycznych Bałkanach zarówno w sferze politycznej, jak i gospodarczej. Jest to najbardziej zróżnicowany krajobraz polityczny w dzisiejszej Europie. Jak nigdzie indziej, misja cywilizacyjna prowadzona przez Unię Europejską widoczna jest tutaj na pierwszy rzut oka. Chociaż UE doprowadziła do pełnej integracji ze Słowenią, Bruksela „monitoruje” Rumunię i Bułgarię – kraje, które są najmocniej krytykowane i karane za opieszałość i niemożność



„szybkiego odrabiania strat” (Bułgaria straciła wiele milionów euro w ramach funduszy strukturalnych). Pięć lat po integracji z UE w kraje te bardzo mocno uderzył kryzys gospodarczy. Unia Europejska nie tylko nadzoruje państwa kandydujące – słowo „negocjacje” używane jest jako eufemizm na opisanie jednostronnego przepływu nakazów i żądań – ale wręcz zarządza dwoma quasi-protektoratami, Bośnią i Kosowem. Urzędnicy UE stosują rozmaite sposoby oddziaływania na politykę państw bałkańskich: dyscyplinowanie i karanie (Rumunia, Bułgaria), dwustronne negocjacje akcesyjne (Chorwacja, Czarnogóra), karanie i nagradzanie (Serbia, Albania), sterowanie (Bośnia), bezpośrednie rządzenie (Kosowo) i wreszcie ignorowanie (Macedonia). Dzisiaj można znaleźć jeden wspólny mianownik dla tych wszystkich sposobów oddziaływania – kryzys.

Nad Bałkanami rozciągają się depresja i zniechęcenie społeczne. Dotyczy to zwłaszcza tzw. Zachodnich Bałkanów, kolejnego geopolitycznego tworu będącego dziełem Brukseli, w skład którego wchodzi republiki tworzące byłą Jugosławię „bez Słowenii, a z Albanią”. Ta struktura jest bardzo złożona, tworząc regiony nie tylko mające za sobą komunistyczną

przeszość, ale także doświadczenia rozpadu państwowości i wojny domowej. Poza tym obszar Zachodnich Bałkanów jest w pełni otoczony krajami wchodzącymi w skład Unii Europejskiej, co czyni z niego swoiste „getto”. Pierwsze skrzypce grają tutaj Słowenia, Węgry oraz Grecja, a Rumunia i Bułgaria przygotowują się do nowych ról, póki co bezskutecznie. Stopniowe, lecz konsekwentne powiększanie strefy Schengen (w większym stopniu niż poszerzanie Unii Europejskiej) można odbierać jako kontynuację polityki prowadzonej w latach 90., której głównym celem było przeciwdziałanie rozszerzeniu się wojny w byłej Jugosławii na kraje ościennie. Z tego punktu widzenia – pomijając wyłączenie Słowenii, która mimo wszystko jest wciąż silnie związana z południowymi sąsiadami, i przyłączenie Albanii, również mającej silny wpływ w Kosowie – Jugosławia nie została wymazana z mapy Europy. Przekonanie o jedności istniejącej w regionie, pomimo konfliktów i wojen, doprowadziło Tima Judaha do stworzenia nowego określenia „Jugosfera”, które bardzo szybko zyskało dużą popularność. Tego typu pojęcia nie do końca wyjaśniają rzeczywistość, gdyż formowanie się tych sfer nie było napędzane siłami odśrodkowymi w poszczególnych krajach, lecz

wynikało raczej z istnienia granic, powodujących silną izolację regionu.

Unia Europejska traktuje Bałkany w sposób szczególny, podejmując zdecydowane i bezpośrednie interwencje, jeżeli uzna takie działania za uzasadnione. W szczególności Kosowo jest w zasadzie bezpośrednio zarządzane przez UE poprzez narzucenie porządku prawnego i systemu kontroli polityki prowadzonej w tym regionie. W misji tej uczestniczy pięć krajów europejskich, które do tej pory nie uznały odrębności państwowej Kosowa. Pokazuje to dobitnie niepowodzenie narzuconego przez Stany Zjednoczone i wspieranego w większości przez Unię Europejską planu zmierzającego do niepodległości Kosowa. Obecnie Kosowo jest terytorium jedynie częściowo uznanym przez inne kraje, w związku z tym nie może przystąpić do żadnej organizacji międzynarodowej. Poza Kosowem i Bośnią siły UE pod przywództwem Włoch przeprowadziły w 1997 r. interwencję w Albanii, żołnierze UE byli obecni w Macedonii, wreszcie wiele państw europejskich uczestniczyło w bombardowaniach ówczesnej Federalnej Republiki Jugosławii. Rola Unii Europejskiej w stosunku do Bałkanów nie polega zatem jedynie na testowaniu potencjalnych kandydatów chcących przystąpić do tego elitarnego klubu. UE jest niezwykle aktywnym graczem na scenie regionu, oddziałując na jego życie polityczne, gospodarcze i społeczne. Ten krótki przegląd europejskiej Bałkanologii prowadzi do odpowiedzi na pytanie, dlaczego w przypadku Bałkanów polityka stabilizacji i integracji zakończyła się niepowodzeniem.

Bałkański kryzys Imperium

Unia Europejska i Stany Zjednoczone maskują swą dominację nad regionem za pomocą retoryki „budowania państwowości”, „tworzenia potencjału” czy wspierania „lokalnego rozwoju”. Zachowanie takie doskonale opisuje wprowadzone przez Davida Chandlera pojęcie „zakulisowego imperium”, czyli neokolonializmu pod przykrywką górnolotnych frazesów o budowaniu państwowości. Przez jakiś czas przykładami takiej strategii były Kosowo i Bośnia, dzisiaj procesy te zachodzą w Iraku i Afganistanie, a także Libii, niedługo możemy mieć z nimi do czynienia w Syrii czy Iranie. W praktyce „lokalny rozwój” oznacza niewiele więcej niż implementację reform narzucanych przez instytucje zewnętrzne, przy przypisywaniu odpowiedzialności za ich wprowadzanie miejscowym elitom polityczno-gospodarczym. Imperium pozostaje w cieniu, nie rządzi krajem bezpośrednio – z powodu wysokiego kosztu i braku poparcia społecznego dla tego modelu dominacji, lecz poprzez marionetkowe reżimy, które odpowiadają za wprowadzanie (lub też nie) strategii członkostwa w Unii Europejskiej czy za tworzenie państwowości.

Problemy pojawiają się, gdy wybrane demokratycznie lokalne elity odmawiają współpracy w niektórych

obszarach, szczególnie w sądownictwie i policji, obawiając się utraty wpływu na sfery kluczowe dla utrzymania władzy. Problemy te nasilają się często z powodu niemożności podważenia mandatu wybranych demokratycznie liderów przez zewnętrzne ośrodki władzy, i to pomimo tego, że sam proces wyborczy jest podatny na wszelakie manipulacje ze strony lokalnych oligarchicznych elit zarówno przed, jak i po samych wyborach. Sytuacja taka wspiera politykę narzucania neoliberalnych reform, które muszą być realizowane przez przedstawicieli dokładnie tych samych „demokratycznie wybranych”, przeżartych korupcją elit, które jako jedyne osiągają korzyści z ich wprowadzania.

Turkes i Gokgoz wskazują, że podstawową strategią Komisji Europejskiej jest prowadzenie „neoliberalnej restrukturyzacji”, która w praktyce polega na zredukowaniu roli społeczeństwa demokratycznego (jednego ze sztandarowych celów UE) na rzecz modelu autokratycznego. Z tego punktu widzenia łączenie neoliberalnych przemian gospodarczych z promocją demokracji staje się często jedynie pustym sloganem. Te dwa podstawowe elementy strategii Unii Europejskiej w odniesieniu do zachodnich Bałkanów, co podkreślają Turkes i Gokgoz, *nie wynikają z siebie wzajemnie i wzajemnie się nie napędzają*. Wręcz, jak przekonują, *ostateczny efekt jest zupełnie odwrotny do założonego*. Wydaje się, że w następstwie konfliktów zbrojnych zrodziły się silne więzi pomiędzy biznesem, organizacjami przestępczymi, państwowym aparatem bezpieczeństwa i elitami politycznymi. Wszystko to skutecznie zmniejsza możliwość realizacji jednych z głównych celów UE, czyli stabilizacji i demokratyzacji państw w regionie.

Niestety sytuacji nie poprawia fakt, że neoliberalne reformy wprowadzane pod dyktando UE i międzynarodowych instytucji finansowych stwarzają dodatkowe możliwości korupcji i zaborczej, nastawionej na własne korzyści polityki lokalnych elit, czego Chorwacja jest doskonałym przykładem. Prywatyzacja dużych zakładów przemysłowych, bogactw naturalnych takich jak woda, środków masowego przekazu, infrastruktury telekomunikacyjnej czy sektora usług publicznych, w połączeniu z inwestycjami zagranicznych banków i złodziejskimi pożyczkami i kredytami stanowią pierwsze i najważniejsze elementy „możliwości” stwarzanych przez neoliberalną restrukturyzację niezbędną do wprowadzenia kraju w euro-sferę. Ivo Sanader, expremier rządu Chorwacji, który był wychwalany przez władze Unii Europejskiej, a obecnie odbywa karę pozbawienia wolności w związku z oskarżeniem o korupcję, jest jednym z wielu przykładów uwłaszczania się elit w wyniku procesów restrukturyzacji.

Zima chorwackiego niepokoju

„Zagrzeb = Maghreb”. To hasło wydawało się zbyt daleko posuniętym porównaniem stosowanym przez lewicowe media, jednak, jak się okazało, w niedługim czasie po upadku reżimów w Tunezji i Egipcie „Facebookowe

© Much Adi About Nothing, <http://www.flickr.com/photos/muchadiaboutnothing/6856988039/>



protesty” rozpoczęły się także i w Chorwacji. Nie istnieją proste analogie pomiędzy buntem na Bałkanach a rewolucjami, które dokonały się w północnej Afryce. Doszukiwanie się ich byłoby zadaniem karkołomnym i ryzykownym. Tym niemniej sytuacja na Bałkanach w pewnym stopniu przypomina tę, z którą mieliśmy do czynienia w krajach Bliskiego Wschodu, chociaż znacznie więcej podobieństw można znaleźć w odniesieniu do Grecji. Zjawiska zachodzące w Chorwacji stanowią doskonały punkt wyjścia dla analizy przyczyn i skutków rozszerzających się nastrojów niezadowolenia i desperacji na rubieżach świata zachodniego.

Od 1990 r. Chorwacja była sceną wielu transformacji, obejmujących brutalną wojnę domową, rządy nacjonalistów, a także „eurokompatybilną” politykę prowadzoną przez elity, które doszły do władzy po Tudźmanie i które bardzo opieszale zabierają się za uporządkowanie państwa po dekadzie chaosu. Polityka ta doprowadziła Chorwację do bram Unii Europejskiej. Jak prezentuje się państwo chorwackie, stojąc przed drzwiami UE? Dług zagraniczny, który w momencie odziedziczenia go po byłej Jugosławii opiewał na 3 miliardy dolarów, wynosi obecnie ok. 60 miliardów dolarów, co odpowiada rocznemu produktowi krajowemu brutto (który w 2009 r. zmniejszył się o 5,6 proc., a w 2010 r. o kolejne 1,5 proc.). Kiedyś jedna z najbardziej rozwiniętych i dobrze prosperujących republik byłej Jugosławii, dzisiaj praktycznie nie

ma żadnego przemysłu. Drapieżna prywatyzacja z lat 90. i wojna domowa, po której nastąpił okres permanentnych neoliberalnych reform gospodarczych, doprowadziły do ogromnego rozwarstwienia społecznego, którego wynikiem jest 19-procentowe bezrobocie.

W kwietniu 2010 r. rząd Chorwacji przyjął i rozpoczął realizację „Programu Ożywienia Gospodarczego”, który był przedłużeniem surowych neoliberalnych reform. Obniżył zatrudnienie w sektorze publicznym o 5 proc., zmniejszając jednocześnie nakłady na niego o 10 proc. Program ten zakładał również prywatyzację przedsiębiorstw państwowych sektora energetycznego, przemysłu drzewnego i wodnego, a także kolejnictwa. Już wcześniej sprywatyzowano dochodowe firmy państwowe, takie jak Croatian Telecom, znaną firmę farmaceutyczną Pliva czy przedsiębiorstwo naftowe Ina. Słynne wybrzeża Chorwacji, będące rajem dla turystów, kryją tajemnicę o unicestwieniu chorwackiego przemysłu stoczniowego, jednego z najlepiej rozwiniętych w Europie, posiadającego ok. 1,5 proc. rynku światowego. Przemysł stoczniowy w tym kraju zatrudnia 12 tysięcy pracowników, a dodatkowe 35 tysięcy w firmach okołosektorowych. Chorwacja jest obecnie poddawana silnym naciskom ze strony Unii Europejskiej, by obcięła dotacje dla stoczni. Dostosowanie się do tych żądań z pewnością doprowadzi do znaczącej redukcji mocy produkcyjnych, jeśli nie do likwidacji jednej z najlepszych gałęzi gospodarki narodowej.

Widoczne są tu wszystkie wewnętrzne sprzeczności występujące w modelu neoliberalnym: od szoku finansowego, rozpasanej konsumpcji, dominacji wielkich koncernów medialnych, przez politykę nakierowaną na dobrobyt elit, deficyt rzeczywistej demokracji, po komercjalizację sektora publicznego. Łączy się to z wieloma problemami politycznymi, społecznymi i gospodarczymi, wynikającymi z minionego ustroju, rozpadu federacji i wyniszczającej wojny domowej, co nadaje regionowi peryferyjny i podrzędny charakter wobec Unii Europejskiej. Chorwacja jest w ogromnym stopniu zależna od sił zewnętrznych w sprawach dotyczących polityki finansowej (zachodnie banki posiadają 90 proc. udziałów w sektorze finansowym), gospodarczej (zagraniczny kapitał dominuje jako właściciel firm i przedsiębiorstw) czy wojskowej (Chorwacja przystąpiła do NATO w 2008 r.). Neoliberalna hegemonia w połączeniu z konserwatywnym nacjonalizmem doprowadziły do powstania w Chorwacji osobliwego sojuszu struktur państwowych, wielkiego biznesu i mafii. Do niedawna istnienie tego sojuszu nie budziło sprzeciwu w społeczeństwie, ale z nadejściem zimy okrzyki niezadowolenia i wściekłości, które wybuchły w Libii i Egipcie, znalazły zdeterminowanych naśladowców również na drugim brzegu Morza Śródziemnego. Ulice miast stały się areną burzliwych protestów.

Wiosna nowej lewicy?

Wszystko rozpoczęło się jako „ruch facebookowy”, stworzony przez młodych, politycznie nieokreślonych ludzi, niezadowolonych z polityki prowadzonej przez rząd. Punktem wyjścia tych wydarzeń był prawdopodobnie protest, do którego doszło 26 lutego 2011 r. w Zagrzebiu, gdzie na centralnym placu miasta członkowie grup prawicowych oraz weterani wojenni zgromadzili się w proteście przeciwko ekstradycji jednego z byłych żołnierzy chorwackich do Serbii. Manifestacja zakończyła się brutalną bitwą między policją a tłumem złożonym głównie z kibiców piłkarskich.

Jednak już w dwa dni po tych wydarzeniach bunt przybrał zupełnie inny charakter. „Protesty facebookowe” zaczynały coraz wyraźniej artykułować przyczyny niezadowolenia społecznego, związanego z beznadziejną sytuacją socjalną, brakiem zaufania do instytucji państwa i systemu politycznego, prześlągniętych korupcją i pogłębiających nierówności społeczne. Dużym zaskoczeniem był fakt, że w protestach tych uczestniczyli przedstawiciele wielu odcieni i ugrupowań politycznych. Co więcej, z biegiem czasu coraz częściej pojawiały się transparenty wymierzone w Unię Europejską i kapitalizm jako taki, a także podważające partyjny system polityczny, idące krok dalej i wzywające do wprowadzenia demokracji bezpośredniej.

Korzenie tego nieoczekiwanego pojawienia się nowej, zorganizowanej i oryginalnej lewicy, która w aktywny sposób bierze udział, a często także nadaje

©© nicubunu.photo, <http://www.flickr.com/photos/nicubunuphotos/7499455460/>



Wyrazem rewolucji jest to, co ludzie wykluczeni przez system mogą zrobić: maszerować ulicami miast i wskazywać fundamentalne wady systemu oraz elit rządzących, cementowanych przez ponad dwie dekady, jednak wciąż podatnych na zniszczenie w obliczu wewnętrznych sprzeczności reżimu, takich jak rosnące zubożenie.

kształt i kierunek trwającym obecnie w Chorwacji protestom, sięgają roku 2009. Wówczas to niezależne ruchy studenckie bardzo silnie sprzeciwiły się prywatyzacji i komercjalizacji szkolnictwa wyższego. Ich sprzeciw wymierzony w neoliberalne reformy systemu edukacji był prawdopodobnie pierwszym znaczącym buntem politycznym nie tylko wobec rządu, ale także całego systemu polityczno-społecznego. Protesty te trwały przez 35 dni wiosną i 14 dni jesienią 2009 r. W ich trakcie ponad 20 chorwackich uniwersytetów było okupowanych przez stowarzyszenia studenckie, które faktycznie nimi zarządzały. Na pierwszy rzut oka wydarzenia te nie były niczym nowym, jednak sama forma protestu oraz sposób jego prowadzenia zasługują na uznanie, nie tylko w kontekście podobnych zjawisk na Bałkanach czy w krajach Europy Wschodniej.

Protestujący powołali do życia zgromadzenie - nazywane *plenium* - w którym mogli uczestniczyć nie tylko studenci, ale wszyscy obywatele. Przedmiotem plenum nie była jedynie debata publiczna na społecznie istotne tematy, takie jak system edukacji, ale także dyskusja dotycząca dalszych form prowadzenia rebelii. Największe plenum, na Wydziale Nauk Humanistycznych i Społecznych w Zagrzebiu, gromadziło każdego wieczora ok. 1000 osób, które dyskutowały o dalszej strategii akcji protestacyjnej. Wydarzenia te przyczyniły się do powstania ruchu na rzecz demokracji bezpośredniej jako antidotum (a może prawdziwej alternatywy) dla demokracji przedstawicielskiej i partiokracji. Ta nowa chorwacka lewica, której idee i postulaty bardzo szybko rozprzestrzeniły się w krajach byłej Jugosławii, nie akceptuje ograniczenia demokracji bezpośredniej jedynie do instytucji referendum - jej celem jest organizacja obywateli od poziomu lokalnych społeczności aż do ogólnonarodowego.

Dowodami dążenia do urzeczywistnienia tych idei były wydarzenia, do których doszło po studenckich okupacjach uniwersytetów. W latach 2009-2011 Chorwacja stała się areną potężnego ruchu społecznego, nazwanego „Prawo do Miasta”, którego celem było zachowanie dotychczasowego charakteru śródmieścia Zagrzebia, wówczas sprzedawanego przez władze miasta wielkim inwestorom. Protesty te zbiegły się w czasie z falą strajków w zakładach przemysłów włókienniczego, stoczniowego i rolnego. Niektóre z tych protestów wykorzystały instytucję plenum, wprowadzoną w trakcie strajku studenckiego, czy też analogiczną strukturę pozwalającą w prawdziwie demokratyczny sposób podejmować kluczowe decyzje. Wszystko to było ogromnym zaskoczeniem dla elit politycznych oraz mediów.

To nie jest kolorowa rewolucja!

Chociaż nowa lewica odegrała kluczową rolę w zdefiniowaniu wymowy i głównych postulatów protestów, nie przekształciły się one w jednoznacznie lewicowe demonstracje, pozostając oddolnymi inicjatywami

obywatelskimi. Od lutego do kwietnia 2011 r. każdego wieczora około 10 tys. osób zbierało się na głównym placu Zagrzebia. Kilkutysięczne zgromadzenia miały też miejsce w innych chorwackich miastach. Poza silną retoryką antykapitalistyczną, nieznaną do tej pory nie tylko w Chorwacji, ale także w innych bałkańskich państwach, jednym z głównych wyznaczników było odrzucenie koncepcji lidera/przywódcy. Dało to oddolnemu ruchowi możliwość decydowania o formie i celach protestów.

„Indiańska rewolucja” ograniczała się pierwotnie do zgromadzeń na dużych miejskich placach Zagrzebia, ale szybko przybrała formę wielotysięcznych demonstracji i przemarszów ulicami miast. Stanowiła przykład przekształcenia protestów skierowanych przez władzę i policję do ściśle wyznaczonych miejsc w spontaniczny ruch obywatelski, który wypracował swoje metody i rozlał się na nowe obszary, a w imię słuszności głoszonych postulatów kwestionował zasadność i legalność granic ustanowionych przez aparat władzy.

Nie były to już klasyczne, statyczne demonstracje i - w przeciwieństwie do słynnych marszów belgradzkich z lat 1996-1997 - nie zostały wymierzone jedynie w rząd czy przywódców partii rządzącej. Przyjęły one silne zabarwienie antysystemowe, wzmocnione częstymi „wizytami” protestujących obywateli, składanymi w kluczowych ośrodkach politycznego, społecznego i gospodarczego porządku panującego w Chorwacji (siedziby partii politycznych, budynki rządowe, ale także siedziby związków zawodowych, funduszy prywatyzacyjnych i środków masowego przekazu). Protestujący palili flagi rządzącej krajem konserwatywnej Chorwackiej Unii Demokratycznej, opozycyjnej Partii Socjaldemokratycznej (oskarżanej o brak sprzeciwu wobec neoliberalnych reform), a także Unii Europejskiej (odbieranej jako współodpowiedzialna za politykę krajowych elit). „Odwiedzili” także rezydencje polityków rządzących krajem, wskazując wyraźnie, że ich bogactwo nie było niczym innym, jak tylko zalegalizowaną grabieżą.

Właśnie na tym polega unikalny charakter tych protestów. Nie są one jeszcze jedną z „kolorowych rewolucji”, które wywoływały i nadal wywołują niekłamany entuzjazm zachodnich mediów i ośrodków opinio-twórczych, niewykazujących jednak zainteresowania tym, że w wielu przypadkach „fala demokratycznych przemian” prowadzi jedynie do wymiany jednego autokraty na innego, który okazuje się bardziej chętny do współpracy z Zachodem. Te sponsorowane przez Stany Zjednoczone „kolorowe rewolucje” nigdy nie kwestionowały systemów politycznego i gospodarczego jako takich. Odpowiadały one jedynie na szczere żądania społeczne dotyczące usunięcia autorytarnych i skorumpowanych elit, które uformowały się w latach 90. ubiegłego wieku. Przykład chorwacki wskazuje jednoznacznie, że po raz pierwszy protesty nie są

wystąpieniem przeciwko rządowi per se, lecz stanowi efekt prawdziwego buntu przeciwko panującemu reżimowi. Nie tylko państwo samo w sobie, ale cały aparat, w którym umocowana jest dzisiejsza oligarchia, są poddane miazdzącej krytyce ze strony może nieco chaotycznie zorganizowanych obywateli.

Taki rodzaj rewolucji nie potrzebuje żadnego „koloru”, co istotnie zmniejsza szanse na uzyskanie pomocy z zewnątrz czy zainteresowanie międzynarodowych środków masowego przekazu. Wyrazem rewolucji jest to, co ludzie wykluczeni przez system mogą zrobić: maszerować ulicami miast i wskazywać fundamentalne wady systemu oraz elit rządzących, cementowanych przez ponad dwie dekady, jednak wciąż podatnych na zniszczenie w obliczu wewnętrznych sprzeczności reżimu, takich jak rosnące zubożenie. Narodziny i przebieg chorwackich protestów zmuszają nas także do ponownej ewaluacji kategorii używanych do opisu i wyjaśnienia społecznej, politycznej i gospodarczej sytuacji Bałkanów, a także wielu innych krajów postkomunistycznej Europy Wschodniej.

Bałkański nowy świt?

Powyższa analiza pokazuje, że transformacja – ideologiczny konstrukt dominacji wynikającej z dążenia do integracji państw dawnego Bloku Wschodniego z Europą Zachodnią – kryje w sobie zakrojony na szeroką skalę proces neokolonizacji, czyli podporządkowania całego regionu jednemu, narzuconemu z góry porządkowi polityczno-gospodarczemu. W tym modelu „słabe państwo” lub „upadłe państwo” nie stanowią anomalii związanej z transformacją, ale – co próbuje się skrzętnie ukryć – są jej głównym efektem.

Znany wszystkim i powszechny problem korupcji stanowi nie lada problem dla obserwatorów i badaczy zmian zachodzących w krajach transformacji ustrojowej. Wielu z nich – przyjmując bezkrytyczną ocenę liberalnego systemu gospodarczego – próbuje uzasadnić korupcję jako pochodną historii i kultury „Wschodu”. Rzeczywistość jest jednak inna. Korupcja, obejmująca wszystkie szczeble władzy, jest wynikiem zamętu, jaki nastąpił po upadku komunizmu w 1989 r., poza tym Unia Europejska sama nie jest wolna od korupcji. Aby zrozumieć zjawisko „niekończącej się transformacji” w byłych krajach realnego socjalizmu, a zwłaszcza obecną polityczną i społeczną sytuację na Bałkanach, konieczne jest wyjście poza uproszczony model upadku i słabości państwa jako takiego. Należy wprowadzić nowy koncept reżimu jako swoistego konglomeratu elit politycznych, powiązanego z nimi biznesu i partnerów z Europy Zachodniej, korporacji medialnych i organizacji pozarządowych, wspólnie popierających „święte przymierze” demokracji parlamentarnej, neoliberalnej gospodarki, przestępczości zorganizowanej (często związanej silnie z elitami politycznymi i gospodarczymi), drapieżnego międzynarodowego sektora finansowego, skorumpowanego

sądownictwa i biurokratycznych związków zawodowych. Cały ten aparat ideologiczny pozwala reżimowi wprowadzać w życie i cementować zdobycze wielkiej neoliberalnej transformacji.

Można z łatwością znaleźć wspólny mianownik dla dzisiejszej sytuacji na Bałkanach i Arabskiej Wiosny: wszystkie te protesty pomimo wielu znaczących różnic mają charakter silnie antyreżimowy. **Buntowanie się przeciwko reżimom postkomunistycznym jest jednak trudniejsze, gdyż te zwykle nie mają jednej, dobrze znanej twarzy: nie ma tutaj dyktatora, rodziny sprawującej rządu czy monarchii. Brak jest także jawnych aparatów represji i cenzury. Ale wściekłość wobec systemu jest dokładnie taka sama.**

Logiczną konsekwencją tych rozważań jest pytanie, czy fala protestów przetaczająca się przez Bałkany oznacza nowy początek w polityce krajów Europy Wschodniej. Nie trzeba być ekspertem z dziedziny historii Bałkanów, by realnie rozważać możliwość odnowienia silnych tendencji nacjonalistycznych. Jednak z drugiej strony potępienie tego nowego ruchu społecznego jedynie dlatego, że jest on tworzony przez wiele rozmaitych ugrupowań i stowarzyszeń, nie tylko oznacza porzucenie idei „woli społeczeństwa”, ale także przywiązanie do mrzonki o dobrze zdefiniowanych, dojrzałych rewolucjach. Przykład krajów arabskich wskazuje, że sytuacja może pozostać otwarta nawet po zadaniu przez społeczeństwo silnego, choć nie ostatecznego ciosu reżimowi. Przykład Chorwacji wskazuje natomiast, jak protesty zainicjowane przez organizacje prawicowe mogą się przeistoczyć w ruch, w którym siłą wiodącą staną się stworzone na nowo, z potrzeby chwili, inicjatywy postępowe. W ten właśnie sposób do polityki wchodzi nowa generacja, wykorzystując akcję bezpośrednią i ulicę, a nie kanały polityczne oparte na wyborach i polityce partyjnej.

Nowa lewica, którą daje się dostrzec w tym ruchu społecznym, odcina się stanowczo zarówno od państwa socjalistycznego znanego z przeszłości, jak i od tradycji partii socjaldemokratycznej. **Wydarzenia dokonujące się czy to na Bliskim Wschodzie, czy w Chorwacji mogą być wybuchem autentycznego, pierwotnego radykalizmu. Obywatele Zachodu, zbyt wygodni i zanurzeni w strukturach liberalnej „opresyjnej tolerancji”, obserwujący te zdarzenia z nieskrywanym zdziwieniem, mogą się wiele nauczyć o metodach i formach społecznego sprzeciwu w XXI wieku.**

SREĆKO HORVAT, IGOR ŠTIKS

Tłum. Sebastian Maćkowski

Artykuł pierwotnie ukazał się w periodyku „Monthly Review” w numerze z marca 2012 r. Przedruk za zgodą autorów. Poczyniono drobne skróty i opuszczono przypisy.

Ucząc się na polskich błędach

ŁUKASZ MAŚLANKA

© Marco Fieber, <http://www.flickr.com/photos/marcofieber/5004831487/>

Kryzys gospodarczy dość mocno uderzył w białoruską gospodarkę, co przełożyło się na stabilizację reżimu Aleksandra Łukaszenki. Stabilność ta oparta była zresztą na dość kruchych podstawach, takie jak dostawa tanich surowców energetycznych z Rosji, ograniczona ilość inwestycji finansowych (głównie chińskich) oraz rachityczna wymiana handlowa z takimi państwami jak Wenezuela czy Iran. Handel ze światem zachodnim jest utrudniony ze względu na izolację polityczną oraz dość znaczne zapóźnienie białoruskiego przemysłu. Zacołanie to wynika z braku odpowiedniego zaplecza badawczego i niewystarczających inwestycji w innowacyjność.

Władze Republiki Białoruś starały się utrzymać wysoki stopień kontroli nad sferą produkcyjną. Udział sektora państwowego szacuje się na ok. 80%. Przemysł białoruski wytwarza głównie środki transportu, maszyny budowlane, artykuły petrochemiczne, produkty drzewne, spożywcze, materiały papierniczne. Ważnym rezerwuarem są rozległe obszary lasów państwowych (38% powierzchni kraju) oraz pól uprawnych (44%). Prowadzona jest interwencyjnistyczna polityka kredytowa, możliwa dzięki kontroli sprawowanej przez państwo nad częścią sektora bankowego (dzielenie jednak z kapitałem rosyjskim oraz - w małym stopniu - austriackim).

Ograniczone możliwości produkcji przemysłowej i niewielki popyt wewnętrzny składają się na główne

przyczyny niskiego poziomu życia obywateli Białorusi. Oficjalne wskaźniki bezrobocia plasują się na dość niskim poziomie, lecz organizacje obrony praw człowieka wskazują na ogromne bezrobocie ukryte, wynikające z przerostów zatrudnienia (głównie w rolnictwie). W 2009 r. około 27% obywateli żyło poniżej progu ubóstwa, przeciętna pensja nie przekracza natomiast 500 USD.

Uderzenie kryzysowe na Białorusi odbywa się w sposób dość podobny do tego, jaki zaobserwować można w krajach wysoko rozwiniętych, to znaczy poprzez gwałtowny wzrost kosztów obsługi zadłużenia zagranicznego. O ile jednak Zachód zadłuża się głównie poprzez emisję obligacji na giełdzie, to Białoruś uzależniona była od kredytów pochodzących z Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Euroazjatyckiej Wspólnoty Gospodarczej, Chin, Rosji i Wenezueli. Szacuje się, że w bieżącym roku obsługa długu będzie kosztowała dwa razy więcej niż w 2011 r., a więc wyniesie niewiele mniej, niż wydaje się w tym kraju na ochronę zdrowia. W liczbach bezwzględnych białoruskie zadłużenie może nam się wydawać niewielkie (ok. 35 mld USD), lecz dla tak ubogiego państwa są to sumy niebagatelne, zwłaszcza że ponad połowa to pożyczki krótkoterminowe.

Reżim białoruski zareagował na kryzys w sposób znany Polakom z przełomu lat 70. i 80. XX wieku. Ogłoszono dość drastyczne podwyżki cen (np. transportu

publicznego), podwyższono część podatków (głównie akcyzę) oraz dokonano w samym tylko roku 2011 dwukrotnej dewaluacji rubla. Jednocześnie zwiększono świadczenia socjalne, jednak w sposób zdecydowanie nieadekwatny w stosunku do galopującej inflacji. Ministerstwo Gospodarki przewidywało, że jej poziom sięgnie w bieżącym roku 100%. W połowie roku 2011 jeden dolar kosztował 5 tys. rubli białoruskich, zaś według kursu czarnorynkowego 8 tys. W tej chwili kurs oficjalny znacznie już przekroczył ceny realne z ubiegłego roku. W celu ratowania swego wizerunku Aleksander Łukaszenka zaczął przypuszczać werbalne ataki na własny rząd, ostrzegając przed tzw. terapią szokową, której Białorusini już zakosztowali na początku lat 90. Być może skłoniły go do tego strajki ekonomiczne, które wcześniej były w tym kraju zjawiskiem niespotykanym – w październiku 2011 r. protestowała załoga przedsiębiorstwa oczyszczania miasta „Żyło” w Borysowie.

Wiele wskazuje, że władze białoruskie przygotowują się na możliwość upadku obecnego systemu gospodarczego i zamierzają sprawić, aby jego zmiana nie zakończyła się jednocześnie wymianą elit rządzących



©©© Presidencia de la República del Ecuador,
<http://www.flickr.com/photos/presidenciaecuador/7460950282/>

dzających oraz grup uprzywilejowanych. Posługując się publicystycznym skrótem myślowym, można zaryzykować stwierdzenie, że chodzi tutaj o powtórzenie scenariusza doskonale znanego z naszych własnych doświadczeń, czyli uwłaszczenia nomenklatury oraz przekształcenia aparatu państwa w kapitalistów.

Podpisana przez Łukaszenkę w grudniu 2010 r. tzw. Dyrektywa o rozwoju przedsiębiorczości przewiduje m.in. zniesienie górnej granicy wynagrodzeń, a także możliwość wykupu akcji przedsiębiorstw państwowych. „Dziennik Gazeta Prawna” z 29 stycznia 2011 r. przedrukował wypowiedź Andreja Lachowicza, eksperta Centrum Edukacji Politycznej w Mińsku, który opisywał mechanizm przechodzenia zaufanych ludzi

władzy (oraz ich rodzin) do struktur gospodarczych oraz przejmowania nad nimi kontroli. Zdarzało się, że za pośrednictwem fikcyjnych spółek zakupów dokonywali dotychczasowi dyrektorzy z państwowego nadania. Sprzedaż majątku odbywała się na aukcjach lub – w przypadku wielkich przedsiębiorstw – na podstawie arbitralnej decyzji prezydenta. Przykładem może być dekret z 1 marca 2010 r. o sprzedaży 52% akcji mińskiej fabryki zegarków „Łucz” szwajcarskiej firmie Franck Muller. Dekretowa prywatyzacja jest zjawiskiem w oczywisty sposób patologicznym, gdyż można sobie wyobrazić, że firma Franck Muller została zobowiązana do odwdzięczenia się za ów przywilej odpowiednim zasileniem konta Łukaszenki, np. w Szwajcarii. Jednak nie należy mieć złudzeń, że gwałtowne protesty Międzynarodowego Funduszu Walutowego mają na celu wymuszenie poprawy standardów. Chodzi raczej o dopuszczenie do gry innych uczestników.

Tego typu proceder jest dodatkowo ułatwiany dość dużą skalą korupcji na Białorusi. Zyski z półlegalnych dochodów są odprowadzane za granicę, skąd powracają już jako inwestycje w pełni zgodne z prawem. Przypomina to nieco funkcjonowanie tzw. firm polonijnych, które począwszy od drugiej połowy lat 70. zakładane były na Zachodzie pod „opieką” PRL-owskich służb specjalnych. To właśnie zyski z tych spółek lub inne urzędowe koncesje stanowiły źródła fortun takich rodzimych „ludzi sukcesu” jak Jan Kulczyk, Zygmunt Solorz czy Mariusz Walter.

Tak jak to było w Polsce, również i na Białorusi proces uwłaszczenia nomenklatury przebiegał w szaty „ułatwiania”, „deregulowania” i „racjonalizowania” przestarzałej gospodarki. Z całą pewnością przygotowywany przez reżim projekt długofalowych zmian systemowych będzie zakładał poluzowanie gorsetu w dostępie do rynku, na czym – podobnie jak w Polsce – skorzystać może także wielu uczciwych przedsiębiorców. Jednak należy powątpiewać, że to chęć polepszenia losu zwykłego Białorusina jest celem władz. Chodzi raczej o odpowiednie zaopatrzenie ludzi stanowiących podporę obecnego reżimu, mających pozostać filarem jego kolejnych mutacji. Jest to zatem reforma o charakterze raczej politycznym niż gospodarczym, a odbywać ma się pod hasłem znanym z powieści Lampedusy: „Wiele musi się zmienić, żeby wszystko pozostało jak dawniej”.

Jednak utrzymanie wpływów przez dotychczasową ekipę to nie jedyne zagrożenie wynikające z takich machinacji. Trzeba pamiętać, że Białoruś nie jest krajem tkwiącym w próżni, lecz położonym w otoczeniu geopolitycznym prawie tak newralgicznym jak polskie. Swoje ogromne wpływy będzie chciała nadal wywierać tutaj Rosja, posługując się zarówno środkami nacisku politycznego i gospodarczego, jak i osobistego (czyli słynnymi „teczkami”). Coraz śmielsze są również zakusy kapitału zachodniego, który chciałby na Białoruś zapukać w poszukiwaniu tego, czego szuka



© El Bingle, http://www.flickr.com/photos/lewis_bingle/6167170520/

wszędzie indziej, czyli obszernego i mało wymagającego rynku zbytu, taniej siły roboczej, zasobów surowcowych oraz władzy lokalnej – może i niezbyt estetycznej, ale za to niezadającej zbyt wielu pytań np. w kwestiach opieki socjalnej czy praw pracowników. Kryzys gospodarczy, który każe najpierw ratować rodzime miejsca pracy, w chwili obecnej czyni te dążenia mniej intensywnymi, ale niewykluczone, że sytuacja ulegnie zmianie. Wszystko to sprawia, że poddana tak wyreżyserowanej „modernizacji” postsowiecka republika ma wszelkie szanse, aby pogłębić swój status postkolonialny i poddać obywateli bezwzględemu wyzyskowi. Brak chociażby namiastki demokracji oraz bezwzględne łamanie praw obywatelskich przez ludzi Łukaszenki przyczyniły się do jeszcze głębszej atomizacji społeczeństwa, a więc jego duchowego i godnościowego rozbrojenia.

Wbrew filozofii cynizmu głoszonej przez niektóre środowiska w Polsce nie leży w naszym interesie ani przeciągnięcie Łukaszenki na stronę zachodnią, ani zainstalowanie w sąsiednim kraju ustroju polityczno-gospodarczego na nasz obraz i podobieństwo. Białorusini są narodem o stosunkowo świeżym poczuciu własnej odrębności. Nie istnieją żadne negatywne doświadczenia, analogiczne do historycznych konfliktów z Ukraińcami i Litwinami, które miałyby nasze dwa narody od siebie separować lub utrudniać zgodne sąsiedztwo. Obowiązkiem polskich władz i obywateli jest dążenie do tego, aby wraz z reżimem Łukaszenki upadł paradygmat bezalternatywności modernizacji peryferyjnej, która na trwałe pogrąża

kraje naszego regionu w zależności od wielkiego kapitału oraz ościennych mocarstw.

Truizmem jest powtarzanie, że Polska i Unia Europejska nie mogą żałować pieniędzy na wsparcie niezależnych od władzy ośrodków politycznych i gospodarczych na Białorusi. Bezwarunkowej pomocy należy udzielać istniejącym już przedsięwzięciom, takim jak Telewizja Biełsat (która tylko dzięki silnemu protestowi wielu środowisk nie przypadła ostatnio w udziale telewizyjnemu aparaturowi z epoki późnego Jaruzelskiego) czy resztkom ugrupowań politycznych ocalałych po kolejnych falach represji powyborczych. Przez długie lata III RP nie była w stanie ukształtować własnej, konsekwentnej polityki wobec Białorusi, co było w dużej mierze skutkiem niedostatków naszego państwa – niedostatków o tym samym rodowodzie, co te istniejące po drugiej stronie Bugu. Utrzymywanie postkomunistycznej struktury urzędniczej w aparacie dyplomatycznym, wojskowym i policyjnym negatywnie odbijało się na możliwościach prowadzenia sprawnej gry z reżimem. Przykładem może być casus majora WSI, który utrzymywał zażyłe kontakty z białoruskim przedsiębiorcą, podejrzanym o współpracę z KGB. Fakt ów w żaden sposób nie przeszkodził w karierze zastępcy attaché wojskowego Ambasady RP w Mińsku (Raport z likwidacji WSI, s. 141).

Niechęć do obecnego ustroju państwa białoruskiego nie jest przestrzenią dla działań wyłącznie ponadpolitycznych. Sądzę, że ruchy lewicowe (czy szerzej – antyliberalne) powinny już teraz zacząć się zastanawiać, w jaki sposób uchronić Białorusinów przed tymi



wszystkimi zjawiskami, które spotkały nas i inne narody Europy Środkowo-Wschodniej po roku 1989: atrofią państwa, masową i często przestępczą prywatyzacją, demontażem systemu socjalnego, ustrojem nakierowanym na wzrost nierówności społecznych oraz rządami układu oligarchiczno-bezpieczniackiego.

Potrzeba taka jest tym bardziej paląca, że zarysowuje się pewne zewnętrzne lobby na rzecz „polskiej” wersji transformacji ustrojowej, którego oddziaływanie ma być nakierowane przede wszystkim na białoruskie środowiska opozycyjne. Oto w połowie kwietnia 2012 r. nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych zorganizowało konferencję pt „Prywatyzacja i prywatna przedsiębiorczość na Białorusi. Możliwości międzynarodowego wsparcia”. Współorganizatorami byli Giełda Papierów Wartościowych, założona przez MSZ Fundacja Solidarności Międzynarodowej (w jej Radzie zasiadają m.in. Marek Magierowski, Andrzej Halicki, Jacek Protasiewicz, Henryka Krzywonos, ks. Kazimierz Sowa, Marek Borowski) oraz Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych (CASE), działaniom którego patronuje Ewa Balcerowicz. Zaproszeni zostali zarówno przedstawiciele reżimu, jak i organizacji niezależnych.

O ile ci pierwsi nie dopisali, to pojawili się reprezentanci opozycji, stając się łatwym celem łukaszenkowskiej propagandy. Wśród honorowych gości narady nie mogło zabraknąć Leszka Balcerowicza, który podzielił się z zebranymi swoimi zwyczajowymi mądrościami: *macie u siebie socjalizm, a socjalizm jest z gruntu zły oraz własność państwowa zatruwa politykę*. Minister Radosław Sikorski dodał od siebie, że *nowoczesne państwo nie może działać jak kołchoz*, oraz zaoferował Białorusinom możliwość czerpania przykładu z polskich rozwiązań transformacyjnych. Na to wszystko zareagowała białoruska telewizja rządowa, która poinformowała widzów, że w Warszawie dzieli się białoruską własność.

Oczywista hipokryzja tego przekazu nie może jednak przesłaniać faktu, że z udziałem naszych władz szykuje się Białorusinom podobne rozwiązania, jakich mieli doświadczyć z łaski „liberalizującego się” reżimu. Fakt, że w tego typu proceder zaangażowane są również tamtejsze środowiska opozycyjne, musi budzić wielkie zaniepokojenie. Koncyliacyjna forma spotkania – zaproszenie zarówno tych przedstawicieli „średniego szczebla urzędniczego”, którzy mogliby wykazać się „otwartością”, jak i opozycji – w pełni potwierdza słowa Sikorskiego o dawaniu Białorusi „polskiego przykładu”. Jak widać, reżim w Mińsku nie jest w obecnej chwili zainteresowany podziałem łupów z zagranicą, toteż zareagował w sposób agresywny. Oznacza to, że proces uwłaszczania wewnętrznego wciąż jest w toku i że Białorusini nie mogą w najbliższym czasie spodziewać się znacznej liberalizacji, tak jak i Polacy nie doświadczyli jej w latach 1981-1987, choć wiadomo, że dokonało się wtedy mnóstwo procesów gospodarczych, takich jak np. udzielenie spółce ITI licencji na import sprzętu elektronicznego do PRL (1984). Warto przyglądać się, czy tego typu spotkania, jak wyżej wspomniana konferencja, nie będą organizowane również w następnych latach i czy przypadkiem nie spotkają się z cieplejszym oddźwiękiem ze strony kół reżimowych.

Czasowe zamrożenie „kierunku zachodniego” nie oznacza jednak całkowitej rezygnacji z wyprzedaży majątku narodowego zagranicznym koncernom. Zaprezentowany przez władze plan prywatyzacyjny na bieżący rok zakłada dochody rzędu 2,5 mld dolarów z prywatyzacji 134 firm. W planach jest m.in. sprzedaż spółki przetwórstwa ropy „Naftan” jednemu z przedsiębiorstw rosyjskich. Część analityków twierdzi jednak (Kłysiński, Konończuk, 19.06.2012), że Władimir Putin nie będzie obecnie naciskał na przejęcie białoruskiego przemysłu naftowego, gdyż jego głównym celem jest integracja obszaru postsowieckiego, której nie sprzyjałyby zbyt brutalne kroki. Również Łukaszenka nie jest zainteresowany podcinaniem gałęzi, na której siedzi, np. poprzez odsprzedaż rafinerii własnym oligarchom.

Stwarza to pewne nadzieje, że ta strategiczna gałąź gospodarki pozostanie – przynajmniej na razie – w rękach państwowych. Eksport wyrobów ropopochodnych to jeden z głównych czynników przyczyniających się do utrzymania dodatniego salda handlowego Republiki Białoruś. Trzeba jednak pamiętać, że ten zarobek jest w dużej mierze dotowany przez Rosję, która sprzedaje reżimowi paliwo po preferencyjnych cenach. Perspektywa wyprzedaży majątku narodowego firmom z Rosji jest największą troską części białoruskiej opozycji, o czym świadczy chociażby wypowiedź Władimira Niaklajeu, byłego kandydata na prezydenta, udzielona dziennikowi „Narodnaja Wola” na początku marca br. Słuszne docenienie aspektu geopolitycznego może jednak przysłaniać negatywne skutki ekspansji

kapitału zachodniego, czego Niaklajeu zdaje się nie dostrzegać, apelując o reakcję Unii Europejskiej.

Wydaje się, że podstawowym dobrem, jakie możemy obecnie przekazać Białorusinom, jest rzetelna ocena naszej transformacji ustrojowej, przeprowadzona z punktu widzenia niezależnej i patriotycznej lewicy. Sprawa jest niezwykle skomplikowana, gdyż do typowych ograniczeń w dostępie do informacji na Białorusi dochodzi jeszcze problem naszej rachityczności ekonomicznej i organizacyjnej. Rzeczą niezbędną będzie wykorzystanie zwykłych kontaktów międzyludzkich, energii wolontariuszy (zwłaszcza tłumaczy) oraz możliwości, jakie daje internet. Nieocenioną wartość miałoby zabranie głosu w tej sprawie przez osoby znane z uczciwej analizy procesów transformacyjnych (Andrzej Zybortowicz, Jadwiga Staniszkis, Zdzisław Krasnodębski, Ryszard Bugaj), nawet jeżeli części z nich nie kojarzymy z lewicą.

Oczywiście każde działanie powinno zostać poprzedzone konsultacjami z przedstawicielami tamtejszych środowisk demokratycznych, gdyż nie wolno nam zapominać ani na chwilę o tym, że Białoruś jest oddzielnym państwem i naród białoruski posiada pełne prawa odrębności i samodzielnego decydowania o własnym bycie. Należałoby przede wszystkim uczulić naszych sąsiadów na możliwość grania przez władze kartą emocjonalną. Nagłe ocieplenie wizerunku dyktatora, przedstawianie nowych społecznych „wzorów do naśladowania” (ludzi interesów bogacących się „ciężką pracą” i „pomysłowością”), wprowadzenie selekcji na opozycję „konstruktywną” oraz „destrukcyjną” i wszystkich innych inteligentnych oszustw, które z lubością stosowała na Polakach ekipa późnego Jaruzelskiego oraz – niestety – część opozycji demokratycznej. Nie życzyłbym Białorusinom zaistnienia „wariantu rumuńskiego” (zwłaszcza, że i on mógłby być zręczną przykrywką czegoś zupełnie odwrotnego), ale nie ulega wątpliwości, że brak konsekwentnego rozliczenia osób odpowiedzialnych za newralgiczne

punkty funkcjonowania reżimu zemści się okrutnie na całym narodzie.

Jakkolwiek na obecnym etapie Białorusini nie mają żadnego wpływu na decyzje władzy, to trzeba jednak wciąż przekonywać do wystrzegania się nadmiernego minimalizmu. Upadający reżim wykorzysta każdą słabość przeciwnika, aby wytworzyć „przetrwalniki” kadrowe i finansowe, które pozwolą mu w taki czy inny sposób zaistnieć w nowej rzeczywistości. Należy w miarę możliwości dążyć do zamykania wszystkich takich furtek i doprowadzić do pełnego odsunięcia Łukaszenkowców od władzy. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przewidzieć, że takie lub inne czynniki zewnętrzne będą chciały dopomóc obecnej ekipie w krytycznym momencie, co ułatwi stosowanie propagandy „mniejszego zła”. Warto też konsekwentnie podkreślać, że nieskrępowana gra rynkowa nie jest żadnym remedium na istniejące patologie, zaś w pewnych warunkach może się przyczynić do ich petryfikacji.

Z geopolitycznego punktu widzenia powinno nam zależeć na tym, aby Białoruś przyłączyła się do zachodniego krwioobiegu gospodarczego i politycznego. Jednak naszym (lewicowym, chrześcijańskim, humanistycznym, solidarystycznym, socjalistycznym – niepotrzebne skreślić) obowiązkiem jest ukazanie wschodnim sąsiadom zagrożeń i rań, jakich sami nie potrafiliśmy uniknąć w trakcie polskiej transformacji. Nie możemy pozwolić, aby upadek prząsnęty tyrana – zapewniającego jednak, przynajmniej do niedawna, podstawowe bezpieczeństwo socjalne białoruskim masom – stał się tryumfem międzynarodowego kapitału, kadr tego samego prząsnęty reżimu oraz polskich oligarchów, którzy uprzednio wzbogacili się na krzywdzie i niewiedzy Polaków. Kolejny (tym razem skuteczny – głęboko w to wierzę) wybuch wolności w Mińsku powinien być skonsumowany przez Białorusinów.

ŁUKASZ MAŚLANKA

**Pośrednicy pobierają
nawet do 50% ceny pisma!**

Czytasz „Nowego Obywatela” regularnie?
Chcesz nas wesprzeć finansowo?

Zamów prenumeratę!



Reklama dźwignią ładu?

BARTŁOMIEJ GRUBICH

W Polsce nie mamy na szczęście do czynienia z dyktaturą polityczną. W większości naszych miast możemy jednak zaobserwować tyranie innego rodzaju: dyktaturę reklam w przestrzeni miejskiej. Coraz częściej buntują się przeciwko temu obywatele i władze lokalne.

Mimo krótkotrwałego załamania związanego z kryzysem finansowym w 2008 r. rynek reklamy nazywanej *out of home* (dosłownie: „poza domem”) ma się bardzo dobrze. Według raportu Izby Gospodarczej Reklamy Zewnętrznej kwota uzyskana ze sprzedaży tego typu reklam w 2011 r. to prawie 600 mln zł, czyli w przybliżeniu tyle samo co rok wcześniej. **W końcu 2011 r. było w Polsce 92646 systemowych nośników reklamy zewnętrznej - 76% z nich znajduje się w 16 największych miastach i aglomeracjach.** Jednocześnie w ciągu czterech lat liczba nośników reklamy zmniejszyła się o ok. 12%. Z czego to wynika? *Firmy doszły do wniosku, że nie ma sensu tworzenie dodatkowych miejsc ekspozycyjnych, które nie są atrakcyjne, a są kosztowne* - wyjaśnia prezes Izby Gospodarczej Reklamy Zewnętrznej, Lech Kaczoń. Wiele z nich umieszcza reklamy na słupach, przystankach komunikacji miejskiej czy ścianach budynków. Nie wszystkie są uwzględniane w raportach takich jak ten przywołany powyżej, co oznacza, że faktyczna liczba reklam „outdoorowych” jest jeszcze wyższa niż ta podana w oficjalnie.

Nadużycia, jakich dopuszczają się reklamodawcy, są możliwe dzięki wadliwości obowiązujących w Polsce przepisów regulujących kształtowanie przestrzeni miejskiej i eksponowanie reklam. Choć

zapewnienie „ładu przestrzennego” jest wymienione na pierwszym miejscu zadań własnych gminy (art. 7.1 Ustawy o samorządzie gminnym), to zarówno w teorii, jak i w praktyce system prawny w Polsce nie zabezpiecza miast i ich mieszkańców przed inwazją reklam. Niedostatecznie przeciwdziała również nadużyciom w wykonaniu firm z branży reklamowej. - *Mamy do czynienia z niedoskonałymi przepisami czy raczej niemal z brakiem przepisów natury ogólnej, z próbami stanowienia przepisów narzędziami prawa miejscowego, a jednocześnie z ewidentnym brakiem egzekucji tych przepisów* - komentuje Grzegorz Buczek, wiceprezes Towarzystwa Urbanistów Polskich, wykładowca Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej.

Miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego, będące aktami prawa miejscowego dotyczącymi przestrzeni, mogłyby stanowić rozwiązanie problemu reklam zewnętrznych. Jednak rzadko kiedy obejmują choć połowę obszaru miejskiego i zazwyczaj ustalane są w wąskim gronie, często z niewystarczającym udziałem mieszkańców. Kształtowanie tego, co publiczne dokonuje się zwykle w drodze wewnętrznych ustaleń między sektorem prywatnym a urzędnikami i planistami. Ponadto, na co zwraca uwagę Elżbieta Dymna, do niedawna prezes stowarzyszenia Miasto



Moje a w Nim, zajmującego się działaniami na rzecz uporządkowania przestrzeni publicznej pod kątem reklamy zewnętrznej, plany miejscowe uchwalane są przede wszystkim dla nowych dzielnic i obszarów nowo urbanizowanych, nie zaś dla ukształtowanych centrów, gdzie w wielu miastach jest najwięcej reklam.

Lech Kaczoń wskazuje także na niespójność tych regulacji: *Plany są przygotowywane przez różne grupy osób, różne pracownie architektoniczne. Czasami są to ludzie bezpośrednio zatrudniani w samorządzie, czasami zleca się prace na zewnątrz. Ci, którzy przygotowują plany, nie mają pełnej wizji lub kierują się założeniami narzuconymi z góry. Uważa się, że najlepiej załatwić sprawę jak najprościej, więc albo w ogóle nie dotyka się spraw reklamy, albo wpisuje zakaz reklamy – bo niektórzy wychodzą z założenia, że każda reklama jest zła i zaśmieca miasto, co nie jest prawdą. Jeżeli tak traktuje się reklamę, to powstają luki w prawie, które są wykorzystywane przez reklamodawców. Umieszczają oni reklamy przede wszystkim na gruntach prywatnych, wobec których trudno cokolwiek wyegzekwować. Tworzy się bałagan estetyczny i decyzyjny.*

Uchwalanie miejscowych planów sprzyja nie tylko obywatelom, lecz także przedstawicielom branży reklamowej. Natłok i chaos reklamowy powodują, że

istniejące reklamy nie spełniają swojej funkcji, gdyż przekroczona zostaje granica maksymalnej ich ilości możliwej do przyswojenia przez konsumentów. Potwierdza to Elżbieta Dymna: ***Branża reklamowa poparła nasze postulaty zmierzające do ograniczenia liczby reklam zewnętrznych, ponieważ dla niej to też jest korzystne.*** Kiedyś do kampanii reklamowej wystarczyło zamówić 500 billboardów i była ona widoczna w mieście. Teraz, gdy kampania obejmuje ich 1500, to znika w chaosie innych reklam. Dlatego też Międzynarodowe Stowarzyszenie Reklamy IAA oraz Izba Gospodarcza Reklamy Zewnętrznej rozpoczęły w lipcu działania polegające na udostępnianiu danych o nielegalnych powierzchniach reklamowych, a także zamierzają włączyć zagadnienia zmian prawnych w tym zakresie do tematyki konferencji branżowych, którym patronują. Organizacje te tłumaczą, iż jest to konieczne ze względu na nagminne łamanie przez branżę reklamową obecnie obowiązujących przepisów. Warto dodać, że sama IGRZ już od kilku lat zabiega o poprawę funkcjonowania nośników reklamowych w przestrzeni publicznej, przede wszystkim zachęcając władze do tworzenia spójnych i całościowych koncepcji lokalizacji reklam zewnętrznych zamiast mnożenia kolejnych nakazów i zakazów.



© Lukas834, <http://www.flickr.com/photos/lukas834/3357338515/>

Ze względu na konkurencję większość firm reklamowych niestety wciąż traktuje przestrzeń miejską w kategoriach „Dzikiego Zachodu”, gdzie istniejące prawo można naginać, a jego luki i nieścisłości wykorzystywać do swoich celów. Sprzyjają temu rozproszenie i brak spójności unormowań w wielu aktach prawnych, które egzekwowane są przez różne instytucje publiczne, stąd też nikt nie bierze pełnej odpowiedzialności za ład przestrzenny. Na tle innych państw jest to sytuacja wyjątkowa. Przykładowo Paryż ograniczył wielkość nośników reklamowych (do 8 m² w strefie centralnej i 12 m² poza nią). Nawet w Stanach Zjednoczonych, stereotypowo uznawanych za kraj najbardziej „zalany” reklamami zewnętrznymi, istnieją miasta z restrykcyjnymi ograniczeniami stawiania przydrożnych billboardów.

Trudno jednak oczekiwać w Polsce poprawy sytuacji, gdy nawet instytucje publiczne dają zły przykład, jeśli chodzi o przestrzeń publiczną. *Odpowiedniej kultury brakuje podmiotom reklamowym, ale i podmiotom właścicielskim. Bardzo często mamy do czynienia z następującym paradoksem: na ekspansję reklam skarżą się wójtowie, burmistrzowie czy prezydenci miast, a jednocześnie podległe im jednostki organizacyjne, które władają fragmentami przestrzeni wszędzie tam, gdzie miasto ma majątek komunalny - budynki i nieruchomości gruntowe - podpisują umowy dopuszczające umieszczanie w tych przestrzeniach czy na tych budynkach reklam wielkogabarytowych. Tu nie trzeba przepisów, tu*

wystarczy wprowadzić wewnętrzną regulację - zauważa Grzegorz Buczek.

Przykładem wykorzystywania niejasności prawa są olbrzymie reklamy zasłaniające okna w wielorodzinnych budynkach mieszkalnych. Długo czas kwestia ta była marginalizowana, dziesiątki mieszkań odcięto od naturalnego światła, a nie dla wszystkich adekwatną rekompensatą tej sytuacji były pieniądze, które administrator przeznaczyć mógł np. na remonty. Jeszcze we wrześniu 2009 r., po wniesieniu sprawy przez mieszkankę stolicy, Sąd Apelacyjny w Warszawie uznał, iż billboard zawieszony na budynku nie jest naruszeniem dóbr prywatnych, miru domowego i że ograniczenie praw jednostki w imię dobra wspólnoty w tego typu sytuacjach jest zgodne z prawem. Jednak w tym samym roku z inicjatywy wojewody mazowieckiego, Jacka Kozłowskiego, po rosnącej liczbie skarg mieszkańców rząd wprowadził zakaz wieszania reklam zasłaniających okna w wielorodzinnych budynkach mieszkalnych. Firmy i właściciele budynków mieli półtora roku na wypełnienie umów do końca i dostosowanie się do nowego prawa. W przypadku, gdyby reklam nie zdjęto, interweniować mógł Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego, wystawiając mandat za nieprzestrzeganie prawa budowlanego. Mandat w wysokości maksimum 500 zł, co stanowi ułamek dochodów z tytułu reklamy. Wyższe kary - 10 tys. zł (dla zarządcy budynku) lub 50 tys. zł (dla spółdzielni mieszkaniowej) - mogą zostać nałożone,



gdy wyczerpane zostaną wszystkie środki administracyjne. Wiąże się z tym oczywiście ryzyko, że właściciele reklam będą odwoływali się do sądów i urzędów, a tym samym odwoływali podejmowanie jakichkolwiek decyzji – podczas gdy reklama będzie nadal wisiała. Już po miesiącu od wprowadzenia nowego przepisu Warszawski Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego prowadził w samej tylko stolicy 15 postępowań w celu usunięcia płacht zasłaniających okna i trudno było te przypadki uznać za efekt niewiedzy, a raczej za świadomą kalkulację zysków i strat z tytułu łamania prawa. Kampanie reklamowe rzadko kiedy zaplanowane są na czas dłuższy niż przeciętny czas postępowania sądowego. Dlatego też Jacek Kozłowski proponuje uproszczenie procedur egzekucyjnych, a także podwyższenie wysokości jednorazowej grzywny do 200 tysięcy złotych, a sumy grzywien do 1 miliona złotych.

Ponadto, choć nowe prawo w tej kwestii wydaje się być restrykcyjne, to jednak nie jest w zupełności szczelne. Ustawodawca zezwolił bowiem na wieszanie reklam na remontowanych elewacjach, a także budynkach o charakterze handlowym, usługowym i takich, w których mieszka tylko jedna rodzina. Stwarza to problematyczne sytuacje, gdy na rusztowaniu wisi reklama, a remont się przedłuża i trudno jednoznacznie stwierdzić, czy dzieje się tak wskutek faktycznych problemów, czy też z powodu chęci uzyskania zysku z reklamy.

Wątpliwość budzi także zawarty w ustawodawstwie dotyczącym zakazu przysłaniania okien reklamami

wyjątek wobec budynków zamieszkania zbiorowego. Szczelnie przysłonić okna można w przypadku akademików, internatów lub hoteli, z wyłączeniem sytuacji, gdy budynek objęty jest ochroną konserwatora zabytków.

Problemy z reklamą „za oknem” były bezpośrednim powodem działań rozpoczętych przez Antoniego Hryniewieckiego. – *Zaczęło się od reklamy wiszącej na moich oknach. Wisiała 5 lat, od 2007 r. Na głosowaniu wspólnoty mieszkaniowej postanowiono, że reklama załusnie. Oczywiście większość mieszkańców nie miała załusniętych okien, choć czerpali z tego korzyści. Wspólnota otrzymywała duże pieniądze, ok. 10 tys. zł miesięcznie, i nie musiano płacić na fundusz remontowy. Ja jednak mieszkalem za tą reklamą, co mnie strasznie wkurzało, nie mogłem się jej pozbyć, a ze wspólnotą mieszkaniową nie mogłem się dogadać. Na początku obecnego roku reklama została zdjęta, po miesiącu pojawiła się ponownie. Antoni Hryniewiecki, sfrustrowany jej powrotem, na Facebooku umieścił post na stronie reklamodawcy, Toyota Banku. – Napisałem, że to nie jest fajne, że się na to nie zgadzam, a poza tym reklama jest nielegalna, ponieważ istnieje rozporządzenie Ministra Infrastruktury zabraniające wieszania takich reklam na budynkach mieszkalnych. Jedynym wyjątkiem jest remont. Poza tym reklama wychodziła na teren parku, który jest zabytkiem, a więc wymagała dodatkowego zezwolenia, którego nie było. Firma przez pięć lat się odwoływała i wymieniała papierkami z urzędnikami – wspomina p. Hryniewiecki.*

Temat został podchwycyony przez „Gazetę Wyborczą” oraz zainteresował znajomych autora protestu, którzy podzielali oburzenie w sprawie reklamy. Założył on więc tematyczną stronę na Facebooku, a po artykule prasowym w „Gazecie Wyborczej” i zainteresowaniu w cyberprzestrzeni sporej liczby osób, a także po wiadomościach pisanych do Toyota Banku, reklama została zdjęta. Po tym sukcesie, choć jego własna sprawa została załatwiona pomyślnie, p. Antoni zaangażował się w walkę z reklamowym chaosem. Założył na Facebooku nową stronę „Co ja pacze? Korporacja, mam prawo do widoku za oknem!”, wokół której zebrała się spora liczba indywidualnych osób oraz grup i organizacji wspierających akcję. Dzieli się oni informacjami dotyczącymi nielegalnych czy nieestetycznych reklam, a także przedstawiają pomysły na poprawę sytuacji oraz dobre wzorce z różnych miejsc Polski. Przede wszystkim jednak zasypują reklamodawców skargami, gdy ci swoimi reklamami psują estetykę miasta lub szkodzą jego mieszkańcom.

Pojawił się też pomysł, żeby oprócz aktywności w internecie działać „na żywo”. Postanowiono założyć stowarzyszenie. – *Naszym celem będzie uświadomienie opinii publicznej, że nadmiar reklam to błąd oraz istotny problem, który dotyczy każdego z nas. Kiedy się o tym nie myśli, to nie zauważamy tych reklam. Naszym pierwszym celem jest pokazanie ludziom, jak może wyglądać miasto bez tylu reklam, natomiast kolejnym będzie przekonywanie urzędników i polityków do zmiany prawa na takie, które reguluje rynek reklamy zewnętrznej w sposób bardziej jasny, precyzyjny i skuteczny. Tak, aby dać urzędnikom skuteczne narzędzia do egzekwowania prawa. W tym momencie firmy mogą odwoływać się w nieskończoność, tak jak było w moim przypadku* – wyjaśnia p. Hryniewiecki.

Problemem są nie tylko wielkoformatowe reklamy zawieszane na fasadach budynków. Równie szkodliwe są niewielkie reklamy umieszczane gdzie się da. Celują w tych działaniach małe firmy usługowe oraz... politycy w czasie kampanii wyborczych. Często właśnie osoby aspirujące do rządzenia na poziomie samorządowym lub krajowym wykazują się zupełnym brakiem szacunku wobec przestrzeni, czego dowodem są plakaty wyborcze umieszczane dosłownie wszędzie. Powtarzanie się tego procederu wskazuje na bezkarność, dzięki której tego typu reklamowa partyzantka jest dla zleceniodawców opłacalna i bezkarna. Kara dotyczy najczęściej jedynie osobę naklejającą plakat – często bezrobotnego lub studenta.

Spora część reklamodawców pomysłowo balansuje na granicy prawa. Chodzi tu o pojazdy na kółkach – głównie samochody, czasem przyczepy lub rowery – oklejone reklamami lub z przymocowanymi tablicami reklamowymi, zaparkowane nieraz miesiącami w jednym miejscu. Pojazd taki, formalnie dopuszczony do ruchu drogowego, w praktyce jednak nie służy do transportu, lecz do reklamowania. Ze względu na

swoją mobilność i status prawny (nie jest obiektem budowlanym) może „atakować oczy” w miejscu, gdzie billboardy są z różnych względów zabronione lub kosztowne.

Problem ten nadal występuje, choć jest już rzadziej spotykany niż kilka lat temu. To efekt zmiany prawa z 2007 r., która przyczyniła się do tego, iż zajmowanie pasa ruchu przez lawetę wiąże się z koniecznością uregulowania opłaty. Dzięki temu Zarząd Dróg Miejskich w Poznaniu musiał w zeszłym roku wszcząć postępowanie w takich sprawach jedynie kilkakrotnie. Nadal jednak trudno właścicielowi auta udowodnić, iż spełnia ono funkcję reklamy, a nie środka transportu. Wymaga to ze strony straży miejskiej lub urzędników odrobiny sprytu, wytrwałości i „czepiania się” szczegółów. Na przykład gdy właściciel twierdzi, że ciągły postój auta jest spowodowany awarią, urzędnicy z Miejskiego Zarządu Dróg w Toruniu pytają o awaryjne oznakowanie, którego zazwyczaj brak.

Przede wszystkim jednak reklamy na lawetach, rowerach czy starych samochodach przeniosły się na tereny prywatne, na których, choć szpecą przestrzeń równie mocno jak przedtem, są nie do ruszenia. Chyba że dojdzie do takiej sytuacji jak w stolicy Wielkopolski, gdzie mieszkaniowiec zniszczył jeden z billboardów stojących na lawecie, pisząc na nim sprayem „Wara z Poznania”. – *Niszcząc billboard, chciałem wsadzić kij w mrowisko. Irytuje mnie skala zjawiska i beczelność firm, które specjalizują się w mocowaniu reklam do przyczep i stawianiu ich w niedozwolonych miejscach* – wypowiadał się bohater akcji na łamach „Gazety Wyborczej”. – *Zdaję sobie sprawę, że to akt wandalizmu, ale jeszcze większym jest wandalizm estetyczny, czyli robienie sobie dobrze kosztem miasta i ich mieszkańców* – twierdzi Damian Wojna, który, co ciekawe, nie ukrywa swojej tożsamości. Dodać również należy, iż akcja przyniosła pozytywny skutek. Hotel reklamujący się na zniszczonym billboardzie po pojawieniu się głosów aprobaty dla działania pana Damiana ze strony mieszkańców wycofał się z tej formy reklamy, równocześnie przepraszając za nią na swoim profilu na Facebooku.

Obywatelskie działania cieszą, jednak nie byłyby potrzebne w przypadku dokładnie skonstruowanego prawa i zdrowego rozsądku reklamodawców. Próby ograniczenia samowoli firm są konieczne. Podjęto je np. w Krakowie, gdzie uchwałą krakowskiej Rady Miasta wprowadzono Park Kulturowy w obrębie Plant. Ma to stworzyć ład w przestrzeni miejskiej, w najbardziej urokliwych i reprezentatywnych częściach dawnej stolicy Polski. Właściciele i zarządcy nieruchomości mieli sześć miesięcy, by wprowadzić odpowiednie zmiany. Szyldy znajdujące się na budynkach oceniać będą urzędnicy, dyskwalifikując te najbardziej agresywne i jaskrawe, niepasujące do otoczenia i estetyki miejskiej. Ponadto wielkoformatowe reklamy umieszczone na rusztowaniach na czas remontu elewacji będą mogły wisieć na budynku nie dłużej niż rok, a na dachach

budynków frontowych oraz w miejscach widocznych z poziomu przechodnia od strony ulicy zakazano ustawiania anten i masztów. Ubiegłej jesieni wyliczono, że na terenie Parku Kulturowego zainstalowanych jest ok. 1,2 tys. szyldów na elewacjach, 800 szyldów na wysięgnikach, prawie 600 różnych tablic i tabliczek, 250 gablot, 100 bannerów, a na chodniki wystawianych jest ok. 350 rozmaitych nośników reklamowych. Spora ich część powinna być zmieniona, część całkowicie usunięta. Oczywiście tego typu rozwiązania mogą budzić kontrowersje, jednak ze względu na natłok reklam wydają się koniecznym działaniem w celu zachowania pamięci o historii i tradycji tych miejsc. Na szczęście zdają sobie z tego sprawę przedsiębiorcy z terenu Parku Kulturowego, którzy – jak informuje Filip Szatanik, zastępca dyrektora Wydziału Informacji w Urzędzie Miasta Krakowa – coraz częściej składają wnioski o uzgodnienie wyglądu swoich szyldów i reklam.

Warto również podkreślić, że problemy z reklamą zewnętrzną nie ograniczają się do największych miast. Grzegorz Buczek zauważa, iż poza metropoliami ekspansja reklamy jest szczególnie agresywna w miejscowościach rekreacyjno-wypoczynkowych, jak choćby Zakopane czy miasteczka nadmorskie, a nawet w krajobrazie otwartym, szczególnie w okolicach głównych dróg. *Jest prawdą, że w małych miejscowościach reklam wielkogabarytowych znajdziemy mało albo prawie wcale, lecz mamy tam zwykle do czynienia z chaosem reklamy drobnej. Bardzo często niesłychanie prymitywnej, ręcznie malowanej, z tandetnymi szyldami, stojaczkami* – twierdzi Grzegorz Buczek. – *Pewną pociechą może być to, że w miejscach historycznych sporo do powiedzenia ma konserwator zabytków, a jego władza – jeżeli czyni z niej użytek – jest dosyć skuteczna.*

Sopot jest przykładem miasta, do którego w sezonie letnim przybywa wielu turystów. Staje się w ten sposób łakomym kąskiem dla reklamodawców. Jednak w przeciwieństwie do wielu innych nadmorskich miejscowości postanowiono tam, aby turyści mogli oglądać coś więcej niż wszechobecne reklamy. Władze miejskie zamierzają w specyficzny sposób ograniczyć liczbę reklam w najbardziej reprezentatywnych miejscach (m.in. popularnym Monciaku). Zaproponowano powrót do tradycyjnych form promocji, czyli ręcznie malowanych szyldów, liter przestrzennych oraz neonów. Miasto chce m.in. cofać zgodę na wystawianie ogródków, jeśli któryś z przedsiębiorców nie będzie stosował się do zakazu. Właściciele nośników reklamowych przy głównych ulicach Sopotu dostali już od konserwatora informację o wszczęciu postępowania w sprawie samowolnego montażu reklam.

Warto przyjrzeć się pozytywnemu przykładowi z Krosna. Również tam, jak w większości polskich miast, dominował chaos reklamowy. Postanowiono temu zaradzić, w pierwszej kolejności na terenie starówki. W tym celu władze Krosna wystąpiły do wojewódzkiego konserwatora zabytków oraz wojewody o przekazanie większych kompetencji w sprawie nadzoru nad witrynami, elewacjami, opiniowaniu projektów i uzgodnień remontowych w obszarze staromiejskim. – *Dopóki pełniłam funkcję pełnomocnika prezydenta ds. ochrony zabytków, mogłam jedynie doradzić, co trzeba zmienić, jakie działania wprowadzić, żeby poprawić estetykę miasta, ale dotyczyło to działań tylko w przestrzeni należącej do gminy Krosno. Całą resztą, wszystkimi obiektami wpisanymi do rejestru zabytków, zajmował się wojewódzki konserwator zabytków, ponieważ my jako urząd miasta nie mieliśmy*



takiego narzędzia prawnego. Mogliśmy jedynie mówić, co możemy zmienić, lecz nie zawsze odnosiło to pożądanego skutku – tłumaczy Marta Rymar, aktualnie miejski konserwator zabytków w Krośnie. Wyjaśnia także, iż brak odpowiednich działań nie był związany ze złą wolą wojewódzkiego konserwatora zabytków. Problemem była m.in. ograniczona liczba pracowników – mając pod nadzorem całe województwo, nie mogli skupić się na tym jednym konkretnym mieście. *My w tym momencie mamy pod nadzorem tylko nasze miasto. Mogę raz czy kilka razy w tygodniu przejść się po zespole staromiejskim, zobaczyć, gdzie powstała nowa reklama, i od razu interweniować. Konserwator wojewódzki nie miał takich możliwości, musiałby codziennie wysyłać do Krośna swoich pracowników* – tłumaczy p. Rymar.

Do porozumienia i przekazania odpowiednich kompetencji doszło w lutym 2012 r. – *W praktyce 90% reklam w Krośnie nie posiada zezwolenia wojewódzkiego konserwatora zabytków. W tym momencie możemy do właściciela wystosować nakaz zmiany reklamy lub jej zdjęcia, jeżeli faktycznie jest ona bardzo nieestetyczna. Takie nakazy stosujemy i wówczas w ciągu 30 dni reklama musi zostać zdjęta lub też uzgodniona z miejskim konserwatorem zabytków* – tłumaczy Marta Rymar. Podkreśla ona, że takie działania nie zawsze zyskują natychmiastowe zrozumienie właścicieli firm. Konieczne bywa ich przekonanie, przede wszystkim poprzez spotkania, dyskusje i edukowanie. Przed wprowadzaniem jakichkolwiek sankcji i nakazów zawsze jest czas na porozumienie się w tej sprawie i pomoc ze strony urzędu. – *Część osób już przekonałam, a inni od razu stawiali się do tego pomysłu pozytywnie, ponieważ sami wiedzą, że nie mają pomysłu na to, jak dobrać reklamę do najstarszej części zabudowy – czy można zasłonić gzyms, czy nie, jak udekorować witrynę itd.* – wyjaśnia Marta Rymar. Dlatego urzędnicy na początku rozmawiają, ustalają wzajemne oczekiwania wobec reklamy, a później oferują fachową pomoc plastyczną.

Reklama w przestrzeni publicznej kojarzy się przede wszystkim z tym, co widoczne. Problemem jest jednak również to, co słyszalne. Reklama dźwiękowa atakuje nas m.in. ze sklepów i restauracji. W Lublinie walkę z takim procederem podjął Józef Szopiński jr., dziennikarz i działacz społeczny. – *Od pewnego czasu w lokalu, który mieści się na lubelskim deptaku, zaczęła się pojawiać reklama dźwiękowa – właściciel restauracji wywiesił głośnik i emitował zapętloną reklamę, która zachęcała do tego, żeby wejść do środka. Parokrotnie przechodząc obok, wstępowałem do lokalu i prosiłem, żeby ściszyć uciążliwą dla przechodniów reklamę – opowiada p. Józef. Menedżer powiedział, że jest innego zdania i nie słyszał od nikogo uwag, jakoby ta reklama miała być uciążliwa. Wtedy wyszedłem i zarejestrowałem tę reklamę na nośnik, po czym wrzuciłem ją do sieci z apelem do internautów: jeśli przeszkadza ci ta reklama, to zgraj ją na swój telefon komórkowy lub odtwarzacz, spotkajmy się określonego dnia, wejdźmy do restauracji i na umówione hasło wyemitujmy reklamę. Niech menedżer czy właściciel lokalu, którzy siedzą w cichym wnętrzu, doświadczą tego, czego doświadczają przechodnie, bombardowani wciąż tym samym, zapętlonym przekazem. Ponadto p. Szopiński jr. dodaje: Przechodzę obok i nikt mnie nie pyta, czy chcę słuchać tej reklamy. To agresja dźwiękowa.*

Ostatecznie do happeningu nie doszło, co nie oznacza, iż sprawa zakończyła się porażką. W wyniku akcji facebookowej, podczas której mieszkańcy deklarowali uczestnictwo w happeningu, i w wyniku odwiedzin straży miejskiej, która wypisała mandat właścicielowi lokalu, właściciel postanowił wycofać się z tej reklamy – opowiada p. Józef. – *Ta akcja miała na mikropokazywać, że dźwięk może zanieczyszczać, a także iż prostymi metodami, jak bojkot konsumencki albo zbiorowe wyrażenie sprzeciwu poprzez happening, można zmusić właściciela lokalu do rezygnacji z takich zachowań.*

Po sukcesie pomysłodawca akcji otrzymał wiele słów podziękowań, ale i prośb o pomoc w innych, podobnych sytuacjach. Józef Szopiński jr. przypomina,



© Fot. Aleksandra Sech

że istnieją narzędzia prawne pozwalające zaradzić tego typu problemom, lecz o nich najczęściej nie wiemy. – Straż miejska na początku nie interweniowała, dopiero pod wpływem dyskusji wyszukała konkretny paragraf, który daje możliwość reagowania w takich przypadkach. Zapowiedziała, że sięgnie po jeden z artykułów prawa ochrony środowiska. Przewiduje on karę grzywny za używanie instalacji nagłośnieniowych w miejscach publicznych na terenie miast, z wyjątkiem różnych imprez czy demonstracji. To kwestia dobrej woli i chęci przeciwdziałania takim problemom. Oczywiście **druga rzecz to problem właścicieli lokali, którzy są nastawieni wyłącznie na zysk i kierują się tym, co im w krótkim terminie przyniesie korzyść. Nie widzą, że są częścią społeczeństwa, że są zakorzenieni w jakiejś społeczności** – komentuje p. Józef.

Obywatelska aktywność jest istotna, gdyż zwraca uwagę na istnienie problemu. Może ona jednak wpłynąć wyłącznie na pojedynczych reklamodawców. Kompleksowe rozwiązanie problemu leży w kompetencjach instytucji publicznych, które powinny opierać się na dobrze funkcjonującym prawie. Rozwiązania muszą być skuteczne i zgodne ze zdrowym rozsądkiem, aby umożliwiały ochronę ładu przestrzennego przy zachowaniu prawa do reklamowania produktów i usług.

Stowarzyszenie Miasto Moje a w Nim postuluje, aby zacząć od podstaw i zdefiniować, czym są przestrzeń publiczna oraz reklama. – *Jesteśmy sto lat do tyłu. Pierwsze prawo w USA było spisywane na początku XX w. i już wtedy wprowadzono zasady, na jakich można eksponować reklamy w przestrzeni publicznej. U nas natomiast do dzisiaj trwa chaos reklamowy i prawny, więc można manewrować pomiędzy różnymi ustawami. Nie zostało przede wszystkim dobrze określone i spisane, czym jest przestrzeń publiczna. Dzisiaj przestrzeń publiczna nie znajduje się w posiadaniu miasta, lecz jest podzielona na kilkadziesiąt kawałków i każdy z nich należy do kogoś innego. Burmistrz czy prezydent nie jest stanie decydować o przestrzeni swojego miasta – jednoznacznie stwierdza Elżbieta Dymna. – Na początku należy rozszerzyć definicję przestrzeni publicznej, którą stanowi, kolokwialnie mówiąc, wszystko, co jest widoczne z ulicy. Wiele osób zarzuca nam, że „wchodzimy” z naszymi postulatami na teren prywatny. Jednak na terenie prywatnym nie wszystko wolno. Nie możemy np. wieczorem głośno puszczać muzyki albo spalać odpadów w ognisku. Zanieczyszczenie wizualne to poważny problem i jego rozwiązanie powinno dotyczyć także terenów prywatnych.*

– *Druga rzecz to zdefiniowanie reklamy – kontynuuje pani Dymna. – W dzisiejszym prawie reklama zewnętrzna jest określona jako konkretny, fizyczny obiekt i w zależności od tego, jak ten obiekt wygląda, stosuje się do niego różne normy. Weźmy na przykład billboard na słupie. Jeśli ten słup ma fundament wkopany w ziemię, trzeba uzyskać pozwolenie na budowę. Jeśli ten sam fundament to klocek betonu stojący na trawniku, to już takiego pozwolenia nie potrzeba. Jeśli do billboardu doczepi się*

kółka, staje się on pojazdem i można parkować go tam, gdzie billboardów stawiać nie można. Takich tricków są dziesiątki. Oderwijmy reklamę od jej fizycznego nośnika, a zdefiniujemy ją przez funkcję, czyli przekaz. Wówczas będzie nią wszystko, co się pojawia w przestrzeni publicznej i ma charakter promocyjno-komercyjny, niezależnie czy to reklama puszczana z głośników, billboard czy ulotka. Nie powinniśmy reklamy definiować jako konkretnego przedmiotu, bo firmy wymyślą coś nowego.

Jeśli kwestia reklam będzie nadal pozostawiona samowoli firm wykorzystujących luki prawne i opiekałość urzędników, reklamy będą jeszcze mocniej ingerować w przestrzeń publiczną. Sprzyja temu – niestety – swoista akceptacja tej sytuacji przez sporą część społeczeństwa, na co wskazują badania opinii publicznej. – *Wiele osób uznaje, że reklamy dodają uroku, kolorytu, że są świadectwem naszej przynależności do kultury Zachodu. To oczywiste nieporozumienie – sfera reklam w miastach zachodnich jest znacznie bardziej uregulowana pod względem ilościowym, jakościowym i tematycznym. W naszym kraju istnieje przyzwolenie społeczne na reklamę, a przez większość mieszkańców np. reklama wielkogabarytowa nie jest postrzegana jako rodzaj plagi czy coś niestosownego. Co prawda wiele osób ma poczucie chaosu i bałaganu, ale pragmatycy mówią: „lepsza taka reklama niż luszczący się tynk” – podkreśla Grzegorz Buczek.*

Również Lech Kaczoń, Prezes Izby Gospodarczej Reklamy Zewnętrznej, uważa, że porównania z krajami Europy Zachodniej wypadają na naszą niekorzyść: Społeczeństwa tych państw są nauczone szacunku do własnego otoczenia i architektury. Rzadko się zdarza, że ktoś wpadnie na pomysł, aby na własnym balkonie wywiesić transparent „sprzedam albo wynajmę mieszkanie” lub budować własne sieci nośników, często byle jak ustawionych, czy obklejać np. pawilon handlowy różnego rodzaju przekazami informacyjnymi i reklamami handlowymi, bez ładu i składu. U nas cała masa właścicieli różnych instytucji, np. banków, obwiesza i zakleja całe okna fasadowe reklamami, co jest zupełnie bez sensu nawet z komercyjnego punktu widzenia, gdyż powstaje dezinformacyjny mizmasz.

Władze brazylijskiego miasta São Paulo, nie mogąc sobie poradzić z chaosem w przestrzeni publicznej, wprowadziły całkowity zakaz reklamy. Zniknęły wszystkie billboardy, szyldy i wywieszki. Ten radykalny krok był przesadą, przyniósł wiele niedogodności również mieszkańcom oraz spowodował wypłaty wielomilionowych odszkodowań przez miasto. Umożliwił jednak urzędnikom unormowanie relacji zarówno z wielkimi agencjami reklamowymi, jak i z drobnymi przedsiębiorcami w kwestii reklam „outdoorowych”. Wypada mieć nadzieję, że cel ten również w Polsce uda się osiągnąć – bez sięgania do tak radykalnych i kosztownych rozwiązań.

BARTŁOMIEJ GRUBICH

Wielka Orkiestra Codziennej Samopomocy

KONRAD MALEC

Gdy napotykamy na kilkumiesięczną kolejkę do ortopedy, hepatologa czy okulisty, stajemy przed wyborem: czekać i cierpieć albo zapłacić za wizytę w prywatnym gabinecie. Przykład z Inowrocławia pokazuje, że samoorganizacja pacjentów może stanowić pożyteczny „plaster” na niedomagania polskiego leczenia.

Dzięki działalności gospodarczej *non profit*, pozytywnym dotacjom, a także zaangażowaniu społecznemu, Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy „Flandria” jest w stanie zaoferować swoim członkom m.in. bezpłatną opiekę w trudnych sytuacjach życiowych, wsparcie w „poruszaniu się” po systemie służby zdrowia oraz znaczne rabaty na płatne artykuły i usługi medyczne.

Początki były trudne

Do niedawna lecniectwu przypisywano funkcję służebną wobec obywateli, stąd nazywano je „służbą zdrowia”. Wraz z postępującą komercjalizacją tej sfery, w publicystyce i języku potocznym coraz częściej używa się określenia „usługi medyczne”. Usługę można kupić, zarówno w ramach ubezpieczenia w NFZ, jak i indywidualnie. W tym pierwszym przypadku dostęp do lekarzy ograniczają limity kontraktów zawieranych z Funduszem. W tym drugim – zasobność portfeli pacjentów.

Warto pamiętać, że również przed sławetnymi „reformami” sytuacja w polskim lecniectwie nie wyglądała różowo. – *Kiedy człowiek szykował się do operacji, musiał przynieść niezbędny sprzęt, łącznie z rękawiczkami chirurgicznymi czy strzykawkami, bo nawet tego brakowało* – wspomina początek lat 90. Ineza

Skrzypiec-Sikorska, dyrektor „Flandrii”. Pani Ineza – z zawodu lekarz anestezjolog, a z powołania społecznik – była wówczas przewodniczącą komisji zdrowia w Radzie Miejskiej Inowrocławia, borykającego się z ogromnym bezrobociem. Zastanawiała się, w jaki sposób można pomóc ubożącym mieszkańcom, których dostęp do usług zdrowotnych dobrej jakości był coraz bardziej utrudniony. – *Myślałam o założeniu fundacji, która pomagałaby w dotarciu do lekarzy i środków medycznych*. Punktem zwrotnym stała się wizyta belgijskich samorządowców w 1994 r. w celu wymiany doświadczeń. – *Najbardziej interesowało mnie, dlaczego u nich tak dobrze funkcjonuje służba zdrowia* – wspomina p. Skrzypiec-Sikorska. Goście, widząc duże zainteresowanie tematyką medyczną, obiecali wrócić i szerzej opowiedzieć tylko o tych kwestiach.

Zainteresowanie kolejną wizytą było ogromne – w 70-tysięcznym mieście sala została wypełniona po brzegi, a wielu chętnych w ogóle się na nią nie dostało. Zrobiło to na Belgach ogromne wrażenie. – *Powiedzieli, że dostaniemy pieniądze na realizację projektu, a my nie mieliśmy pojęcia, czym jest projekt i dlaczego ktoś chce nam coś dawać* – relacjonuje p. Ineza, której powierzono nadanie kształtu planowanym działaniom wspólnie z przedstawicielem Federacji Chrześcijańskich



Stowarzyszeń Wzajemnościowych, odpowiedzialnym za pomoc biedniejszym krajom. Tworzenie projektu zajęło aż dwa lata. – *Belgowie nie mogli zrozumieć naszej specyfiki i usiłowali przenieść do Inowrocławia doświadczenia z Afryki i Ameryki Łacińskiej, gdzie zazwyczaj trafiali na zupełnie „pustkowie” medyczne i musieli budować wszystko od podstaw. W końcu jednak współpracownicy z Flandrii przyjechali i zobaczyli, jak to wszystko u nas wygląda. W trakcie odwiedzin zrozumieli, że polskiej służbie zdrowia brakuje nie tyle systemu organizacyjnego, co pieniędzy oraz usług odpowiedniej jakości. Po namyśle postanowiono stworzyć ofertę, która uzupełniałaby braki miejscowego systemu.*

Zacząto od sklepów medycznych dla niepełnosprawnych. Pomysł częściowo pochodził od pani Inezy, która w Niemczech zwróciła uwagę na zaskakująco dużą liczbę takich osób w przestrzeni publicznej. – *Zastanawiałam się, skąd u nich tylu niepełnosprawnych, przecież wojna już dawno się skończyła. Dopiero gdy wróciłam do Polski i przypomniałam sobie obfitość sklepów zaspokajających potrzeby niemieckich inwalidów, pomyślałam, że u nas jest podobnie, lecz ci ludzie nie mają warunków, żeby wyjść na ulice. Zaczęła szukać niepełnosprawnych w domach. I znalazła.*

We współpracy z Belgami udało się otworzyć pierwszy sklep zaopatrzenia medycznego m.in. dla osób niepełnosprawnych. W „pakiecie” znalazła się również wypożyczalnia sprzętu ortopedycznego, gdyż większości niepełnosprawnych nie było stać na zakup własnego. Wtedy też wspólnie z organizacjami zrzeszającymi pielęgniarzy rozpoczęto działania na rzecz stworzenia systemu opieki domowej. – *To były czasy, gdy wszystkich chorych przetrzymywano w szpitalach,*

ponieważ nie wierzono, że poza nimi znajdą właściwą opiekę – wspomina pani dyrektor SWP „Flandria”. Iwona Przybyła, odpowiedzialna za marketing i reklamę, przytacza fragment spisanej Misji organizacji: Chcemy wypełniać lukę między publiczną i prywatną służbą zdrowia, dostarczając produkty i usługi, dzięki którym potrzebującym będzie się żyło lepiej.

Każdemu według potrzeb

Z kolei w Wizji, określającej wartości przyświecające działaniom Stowarzyszenia, zapisano *szerzenie idei wzajemnej pomocy, solidarności międzyludzkiej, równości, życzliwości, rzetelności i otwartości*. Pierwszy z jego sklepów istnieje już 15 lat. – *Staramy się, żeby osoby potrzebujące rehabilitacji mogły u nas otrzymać wszelkie potrzebne produkty, od wkładek ortopedycznych i kul, przez balkoniki, wózki, po stabilizatory i poduszki ortopedyczne itp. Można u nas też nabyć prosty sprzęt do codziennych badań, jak glukometry czy ciśnieniomierze – wylicza Danuta Dajczer, sprzedawczyni w najstarszej placówce handlowej Stowarzyszenia. – Średnio odwiedza nas ok. 50 osób dziennie, co pokazuje skalę potrzeb. Często ludzie przychodzą po informację, np. jak obsłużyć jakieś urządzenie czy jak zająć się chorym, ale też by zasięgnąć porady, jak otrzymać refundację czy dofinansowanie do sprzętu. Personel sklepów medycznych to rehabilitanci lub osoby specjalnie szkolone, którzy starają się każdemu pomóc, nawet gdy jest jasne, że dana osoba niczego w sklepie nie kupi. Udzielają również porad telefonicznych. – Dzwonią do nas z instytucji, np. z MOPS-u, a nawet NFZ-u, by skonsultować się w sprawie własnych możliwości – nie kryje dumy Ewelina Gapska, jedna z prowadzących placówkę.*

Mniej więcej 1/3 stałych klientów stanowią członkowie Stowarzyszenia, którym na produkty nierefundowane przysługuje do 10% zniżki. – *Jeżeli ktoś kupuje łóżko kosztujące 2750 zł, to zniżka daje mu znaczącą oszczędność. Tak samo jest przy stałym zaopatrywaniu się w określone produkty* – mówi p. Gapska. Zaś p. Danuta dodaje: *Rabaty dotyczą również sprzętu wypożyczanego. Podobnie funkcjonuje apteka. – Nasi członkowie otrzymują rabaty na wszystkie leki nierefundowane z NFZ i kosmetyki* – wyjaśnia kierownik placówki, Zofia Łęk. Podkreśla jednocześnie, że na nowej liście refundowanych farmaceutyków zabrakło wielu dotychczasowych pozycji. – *Ponadto, by dostać receptę z refundacją na leki specjalistyczne, trzeba najpierw otrzymać zaświadczenie od specjalisty, że dla danej osoby taki lek jest konieczny. Spowodowało to wydłużenie i tak już długich kolejek do specjalistów, wielu chorych musi więc za leki płacić pełną cenę. To sprawia, że ludzie chodzą po aptekach i szukają, gdzie jest taniej. W takiej sytuacji członkostwo we „Flandrii” staje się szczególnie atrakcyjne. Jej teza znajduje potwierdzenie w fakcie, że większość osób kupujących w aptece „Flandrii” leki nierefundowane stanowią członkowie organizacji.*

Dbałość o pacjenta przejawia się także w tym, że jeszcze przed wprowadzeniem obowiązku informowania o tańszych zamiennikach leków farmaceutyci z „Flandrii” z własnej inicjatywy wskazywali je klientom. – *Ponadto zawsze staramy się znaleźć czas, by porozmawiać z chorym i udzielić mu pomocy.* Farmaceutyci chętnie informują pacjentów także o ubocznym działaniu leków, ich synergizmie i antagonizmie, często proponując badania profilaktyczne, organizowane przez Stowarzyszenie. Zresztą uczestnicząc w którejkolwiek formie pomocy czy zajęć we „Flandrii”, można usłyszeć o możliwościach zaangażowania się w inne inicjatywy.

Przed szeregami

Działania podejmowane przez p. Inezę wraz z zagranicznymi partnerami zostały sformalizowane w 1996 r. w ramach Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy „Flandria”. Na jego powstanie środki wyłożyli rząd flamandzki oraz wspomniana Federacja Chrześcijańskich Stowarzyszeń Wzajemnościowych, pełniących w Belgii rolę oficjalnych kas chorych. Później powstała Fundacja Wzajemnej Pomocy, której celem jest pozyskiwanie środków na działalność Stowarzyszenia oraz propagowanie myśli wzajemnościowej, a niedawno także Spółdzielnia Europejska „Flandria”, do której przeniesiono całą działalność gospodarczą. – *Pobieramy symboliczne składki, dzięki którym nasi członkowie mogą korzystać ze zniżek w naszych sklepach czy aptece. Dzięki temu już dawno zyskał miano pierwszej kasy chorych, nim jeszcze taki twór zaistniał w naszej rzeczywistości* – wyjaśnia Skrzypiec-Sikorska, która została prezeską spółdzielni.

– *Stowarzyszenie nie prowadzi działalności charytatywnej, lecz samopomocową* – akcentuje liderka

Fotografie do artykułu - Małgorzata Oldak



„Flandrii”. To oznacza, że jeśli przychodzi do niego ktoś, kto nie ma środków na leki, nie otrzyma ich za darmo, lecz zostanie pokierowany do organizacji lub urzędu, które zajmują się pomocą takim osobom.

Podobnie jak w przypadku belgijskich stowarzyszeń wzajemnościowych, członkowie sami wybierają władze i mają wpływ na funkcjonowanie organizacji, co odróżnia ją od NFZ. Współdecydowanie upodabnia natomiast Flandrię do kas chorych w Polsce międzywojennej. Zdaniem działaczy Stowarzyszenia taka struktura uczy odpowiedzialności i aktywizuje społecznie (punkt 7. Misji Stowarzyszenia: *Świadome i aktywne członkostwo nadrzędnym elementem budowy organizacji*).

W związku z kolejkami do lekarzy specjalistów czy na zabiegi fizjoterapeutyczne silnie rozwinęła się działalność gabinetów prywatnych. „Flandrii” udało się wynegocjować w nich zniżki do 30% dla członków Stowarzyszenia. Z czasem jednak wiele gabinetów wycofało się ze współpracy, np. stomatolodzy, którzy cieszyli się największą popularnością. – *Wówczas otworzyliśmy Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej „Flandria”, starając się dostarczyć brakujące usługi* – wspomina p. Ineza. Obecnie prowadzi on tylko dwie specjalizacje, o które najtrudniej w Inowrocławiu: poradnię leczenia bólu i pielęgniarską opiekę domową,



obie finansowane w ramach kontraktu z NFZ. Do niedawna funkcjonował też gabinet dentystyczny, niestety stomatolog wyprowadziła się. – *To była świetna specjalistka, a my nie chcieliśmy robić „podmiany” na kogoś, kto byłby dużo słabszy. Niestety, pozostali dobrzy stomatolodzy wolą prowadzić własne gabinety, więc nie mamy obecnie w ofercie tej gałęzi medycyny* – wyjaśnia pani Ineza.

Przy prowadzeniu lecznicy poważnym kłopotem są niewystarczające limity przyjęć, określane w kontraktach z NFZ. We „Flandrii” jednak po wyczerpaniu limitów pacjenci nadal są przyjmowani zgodnie z ich potrzebami. Oczywiście dyrekcja lecznicy próbuje później z Funduszu otrzymać dodatkowe środki, jednak zwykle udaje się to tylko w części. Przykładowo w 2011 r. za ponadnormatywne wizyty w poradni leczenia bólu – a było ich sporo – nie udało się odzyskać pieniędzy.

W 1999 r. utworzono kasy chorych, co uświadomiło Polakom, że służba zdrowia kosztuje i pozwoliło im poznać mechanizmy jej finansowania. – *Był to krok w dobrym kierunku, istnienie kas pozwalało np. ograniczać nadmierne wypisywanie zwolnień lekarskich, recept. Później wrócono do centralizacji, co znacznie ograniczyło możliwości działań lokalnych* – wspomina pani prezes. Dzięki decentralizacji przedstawiciele „Flandrii” bez problemu dotarli do szefa regionalnej kasy chorych.

Po rozmowie z urzędnikiem udało się zorganizować finansowanie wypożyczalni sprzętu medycznego. – *W NFZ musiałam pukać od drzwi do drzwi, by w Warszawie usłyszeć, że cała Polska nie będzie dokładała do jakiejś wypożyczalni w Inowrocławiu. Tymczasem wówczas, po podliczeniu kosztów w skali całego województwa, stwierdzono, że kasę stać na finansowanie takiej działalności. Potem inne kasy brały przykład z naszego regionu. Bogata w te i inne doświadczenia „Flandria” szykuje się do przeprowadzenia dużej akcji społecznej w trzech województwach, w których działa organizacja. Chcą w ten sposób pokazać, jak zdaniem działaczy z Inowrocławia powinna wyglądać polityka państwa w zakresie ochrony zdrowia (punkt 5. Misji: Wywieranie wpływu na politykę zdrowotną i socjalną państwa i władz lokalnych).*

W służbie zdrowia zawsze istnieją jakieś niedobory i „Flandria” stara się je minimalizować. – *Interweniuje np. tam, gdzie są długie kolejki. Pomagamy też poruszać się w gąszczu niezrozumiałych procedur, szczególnie tym, którzy są naszymi podopiecznymi, czyli niepełnosprawnym i ogólnie słabszym społecznie* – wyjaśnia Ineza Skrzypiec-Sikorska. Poza sztandarowymi przykładami, jak sklepy medyczne czy apteka społeczna, Stowarzyszenie obejmuje opieką np. opuszczających szpital i wymagających długotrwałej opieki pielęgniarstwa,

rehabilitacji czy wsparcia w codziennym funkcjonowaniu. – *Zespół naszych pielęgniarek spieszy z pomocą ludziom, którzy mają wskazania medyczne do takiej opieki, np. odleżyny, owrzodzenia czy cewnikowanie* – mówi Monika Konopa-Dudek, koordynatorka długoterminowej opieki pielęgniarskiej. Rodziny takich osób często nie są w stanie się nimi zająć, bo dorośli chodzą do pracy, pilnują dzieci czy nie potrafią wykonać bardziej skomplikowanych czynności. W Inowrocławiu we „Flandrii” pracuje pięć pielęgniarek, z których każda co dzień opiekuje się sześcioma pacjentami. Usługa ta jako zakontraktowana przez NFZ jest bezpłatna dla pacjentów.

Oczywiście na taką działalność potrzebne są środki. – *Nie liczymy na sponsorów, zwłaszcza teraz, w dobie kryzysu. Zresztą nigdy o takie środki nie było łatwo i nie były one pewne* – wyjaśnia szefowa inicjatywy. **Nieodpłatne usługi Stowarzyszenie finansuje z działalności gospodarczej, czyli z dochodów sklepów medycznych i aptek.** Ta część aktywności, dla większej przejrzystości oraz sprawniejszego funkcjonowania, została wydzielona i przeniesiona do pierwszej w Polsce spółdzielni europejskiej – formy demokratycznego przedsiębiorstwa społecznego, przewidzianej przez prawo europejskie dla podmiotów mających swoje siedziby w różnych państwach. SCE „Flandria” Spółdzielnia Europejska z o.o. jest kooperatywą Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy „Flandria”, Fundacji Wzajemnej Pomocy i trójki belgijskich partnerów, działającą zgodnie z zasadą „jeden podmiot – jeden głos”. – *Naszym celem jest sytuacja, w której działalność gospodarcza będzie pokrywała całość kosztów działalności społecznej – obecnie dostarcza ok. 30% potrzebnej kwoty* – rozlicza plany p. Skrzypiec-Sikorska. Aktualnie znaczna część środków pochodzi od belgijskich partnerów oraz z konkursów dotacyjnych. Niestety, podobnie jak w wielu innych organizacjach, nie można liczyć na ofiarność członków. – *Ludzie dają więcej z siebie, tzn. chętniej podejmują pracę społeczną, ale mam wrażenie, że coraz mniej chętnie przekazują środki finansowe* – mówi p. Ineza.

Pączkowanie

Z czasem działalność Stowarzyszenia objęła znaczne obszary woj. kujawsko-pomorskiego, a nawet Poznań i Trójmiasto. Członkowie „Flandrii” starają się trafiać na prowincję, organizując w małych miejscowościach punkty apteczne czy ośrodki wolontaryjne (punkt 4. Misji: *Wolontariat jako ważny element realizowania idei wzajemnej pomocy*). Na przykład w Jaksicach, oddalonych od Inowrocławia o 10 km, co prawda istniała poradnia, ale już po leki pacjenci musieli jeździć do miasta. Dlatego „Flandria” otworzyła tam placówkę z podstawowymi lekami – Punkt Apteczny z Sercem.

Do każdego miasta przypisany jest koordynator, zajmujący się nie tylko organizacją wspomnianej działalności, lecz także miejscowym sztabem wolontariuszy. W samym Inowrocławiu jest ich ponad 120,



a we wszystkich placówkach ok. pół tysiąca. Przechodzą profesjonalne szkolenia z zakresu psychologii, socjologii, pedagogiki, medycyny, pierwszej pomocy itp. Koordynator dba także o organizowanie zajęć dla dzieci, osób starszych (np. w klubach 55+) czy niepełnosprawnych.

Mimo niezaprzeczalnych sukcesów zarząd nie spoczywa na laurach. – *Daleka jestem od satysfakcji w kwestii liczby członków. Pokutuje niechęć do zapisywania się, wyniesiona z czasów komunistycznych* – stwierdza p. Ineza. **Taka opinia może budzić zdziwienie, skoro Stowarzyszenie liczy ok. 7 tys. członków – to bardzo duża liczba jak na polskie realia.** Jednak belgijski partner „Flandrii” – Federacja Chrześcijańskich Stowarzyszeń Wzajemnościowych – ma ich aż 4,5 mln, co stanowi ok. 45% obywateli Belgii. Tak jak w przypadku wielu organizacji pozarządowych, do „Flandrii” przychodzą ludzie i chcą, by podjęła taki czy inny temat. – *Mówię im: zostańcie naszymi członkami, wówczas będziemy reprezentować Wasze interesy, a jeszcze lepiej będzie, jeśli sami się zaangażujecie w rozwiązanie problemu* – opowiada liderka. Stowarzyszenie ma ambicje reprezentować pacjentów, a duża liczba członków dawałaby do tego legitymację.

Przeszkodą w członkostwie nie powinny być finanse, gdyż składki są niewysokie. Zaledwie 2 zł rocznie upoważnia do uczestnictwa w zebraniach i imprezach organizowanych przez Stowarzyszenie. Natomiast do korzystania z rabatów w sklepie, aptece czy podczas nabywania usług medycznych czy sanatoryjnych wystarczy składka w wysokości 10-15 zł za każdą z tych sfer (progi są różne w poszczególnych miastach). – *Składki mają znaczenie symboliczne, ale w ten sposób podkreślamy, że każdy jest odpowiedzialny za nasze funkcjonowanie. Chcemy, żeby członkowie wiedzieli, jak wiele od nich zależy. To pozytywnie wpływa na ich aktywność: chętniej przychodzą na zebrania i włączają się w sprawy stowarzyszenia, np. informując, że brakuje takich czy innych usług* – wyjaśnia p. Skrzypiec-Sikorska.

Lepiej zapobiegać, niż sprzedawać

Wiele wagi przykładu się we „Flandrii” do reintegracji społecznej osób niepełnosprawnych, np. poprzez organizowanie Międzynarodowej Spartakiady Osób

Niepełnosprawnych, których pod szyldem Stowarzyszenia odbyło się już 10, a w każdej brało udział 400-500 zawodników oraz pokaźne grono osób towarzyszących. – *Nie chodzi o olimpijskie wyniki, ale o wspólną zabawę, na którą przyjeżdżają uczestnicy nawet z Belgii, Niemiec czy Rumunii* – mówi z dumą szefowa organizacji (punkt 1. Misji: *Integracja ze społeczeństwem osób zagrożonych wykluczeniem społecznym i osamotnionych*).

Ważną rolę w działaniach odgrywa także profilaktyka zdrowotna. Przynajmniej raz w miesiącu działacze Stowarzyszenia organizują dużą akcję z tego zakresu. Podczas mojej wizyty w Inowrocławiu przygotowywali cykl bezpłatnych badań tarczycy, a wcześniej miało miejsce m.in. edukowanie obywateli w zakresie higieny snu, zdrowych stóp i kręgosłupa. – *Wolimy, żeby ludzie zapobiegali chorobom, niż przychodzili kupować u nas sprzęt* – wyjaśnia p. Ineza. W dziedzinie profilaktyki „flandryjczycy” współpracują z innymi organizacjami, wyspecjalizowanymi w danej tematyce.

Choć takie akcje są bez wątpienia niezwykle potrzebne, pani prezes narzeka na ich oddźwięk społeczny. – *Przychodzi mało osób. Kiedy już przyjdą, ludzie są zachwyceni, że oferujemy im rzetelne informacje, nie wciskając przy okazji masy produktów „w atrakcyjnych cenach”. Problem bierze się stąd, że wiele firm pod płaszczykiem spotkań profilaktycznych organizuje promocję i sprzedaż własnych leków czy sprzętu medycznego. Ludzie tego nie lubią i przykładają do nas tę samą miarę. Zaś Iwona Przybyła dziwi się: Wiemy, że nasze akcje są śledzone przez mieszkańców zarówno na naszej stronie, jak i na profilu na Facebooku, a mimo to frekwencja jest niska. A szkoda, bo Polacy wciąż wolą „inwestować” w leki, niż zapobiegać chorobom. Pod tym względem jesteśmy w europejskiej czołówce: statystyczny Polak spożywa 4,5 tabletki dziennie.*

Poza wspomnianymi działaniami w sferze medycznej „Flandria” organizuje w małych miejscowościach kolonie dla dzieci z niezamożnych rodzin, by miały okazję poznać coś oprócz najbliższej okolicy. Z kolei Klub „Flandryjka”, animowany głównie przez starszych nastolatków i studentów, organizuje zajęcia pozaszkolne, w ramach których pomagają młodszym koleżankom i kolegom w uzupełnianiu wiedzy i rozwijaniu zainteresowań. Natomiast najstarsi organizują się głównie w celu wspólnego aktywnego spędzania czasu. Klub 55+ składa się przede wszystkim z kobiet, które stowarzyszyły się w strukturę z własnym zarządem, koordynując działania na rzecz seniorów. – *Zapisując się do „Flandrii”, można też poprosić, by wolontariusz odwiedzał osobę samotną w domu i np. chodził z nią na spacer* – mówi Magdalena Czajkowska, obsługująca sekretariat.

Obecne plany „Flandrii” to zorganizowanie ruchu pacjentów i pracowników służby zdrowia w celu ciągłego usprawniania i lepszego funkcjonowania opieki zdrowotnej w Polsce.

Siedzibę „Flandrii” odwiedziłem w piątek, gdy pacjentów było w niej niewielu właśnie z powodu mojej umówionej wizyty. Mimo to podczas rozmowy do gabinetu p. Inezy zastukała pacjentka – tylko po to, by powiedzieć: *Dzień dobry, chciałam się przywitać*. W powietrzu czuć już weekend, mimo to pani Magda ledwie znalazła dla mnie chwilę. Podczas wywiadu miałem wrażenie, że wyłoniła się z gąszczu papierów pokrywających biurko. Siedząca obok księgowa odpowiadała znad tabel. Pani Monika cały czas kątem oka zerkiała na telefon (niechcący przeszkodziłem jej w rozmowie z jedną z pielęgniarek wizytujących podopiecznego „Flandrii”), zaś pani Iwone przerwałem redagowanie informacji prasowej.

Oczywiście co jakiś czas ktoś odchodzi, przede wszystkim z uwagi na niewysokie zarobki, jakie może zaproponować pracownikom organizacja społeczna. Wyraźnie jednak czuć, że dla tych, którzy zostają, wielkie słowa z cytowanych w tekście Misji i Wizji znaczą naprawdę dużo – na serio dbają o dobro innych i wzajemną pomoc.

KONRAD MALEC

REKLAMA

Wojtyła Kaczyński Woleński Łuczewski
Mazur Czapanecki Skrzypulec Przychodzeń

PRESSJE

JP2: antykapitalista, straussista, mesjanista

Pierwsza rozmowa z JP2 po beatyfikacji

Starcie Kaczyński-Woleński

www.pressje.org.pl

ZABILIŚMY PROROKA

Do nabycia przez pressje.org.pl, w empiłkach i w siedzibie redakcji: Rynek Główny 39/9

My, Obyw@tele

FILIP BIAŁEK

W wielu krajach rządy i instytucje publiczne prowadzą zaawansowane działania na rzecz budowy społeczeństwa informacyjnego. W Polsce społeczeństwo informacyjne tworzy się bez pomocy gabinetu Donalda Tuska, a bardzo często wbrew niemu. Władze nie mają bowiem żadnej wizji tego, jak z pomocą nowych technologii ułatwić obywatelom samoorganizację, zwiększyć ich udział w podejmowaniu decyzji politycznych oraz wzmocnić postawy obywatelskie poprzez korzystanie z internetu.

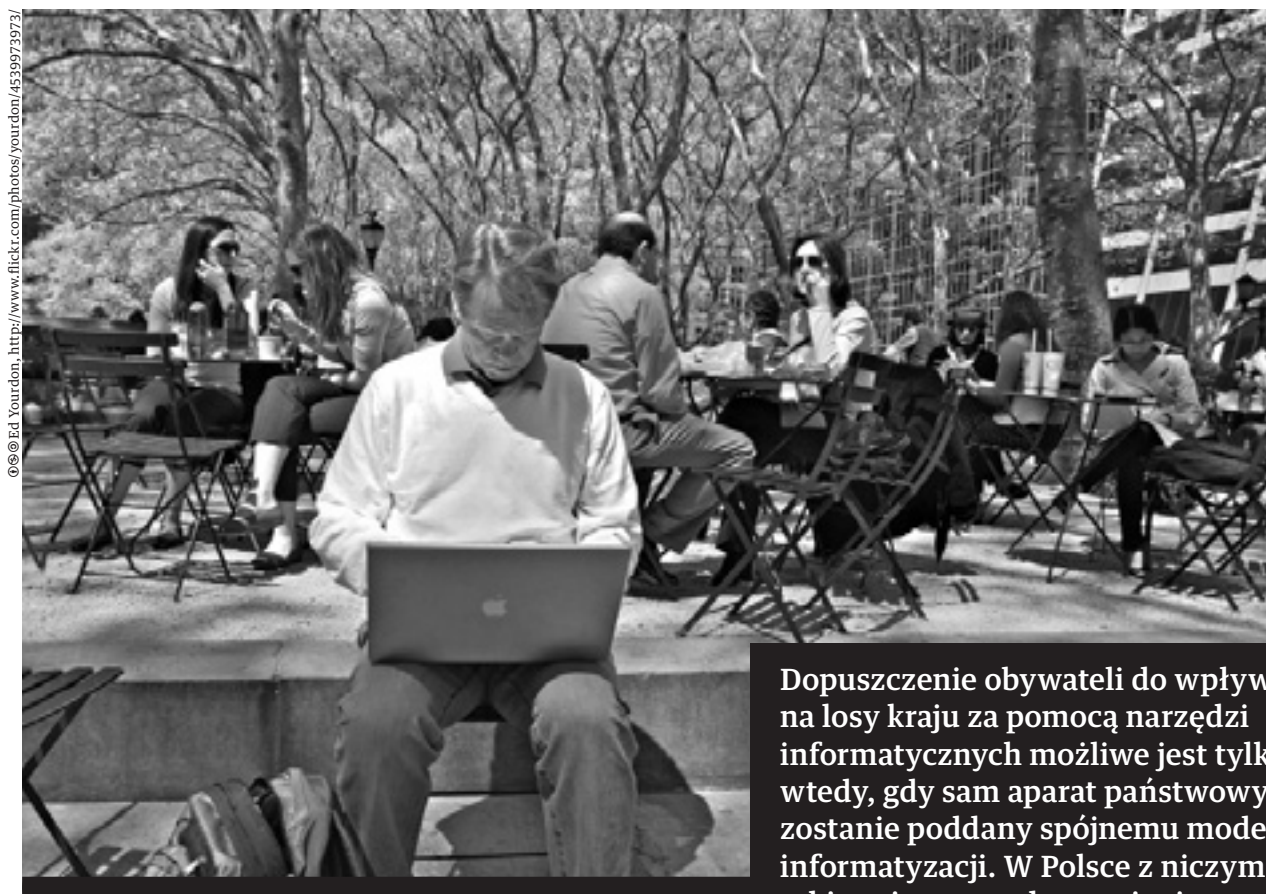
Termin „społeczeństwo informacyjne” może być rozumiany wielorako. Najczęściej określa on pewne specyficzne stosunki gospodarcze i przeciwstawiany jest społeczeństwu przemysłowemu. W społeczeństwie informacyjnym główną siłą gospodarki mają być przedsiębiorstwa oparte na wiedzy, których głównym zadaniem jest produkowanie informacji. Interesujący jest jednak inny, znacznie węższy aspekt społeczeństwa informacyjnego, odnoszący się do obywatelskości, aktywności i partycypacji społecznej w kształtowaniu sfery publicznej. **Mówiąc o społeczeństwie informacyjnym, będę miał na myśli takie zjawiska, które dzięki nowym technologiom, internetowi i szybkości wymiany informacji sprawiają, że obywatele uzyskują większy wpływ na państwo i instytucje publiczne.**

Badacze takich zjawisk nierzadko wiążą wielkie nadzieje z potencjałem wpływu, jaki na stan współczesnych społeczeństw mogą wyrzucić nowe technologie informacyjno-komunikacyjne (ICT).

Demokracja przedstawicielska od dłuższego czasu znajduje się w kryzysie. W starych demokracjach

Zachodu kryzys ten objawia się w spadku frekwencji wyborczej, niestabilności poparcia politycznego dla partii, odpływie elektoratu do tzw. partii protestu, coraz niższym zaufaniu do polityków, czy też w niskim poziomie wiedzy o procesach politycznych. Można rzec, że współczesny model demokracji staje się w oczach obywateli zbyt skomplikowany, a struktury władzy i państwa są postrzegane jako oddalone od spraw codziennego życia i trudno dostępne. Lekiem na te problemy mogłyby być właśnie ITC, które znacząco ułatwiają dzielenie się informacjami. Z jednej strony ITC umożliwiają rządowi niemal całkowitą transparentność wszystkich procesów administracyjnych i politycznych, a z drugiej pozwalają obywatelom na większą partycypację w decyzjach podejmowanych przez władze publiczne. Ograniczeniami są tutaj w zasadzie jedynie wola i sprawność decydentów.

Różne modele e-partycypacji wymagają odpowiedniego stanu infrastruktury państwowej i informatycznej. Innymi słowy, **dopuszczenie obywateli do wpływania na losy kraju za pomocą narzędzi informatycznych możliwe jest tylko wtedy, gdy sam aparat**



Dopuszczenie obywateli do wpływania na losy kraju za pomocą narzędzi informatycznych możliwe jest tylko wtedy, gdy sam aparat państwowy zostanie poddany spójnemu modelowi informatyzacji. W Polsce z niczym takim nie mamy do czynienia.

państwowy zostanie poddany spójnemu modelowi informatyzacji. W Polsce z niczym takim nie mamy do czynienia. W ostatnim raporcie ONZ „E-Government Survey 2012. E-Government for the People” wysiłki naszego kraju na rzecz informatyzacji państwa zostały ocenione bardzo nisko. Polska, zajmując 47. miejsce, została sklasyfikowana m.in. za Rosją, Kazachstanem, Chorwacją, Czechami czy Węgrami. Warto wspomnieć, że w podobnym rankingu z 2008 r. nasze państwo zajmowało pozycję 33. W kwestii informatyzacji państwa jesteśmy więc niewątpliwie zacofani i, co gorsza, taki stan się pogłębia.

Sam rząd doskonale zdaje sobie sprawę ze skali problemu. Raport przygotowany przez Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji pt. „Państwo 2.0 - Nowy start dla e-administracji” pozbawia wszelkich złudzeń. Dokument jasno pokazuje, że dotychczasowe projekty informatyzacji prowadzone były niezależnie od siebie, bez współpracy międzyresortowej, co najczęściej prowadziło raczej do zwiększania administracyjnego chaosu niż do zapanowania nad nim. Ministerstwo wspomina m.in., że równocześnie rozwijano tzw. podpis elektroniczny oraz profil zaufany, a także wiele alternatywnych sposobów potwierdzania identyfikacji [sic!] obywateli w systemach poszczególnych resortów i samorządów. Oznacza to, że zamiast stworzyć jeden uniwersalny model weryfikacji tożsamości obywatela, który pozwalałby na logowanie się do wszystkich możliwych usług e-państwa, kreowano kolejne „zapory”,

które właściwie utrudniały korzystanie z dostępnych usług. W zakończeniu raportu czytamy: *Źródłem słabości jest sama koncepcja informatyzacji albo w ogóle jej brak. Chaotycznie i „silosowo” prowadzone działania, brak współpracy w celu uniknięcia powielania się rozwiązań, swoisty prymat nastawienia typu „hardware” nad modelem zorientowanym na przyjazne dla użytkowników aplikacje - generowały patologie w decyzjach oraz słabości w osiąganiu rezultatów.*

Oprócz problemów natury „konceptyjnej” rozwój polskiej e-administracji zmagą się również ze zwyczajowymi kłopotami, które dosięgają większości przedsięwzięć naszego państwa. Mowa tu o korupcji i marnotrawieniu środków publicznych. W grudniu 2011 r. dziennikarze „Dziennika Gazety Prawnej” dotarli do protokołu z zakończonych kontroli NIK ws. wdrażania projektów informatyzacyjnych w latach 2007-2010. Wnioski były zatrważające. Na 28 realizowanych zadań tylko 5 funkcjonowało w miarę sprawnie. Zgodnie z wcześniejszym planem, w trakcie badanego okresu rząd miał wydać na e-państwo 2,5 mld złotych, jednak w związku z brakiem gospodarności (często natury kryminalnej) konieczne będzie zwiększenie tej kwoty o prawie 6,5 mld złotych albo zaplanowane projekty nie zostaną ukończone. Z kolei pod koniec kwietnia 2012 r., po tym jak CBA i prokuratura wszczęły śledztwo w sprawie korupcji w Centrum Projektów Informatycznych przy MSWiA (zatrzymano m.in. dyrektora

tej instytucji, któremu zarzucano przyjęcie 5 mln złotych łapówki), Komisja Europejska zamroziła środki – w wysokości 1,2 mld złotych – przeznaczone na rozwój e-administracji w Polsce. W związku z powyższymi faktami nawet najlepsze chęci i koncepcje ministra Boniego mogą pozostać bez większego związku z rzeczywistością.

Jak widać, warunek *sine qua non* rozwijania modeli partycypacyjnych – tj. sprawna informatyzacja administracji – nie został dotychczas w Polsce spełniony. Oznacza to, że dopuszczenie obywateli do podejmowania decyzji za pomocą ICT stanowi u nas pieśń przyszłości. Brak prostych narzędzi umożliwiających weryfikację tożsamości obywateli, zaniedbania w tworzeniu spójnego i przyjaznego użytkownikom systemu e-administracji, kłopoty z uzyskiwaniem informacji od instytucji publicznych *via* internet itp. uniemożliwiają wdrażanie jakichkolwiek poważnych projektów, które mogłyby przybliżyć państwo obywatelom. Trudno oczywiście oczekiwać, że rząd Donalda Tuska będzie podejmował działalność mogącą pomóc w rozwijaniu e-partycypacji. Stosunek obecnego rządu do partycypacji obywatelskiej w ogóle zmanifestował się aż nadto wyraźnie w związku z wieloma decyzjami, co do których społeczeństwo wydawało się mieć opinie odmienne od pomysłów władz. Do pewnego stopnia widać to zresztą we wspomnianym raporcie Boniego. Obywatel jest tam traktowany jedynie jak klient, który ma być dobrze obsłużony przez administrację. Nie oczekuje się od niego ani udziału w podejmowaniu decyzji, ani opinii odnośnie do decyzji już podjętych. W całym tekście znajdujemy zresztą tylko jedno dość mgliste zdanie odwołujące się do pojęcia „e-demokracji”.

Tymczasem w innych krajach ICT są nie tylko skutecznie wykorzystywane do stworzenia sprawniejszej administracji, lecz służą również zwiększeniu możliwości wpływania obywateli na losy państwa. Nie dotyczy to bynajmniej tylko krajów zamożnych i wysokorozwiniętych. Na przykład mała Estonia dokonała w ciągu kilkunastu lat niezwykle wręcz skoku rozwojowego we wdrażaniu rozwiązań informatycznych. We wszelkich rankingach obrazujących rozwój e-państwa, e-rządu czy e-partycypacji kraj ten plasuje się najczęściej w pierwszej dwudziestce. Na obszarze pokomunistycznym w zasadzie nie ma on konkurencji, dlatego np. we wspomnianym raporcie ONZ Estonia porównywana jest nie do krajów Europy Środkowo-wschodniej, lecz do państw nordyckich.

Odsetek gospodarstw domowych z komputerem podłączonym do internetu, liczba użytkowników Sieci, korzystanie z elektronicznej bankowości, dostęp do darmowego wi-fi – we wszystkich tych wskaźnikach Estonia sytuuje się ponad średnią unijną. Czynniki te stanowią infrastrukturę, na której można tworzyć e-państwo z prawdziwego zdarzenia. Już w 2002 r. wprowadzono w tym kraju cyfrowy dowód osobisty,

©©© www.wardo, <http://www.flickr.com/photos/www.wardo/6803740517/>



który wraz ze specjalnym czytnikiem podłączanym do komputera stanowi, po wpisaniu kodu PIN, narzędzie identyfikacji obywatela *via* internet. Dzięki temu Estończycy mogą w prosty sposób załatwiać większość spraw urzędowych bez wychodzenia z domu. Cyfrowy dowód umożliwia również dokonywanie przelewów bankowych, realizowanie recept, może też zastąpić bilet w komunikacji publicznej.

Takie narzędzie – mógłby ktoś stwierdzić – może służyć do inwigilacji i spowodować utratę prywatności, ponieważ wszystkie dane gromadzone są w jednym miejscu. Jest jednak inaczej, gdyż system przekazuje obywatelowi informacje o tym, kto przeglądał jego dane. Oznacza to, że urzędnik nie może już bez wyraźnej potrzeby sprawdzać informacji o obywatelach, ponieważ każde takie zachowanie jest rejestrowane.

Z pozoru najbardziej widowiskowym osiągnięciem estońskiego e-państwa było umożliwienie społeczeństwu głosowania w wyborach powszechnych za pośrednictwem internetu. Był to pierwszy taki przypadek na świecie. Już w 2005 r. Estończycy mogli głosować elektronicznie w wyborach samorządowych. Wtedy 1,9% wszystkich oddanych głosów stanowiły wysłane przez Sieć. Odsetek ten szybko się powiększał – w wyborach parlamentarnych w 2011 r. wzrósł do 24,3%. Głównym celem wprowadzenia e-głosowania było zwiększenie frekwencji. Czy się udało? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć, gdyż nie sposób założyć, że jedyną przyczyną zmian jest głosowanie elektroniczne. Jednak frekwencja w estońskich wyborach systematycznie rośnie. W wyborach parlamentarnych od 1999 r. wynosiła ona kolejno: 57%, 58%, 62% (2007 r. – pierwsze wybory parlamentarne z możliwością głosowania przez internet), 63,5%. Bardzo wysoki wzrost frekwencji odnotowano w przypadku wyborów



do Europarlamentu. W 2004 r. wynosiła ona 24% (bez e-głosowania), by w 2009 wzrosnąć do prawie 44% (e-głosowanie). Zupełnie rekordowe były wybory samorządowe w roku 2009, które cieszyły się frekwencją 60,5% w porównaniu z 47% w roku 2005.

Jakkolwiek oddawanie głosów przez internet może jawić się z naszej perspektywy jako rewolucyjna zmiana, to należy pamiętać, że w swojej istocie jest to jedynie technologiczna nowinka, która nie ma większego wpływu (prócz – być może – wzrostu frekwencji) na przebieg procesu demokratycznego. E-głosowanie nie wyposaża obywateli w nowe narzędzia wpływu na proces demokratycznego podejmowania decyzji. W Estonii powstały jednak także systemy, które miały umożliwić społeczeństwu większą partycypację. Już w 2001 r. uruchomiono portal TOM – skrót od estońskiej frazy: „dziś ja decyduję”. Pozwala on decydom na umieszczanie projektów ustaw, które miały być oceniane i komentowane przez użytkowników. Dodatkowo obywatele mieli możliwość przedstawiania własnych pomysłów, które, o ile zyskały odpowiednie poparcie, trafiały do urzędników. Ci zaś mieli miesiąc, aby odnieść się do proponowanych zmian. Co prawda administracja nie była zobligowana do wprowadzania zgłoszonych pomysłów w życie, ale w przypadku negatywnej odpowiedzi obywatele musieli otrzymać uzasadnienie takiej decyzji. W 2007 r. TOM został zastąpiony przez serwis osale.ee, który oferował podobne możliwości.

Niestety oba portale cieszyły się nikłym zainteresowaniem. TOM w 2007 r. miał jedynie 6742 zarejestrowanych użytkowników, spośród których tylko niewielka część była aktywna. Podobnie rzecz miała się z osale.ee. Około 1/3 zamieszczonych tam projektów nie uzyskało żadnego komentarza, a odsetek propozycji

zmian prawa, które wywołały dłuższą dyskusję, jest bardzo niski. Należy też zauważyć, że nie wszystkie ministerstwa publikowały tam swoje materiały. Dodatkowe problemy, z którymi zmagają się estońskie systemy partycypacji, to mało konstruktywne głosy obywateli, zbyt formalne odpowiedzi urzędników mogące zniechęcać ludzi do zabierania głosu, brak realnego dialogu z przedstawicielami władzy oraz nikłe zainteresowanie mediów propozycjami obywatelskimi. Meelis Kitsing, badacz z University of Massachusetts, stwierdza nawet, że *najslabszym punktem estońskiego e-rządu jest dostarczenie obywatelom usług, które mogłyby zachęcać do partycypacji i demokracji*. Jako przyczynę wymienia przede wszystkim fakt, iż estońskie inicjatywy są w głównej mierze reakcją na potrzeby sektora prywatnego oraz opinii publicznej. Zdaniem autora, Estonii brakuje spójnej wizji wdrażania narzędzi partycypacyjnych.

Jak widać, samo oddanie w ręce społeczeństwa narzędzi umożliwiających partycypację nie gwarantuje, że ono z nich skorzysta. Nierozsądne byłoby jednak opinie, że estońskie projekty zakończyły się porażką, a sama idea e-partycypacji była niewiele warta. Opisane tu narzędzia są raczej w fazie prób i testów – nie ma zatem mowy o skończonym przedsięwzięciu. Jeśli Estończycy zdiagnozują popełnione błędy i będą systematycznie je naprawiać, to z czasem zaangażowanie obywateli powinno się zwiększyć.

Co ciekawe, rozwiązania wprowadzane przez Estonię są ogólnodostępne i inne kraje mogą z nich korzystać. Przykładem jest Słowenia, która w 2009 r. wdrożyła platformę TID+ (Today I Decide), powstałą jako projekt na bazie estońskiego TOM. Wydaje się, że w Słowenii narzędzie to cieszy się nieco większą popularnością. Przez dwa lata funkcjonowania portalu pojawiło się tam ponad 2000 obywatelskich sugestii zmian prawa, z czego każda opatrzona została średnio 6 komentarzami. 460 pomysłów zyskało wystarczające poparcie, aby zostać przekazane decydom, z tej liczby zaś ponad połowa dostała pozytywne odpowiedzi, zgodnie z którymi albo pomysł był już wdrażany w życie niezależnie od inicjatywy obywatelskiej, albo był jedną z opcji branych pod uwagę. Aż 13 sugestii zostało zrealizowanych wyłącznie dzięki TID+.

Jednym z głównych problemów, z którymi stykają się opisane tu narzędzia umożliwiające e-partycypację, jest fakt, że obywatele często czują się niekompetentni, by merytorycznie komentować skomplikowane dokumenty tworzone przez administrację. Język urzędników jest niezbyt przystępny, a sprawy, o których piszą, wydają się obywatelom zbyt trudne. Udostępnienie w Sieci wielkiej ilości takich dokumentów jest często przeciwnie skuteczne, gdyż raczej przytłaczają one informacjami, których odbiorcy nie są w stanie przetrawić. Dlatego nasuwają się tutaj dwa rozwiązania. Zgodnie z pierwszym serwisy takie jak osale.ee powinny zostać „wyposażone” w urzędników, którzy asystowaliby

obywatelom przy formułowaniu postulatów. Chodzi o to, aby człowiek mógł sformułować propozycję czy komentarz „własnymi słowami”, nie bacząc na to, że forma jego wypowiedzi nie koresponduje z technicznym językiem administracji. Dopiero później, dzięki pomocy kompetentnego urzędnika, obywatelska sugestia zostałaby „przetłumaczona” na administracyjny żargon. Taką strategię realizuje brazylijski serwis edemocracia.gov.br, który niestety z braku miejsca nie może zostać tu szczegółowo opisany. Warto zauważyć, że bez podobnych rozwiązań partycypacyjne narzędzia mogą zostać łatwo zawłaszczane przez różnego rodzaju lobbystów. Bez wsparcia dla „zwykłych obywateli” użytkownikami takich serwisów pozostaną jedynie osoby, które potrafią sprawnie poruszać się w urzędniczym gąszczu przepisów, procedur i kruczków prawnych.

Inne rozwiązanie zostało wprowadzone w Wielkiej Brytanii. W sierpniu 2011 r. uruchomiono portal e-petitions.direct.gov.uk, na którym każdy obywatel może zamieścić petycję. Jeśli pod wnioskiem zostanie zebranych co najmniej 100 000 podpisów, to tekst trafia do komisji, ta zaś może skierować go do parlamentu, gdzie będzie on ostatecznie dyskutowany. Portal cieszy się dużą popularnością, notując dziennie odwiedziny 52 tys. użytkowników. Kilkakrotnie udało się już przekroczyć próg 100 000 podpisów oraz wpłynąć na obowiązujące prawo. Trzeba jednak zaznaczyć, że w kilku przypadkach inicjatywy, które zgromadziły odpowiednie poparcie, nie trafiły do parlamentu, ponieważ nie zyskały wsparcia wspomnianej komisji. Fakty te sprawiły, że brytyjski dziennikarz i autor bloga edemocracyblog.com, Richard Parsons, skonstruował: *Parlament przeżywa obecnie łagodniejszą wersję zamętu, którego doświadczyły wcześniej muzyka i prasa w związku z pojawieniem się internetu. Fakt istnienia e-petycji skłania do stawiania pytań o sposób funkcjonowania brytyjskiego systemu politycznego oraz tego, czy jest on przygotowany na spełnienie oczekiwań społeczeństwa.*

Sama procedura jest przedmiotem wzmożonej debaty. Przede wszystkim nie jest do końca jasne, jak wielką wagę parlamentarzyści powinni przykładać do e-petycji. Z jednej strony należy pamiętać, że 100 000 popierających to niewiele w stosunku do ogólnej liczby dorosłych obywateli, zatem nie można traktować tych inicjatyw jako „woli ludu”. Z drugiej jednak strony, arbitralne decyzje komisji, zgodnie z którymi nie wszystkie petycje poparte 100 000 podpisów są poddawane debacie, mogą odbierać ludziom wiarę w to, że ich głos się liczy. Problemem jest również sposób, w jaki administracja komunikuje się z obywatelami. Teoretycznie możliwe jest, że autor petycji, która zbierze 99 999 głosów, może nie doczekać się żadnego odzewu ze strony decydentów. Postuluje się więc stworzenie mechanizmów, które umożliwią większy dialog sygnatariuszy z władzami. Warto nadmienić, że do takiego dialogu

dochodzi stosunkowo często, gdyż politycy chętnie kontaktują się z autorami petycji, które co prawda nie przekroczyły wymaganego progu, ale mimo to zgromadziły pokaźne poparcie. Problem jest jednak taki, że są to kontakty nieformalne i do niczego polityków nie zobowiązują. Jak widać, również tutaj narzędzie partycypacyjne jest w fazie testów. Wydaje się jednak, że już teraz cieszy się dużym zainteresowaniem obywateli, a przedstawicielom władzy zależy na jego usprawnieniu.

Porównując rozwiązanie brytyjskie do estońskiego, można stwierdzić pewną przewagę tego pierwszego. Jednym z argumentów są nagie liczby. E-petycje cieszą się dużo większym zainteresowaniem obywateli niż komentowanie rządowych dokumentów. Dlaczego tak jest? Wydaje się, że brytyjski model partycypacji jest bardziej przyjazny obywatelom i łatwiejszy w obsłudze. Napisanie petycji nie jest tak skomplikowane jak próby wpływania na już istniejące projekty. Nie trzeba być ekspertem, żeby móc opisać problem, który dostrzegamy. Powoduje to, że e-petycje są znacznie mniej elitarne niż osale.ee. Warto zauważyć, że e-petycje są dostosowane do obecnego modelu Sieci, tj. Web 2.0 – gdy tylko zbieranie podpisów zostanie uruchomione, linki do odpowiedniej petycji są rozsyłane po najróżniejszych serwisach społecznościowych. Jeśli idea rzeczywiście cieszy się popularnością, to w miarę szybko można zgromadzić odpowiednią liczbę sygnatariuszy.

Można wskazać jeszcze jedną różnicę między oboma rozwiązaniami. Otóż wydaje się, że e-petycje są w miarę spójnym uzupełnieniem systemu demokracji przedstawicielskiej, dzięki któremu kontakt między rządzącymi a społeczeństwem jest trochę lepszy. Natomiast narzędzia takie jak osale.ee zbliżają się w teorii do demokracji bezpośredniej, w której społeczeństwo przygotowuje i głosuje nad odpowiednimi projektami. Na dobrą sprawę można by pokusić się o stwierdzenie, że w Estonii istnieją już załączki infrastruktury niezbędnej do wprowadzenia demokracji bezpośredniej. Widać więc tutaj pewien problem, z którym będą musieli poradzić sobie orędownicy tej formy ludowładztwa. Jeśli różne narzędzia podejmowania decyzji bez udziału wybieralnych przedstawicieli pozostawiają w zaniedbaniu problem niskiego zainteresowania społeczeństwa trudnymi technicznymi zagadnieniami, które są obecne w każdym punkcie ścieżki legislacyjnej, to może się okazać, że proces decyzyjny zostanie bezwolnie przekazany niewybieralnym profesjonalistom, którzy jako jedyni będą dostatecznie kompetentni i zdeterminowani, aby stanowić prawo. Pytanie, na czyją korzyść będą działali ci ludzie.

Podam przykłady form e-partycypacji, które umożliwiają obywatelom wpływanie na losy całego kraju. Wydaje się jednak, że znacznie prościej wprowadzić takie rozwiązania w skali lokalnej. Po pierwsze, ludzie zazwyczaj są bardziej zainteresowani tym,

co dzieje się w ich bezpośredniej bliskości. Po drugie, rezultaty decyzji podejmowanych na poziomie lokalnym są łatwiejsze do zrozumienia przez obywateli, a więc można oczekiwać większego zaangażowania. Po trzecie, łatwiej deliberować w mniejszym gronie. Tezy te potwierdza praktyka, gdyż projektów wprowadzających e-partycypację na szczeblu lokalnym jest zdecydowanie więcej niż tych, które operują w skali państwa. Ciekawym przykładem są wysiłki na rzecz lokalnej e-demokracji w Brazylii, podejmowane m.in. przy tworzeniu budżetu partycypacyjnego w Belo Horizonte. Jak stwierdził Tiago Peixoto, badacz zajmujący się elektroniczną demokracją, **żaden z krajów mających doświadczenia z e-demokracją nie zbliżył się nawet do tego, co udało się dokonać w Belo Horizonte, zarówno pod względem partycypacji obywateli, jak i pozytywnego wpływu na podejmowane decyzje.**

Brazylijskie doświadczenia z budżetem partycypacyjnym sięgają 1989 r. [więcej na ten temat pisaliśmy w poprzednim numerze „Nowego Obywatela” - przyp. redakcji] Natomiast pierwszy eksperyment, polegający na umożliwieniu obywatelom decydowania o lokalnym budżecie przez internet, pojawił się w 2006 r. w Belo Horizonte. Środki, o których mogli decydować mieszkańcy, wyniosły 11 mln dolarów. W tym samym czasie w ramach partycypacji nieelektronicznej mieszkańcy mieli do dyspozycji 43 mln dol. W każdym z dziewięciu dystryktów miasta obywatele mogli wybierać spośród czterech różnych projektów. Ten, który zyskiwał największe poparcie, był realizowany. Jak podaje Tiago Peixoto, mieszkańcy jednego z mniejszych dystryktów wybierali między budową nowego kompleksu sportowego, biblioteki, remontem głównej ulicy albo rewitalizacją głównego targowiska. Koszt każdego z projektów szacowany był na 1,2 mln dol., a najwięcej głosów zdobyło centrum sportowe. Mieszkańcom, prócz oddawania głosów, umożliwiono prowadzenie dyskusji między sobą oraz z władzami. Co jakiś czas dochodziło również do czatów z urzędnikami odpowiedzialnymi za poszczególne projekty. Warto też nadmienić, że **miasto, aby przeciwdziałać cyfrowemu wykluczeniu, zbudowało około 170 e-kiosków umożliwiających głosowanie tym, którzy nie posiadają w domu komputera podłączonego do internetu.**

Jak wyglądało zaangażowanie obywateli? W 2006 r. głosy oddało prawie 173 tys. mieszkańców (ponad 10% uprawnionych!). Dwa lata później, gdy cyfrowy partycypacyjny budżet został podwyższony do 22 mln dolarów, głosowało ok. 124 tys. osób, a w 2011 r. liczba ludzi oddających głosy przez internet zmniejszyła się do 97 tys. Oczywiście trend spadkowy jest zauważalny, ale i tak liczby te przyprowadzają o zawrót głowy i kilkakrotnie przewyższają zaangażowanie obywateli w prace nad budżetem partycypacyjnym *off-line*. Należy jednak zauważyć, że możliwości deliberacyjne, które oferował serwis partycypacyjny, nie są zbyt ochoczo wykorzystywane przez mieszkańców. Stosunkowo

niewiele osób korzystało z możliwości dyskusowania o projektach proponowanych przez miasto.

Peixoto, omawiając badania, których tematem był budżet e-partycypacyjny, zauważa, że dane wskazują, iż **mieszkańcy oddawali swoje głosy tylko w kwestiach, w których czuli się kompetentni. Przypadki, w których głosowano tylko po to, aby oddać głos, były rzadkie. Dodatkowo, nie zaobserwowano żadnych znaczących odchyśleń spowodowanych stopniem zamożności.** Badacz zauważa też, że ok. 1/3 głosów oddawana była spoza miejsca zamieszkania, co może oznaczać, iż bez pośrednictwa internetu ludzie ci nie braliby udziału w procesie podejmowania decyzji.

Jakie są przyczyny tak wysokiego zaangażowania mieszkańców Belo Horizonte? Przede wszystkim należy stwierdzić, że projekty poddane głosowaniu były dużymi inwestycjami, a zatem rezultaty partycypacji są bez trudu dostrzegalne. **Mieszkańcy widzą, że ich głosy mają realny wpływ na wygląd i charakter miasta. Ponadto sam mechanizm jest bardzo prosty i nie wymaga specjalistycznej wiedzy. Każdy obywatel może w miarę szybko wyrobić sobie zdanie, czy woli, aby w okolicy stała biblioteka czy też hala sportowa.** Uważam, że to właśnie tego rodzaju e-partycypacja ma lepszą przyszłość niż narzędzia typu osale.ee. Historia obu projektów pokazuje, że ludzie mają niską motywację do zabierania głosu w skomplikowanych, technicznych sprawach, szczególnie gdy nie są pewni, że ich głos rzeczywiście coś zmieni. Gdy jednak dajemy obywatelom możliwość decydowania w kwestiach konkretnych i mających realne przełożenie na warunki ich życia, zainteresowanie jest dość duże. Sądzę więc, że modele e-partycypacji powinny iść w kierunku dostarczania obywatelom kilku opcji do wyboru, które to opcje mogą cieszyć się rzeczywistym zainteresowaniem.

Przed wielkim wyzwaniem stoją te systemy e-partycypacyjne, które oferują obywatelom podejmowanie decyzji w sprawach niemających bezpośredniego przełożenia na ich los albo te, które są zbyt nudne dla przeciętnego człowieka. Problem ów polega na tym, że z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością można założyć ich nikłą popularność. Skoro tak, to trudno będzie zgodzić się, aby decyzje podejmowane w ten sposób były wiążące dla administracji. To z kolei spowoduje jeszcze mniejsze zaangażowanie społeczeństwa.

A gdzie w tym wszystkim Polska? Szukając materiałów do tekstu, rozglądałem się za przykładami e-partycypacji w naszym kraju. Trafiłem na link, zgodnie z którym w jednym ze średnich polskich miast odbywają się „e-konsultacje”. Ta szumna nazwa kryła jednak za sobą szarą rzeczywistość. Oto „e-konsultacje” oznaczały formularz na stronie WWW, który umożliwiał przesłanie wiadomości do prezydenta miasta...

FILIP BIAŁEK

Nowa demokracja?

MATEUSZ BATELT

Ostatnie miesiące były dla niemieckiej Partii Piratów wyjątkowo udane. Wprowadziła ona przedstawicieli do parlamentów czterech krajów związkowych: jesienią 2011 r. Berlina, a wiosną 2012 r. Saary, Szlezwika-Holsztynu i Nadrenii Północnej-Westfalii. Wybory do Bundestagu przyniosą prawdopodobnie kolejny sukces tej formacji. Wzrostowi popularności PP towarzyszy zainteresowanie jej narzędziami komunikacji wewnątrzpartyjnej.

Jakie są te „pirackie narzędzia”? Prawdopodobnie najchętniej używana jest PiratenPad - internetowa platforma pozwalająca na zbiorowe pisanie tekstów. Oprócz tego członkowie partii na szeroką skalę wykorzystują strony wiki¹ i listy mailingowe. Szczególnym zainteresowaniem cieszy się jednak oprogramowanie o nazwie LiquidFeedback². Służy ono prowadzeniu dyskusji i podejmowaniu decyzji w kwestiach ważnych dla partii, a bazuje na idei demokracji płynnej (ang. *liquid democracy*).

Pojęcie demokracji płynnej zaczęło pojawiać się w dyskusjach internetowych mniej więcej przed dekadą. Dopiero po pewnym czasie utrwaliło się jako termin. - *Demokracja płynna w sposób dynamiczny łączy w sobie elementy demokracji bezpośredniej z przedstawicielską. Opiera się również na propagowanej przez Jürgena Habermasa idei demokracji deliberatywnej, która za centralny aspekt władzy ludu uznaje nie wybory, lecz dyskusję między równymi sobie uczestnikami życia publicznego* - wskazuje Simon Brodnicki z Liquid

Democracy e.V., stowarzyszenia propagującego i rozwijającego tę koncepcję w Niemczech.

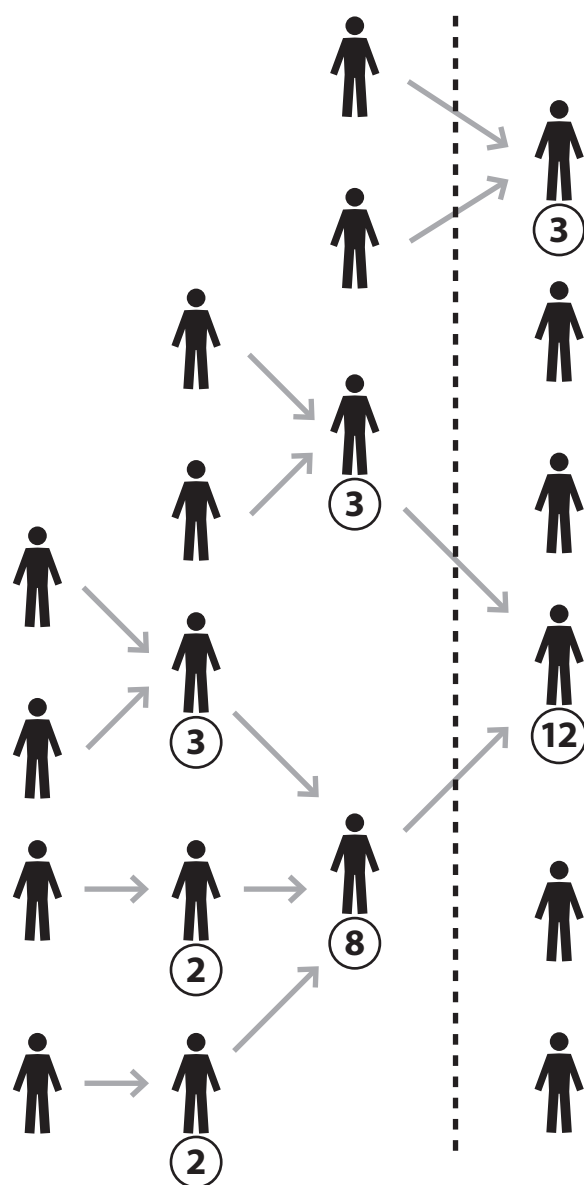
Demokracja płynna rodziła się wraz z rozwojem internetu w wersji 2.0, w erze szybkiej komunikacji między ludźmi. Są to czasy, gdy każdy może w łatwy sposób zostać twórcą - zredagować hasło w internetowej encyklopedii Wikipedia, wrzucić zrobiony przez siebie film na YouTube'a, prowadzić bloga. Na ten okres przypada również wzrost zainteresowania demokracją uczestniczącą. **Ponieważ wyraźnie widoczne jest zjawisko przenoszenia nowych obszarów ludzkiej działalności do sieci, można przypuszczać, iż demokracja płynna będzie zyskiwała na popularności.**

Jeżeli przyjmiemy, że demokracje bezpośrednia i przedstawicielska leżą na przeciwległych biegunach, to demokracja płynna znajduje się gdzieś pomiędzy nimi. W zależności od sytuacji płynnie przechodzi w stronę jednego z krańców - czasem będzie bardziej bezpośrednia, a niekiedy bardziej przedstawicielska. Z faktu tej „płynności” wzięła się jej nazwa.

Demokracja płynna zachowuje zalety obu systemów, jednocześnie niwelując ich wady. W przypadku demokracji przedstawicielskiej obywatele mają do czynienia z różnymi ograniczeniami dotyczącymi uczestnictwa w procesie decyzyjnym. **Głosowanie** odbywa się rzadko, np. raz na 4 lata. Głos oddawany jest na konkretną osobę lub partię. Wyborca może opowiedzieć się zatem za ograniczonym zbiorem postulatów (np. programem partyjnym) bez gwarancji ich realizacji po wyborach oraz bez realnej możliwości odwołania reprezentantów, gdy nie wywiązują się z obowiązków. Z kolei w demokracji bezpośredniej obywatel nie ma zazwyczaj wpływu na treść tego, nad czym głosuje – podsuwane są mu gotowe propozycje, które może poprzeć lub nie.

W systemie demokracji płynnej mamy natomiast różne możliwości, jeśli chodzi o czas trwania głosowania. W zależności od potrzeb może być ono ciągłe, trwać przez pewien okres lub do osiągnięcia określonego kworum. Głosowaniu podlegają tu konkretne kwestie - jak w demokracji bezpośredniej - lecz nad treścią propozycji mogą pracować także głosujący.

Szczególną „nowinką” systemu jest to, że każdy dysponuje jednym głosem, ale w dowolnym momencie może go komuś oddać. W jednej sprawie można zatem decydować samemu, a w innej przekazać głos osobie lub organizacji, którą uznamy np. za bardziej kompetentną od nas. Taki podmiot dysponuje wtedy dwoma głosami, chyba że również odda je komuś innemu (zob. ilustracja). W każdej chwili istnieje możliwość odebrania głosu reprezentantowi i głosowania zgodnie z własną wolą. Można przewrotnie rzec, że dzięki temu mechanizmowi mamy prawo nie dysponować wystarczającą wiedzą, nie mieć czasu lub zwyczajnie ochoty, żeby w danej kwestii zająć stanowisko.



Elastyczne przekazywanie głosów (*delegated voting*) to kluczowy element demokracji płynnej.

Pomysł, choć prosty, jest – nie bójmy się użyć tego słowa – rewolucyjny. Nie chodzi o to, żeby wyrzucić urny wyborcze i przenieść całą aktywność obywatelską do internetu – nawet członkowie Partii Piratów nie rezygnują przecież z aktywności w świecie rzeczywistym. Wykorzystując mechanizmy demokracji płynnej można jednak skutecznie zdemokratyzować proces decyzyjny nie tylko w partiach politycznych, ale także w organizacjach obywatelskich oraz takich miejscach, jak np. redakcja czasopisma, komisja parlamentarna czy samorząd lokalny. W ten sposób u zaangażowanych osób powoli tworzy się świadomość demokratyczna. Na tym polega rewolucyjność koncepcji – swoisty efekt kuli śnieżnej może sprawić, że demokratyczne uczestnictwo obywateli stanie się

coraz powszechniejsze i będzie się rozlewać na kolejne szczeble decyzyjne w rozmaitych dziedzinach życia.

Oprócz LiquidFeedback istnieją inne platformy bazujące na idei demokracji płynnej. Na szczególną uwagę zasługuje Adhocracy, z którego korzysta coraz więcej osób i organizacji. Adhocracy, podobnie jak LiquidFeedback, zostało udostępnione na wolnej licencji. Oznacza to, że każdy może bezpłatnie korzystać z tej platformy, a także dostosować ją do własnych potrzeb – jej kod źródłowy dostępny jest dla każdego, co zapewnia również przejrzystość i bezpieczeństwo całego systemu. Interfejs Adhocracy nie jest szczególnie skomplikowany, a proces rejestracji przebiega szybko. – *Pracujemy nad Adhocracy już kilka lat, ale przed nami jeszcze długa droga. Staramy się, aby oprogramowanie stało się jeszcze bardziej przyjazne dla użytkowników i miało coraz więcej przydatnych opcji* – mówi Simon Brodnicki.

Każdy podmiot – zarówno pojedyncza osoba, jak i organizacja społeczna lub partia polityczna – może założyć w ramach Adhocracy grupę użytkowników. Grupy są autonomiczne i zarządzane przez ich członków. Uczestnicy zgłaszają tematy do dyskusji: na przykład debatę wokół statutu przyszłego stowarzyszenia, wprowadzenie zmian do programu partyjnego lub inny dowolny problem, nad którym chcą kolektywnie pracować. Przykładem może tu być przygotowywanie projektu statutu organizacji, który został opublikowany na stronie grupy w Adhocracy i z którym każdy może się zapoznać. Jednemu z członków nie podobają się fragmenty projektu, więc zgłasza propozycję ich zmiany. Od tego momentu rozpoczyna się dyskusja. Inni członkowie grupy mogą oceniać i komentować jego pomysł.

Praca nad treścią propozycji przypomina tworzenie haseł w Wikipedii. Podobnie jak w internetowej encyklopedii, cały proces jest wyjątkowo szybki, poza tym można w łatwy sposób sprawdzić kto, kiedy oraz jakich zmian dokonał. Zapewnia to transparentność i daje możliwość łatwego powrotu do tekstu we wcześniejszym brzmieniu. System pozwala też oceniać komentarze wpisywane przez innych użytkowników, dzięki czemu, podobnie jak w niektórych serwisach internetowych, tworzy się hierarchia wpisów. Ocen można dokonywać osobiście lub przekazując uprawnienia innemu użytkownikowi. Wyobraźmy sobie sytuację, kiedy swoje pomysły zgłasza też inny członek grupy. Od tego momentu użytkownicy mają do dyspozycji dwie propozycje zmian, które mogą oceniać i komentować. Istnieją zatem trzy wersje projektu statutu – oryginalna oraz te zaproponowane przez członków. Po ostatecznym głosowaniu uznana za obowiązującą jest ta wersja, która zdobyła największą liczbę głosów. Użytkownicy mogą głosować osobiście lub przekazać głos komuś innemu. W każdej chwili delegacja ta może zostać odwołana. W głosowaniu decyzje zapada ją większością zwykłą lub kwalifikowaną ($\frac{2}{3}$ głosów),

w zależności od wybranych ustawień. Można również określić ramy czasowe całej dyskusji.

Dostępna dla wszystkich wersja Adhocracy znajduje się pod adresem adhocracy.de. W momencie pisania tego artykułu liczyła ponad 12 tys. zarejestrowanych użytkowników. – *Organizacjom, które są zainteresowane oficjalnym wykorzystaniem Adhocracy, oferujemy dwie możliwości. Mogą założyć zweryfikowaną grupę na głównej stronie Adhocracy lub stworzyć spersonalizowaną wersję platformy, dostępną pod wybranym adresem internetowym* – wyjaśnia Viola Lebro z Liquid Democracy e.V. Jak dotąd z tej możliwości skorzystało kilka podmiotów.

Pierwszym było stowarzyszenie Mehr Demokratie e.V. Organizacja powstała w 1988 r., a za cel stawia sobie wspieranie i rozwój demokracji bezpośredniej. Mehr Demokratie jest więc idealnym odbiorcą oferty Adhocracy. Stowarzyszenie wykorzystało mechanizmy demokracji płynnej do debaty nad własną strategią. Propozycje, które powstały w internecie, były następnie przedmiotem dyskusji podczas walnego zgromadzenia członków organizacji.

Od października 2010 r. do lipca 2011 r. z kolei władze Monachium przeprowadziły konsultacje społeczne poświęcone takim kwestiom, jak e-administracja, formy partycypacji obywatelskiej przez internet oraz wolny dostęp do informacji. Za pomocą Adhocracy ok. 600 osób pracowało nad pomysłami, które następnie trafiły na biurko burmistrz Monachium, Christine Strobl. Autorom pięciu propozycji dotyczących administracji i partycypacji przez internet przyznano nagrody.

W ubiegłym roku Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (SPD) wezwała członków i sympatyków do udziału w dyskusji pod tytułem „Praca i gospodarka w społeczeństwie cyfrowym”. Debata zorganizowana została na specjalnie w tym celu przygotowanej stronie Adhocracy i przyciągnęła 416 obywateli – autorów 77 propozycji, pod którymi znalazło się 287 komentarzy. W jej trakcie opracowano dokument zatytułowany „Wolność, sprawiedliwość i solidarność w społeczeństwie cyfrowym”, który został przyjęty na grudniowym kongresie partii.

Następnie w styczniu 2012 r. frakcja parlamentarna SPD rozpoczęła internetową debatę pod tytułem „Dialog o przyszłości”. Socjaldemokraci ponownie zdecydowali się na użycie mechanizmów demokracji płynnej. Celem projektu jest z jednej strony zachęcenie obywateli do udziału w polityce, a z drugiej zwiększenie transparentności procesu podejmowania decyzji. Debata cieszy się dość dużą popularnością – do tej pory zarejestrowało się ponad 1900 osób, które oddały ponad 7410 głosów.

Kolejnym samodzielnym projektem korzystającym z Adhocracy jest OffeneKommune. Serwis skierowany jest do osób i podmiotów zainteresowanych losami swoich gmin i powiatów: zwykłych obywateli,

radnych, urzędników, organizacji społecznych, partii politycznych i przedsiębiorstw. Projekt wystartował w marcu 2012 r., a jego celem jest przyciągnięcie jak największej liczby przedstawicieli samorządów lokalnych z terenu Niemiec. Do tej pory zarejestrowały się w nim 784 osoby, a swoje grupy założyły miasta Stuttgart, Regensburg i Pfaffenhofen an der Ilm oraz powiat Rheingau-Taunus. Łącznie użytkownicy utworzyli 91 propozycji, napisali 308 komentarzy i oddali 4019 głosów.

Interesujący eksperyment z demokracją płynną przeprowadziło również niemieckie czasopismo „ZEITmagazin”. Od początku marca do końca kwietnia 2012 r. wszyscy zainteresowani mogli wziąć udział w dyskusji mającej na celu wyłonienie tematów, które zostaną poruszone w jednym z numerów. W przedsięwzięcie zaangażowało się łącznie 2699 osób, które zgłosiły 452 propozycje. Aby wykluczyć możliwość wykorzystania projektu do działań marketingowych i lobbujących, redakcja pozostawiła sobie prawo zdecydowania, które z tematów poddawanych głosowaniu trafią do gazety. „ZEITmagazin” zaprosił wszystkie osoby, których pomysły zdobyły największą liczbę głosów, na specjalną konferencję, podczas której wyłoniono ostatecznie cztery propozycje tematów.

W marcu 2010 r. wszystkie frakcje Bundestagu zgłosiły wspólny wniosek powołania komisji mającej na celu zebranie opinii dotyczących internetu i społeczeństwa cyfrowego. Jej zadaniem jest przygotowanie raportu zawierającego wytyczne do dalszych działań. Ma on zostać ukończony do grudnia 2012 r., a następnie stanie się przedmiotem debaty w niemieckim parlamencie. *Komisja pragnie włączyć do swoich prac jak największą liczbę obywateli. Informacje dotyczące jej działalności publikowane będą na stronie internetowej Bundestagu regularnie i w sposób jak najbardziej przejrzysty. Znajdą się tam również narzędzia pozwalające wszystkim zainteresowanym wpływać na prace komisji* – czytamy na stronie niemieckiego parlamentu. Komisja zaprosiła jako „osiemnastego eksperta” obywateli, którzy dostali możliwość udziału w jej pracach za pośrednictwem platformy Adhocracy. Jak dotąd w systemie zarejestrowało się 2960 osób, które głosowały prawie 14 tys. razy.

Powyższe przykłady są chyba najlepszym dowodem na to, że koncepcja demokracji płynnej jest atrakcyjna nie tylko dla członków Partii Piratów. – *Między innymi niemieckie partie polityczne coraz częściej zainteresowane są demokracją płynną. Rzecz jasna słyszymy również wiele krytycznych głosów, ale w przypadku nowych pomysłów jest to zjawisko naturalne. Poza tym krytyczne spojrzenie sprawia, że koncepcja dojrzewa, zarówno pod względem teoretycznym, jak i praktycznym* – zauważa Simon Brodnicki. Coraz więcej osób dostrzega, że internet zapewnia infrastrukturę, która może być bardzo dobrym uzupełnieniem klasycznych mechanizmów podejmowania decyzji. – *Oczywiście musimy jeszcze*



© Leo Reynolds, <http://www.flickr.com/photos/lwr/7446611644/>

trochę poczekać, ale przewiduję, że realna jest partycypacja obywatelska za pośrednictwem takich platform jak Adhocracy na poziomie gmin czy regionów – dodaje Brodnicki.

O ile za naszą zachodnią granicą idea demokracji płynnej od dłuższego czasu gości w mediach i znajduje praktyczne zastosowanie, o tyle w Polsce jest to temat nadal nieobecny. Nadszedł czas, żeby to zmienić. Jeśli bowiem chcemy, aby wiek XXI był wiekiem demokracji, musimy sięgać po wszystkie narzędzia, które pomogą nam w realizacji tego zamierzenia.

MATEUSZ BATELT

Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”, wydawca „Nowego Obywatela”, rozpoczęło współpracę z Liquid Democracy e.V. w celu przygotowania polskiej wersji językowej platformy Adhocracy. Strona projektu: www.demokracjaplynnna.org.

Przypisy:

1. Jak możemy przeczytać w Wikipedii, najpopularniejszym portalu wykorzystującym mechanizm wiki, *wiki to typ serwisu internetowego, w którym treść tworzona i zmieniana jest w prosty i szybki sposób, z poziomu przeglądarki internetowej*.
2. LiquidFeedback stworzone zostało w 2008 r. Nad jego rozwojem pracuje obecnie niemieckie stowarzyszenie Interaktive Demokratie e.V. Z oprogramowania korzystają, oprócz niemieckiej, również Partie Piratów w Szwajcarii, Austrii i Brazylii. Polskojęzyczna wersja LiquidFeedback dostępna jest pod adresem: <http://lf.liquiddemocracy.pl/>

Podzielmy się[©]

NATALIA ĆWIK

Carpooling, swap, couchsurfing, turystyka społecznościowa – to tylko kilka trendów, które w ostatnich latach zmieniają oblicze globalnej konsumpcji. Eksperci widzą w tym zmianę nawyków konsumpcyjnych, która pozwala zmniejszyć stopień eksploatacji cennych zasobów. Tymczasem dla większości osób uczestniczących w tej „nowej konsumpcji” jest to po prostu wielka oszczędność. Choć nie tylko – w świecie ekonomii dzielenia się chodzi również o relacje między ludźmi.

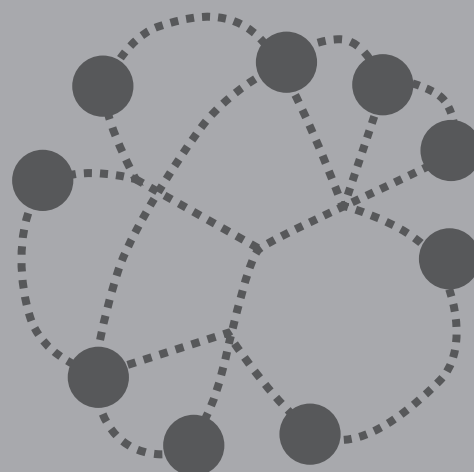
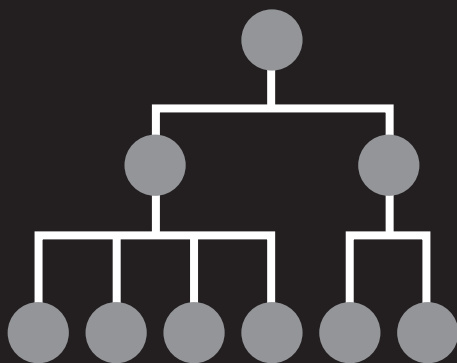
W filmie „The Story of Stuff” amerykańska aktywistka Annie Leonard prezentuje pewien „system”. Jak wyjaśnia, obecnie znajduje się on w kryzysie. Ten system to sekwencja opisująca działania współczesnych gospodarek: od eksploatacji zasobów, poprzez produkcję, konsumpcję, po wyrzucenie. System powinien być zamknięty, uwzględniając w możliwie największym stopniu recykling i inne formy utylizacji odpadów. Tak jednak nie jest. Annie wyjaśnia: każdego roku produkujemy, konsumujemy i wyrzucamy miliony ton rzeczy (tytułowe „stuff”). Przez ostatnie 50 lat zużyliśmy więcej zasobów niż wszystkie poprzednie pokolenia. Jakże często kupujemy coś, co nie jest nam w zasadzie potrzebne, i wyrzucamy rzeczy, które nie są wcale zużyte, a jedynie postrzegamy je jako nieprzydatne lub niemodne (co innego jeśli zostały, jak to określa Annie, „zaprogramowane na śmietnik”, czyli skonstruowane tak, aby szybko się zepsuły i konsument musiał zakupić kolejne). Czy jest sposób, aby temu zapobiec? *Sharing economy* – ekonomia dzielenia się – wydaje się jednym z kół ratunkowych dla

„systemu w kryzysie”. Na dodatek zbliża do siebie ludzi żyjących w zatamizowanych społeczeństwach.

Kup dziurę zamiast wiertarki

Upowszechnienie internetu diametralnie zmieniło sposób, w jaki funkcjonujemy jako jednostki i społeczności, a także jako konsumenci. Nie od razu jednak nauczyliśmy się z niego korzystać w ten sposób. *File sharing*, *peer2peer* i inne elementy wirtualnego dzielenia się były z początku domeną fachowych informatyków i pasjonatów nowych technologii – tak powstawało oprogramowanie typu *open source*. Dopiero później analogiczne mechanizmy zastosowano do sprzedaży, wymiany i kontaktów (media społecznościowe).

Im bardziej internet stawał się „społecznościowy”, tym bardziej sprzedaż za jego pośrednictwem odchodziła od klasycznych schematów. W internecie standardowa relacja klient – producent, w której to producent rozdaje karty, została zastąpiona relacją równorzędną, jeśli nie wręcz odwróconą. Ponadto, w momencie, gdy nauczyliśmy się wykorzystywać



©© opensourceway, <http://www.flickr.com/photos/opensourceway/4404008626/in/photostream/>

internet do wymiany dóbr, a nie tylko do ich kupna, rola producenta zmalała. Zaczął on stawać się w coraz większym stopniu pośrednikiem, a niekiedy jest wręcz z transakcji eliminowany.

W 2010 r. Rachel Bootsman i Roo Rogers wydali książkę o tytule, który z czasem wszedł do użytku jako określenie nowego typu konsumpcji – „Collaborative Consumption”, czyli konsumpcja „współpracująca” lub oparta na współdzieleniu. Publikacja jest błyskotliwą syntezą trendów, które pojawiały się od kilku lat na Zachodzie, a obecnie przybrały globalny charakter. *Collaborative consumption* (CC) to konsumpcja oparta na systemie redystrybucji. „System w kryzysie” przestaje więc mieć charakter linearny, staje się systemem zamkniętym, o jakim marzy wspomniana Annie Leonard. Zamiast stale kupować i wyrzucać lub kupować i składować (w USA ogromne powierzchnie wynajmowane są wyłącznie w celu magazynowania nieużywanych dóbr), zaczynamy dzielić się tym, co posiadamy, najczęściej wykorzystując internet jako pośrednika w „transakcji”.

Wymianie czy redystrybucji podlegają nie tylko konkretne przedmioty, ale również czas i przestrzeń. Transakcje nierzadko odbywają się bezgotówkowo, na zasadzie barteru, w którym wartość dla „sprzedającego” może mieć charakter pozamaterialny. Na przykład osoby udostępniające miejsce w swoim samochodzie w ramach systemu *carpooling* nie zawsze oczekują zapłaty. Niekiedy wystarczy im, że podczas drogi do pracy lub w inne miejsce mają towarzystwo – pasażera, z którym można porozmawiać. CC rozwiązuje też problem nadmiaru kupowanych towarów. W USA powstały serwisy umożliwiające „wynajmowanie” narzędzi domowych – jeżeli, dajmy na to, chcemy zawiesić w domu półkę i potrzebna jest nam wiertarka, ale wiemy zarazem, że nie będziemy z niej częściej

korzystać, to zamiast kupić, możemy ją wypożyczyć od kogoś z okolicy na godzinę lub dobę...

Dzielenie się w praktyce

Niektóre trendy zaliczane do *collaborative consumption* znane są w Polsce już od jakiegoś czasu. Jest to np. *couchsurfing* – oferowanie „wolnej kanapy” przyjezdnym z różnych stron świata jako alternatywa dla hotelu, co przy okazji skutkować może nawiązaniem ciekawej znajomości. Inny przykład to *carpooling*, system łączący kierowców posiadających wolne miejsca w samochodzie oraz osoby szukające taniej podwózki. Istniejące na świecie serwisy społecznościowe umożliwiają dziś prawie wszystko – udostępnianie przestrzeni samochodu, garażu, własnego ogródka (jeżeli ktoś nie posiada działki, a chciałby od czasu do czasu zająć się ogrodnictwem), narzędzi... A nawet... ludzi – od niedawna działa w Polsce serwis **Babcie do Wynajęcia**, kontaktujący osoby szukające niani z „babciami”, starszymi kobietami, które chciałyby spędzać czas, zajmując się dziećmi.

Oprócz prostej wymiany taka forma konsumpcji może też zapewniać określone przeżycia. Ciekawym przykładem jest serwis **Vayable**, wpisujący się w nurt tzw. turystyki społecznościowej. Osoby szukające niestandardowych sposobów na spędzenie wakacji mogą za pośrednictwem Vayable skorzystać z oferty nieprofesjonalnych przewodników – mieszkańców różnych miejsc na świecie. Oferują oni nietypowe wycieczki. Artysta *street art* za niewielką opłatą pokaże najlepsze dzieła „gatunku” w swojej okolicy, pewien bezdomny z San Francisco za 100 dolarów oprowadza po „podziemiach” miasta, ktoś inny zorganizuje dla turystów improwizowany obiad albo zaprosi na warsztaty malarskie połączone z przejażdżką rowerami po artystycznych zakątkach miasta. Taka forma spędzania

wolnego czasu nie tylko umożliwia nawiązanie ciekawych znajomości i zaoszczędzenie części środków przewidzianych na wyprawę (oferty profesjonalnych biur podróży są znacznie droższe), ale też rozwija kreatywność i pozwala spojrzeć na dane miejsce oczami „tubylców”.

Dla osób, które lubią konsumować stadnie, a do tego kochają jedzenie, powstał serwis **Eat With Me**. Dzięki tej platformie każdy może zorganizować wspólne gotowanie lub wyjście do restauracji i zaprosić osoby o podobnych upodobaniach kulinarnych, oczywiście przebywające w tej samej okolicy. Z serwisem związany jest także trend *pop-up restaurants* - improwizowanych na szybko jednorazowych spotkań kulinarnych. Dzięki takiemu systemowi można oszczędzić na przygotowywaniu posiłków (uczestnicy wspólnego konsumowania kupują składniki na spółkę) i dodatkowo spędzić czas z nowo poznanymi osobami, które lubią ten sam typ posiłków.

Ważne cele projektów z nurtu *collaborative consumption* to m.in. ominięcie komercyjnych pośredników i stworzenie lokalnej alternatywy dla wielkiego biznesu. Serwisy, które umożliwiają bezpośredni kontakt między kupującymi a sprzedającymi czy też „dzielącymi się”, to często dobry sposób na ograniczenie kosztów transakcji. Portale umożliwiają organizowanie się lokalnych społeczności - jak np. amerykański ShareMyStorage.com, dzięki któremu mieszkańcy różnych miejscowości mogą udostępniać sobie nawzajem przestrzeń magazynową (w formie piwnic, strychów, garaży), wykorzystując nieużywane przestrzenie swoich posesji, zamiast korzystać z hal magazynowych wynajmowanych odpłatnie przez specjalistyczne firmy, pobierające za to wysoką opłatę i sytuujące magazyny daleko za miastem.

W kwestii dzielenia miejsc i współużytkowania przestrzeni istotnym trendem, zarówno w Polsce, jak i za granicą, jest *coworking* - wynajmowanie miejsca we wspólnej, otwartej przestrzeni biurowej. Dzięki współpracy w jednym miejscu można zaoszczędzić na kosztach prowadzeniu biura, pracować komfortowo, współużytkując drukarki czy komputery, a także poznawać nowe osoby, niejednokrotnie przedsiębiorców czy *freelancerów* o podobnych upodobaniach, co skutkować może wspólnymi projektami. Przestrzenie coworkingowe funkcjonują w prawie wszystkich większych miastach w Polsce, jak np. **Komin73** na warszawskiej Pradze.

Popularne stały się również najprostsze formy wymiany i wyprzedaży. Są to *swapy* - organizowane w różnych miastach w Polsce akcje wymiany nieużywanych ubrań - oraz, od niedawna, *wyprzedaże garażowe*, wzorowane na amerykańskich spontanicznych lokalnych targowiskach, na których mieszkańcy okolicy mogą sprzedać nieużywane przedmioty dowolnego rodzaju. Wymiany i wyprzedaże mogą mieć też charakter tematyczny - popularne są np. swapy odzieży



©©© kalebdf, <http://www.flickr.com/photos/kalebdf/700246709/>

dla dzieci - dla doświadczonych matek niby nic nowego, bo często przekazuje się ubranka rodzinie lub znajomym, jednak swap pozwala na zwiększenie liczby odbiorców i oferty. Na „garażówkach” i *swapach* określenie wartości czy też równowartości przedmiotów jest kwestią negocjacji, a dzięki temu systemowi nieużywane ubrania, meble, książki i inne rzeczy wchodzi do systemu redystrybucji. To, czego nie chcemy lub nie możemy (w obliczu nadmiaru) wykorzystać, zostaje zagospodarowane przez innych, a następnie może być znowu przekazane, wymienione i tak na okrągło...

Wymianie podlegają nie tylko przedmioty, ale też wiedza, doświadczenie, przeżycia i czas. Dostęp do nich staje się coraz częściej naturalny. Szczególnie w dziedzinie wiedzy postęp ten niesie kolosalne przemiany - nurt tzw. otwartych innowacji (Open Innovation) pokazuje, że dzielenie się wiedzą może być bardziej kreatywne i efektywne niż jej żelazna ochrona. Rozumieją to coraz bardziej także przedsiębiorcy, osuwając się stopniowo z zaletami wolnych licencji (Creative Commons). W Polsce póki co jest ich jeszcze mniej niż garstka. Wybijającym się przykładem jest marka **Hedoco** - pierwsza w naszym regionie, która produkuje i sprzedaje w formule *open design*. Klient może być dzięki temu jednocześnie projektantem, nabywcą, a nawet producentem. Marka przygotowała ideowy manifest: *Wierzimy, że projektowanie i produkowanie to współtworzenie świata, nie tylko materialnego - świata potrzeb, rozwiązań i nowych wyzwań. Chcemy, by ten świat był lepszy, mniej zaśmiecony i dostępny dla wszystkich. Tworzymy markę społecznego odpowiedzialnego designu, której projekty dostępne są dla wszystkich użytkowników. Każdy ma możliwość*



© Jeffrey Beall, <http://www.flickr.com/photos/denverjeffrey/4084575464/>



© Tania Liu, <http://www.flickr.com/photos/75511860@N00/3876522307/>

samodzielnie wykonać projekt Hedoco z własnych materiałów, według założeń przez nas udostępnionych. Może wykorzystać własny, nadmiarowy materiał, użyć materiałów z recyklingu. [...] Wierzymy w swobodę korzystania z przedmiotu zamiast bycia niewolnikiem jego funkcji.

Na progu rewolucji

System *collaborative consumption* wydaje się w swoich założeniach banalny – dzielimy się i wypożyczamy zamiast kupować. Do tego, jeśli prześledzić genezę CC, można dojść do wniosku, że nie jest to trend zupełnie nowy, lecz raczej odrodzenie zapomnianej wspólnotowości w nowym, współczesnym wydaniu. Polakom ów system wydaje się podejrzanie znajomy – czyż nie tak właśnie radziliśmy sobie w czasach PRL-owskich niedoborów? Zdaniem Botsman i Rogers za tym prostym schematem kryje się jednak wielka rewolucja.

Po pierwsze: dostęp staje się ważniejszy niż posiadanie. Przez ostatnie dwie dekady byliśmy wychowywani w przekonaniu, że jedynie posiadanie czegoś na własność daje gwarancję materialnej stabilności. Mieszkania, samochody i wszelkie inne przedmioty (a w ostatnim czasie także dobra intelektualne) stały się totemami niezależności. Świat ogarnięty jest zresztą manią patentowania – wiedza także stała się towarem, który ludzie chcą posiadać na własność czy wręcz na wyłączność. *Collaborative consumption* zmienia nasze podejście do tej kwestii. Pokazuje, jak stwierdzają wspomniani autorzy, że dla współczesnego człowieka *dostęp jest przywilejem, a własność ciężarem*.

Po drugie: dzięki społecznościowemu charakterowi wymiany *uczymy się na nowo zaufania w relacjach o charakterze wymiany handlowej*. Uczestnictwo w tym systemie wymaga wzajemnej ufności

stron, bo transakcje w serwisach pod tym szyldem nie polegają na zawieraniu wielostronicowych umów z zapisami o zabezpieczeniach i karach. Oczywiście, różne rozwiązania technologiczne stosowane przez portale wymiany pomagają w pewnym stopniu weryfikować użytkowników (konieczność logowania, oceny kontrahentów, weryfikacja przez serwis pośredniczący itp.), z reguły jednak serwisy przyciągają ludzi bardziej otwartych na relacje z innymi. *Technologia przywraca dawne formy zaufania* – tłumaczą Botsman i Rogers. *Aby konsumenci uwolnili się od kulturowo zakodowanego kultu posiadania, musimy pokazać im, że dzielenie się jest wygodniejsze i tańsze od konsumpcji.*

Po trzecie: *collaborative consumption ratuje społeczeństwa od atomizacji i skrajnego indywidualizmu*. Niewątpliwie wyróżniającą cechą nowego typu konsumpcji (ale też komunikacji) jest to, że oprócz satysfakcji z wymiany, oszczędności i zaradności mamy też satysfakcję z przynależenia do wspólnoty. *Ludzie uświadamiają sobie, że posiadanie wyłącznie po to, aby mieć coś na wyłączność, jest mniej istotne niż przynależenie.*

Po czwarte: nowy styl konsumpcji wpisuje się w koncepcję zrównoważonego rozwoju. Nie jest to dla większości użytkowników cel sam w sobie, a raczej efekt uboczny nowego systemu. Więcej – zdaniem Botsman i Rogers, większość osób korzystających z systemu wymiany w żaden sposób nie popiera idei zrównoważonego rozwoju. Przeciwnie, są to zwolennicy kapitalizmu „w starym stylu”, a jednak dostrzegają w nowym systemie ogromne zalety, przede wszystkim oszczędność i tzw. dobrą okazję. Dzięki rosnącej modzie na dzielenie się coraz więcej ludzi dokonuje akcesu do cyklu wymiany, a tym samym nieświadomie

przyczynia się też do ochrony zasobów i surowców. Pokazywanie, że „inni też tak robią”, jest często dużo bardziej skuteczne niż odwoływanie się do czyjegoś poczucia społecznej odpowiedzialności czy apelowanie o zachowanie zasobów dla przyszłych pokoleń.

Ile idei, ile kalkulacji?

Nie bez przyczyny ekonomia dzielenia się zaczęła rozkwitać w czasach kryzysu i to w kraju, w którym przybrał on najbardziej spektakularne oblicze. Idee dzielenia się, wspólnotowości i ochrony środowiska są oczywiście urzekające, ale nie oszukujmy się - wartości te nie są (i może nigdy nie będą) kluczowe dla większości konsumentów na świecie. Kwestia ceny i wygody pozostaje kluczowa.

Collaborative consumption wydaje się doskonałą ofertą w czasie gospodarczego osłabienia, ponieważ pozwala ominąć tradycyjnych komercyjnych pośredników i zaoszczędzić spore środki. Dla osób udostępniających miejsce w samochodzie w systemie carpooling jest to niezły sposób na zmniejszenie kosztów benzyny. Polska strona serwisu w ten sposób zachęca potencjalnych użytkowników: *Obserwowane od kilku tygodni wzrosty cen paliw uszczuplają zawartość portfela niejednego kierowcy. Jednym z najprostszych sposobów na oszczędności jest znalezienie pasażerów i podzielenie się z nimi kosztami przejazdu. Podział kosztów dotyczyć może nie tylko wydatków na paliwo, ale także*

opłat za przejazd autostradą czy postój na parkingu. [...] Carpooling to oszczędność pieniędzy nie tylko po stronie kierowcy, ale także pasażera. Z Krakowa do Katowic można pojechać już za 7 zł, z Wrocławia do Drezna - za jedyne 60 zł. To zdecydowanie taniej niż pociągiem, a przy tym o wiele wygodniej.

Jaka jest zatem wartość ekonomii dzielenia się? Rachel Bootsman ocenia, że wartość rynku CC wynosi ok. 110 miliardów dolarów. Sam rynek zaś rozwija się w zawrotnym tempie, a serwisy umożliwiające społecznościowe finansowanie (crowdfunding - w Polsce niestety niewykonalny ze względu na brak odpowiednich przepisów!), reprezentowane przez takie znane światowe serwisy, jak Kickstarter czy Indiegogo, umożliwiają opłacenie innowacyjnych przedsięwzięć i uniezależniają od kredytów bankowych. Umair Haque, ekspert ds. ekonomii, uważa, że *collaborative consumption* to potężna zmiana i poważne zagrożenie dla tradycyjnego biznesu. *Jeśli ludzie, dawniej określani jako konsumenci, zaczną konsumować o 10% mniej, a dzielić się o 10% bardziej, skutki ekonomiczne dla tradycyjnych korporacji będą nieproporcjonalnie większe, co oznacza, że niektóre branże będą musiały się przekształcić albo przygotować do zatonięcia w ruchomych piaskach przeszłości.*

NATALIA ĆWIK

REKLAMA



Jedyne w Polsce pismo poświęcone bezkompromisowej ochronie dzikiej przyrody

Piszemy o:

- kampaniach w obronie przyrody**
- filozoficznych aspektach ochrony przyrody**
- poglądach intelektualistów i osób publicznych na problemy środowiska naturalnego**
- demaskujemy szkodliwe działania**

Kupisz w salonach prasowych **EMPIK i RUCH** oraz w wersji elektronicznej w: **eGazety.pl i e-Kiosk.pl**

Prenumeratę można zamówić na stronie: pracownia.org.pl/dzikie-zycie

Redakcja: Pracownia na rzecz Wszystkich Istot
ul. Jasna 17, 43-360 Bystra, tel./fax: 33 817 14 68
redakcja@pracownia.org.pl

GOSPODARKA SPOŁECZNA

Nr 6(13)
MMXII

DODATEK EKONOMICZNY DO KWARTALNIKA „NOWY OBYWATEL”



W WYDANIU

UWAGA NA JEDNORĘKICH EKONOMISTÓW! • Rozmowa z prof. Elżbietą Mączyńską	72
ZWIĄZKI PRACUJĄCYCH INACZEJ • Joanna Jurkiewicz, Przemysław Wewiór	78
ZDOLNI DO WSZYSTKIEGO • Konrad Malec	84
DOTACJA NA GODNE ŻYCIE • Michael Lind, Lauren Damme	90
OBIECYWALI JAK NIGDY, NIE DOTRZYMALI SŁOWA JAK ZAWSZE, czyli społeczna odpowiedzialność biznesu po polsku • Przemysław Wewiór	97
BIURA KARIERY CZY ILUZJI? • dr Mieczysław Groszek	104

Uwaga na jednorekich ekonomistów!

z prof. Elżbietą Mączyńską
rozmawia Michał Sobczyk

- **Jaki jest przeciętny poziom wiedzy ekonomicznej Polaków?**

- **Elżbieta Mączyńska:** Niestety kiepski. Jednak życie coraz częściej zmusza nas, by zacząć interesować się ekonomią. Niekiedy odbywa się to bardzo boleśnie: wiele osób straciło na giełdzie, zaciągnęło kredyty, z którymi sobie teraz nie mogą poradzić, albo powierzyło pieniądze funduszom inwestycyjnym i nie uzyskało spodziewanych zysków. Uczenie się poprzez takie „ekonomiczne kopniaki” zamiast na błędach innych ma swoje źródło jeszcze w poprzednim ustroju. Gdy nie było gospodarki rynkowej, lecz nakazowa, zwykli obywatele czuli się zwolnieni z głębszych rozważań na temat sensu ekonomicznego poszczególnych rozwiązań i decyzji. Problematyka ta była również zaniedbywana w programach kształcenia, co jest problemem także dziś.

Niedoścignionym na razie wzorem może być dla nas system edukacyjny w Niemczech. Już na szczeblu nauczania początkowego zamiast „Ala ma Asa” uczy się dzieci „Ala miała 2 euro i kupiła zabawkę”. Następnie maluchy dyskutują na temat gospodarowania budżetem domowym, a przy okazji tych prostych lekcji przemyca się bardzo poważne kategorie ekonomiczne. Na wyższych szczeblach kształcenia bardzo dużo miejsca zajmuje tematyka gospodarcza, wykładana w ramach innych przedmiotów, np. kiedy młodzież uczy się angielskiego, przekazuje się jej informacje ekonomiczne na temat różnych krajów w języku angielskim. Podczas nauki o procentach matematyk wyjaśnia, co to znaczy oprocentowanie konta, jak można

oszczędzać itp. To dość proste metody, jednak dzięki nim Niemcy lepiej rozumieją powiązania między ekonomią a innymi sferami rzeczywistości.

Oczywiście nie twierdzę, że każdy musi być wielkim znawcą ekonomii, ale jej elementarz powinni znać wszyscy. Jeśli jest inaczej, to znaczy, że system edukacyjny zawodzi. Nieprawidłowości jest tutaj mnóstwo, np. prawnicy otrzymują podczas studiów za mało wiedzy ekonomicznej.

- **Wiedzę i opinie Polaków na tematy ekonomiczne kształtuje nie tylko szkoła, ale przede wszystkim media.**

- Prowadzono badania, ile przeciętny obywatel rozumie z informacji przekazywanych w telewizji. Okazało się, że bardzo niewielki procent. Dużo w tym winy samych mediów.

Ktoś, kto zdaje sobie sprawę z własnych niedostatków wiedzy ekonomicznej, nadal może być świetnym dziennikarzem, bo będzie ciągle zadawał pytania. Tymczasem większość dziennikarzy, gdy im jakiś ekspert powie „tu nastąpiło przelewarowanie”, mówi „aha” i nikt nie wie, o co chodzi – choć to dość proste do wyjaśnienia. Myślę, że boją się zadawać pytania, mając świadomość swojej niewiedzy, a to błąd. Powinni jak najczęściej stawiać po stronie widza, który może nic nie rozumieć z tego żargonu. Rolą mediów jest informować ogół społeczeństwa, nie tylko ekonomistów. Ekonomista będzie szukał informacji w swoich, profesjonalnych źródłach, a tu chodzi o to, żeby podać je w sposób prawidłowy, ale prosty. Oczywiście



są obszary bardzo złożone, jak modelowanie matematyczne, ale podstawy ekonomii można wyjaśnić tak, że przeciętny obywatel je rozumie.

- **Czytając lub słuchając niektórych dziennikarzy można wręcz odnieść wrażenie, że nie ma nic prostszego niż zarządzanie gospodarką. Przykładowo, jeśli coś ma być efektywne, wystarczy to sprywatyzować.**

- Tylko w filmach mamy czarny i biały charakter. Ekonomia to nie western. Czy obniżenie podatków jest dobre? Każdy, kto je płaci, powie, że tak. Z drugiej strony, czy wysoki poziom nauki, oświaty, służby zdrowia leży w polu naszego zainteresowania? No tak. W takim razie trzeba wysokich podatków, żeby to wszystko sfinansować. Dlatego nie podoba mi się, gdy dziennikarz przypiera rozmówcę-eksperta do muru, by na jakieś fundamentalne pytanie odpowiedział mu „tak” lub „nie”. W większości przypadków odpowiedź brzmi bowiem „tak, ale pod warunkiem...” lub „nie, chyba że...”.

Jest w języku angielskim taki dowcip. Dyrektor bardzo źle funkcjonującego przedsiębiorstwa zażył sobie, żeby umówiono go na rozmowę z doradcą wyspecjalizowanym w wyciąganiu firm z kłopotów. Pyta go, czy zredukować zatrudnienie. - „Z jednej strony (*on the one hand*) nie potrzeba nam tak wielu pracowników. Z drugiej strony (*on the other hand*) jeśli część z nich zwolnimy, to mogą pójść do konkurencji, i za chwilę, gdy zwiększy się popyt i będziemy szukali dodatkowych rąk do pracy, najlepszych z nich będzie trudno pozyskać z powrotem” - odpowiada doradca. Następnie dyrektor chce wiedzieć, czy firma ma

zainwestować w nowe linie technologiczne. - „Z jednej strony gdy będziemy inwestować, to nam się pogorszy płynność, ale z drugiej strony jeśli nie będziemy inwestować, możemy stracić konkurencyjność”. Po kilku kolejnych odpowiedziach zdenerwowany dyrektor otwiera drzwi do sekretariatu i woła: „Proszę mi tu przysłać jednorękiego ekonomistę!”. Otóż nie ma nic gorszego niż jednoręki ekonomista. Mamy dość jednorękich polityków, którzy ciągle komuś coś obiecują, tylko nie mają drugiej ręki, z której mogliby to dać. Nie należy wierzyć takim obietnicom.

Im niższy poziom wiedzy ekonomicznej w społeczeństwie, tym łatwiej o populizm. Ludzie, którzy wiedzą, jak złożona jest gospodarka, mają świadomość, że nie tak łatwo jednym zabrać, a drugim dodać, albo poprawić sytuację jedną decyzją.

- **Nie sposób nie zauważyć, że pula ekonomistów, których opinie są nagłaśniane, jest dość ograniczona. Tacy np. eksperci Centrum im. Adama Smitha - wiecznie te same dwie czy trzy osoby - chętnie wypowiadają się w dowolnych kwestiach. Z kolei przedstawiciele stanowiska propaństwowego rzadko otrzymują możliwość publicznej wypowiedzi.**

- To problem nie tylko mediów, ale w ogóle zdoktrynalizowania dyskusji o gospodarce. Tymczasem w klasycznym liberalizmie Adama Smitha były istotne obszary zarezerwowane dla państwa. Również historia gospodarcza pokazuje, jak ważne jest dostosowywanie rozwiązań ekonomicznych do sytuacji. Bikini nadaje się na plażę, ale nie nadaje się na ulicę, zwłaszcza

zimą; tak samo jest z teoriami ekonomicznymi. Gdy w 2008 r. w Stanach Zjednoczonych wybuchł kryzys, w Davos rzucono hasło, że „wszyscy jesteśmy keynesistami”. Teoria Keynesa, do której nagle wrócono po kilku dekadach przerwy, też nie jest idealna (nie ma takiej), natomiast postulowane przez nią pobudzanie produkcji jest dobre w sytuacji, gdy gospodarka „przysypia”. Pobudzanie produkcji, nie banków – Keynes przewraca się w grobie w obliczu tego, co się obecnie dzieje.

Trwającej przez dziesięciolecia dominacji doktryny neoliberalnej towarzyszyło etykietowanie: jeśli nie jesteś liberałem (niesłusznie używano tego pojęcia, gdyż liberalizm ma wiele odmian), to znaczy, że jesteś „beton”, komunista albo przynajmniej etatysta. A jeżeli zastanawiasz się nad sprawiedliwością społeczną, to jesteś utopistą, tak jak o zmarłym niedawno prof. Tadeuszu Kowaliku mówiono, że to świetny człowiek, uczciwy, ale oderwany od rzeczywistości. To jest właśnie etykietowanie zamiast poważnej dyskusji. Gdyby nie to zjawisko, prawdopodobnie Fukuyama nie pozwoliłby sobie na napisanie „Końca historii”, gdzie stwierdza, że forma kapitalizmu bazująca na neoliberalizmie jest najlepszym, ostatecznym modelem społeczno-gospodarczym, i już niczego więcej wymyślać nie trzeba. Jego przypadek pokazuje, jak groźne bywa doktrynalizowanie. Na marginesie: dlaczego kraje skandynawskie nie zostały tak bardzo dotknięte kryzysem finansowym? Bo wcześniej jedynie w niewielkim stopniu poddały się doktrynie neoliberalnej.

Zarówno teoria, jak i system gospodarczy muszą być jak garnitury szyte na miarę, a nie jednakowe dla

wszystkich. Każdy kraj ma inną sytuację, inne doświadczenia historyczne i tradycje kulturowe. Chociaż uważam, że system niemiecki jest w miarę rozsądny, pozwalający dostosowywać się do różnych przełomów i zagrożeń w gospodarce, to jednak nie wszystko z niego dałoby się przenieść do Polski. Mentalność Polaka jest bowiem inna niż mentalność Niemca, nawet jeśli globalizacja powoduje, że różnice się zacierają.

- Jak ocenia Pani rzetelność argumentów ekonomicznych wykorzystywanych jako uzasadnienia realizowanych polityk publicznych?

- Niestety, polityka rządzi się swoimi prawami. Występuje w niej syndrom cyklu wyborczego i bardzo często nawet naukowiec, gdy wchodzi w ten świat, ulega gwałtownej przemianie. Musi podporządkować się partyjnym regułom, wśród których najważniejsza jest walka o wyborcę. W związku z tym bardzo często argumenty populistyczne wypierają merytoryczne. Przykładowo: jeśli powiemy, że trzeba podwyższyć podatki, aby podnieść jakość edukacji, przeciętny obywatel będzie przeciw i zgłasza na partię, która obieca nic nie zmieniać. Politycy myślą od wyborów do wyborów, a cztery lata to za krótko, żeby móc podejmować decyzje strategiczne i wcielać je w życie. Dlatego tak ważne jest wprowadzenie budżetu zadaniowego. Budżet zadaniowy oznacza, że jeżeli mamy zadanie polegające np. na wybudowaniu autostrady, to żadna następna ekipa nie ma prawa skreślić środków przewidzianych właśnie na ten cel.

W wielu przypadkach politycy kierują się jednak nie tylko kalkulacjami wyborczymi, ale także rachunkiem ekonomicznym. Problem polega na tym, jakiego rodzaju jest to rachunek – krótkoterminowy czy tzw. ciągniony, uwzględniający pełne następstwa danego posunięcia. Tego drugiego przeważnie brakuje. Nagle dowiadujemy się, że minister Rostowski zdecydował o zawieszeniu dopłat do staży dla bezrobotnych. Brakuje bowiem środków w budżecie, a musimy dbać o poziom deficytu, bo zdrowa gospodarka nie może być zanadto zadłużona. Potrzeba oszczędności jest mocnym argumentem, nawet przy zastrzeżeniu, że jesteśmy zadłużeni znacznie mniej niż pozostałe państwa Unii, a zwłaszcza kraje strefy euro. Ale to tak jak w gospodarstwie domowym. Można powiedzieć: „Nie będę w tym roku płacił za angielski moich dzieci, bo nie mam pieniędzy, a nie pożyczę, bo nie chcę się zadłużać”. Tylko że w następnym roku dzieci będą chciały zdawać do szkoły, która wymaga dobrej znajomości angielskiego – i w ten sposób oszczędności zamkną im do niej drogę.

Jeżeli pierwszą rzeczą, z którą zderza się w życiu człowiek kończący studia, jest bezrobocie, oznacza to dla niego stopniową utratę kwalifikacji oraz brak odpowiednich „zapisów w życiorysie”. Wobec tego w przyszłości będzie mu trudniej znaleźć pracę i w ten sposób powstaje błędne koło. Co więcej, z frustracji może



popaść w patologię – alkoholizm, narkotyki, działalność przestępczą – lub ucierpieć na zdrowiu, tak się nierzadko dzieje. Budżet będzie wówczas do niego dopłacał, bo będzie finansował jego pobyt w więzieniu lub szpitalu. Jest również bardzo prawdopodobne, że ten człowiek nie weźmie ślubu i nie będzie miał dzieci, co dla finansów publicznych też jest fatalne. Wszystko to będą konsekwencje decyzji o zlikwidowaniu dopłat do staży absolwenckich.

W Stanach Zjednoczonych objęto badaniami dwie ponad stuosobowe grupy dzieci afroamerykańskich. Pierwsza z nich została wytypowana do bardzo solidnej opieki przedszkolnej, przy czym dzieci te nadal mieszkają ze swoimi rodzinami, czasami bardzo źle funkcjonującymi, na pograniczu patologii lub skrajnej biedy. Druga grupa – z tego samego, mówiąc umownie, podwórka – nie została objęta taką formą opieki. Następnie co kilka lat badano dalsze losy dzieci z obu grup. Wyniki były porażające. Osoby zadbane w przedszkolu w większości zdobyły wykształcenie, nie weszły na drogę przestępstwa, ich stan zdrowia był niezły, pozakładały rodziny. Z kolei z tej drugiej grupy mnóstwo osób trafiło do więzienia, przedwcześnie zmarło, ciężko chorowało itd. Inwestycja trwała przez krótki czas, a przyniosła wielokrotny zwrot nakładów...

- Jakie są ograniczenia współczesnej teorii ekonomii w wyjaśnianiu świata, w tym w przewidywaniu dalszego rozwoju wydarzeń?

- Ekonomia jest nauką społeczną, a w naukach społecznych nie ma ostatecznych rozstrzygnięć i prawd obowiązujących bezwzględnie. Zresztą nie ma ich nawet w tak ścisłych dyscyplinach jak fizyka. Wielu fizyków podkreśla, że ogrom naszej niewiedzy o wszechświecie jest tak wielki, że być może obecne prawdy generalne staną się wkrótce nieprawdami, nawet jeśli wydaje się to niemożliwe. Podobnie jest w ekonomii.

Na paradygmat, czyli wzorzec, składa się to, czym dana nauka się zajmuje, wykorzystywane narzędzia oraz zastosowanie praktyczne. W odniesieniu do wszystkich tych elementów popełniliśmy błędy. Przedmiot ekonomii stanowią ludzie w procesie gospodarowania, a mimo to zapomnieliśmy, że ekonomia jest dla człowieka. Jeśli występują tak skrajne nierówności i masowe bezrobocie, to znaczy, że człowiek pozostał na uboczu. Joseph E. Stiglitz w książce „Freefall. Jazda bez trzymanki” pisze, że w warunkach doktryny neoliberalnej ekonomia stała się najbardziej zajadłą cheerleaderką współczesnego kapitalizmu. Ekonomia pozostaje na usługach polityków i ludzi zamożnych – zarzuca jej Stiglitz. Z kolei w książce „Cena nierówności” stawia inny, moim zdaniem bardzo ważny, problem. Obecnie mamy prymat polityki monetarnej, tj. ważniejsza jest niska inflacja niż niskie bezrobocie. Co by jednak było, gdybyśmy przyznali prymat rynkowi pracy? Gdyby ludzie zawsze mieli pracę, mieliby także pieniądze, a gdyby mieli pieniądze, to



MA CZYŃ SKA

Elżbieta Mączyńska – doktor habilitowany nauk ekonomicznych, profesor nadzwyczajny w Instytucie Nauk Ekonomicznych Polskiej Akademii Nauk oraz w Szkole Głównej Handlowej, gdzie kieruje Katedrą Zarządzania Finansami Przedsiębiorstwa; od grudnia 2005 r. prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Członek Prezydium Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” oraz Prezydium Rady Towarzystw Naukowych, członek Zespołu Ekspertów Narodowego Centrum Nauki. W latach 1994–2005 sekretarz naukowy oraz członek Prezydium Rady Strategii Społeczno-Gospodarczej przy Radzie Ministrów. Od 1998 r. kierownik corocznego, dwutygodniowego seminarium na temat społecznej gospodarki rynkowej, organizowanego w Instytucie Studiów Europejskich w niemieckim Vlotho. Odybywała staże naukowo-badawcze m.in. w Niemczech (Uniwersytet Mannheim), Austrii (WUW, Wirtschaftsuniversität Wien); trzykrotna stypendystka DAAD. Początkowo jej zainteresowania badawcze koncentrowały się na analizie ekonomicznej, finansach i wycenie przedsiębiorstw oraz nieruchomości, następnie rozszerzyły się na systemy gospodarcze i strategię rozwoju społeczno-gospodarczego. Autorka, współautorka i redaktor ok. 200 publikacji, m.in. „Ekonomia i ekonomici w czasach przełomu” (z J. Wilkinem, 2010), „Idee ordo i społeczna gospodarka rynkowa” (z P. Pyszem, 2010), „Polska transformacja i jej przyszłość” (2009), „O kształtowaniu ładu gospodarczego (wraz z Z. Sadowskim, 2008), „Społeczna gospodarka rynkowa. Idee i możliwości ich wykorzystania w Polsce” (2003), „Restrukturyzacja przedsiębiorstw w procesie transformacji gospodarki polskiej” (2001).

by kupowali. Gospodarka mogłaby się wówczas lepiej rozwijać, nie mówiąc o tym, że wiedza ludzi by nie zanikała, że oni by się rozwijali, bo praca uczy.

Jeżeli chodzi o metody, to punktem wyjścia jest dla nich obserwacja doświadczeń ludzi w procesie gospodarowania. Ekonomia je uogólnia i na tej podstawie tworzy teorię, którą można zastosować do przyszłych działań. Cele były tutaj szlachetne, bo próbowaliśmy przybliżyć ekonomię do królowej nauk, ujmując wszystko w modele matematyczne. Życie jest jednak bardziej skomplikowane. Sama jestem po ekonometrii i naprawdę doceniam narzędzia ilościowe, ale to są

właśnie tylko narzędzia, a te nie mogą być stosowane bezkrytycznie. Poza tym jeżeli błędne są założenia, to błędne będą także wyniki modelowania.

Z powyższych powodów rozwijają się nowe nurty ekonomii, na przykład tzw. ekonomia behawioralna, w ramach której więcej uwagi poświęca się człowiekowi i jego zachowaniom, kwestionując jednocześnie zasadę charakterystyczną dla nurtu neoliberalnego, mówiącą, że człowiek zawsze działa racjonalnie. Ekonomia nie może ignorować doświadczeń innych dyscyplin: psychologii, filozofii, historii gospodarczej. Mogą one jej służyć, stąd kolejny nowy nurt - ekonomia złożoności, według której nie wystarczy zastosować model, lecz niezbędne są badania holistyczne. Z kolei Jeffrey Sachs, były doradca Leszka Balcerowicza - ciągle powtarzający, że przynajmniej w drugim etapie transformacji odradzał mu tak ostre, pełne ofiar rozwiązania, jakie zastosowano - mówi, iż jest zwolennikiem „ekonomii klinicznej”. Tłumaczy, że żona-lekarka uzmysłowiła mu, jak ważne jest całościowe podejście do organizmu. Pozwala ono wyeliminować „syndrom hepatologa”, który co prawda wyleczy pacjenta, ale leki, które zastosuje, zaatakują inne organy i wyleczony pacjent, ze zdrową wątrobą, wkrótce umrze np. na chorobę nerek.

Grzechem zarówno medycyny, jak i ekonomii jest zajmowanie się wąskimi dziedzinami, bez uwzględniania relacji z innymi. Ekonomia kliniczna pokazuje, jak bardzo skomplikowany jest „organizm” gospodarczy - tym bardziej, im bardziej gospodarka się globalizuje.

Jednak najbardziej niebezpieczne dla ekonomisty jest prognozowanie, bo o prognozach można powiedzieć tyle, że nigdy się nie sprawdzają. Zresztą czarne prognozy właśnie po to są snute, mają charakter ostrzegawczy. Robert Lucas - noblista! - powiedział dosłownie kilka lat przed kryzysem globalnym, że problem kryzysu w gospodarce mamy już rozwiązany: żaden kolejny już nie wybuchnie, tak świetny jest panujący ustrój...

- **W obliczu kryzysu nawet prominentni zachodni ekonomiści neoliberalni wycofywali się przynajmniej z części swoich wcześniejszych poglądów. W tym samym czasie Uniwersytet Łódzki przyznał honorowy doktorat Margaret Thatcher, symbolowi praktycznej realizacji tej doktryny. Jak wygląda sytuacja na innych polskich uczelniach - czy pod wpływem wydarzeń ostatnich lat nastąpiły tam istotne przewartościowania?**
- Podobnie jak na Zachodzie, również na polskich uczelniach neoliberalizm był przez wiele lat bardzo popularny, a ci, którzy zgłaszali pod jego adresem jakąkolwiek krytykę, byli uważani za osoby albo niedouczzone, albo za „komunę”. Problem w tym, że jak pisze John K. Galbraith w książce „Ekonomia w perspektywie”, bardzo trudno zmienić sytuację w nauczaniu, dopóki na uniwersytetach są ludzie, którzy byli przywiązani do

danej doktryny. Szkoła chicagowska - oni się tak łatwo nie wyrzekną swoich poglądów, nawet gdy fakty przeczą ich racjom. Tak samo jest na polskich uczelniach. Są profesorowie, którzy zmienili poglądy i kierują studentów do różnych, bardzo refleksyjnych lektur, ale i tacy, którzy nieustannie wskazują na wyłączną rację monetaryzmu. Według niego kluczem do gospodarki jest ilość pieniądza - wszystko da się wyregulować jego podażą. Główny guru monetaryzmu, Milton Friedman, mówił, że powinna być ona proporcjonalna do obrotów handlowych, a odwrotnie proporcjonalna do szybkości obiegu pieniądza. Problem polega na tym, że współcześnie oprócz obrotów handlowych jest cała masa pieniądza i parapieniędzy w bankach i instytucjach finansowych - są kredyty, papiery hipoteczne, derywaty itd. Nie umiemy tego wszystkiego nawet policzyć...

Przed wszystkim jednak, co Galbraith zarzucał Friedmanowi, życie jest bardziej skomplikowane niż tylko pieniądz. Zresztą Friedman pod koniec życia nie był już tak jednostronny w ocenach. Stwierdził np., że Polska nie powinna bezkrytycznie przyjmować rozwiązań funkcjonujących w wysoko rozwiniętych państwach zachodnich, np. Konsensusu Waszyngtońskiego, lecz zastanowić się, co robiły te kraje, gdy były na



©@ quinn.any, <http://www.flickr.com/photos/quinnanya/2903415821/>

jej poziomie rozwoju.

- **Gdy mowa o bilansie transformacji, najlepiej słyszalne są głosy publicystów, polityków oraz ekonomistów bezpośrednio zaangażowanych w politykę lub biznes. Ciekawi mnie, jak na wspomniane zagadnienie patrzą ekonomiści uniwersyteccy.**
- Niewątpliwie z transformacją wiązały się znaczące sukcesy, ale też mnóstwo porażek. Sukcesem, widocznym od początku, było ożywienie się przedsiębiorczości. Liczne grzechy popełniono natomiast w polityce społecznej, np. prawie całkowicie zaniechano profilaktyki zdrowotnej w szkołach. W moich czasach szkolnych



© Tax Credits, <http://www.flickr.com/photos/76657755@N04/7408439474/>

ciągle nas badano; traktowaliśmy to nawet jako rodzaj prześladowania. Wszystkie dzieci, bez względu na to, czy pochodziły z bogatej, czy z biednej rodziny, były pod tym względem zadbane. W szkołach były pielęgniarki, dentystki. Mało tego, obowiązkowo musiałam z klasą chodzić do teatru. To też traktowaliśmy na początku jako dolegliwość, jednak z perspektywy czasu widać, że to bardzo procentowało. Teraz tego wszystkiego nie ma, dlatego pogłębiają się dysproporcje społeczne, tzn. mamy dzieci bardzo zadbane, a nawet „przeinwestowane” przez bogatych rodziców, i dzieci kompletnie zaniedbane. Myślę, że nikt nas nie rozgrzeszy z tego, co się stało z takimi dziećmi i ich rodzinami.

Do negatywów należy na pewno zaliczyć również zaniedbanie refleksji strategicznej. Dotyczy to np. prywatyzacji, na którą patrzy się prawie wyłącznie przez pryzmat jednorazowych wpływów budżetowych ze sprzedaży przedsiębiorstw. Brak natomiast kompleksowych analiz - przed, w trakcie i po prywatyzacji - uwzględniających m.in. ubytki dla budżetu z powodu utraconej dywidendy. Mimo że minęło ponad dwadzieścia lat od rozpoczęcia transformacji, nigdzie nie został pokazany pełny obraz prywatyzacji: oto sprzedaliśmy tyle i tyle przedsiębiorstw, mieliśmy z nich takie dywidendy albo takie straty, a teraz mamy takie dochody ze sprzedaży i takie dodatkowe wpływy podatkowe z tytułu wzrostu zysków. Moim zdaniem tego rodzaju analiza powinna towarzyszyć każdej planowanej prywatyzacji, nawet najmniejszego przedsiębiorstwa. Jeżeli w wyniku jego sprzedaży wzrosną długofalowe wpływy do budżetu, to proszę bardzo. Jeżeli zaś nie, to powstaje pytanie, czy jedynie w imię

doktryny warto było sprywatyzować firmę przynoszącą zyski. Żadna teoria nie udowodniła jak dotąd, że prywatyzacja jest zawsze najlepszym rozwiązaniem. Mało tego, ukazuje się coraz więcej książek, które pokazują dysfunkcje sprzedaży mienia publicznego. W „Korporacji” kanadyjski profesor Joel Bakan na podstawie dokumentów wykazuje, jak wiele szkód przyniosła nieprzemyślana prywatyzacja w energetyce czy wodociągach, np. jak negatywnie wpłynęła na budżety gospodarstw domowych.

- **Pęd do prywatyzacji kolejnych sfer życia społecznego, motywowany m.in. przekonaniem o bezwzględnej wyższości „prywatnego”, nadal jest w Polsce bardzo silny. Ideologiczne podstawy ma także niechęć wobec polityki socjalnej.**

- Warto wspomnieć, że nawet Friedman, uważany za bezwzględnego neoliberalę, brał kwestie socjalne pod uwagę. Co zaskakujące i bardzo rzadko podkreślane, był on autorem koncepcji tzw. ujemnego podatku dochodowego. Był zdania, że do pewnego poziomu dochodów podatek powinien być zerowy, a jeżeli człowiek osiąga zarobki uniemożliwiające godną egzystencję, powinno się dawać mu pieniądze. Tymczasem neoliberalowie, nieustannie powołujący się na Friedmana, do niedawna uważali, że państwo nie posiada żadnych obowiązków w sprawach socjalnych.

Powtórzę: nie ma nic gorszego niż jednoręki ekonomista.

Dziękuję za rozmowę.

Warszawa, 2 sierpnia 2012 r.

Związki pracujących inaczej

JOANNA JURKIEWICZ, PRZEMYSŁAW WEWIÓR

Media głównego nurtu przedstawiają związki zawodowe jako organizacje, które reprezentują tylko niewielką część klasy pracującej: czterdziestoletnich mężczyzn zatrudnionych na umowę o pracę, ubranych w koszule z niebieskimi kołnierzykami. Choć etatowi pracownicy fizyczni stanowią grupę społeczną, w której poziom uzwiązkowienia jest relatywnie wysoki, to związki zawodowe rozwijają się również w branżach nieznających fordowskiego reżimu produkcji.

Przynajmniej od lat 20. XX wieku do związków wstępowały osoby zatrudnione niestandardowo – byli wśród nich także pracownicy z „szarej strefy”. Dzisiaj ta tendencja się wzmacnia. Związkowcami stają się zarówno przedstawiciele nowych kategorii pracujących, które wyłoniły się wraz z nadejściem zglobalizowanego systemu produkcji, jak i osoby zatrudnione dotychczas w obrębie nieoficjalnego sektora gospodarki. Związki zawodowe, które dążą do tego, by reprezentować i walczyć o prawa wszystkich pracujących, rozszerzają zakres działalności, tym samym zachęcając do wstąpienia w ich szeregi osoby zatrudnione na umowach cywilnoprawnych, „nielegalnych” pracowników, kobiety, ludzi młodych i imigrantów.

Związki w czasach postfordyzmu

Ostatnie dekady to okres kryzysu związków zawodowych. Tracą zdolność do reprezentowania klasy pracowniczej, pogarsza się ich pozycja negocjacyjna. Najlepszą miarą siły i pozycji tych organizacji jest poziom uzwiązkowienia, czyli stosunek liczby faktycznych członków do potencjalnych. W zdecydowanej większości państw należących do OECD i Unii Europejskiej doszło do znaczącego spadku tego wskaźnika. W stosunku do złotego okresu w latach 60. poziom uzwiązkowienia zmalał w niektórych przypadkach nawet kilkakrotnie. Na przykład w Portugalii między 1978 a 2010 rokiem wskaźnik ten spadł z 61 do 19 proc. Negatywna tendencja dotknęła jednak przede



wszystkim kraje byłego bloku wschodniego. W większości z nich gęstość uzwiązkowienia na początku lat 90. oscylowała w przedziale 70-80 proc., by w wyniku przemian gospodarczych spaść do poziomu kilkunastu, maksymalnie dwudziestu paru procent, co plasuje cały region na szarym końcu europejskiej stawki (wyjątkami są tylko Rumunia i Słowenia). Polska niestety jest jednym z państw, które wiodą prym w tej niechlubnej klasyfikacji, odnotowując spadek poziomu uzwiązkowienia z 55 proc. w 1989 r. do 15 proc. w roku 2010.

Głównymi przyczynami tego negatywnego trendu były w krajach Zachodu zmiany gospodarcze, dokonujące się latach 70. i 80. XX wieku. Coraz większe znaczenia nabierał sektor prywatny, jednocześnie w wyniku neoliberalnej polityki kurczył się sektor publiczny, w którym zwykle poziom uzwiązkowienia jest najwyższy. Swoje zrobiły także przemiany strukturalne - trudniej zorganizować się w małych firmach niż w wielkich halach produkcyjnych, typowych dla gospodarek powojennych. Co więcej, procesy globalizacyjne i restrukturyzacja zakładów pracy w latach 80., która miała pozwolić przedsiębiorstwom na szybsze reagowanie na fluktuacje i kryzysy, przyczyniły się do spadku stabilności pracy i upowszechnienia nowych norm zatrudnienia. Jednocześnie na zachodnich rynkach pracy pojawiało się coraz więcej kobiet, które wcześniej wykonywały nieodpłatną pracę w domu lub pracowały tylko na część etatu. Wraz z rozwojem usług

i specjalistycznych technologii przybywało wysoko wyspecjalizowanych pracowników i freelancerów, którzy nie identyfikowali się z robotnikami.

Wszystkie te zjawiska odbiły się negatywnie na kondycji związków zawodowych, ponieważ etatowi pracownicy wielkich przedsiębiorstw stanowili trzon tych organizacji. Na niskie uzwiązkowienie w naszym kraju niewątpliwie wpływa fakt, że około 80 proc. aktywnych zawodowo Polaków pracuje w mikroprzedsiębiorstwach, które zatrudniają mniej niż 10 pracowników - tymczasem jest to minimalna liczba osób potrzebnych do założenia związku zawodowego.

Na zachodzie Europy potrzeba rewitalizacji związków zawodowych została zauważona i wyartykułowana już w połowie lat 90. Wówczas działacze, politycy i publicyści zwrócili uwagę, że związki muszą przededefiniować tożsamość i zmienić formy działalności, aby niekorzystne trendy ekonomiczne obrócić na swoją korzyść i przyciągnąć nowe kategorie pracujących. Organizacje pracownicze wraz ze zmierzchem fordyzmu nie stały się bowiem zbędne. Przeciwnie, osoby pracujące, lecz pozbawione praw i zabezpieczeń socjalnych, potrzebują reprezentacji jeszcze bardziej niż pracownicy chronieni stosunkiem pracy. Zmieniająca się rzeczywistość ekonomiczna postawiła więc przed związkami zawodowymi, których celem jest walka o cały świat pracy, nowe wyzwania, ale jednocześnie dała im szansę na powiększenie szeregów, jeśli tylko potrafią odpowiedzieć na potrzeby nowych pracujących.



Razem na odległość

W niektórych krajach Europy Zachodniej związki zawodowe już w latach 90. XX wieku zmieniły strategię, aby zdobyć poparcie nowych kategorii pracujących. W Szwecji w 1996 r. władze SIF (Svenska Industrijäntestemannaförbundet - Szwedzki Związek Pracowników Przemysłu) rozpoczęły debatę nad włączeniem osób samozatrudnionych w szeregi organizacji. Zwolennicy takiego rozwiązania argumentowali, że to naturalna reakcja na zachodzące zmiany, których wynikiem był wzrost liczby „kontrahentów”. W 1998 r. SIF otworzył się na nowych członków i do 2003 r. wstąpiło do niego ok. 2100 samozatrudnionych.

Związek zawodowy, starając się dotrzeć do tych rozproszonych grup, nie obawia się sięgać po nowoczesne techniki marketingowe. SIF prowadzi na przykład kampanie telefoniczne, próbując pozyskać kolejnych członków podczas rozmowy telefonicznej. W czasie rozmów związkowcy oferują potencjalnym członkom m.in. świadczenia prawne. SIF każdemu samozatrudnionemu członkowi zapewnia w ciągu roku do dziesięciu godzin indywidualnych konsultacji w zakresie prawa biznesowego i kontraktowego. Efektywność tej metody rekrutacji jest dość duża: od 5 do 8 proc. osób, z którymi SIF prowadził rozmowy telefoniczne, przyłączyło się do związku. Dla porównania: w komercyjnych działach sprzedaży skuteczność w telefonicznym pozyskiwaniu nowych klientów uznaje się za wysoką już na poziomie 3 proc.

W Holandii w 1999 r. podobne działania zainicjowała FNV Bondgenoten (Federatie Nederlandse

Vakbeweging Bondgenoten - Holenderska Federacja Związków Zawodowych „Sojuszniak”), przyjmując na okres próbny samozatrudnionych przewoźników. Chcąc uniknąć potencjalnych konfliktów między „etatowymi” członkami a domniemanymi przedsiębiorcami oraz rozłamu wewnątrz związku, władze federacji zdecydowały się powołać osobną, ale blisko współpracującą ze związkiem-matką strukturę, która zrzesza wyłącznie samozatrudnionych - FNV Zelfstandige Bondgenoten. Podobnie jak SIF, nowo powstała organizacja rozpoczęła kampanie mailingowe i telefoniczne, dzięki którym zdobywała rocznie średnio 2000 nowych członków.

Obecnie nietypowe związki zawodowe w Holandii rozwijają się szybciej niż tradycyjne, których baza stopniowo się kurczy. Kluczem do sukcesu federacji były pakiety nowych usług, stworzonych z myślą o samozatrudnionych. Holenderscy samozatrudnieni nie mogą brać udziału w zbiorowych negocjacjach płacowych, gdyż w świetle prawa stanowiłoby to zmwowę cenową. Dlatego FNV Zelfstandige Bondgenoten stworzyła ze składek członkowskich specjalne fundusze, z którego pokrywana jest pomoc prawna i socjalna. Związkowcy mogą liczyć na wsparcie prawników w sprawach dotyczących podatków i nieuregulowanych wynagrodzeń, a także podczas rozpraw sądowych. Ponadto związek uprawnia samozatrudnionych do korzystania z funduszu emerytalnego. **Pakiet usług okazał się zachęcający, a w ramach FNV zaczęły wyłaniać się kolejne związki zawodowe dla „przedsiębiorców”.** W 2007 r. skupiały one łącznie 25 000 członków. Za przykładem FNV poszły kolejne

© Timm Steinborn Social Content, http://www.flickr.com/photos/socontent_de/6956151123/



© Lisa Rodere, <http://www.flickr.com/photos/10814848@N07/4328205486/>



© FNV Bondgenoten, <http://www.flickr.com/photos/fnvbondgenoten/4546184836/>

© realname â†š tonal decay, <http://www.flickr.com/photos/realname/4353983517/>

organizacje – AVV (Alternatief voor Vakbond – Alternatywny Związek Zawodowy) i CNV (Christelijk National Vakverbond – Narodowa Federacja Chrześcijańskich Związków Zawodowych). Oferują one nowym członkom po preferencyjnych cenach m.in. ubezpieczenia od chorób i niezdolności do pracy.

Korzyści płynące ze wstąpienia do związków zawodowych doceniają również freelancerzy. We Francji w 2002 r. organizacja CFDT-Cadres (Confédération Française Démocratique du Travail Cadres – Francuska Demokratyczna Konfederacja Pracy „Kadra”) stworzyła Réseau des Professionnels Autonomes. Jest to sieć zrzeszająca menedżerów i wysoko wykwalifikowanych specjalistów, m.in. grafików, doradców, designerów, programistów i dziennikarzy. Jej członkowie mogą w ramach składek korzystać z profesjonalnych informacji i pomocy prawnej, a za dodatkową opłatą uzyskują uprawnienia do funduszu emerytalnego oraz ubezpieczenie zdrowotne. Związek stworzył też stronę internetową, która skupia geograficznie rozproszoną społeczność.

CFDT-Cadres nie jest zresztą jedyną strukturą, która do zorganizowania freelancerów korzysta z możliwości internetu. W Danii na przykład funkcjonuje „wirtualny” związek zawodowy – HK (Handels- og Kontorfunktionærernes Forbund – Związek Handlowców i Pracowników Biurowych). Prowadzona przez organizację strona www.freelance.dk oferuje indywidualną pomoc. Witryny mogą używać również zwykłe osoby, przedstawiając swoje oferty współpracy. Z tej publicznej przestrzeni na stronie internetowej

korzysta również związek, który na podstawie zebranych informacji tworzy bazę potencjalnych członków.

Jeszcze ciekawszy przykład wykorzystania nowoczesnych technologii to inicjatywa powstała w Niemczech. Ver.di (Vereinte Dienstleistungsgewerkschaft – Zjednoczony Związek Pracowników Usług) – największy związek zawodowy u naszych zachodnich sąsiadów – stworzył uzupełniające się *call center* i stronę internetową. Dzięki nim pracownicy branży medialnej, w tym wolni strzelcy, korzystają z usługi nazwanej Mediafonem. Umożliwia ona freelancerom, również tym niezrzeszonym, konsultowanie skomplikowanych zagadnień prawnych z doświadczonymi doradcami. Około 15 proc. wszystkich niezwiązkowionych użytkowników usługi przyłącza się do ver.di. Przy okazji Mediafon spełnia rolę systemu wczesnego ostrzegania – dzięki niemu związek na bieżąco monitoruje problemy na rynku pracy i zdobywa wiedzę potrzebną do ich rozwiązywania.

Jak duże jest zapotrzebowanie samozatrudnionych na nowe formy świadczeń, pokazuje kontrowersyjna inicjatywa Finansforbundet – Związku Zawodowego Pracowników Sektora Finansowego w Norwegii. W 2002 r. stworzył on Rom, organizację wspierającą prawników i samozatrudnionych, którzy zajmują się szeroko rozumianym kapitałem ludzkim. Rom działa podobnie do innych nietypowych związków zawodowych, służąc poradą prawną i oferując preferencyjne ubezpieczenia zdrowotne. Oprócz tego organizuje projekty szkoleń i tworzy sieć mentorów i trenerów – z ich usług członkowie Rom mogą korzystać w czasie

indywidualnych sesji. Jednak Rom nie jest strukturą związkową. Działania organizacji, funkcjonującej oficjalnie non-profit, przypominają płatny serwis, a jej członkowie - raczej klientów-subskrybentów niż tradycyjnych związkowców, gdyż dołączenie do Rom nie pociąga za sobą żadnych dodatkowych zobowiązań. Norweski przykład może stanowić przestrozę: jeśli związki zawodowe nie zwrócą się w stronę nowych kategorii pracujących, wówczas zrobią to komercyjne podmioty, co w przyszłości może osłabić cały ruch pracowniczy.

...i że cię nie opuszczę aż do wyjazdu

W nieco inny sposób związki zawodowe starają się pozyskiwać osoby zatrudnione na umowy na czas określony oraz przez agencje pośrednictwa pracy. W czasie zbiorowych negocjacji organizacje z różnych krajów zaczęły upominać się o prawa również tych grup pracowniczych, postulując podniesienie im płac. W ten sposób pokazywały, że na zbiorowych sporach z pracodawcami zyskują nie tylko pracownicy zatrudnieni na czas nieokreślony.

Tę strategię szczególnie rozwinęły łotewskie związki zawodowe, które w obronie praw pracowników tymczasowych dążyły do zmiany krajowej polityki i objęcia ich systemem zabezpieczeń socjalnych. W tym celu starały się one o rozpoznanie referendum, które miało wprowadzić odpowiednie poprawki do konstytucji. Podobne działania podejmowały także niemieckie i hiszpańskie związki zawodowe, starając się, by problemy pracowników tymczasowych stały się istotnym zagadnieniem debat publicznych, a w dalszej perspektywie - nowych regulacji prawnych.

Popularną metodą podnoszenia świadomości społecznej są nie tylko protesty i działania polityczne, ale także konsekwentnie prowadzone kampanie społeczne. Dobrym przykładem takich przedsięwzięć jest inicjatywa IG Metall (Industriegewerkschaft Metall - Niemiecki Związek Pracowników Branży Metalurgicznej), który w swoich kampaniach nawoływał do wyrównania płac pracowników tymczasowych i stałych. Związki zawodowe liczą też na to, że uwzględnianie interesów i praw „atypowych” pracowników w czasie zbiorowych negocjacji lub okazyjnych przedsięwzięć pośrednio przyczyni się do napływu nowych członków, rekrutujących się z zaniedbanych grup klasy pracującej.

Mówiąc o pracy tymczasowej, nie należy zapominać o wyjątkowym położeniu imigrantów, którzy na obczyźnie wykonują gros sezonowych zajęć i są przedmiotem szczególnego zainteresowania agencji pracy. Rekrutacja członków tej grupy wymaga od związków zawodowych wyjątkowego wysiłku, gdyż imigranci często nie znają krajowego prawa, nie potrafią posługiwać się miejscowym językiem i nie wiedzą, gdzie mogą zgłaszać się po pomoc. Izolacja obcokrajowców jest czasami tak duża, że tworzą oni enklawy funkcjonujące na marginesie społeczeństwa. Często cudzoziemcy nie widzą też potrzeby zrzeszania się, wychodząc

z założenia, że „przyjechali tu przecież na krótko”. Dlatego niektóre związki zawodowe, chcąc zdobyć wśród imigrantów nowych sojuszników, blisko współpracują z instytucjami i organizacjami pozarządowymi, które pomagają cudzoziemcom. Taką strategię obrali działacze m.in. z Grecji, Malt, Włoch i Norwegii. Funkcjonujące w tych państwach organizacje pozarządowe zachęcają imigrantów do wstępowania do związków i pomagają w przeprowadzaniu kampanii społecznych.

Na rekrutacji związków zawodowych korzystają zarówno „goście”, jak i „gospodarze”. W lipcu 2012 r. media donosiły o polskich budowlańcach w Danii, którzy za wykonaną pracę nie otrzymali od pracodawców w sumie około 760 tys. złotych. Pieniądze pomógł im odzyskać duński związek zawodowy 3F, który zorganizował protesty. Należy dodać, że 3F prowadzi polskojęzyczną wersję swojej strony internetowej oraz infolinię „Halo, Kolego”. **Angażowanie imigrantów w aktywność związkową chroni lokalne rynki pracy przed nagłym spadkiem płac, który odbiłby się negatywnie przede wszystkim na miejscowych pracownikach.** Otwarcie granic stworzyło zachodnioeuropejskim firmom szansę podniesienia konkurencyjności poprzez zmniejszenie kosztów pracy - wystarczyło sprowadzić tanią siłę roboczą z Europy Środkowo-Wschodniej. Związki zawodowe, dbając, by miejscowi i obcokrajowcy otrzymywali równe wynagrodzenia, nie pozwalają przedsiębiorcom brać udziału w „wysięgu na dno”.

Poszukiwany atrakcyjny pracodawca

Bardzo ciekawa jest inna tendencja. Niektóre związki przededefiniowały swoją rolę i przekształciły się w agencje pośrednictwa pracy. Z tą jednak różnicą, że nie poszukują taniej siły roboczej, lecz pracodawców, którzy zatrudnią związkowców. Tego rodzaju inicjatywy powoli rozprzestrzeniają się po całym świecie, obejmując bardzo zróżnicowane obszary gospodarki i grupy pracownicze.

Australijski związek zawodowy APESMA oprócz zwykłych pracowników zrzesza wolnych strzelców - inżynierów, naukowców i menedżerów. Podobnie jak inne związki dla freelancerów, APESMA zapewnia swoim członkom dostęp do niedrogich, dodatkowych ubezpieczeń. Te świadczenia przyciągnęły wielu samozatrudnionych, którzy w pewnym momencie zaczęli stanowić większość członków organizacji. Skłoniło to władze związku do stworzenia osobnego działu rekrutacji - ETM Recruitment - szukającego firm, które chcą zatrudnić nowych pracowników lub zlecić wykonanie usługi. Pośrednictwo związku zawodowego stanowi gwarancję, że warunki pracy i zawieranych umów są znacznie korzystniejsze niż w przypadku tradycyjnego outsourcingu.

APESMA działa w sferze rynku pracy, który oferuje pracującym zwykle dobre warunki. Jednak większość związkowych agencji pracy wspomaga osoby

znajdujące się w nieporównywalnie gorszym położeniu, np. pracowników domowych – gosposie, sprzątaczkach, opiekunów, szoferów czy ogrodników. Międzynarodowa Organizacja Pracy ocenia, że na całym świecie jest około 100 milionów pracowników domowych, w zdecydowanej większości (83 proc.) kobiet, przy czym tylko połowa zatrudniona legalnie i często na podstawie umów o dzieło lub umów zleceń, które nie dają gwarancji socjalnych. Jest to bardzo liczna grupa, stanowiąca w krajach rozwijających od 4 do 12 proc. wszystkich pracowników, która dotychczas w zasadzie nie była reprezentowana przez związki.

Pozostawieni sami sobie pracownicy tej branży często spotykają się z barbarzyńskim traktowaniem. Anna Kordasiewicz, socjolożka zajmująca się tematem pomocy domowej w Polsce i Włoszech, zauważa, że niektórzy pracodawcy nie rozumieją na przykład, iż osobom, które opiekują się chorymi, należą się urlopy oraz przynajmniej jeden dzień w tygodniu wolny od pracy. Ponadto pracownikom domowym nagle nie wypłaca się rekompensaty za odwołane godziny pracy. Trudności z wyegzekwowaniem swoich praw mają szczególnie imigranci i nielegalni pracownicy, którzy stanowią znaczny odsetek domowego personelu.

Naprzeciw potrzebom tej specyficznej grupy zawodowej zaczęły wychodzić już niektóre związki zawodowe w Europie. Najciekawszy projekt jest dziełem już wspomnianej holenderskiej federacji związków zawodowych FNV, prowadzącej od 2010 r. kampanię mającą na celu zjednoczenie pracodawców zatrudniających pomoc domową. Dzięki tej inicjatywie wiele osób pracujących w branży wydostaje się z szarej strefy, otrzymuje godne wynagrodzenia i świadczenia socjalne. Działania FNV przynoszą korzyści również pracodawcom. Na przykład gdy zatrudniana przez nich pomoc domowa zachoruje, to mogą liczyć na zastępstwo zorganizowane przez związek. Prawdopodobnie holenderski projekt doczeka się niedługo naśladowców, dzięki działaniom MOP, która rok temu przyjęła konwencję dotyczącą godnej pracy osób zatrudnionych w gospodarstwach domowych. Dokument stawia pomoc domową na równi z innymi zawodami i domaga się, by przyznać pracownikom tej branży wszystkie prerogatywy wynikające z Kodeksu pracy, łącznie z prawem do zrzeszania się i zakładania związków zawodowych.

Czymże jest związek bez młodości?

Zmiany zachodzące w ostatnich dekadach – feminizacja rynku pracy, zmierzch fordowskiego systemu produkcji, globalizacja, dominacja sektora prywatnego – przyczyniły się do znacznego osłabienia związków zawodowych w krajach Zachodu. **Nie znaczy to jednak, że obserwujemy zmierzch ruchu związkowego, który zostanie trwale zmarginalizowany. Powodzenie niektórych inicjatyw może napawać umiarkowanym**

optymizmem – najbardziej innowacyjne projekty na przekór dominującej tendencji przyciągają do organizacji wielu nowych członków.

Ani wiek, ani płeć nie są przyczynami niskiej aktywności związkowej. Większe znaczenie ma na przykład zatrudnienie w niewielkiej firmie czy praca w oparciu o umowę cywilnoprawną. Coroczne raporty „8 March Survey” pokazują, że stopień uzwiązkowienia ma niewiele wspólnego z płcią pracowników, lecz zależy głównie od branży. Co więcej, z przywoływanych badań wynika, że w wielu europejskich krajach udział kobiet w związkach zawodowych wzrasta, mimo ogólnego spadku liczby członków. Podobnie zaskakujące wnioski można sformułować wobec młodych osób, które w powszechnej opinii uchodzą za indywidualistów nieangażujących się społecznie. Młodzież chętnie wstępuje do związków zawodowych tam, gdzie posiadają one obowiązek dystrybuowania funduszy na pomoc socjalną (tzw. system Ghent) – na przykład w Belgii stopień uzwiązkowienia najmłodszych pracowników nie różni się od krajowej średniej.

Jak podają Julia Kubisa i Piotr Ostrowski, socjologowie zajmujący się związkami zawodowymi, w Polsce do związków należy bardzo niewielki odsetek młodych ludzi (w przedziale wiekowym 18-24 lata – 0,4 proc.; 25-34 lata – 8 proc.), gdyż niemal w ogóle nie istnieją one w sektorze prywatnym, w którym osoby wchodzące na rynek pracy zwykle znajdują zatrudnienie. **Poważne przeszkody stawia przed młodzieżą również państwo, które nie przestrzega konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczących prawa do zrzeszania się w związkach zawodowych. Nasze krajowe ustawodawstwo, odbierając samozatrudnionym i osobom pracującym na umowach cywilnoprawnych możliwość zakładania związków i wstępowania w ich szeregi, stoi w sprzeczności z ratyfikowanymi międzynarodowymi regulacjami. W ten sposób państwo nielegalnie pozbawia praw pracowniczych 60 proc. młodych Polaków, zatrudnionych w oparciu o umowy cywilnoprawne. Jednocześnie badania przeprowadzone przez CBOS w lutym 2012 r. pokazują, że spośród wszystkich grup wiekowych to właśnie młodzież wyraża największe poparcie dla związków zawodowych.**

Badania i sukcesy innowacyjnych inicjatyw świadczą, że istnieją spore szanse na odnowienie siły związków zawodowych i zaangażowanie w ich działalność kolejnych pokoleń wchodzących na rynek pracy. Związki zawodowe muszą jednak przystosować swoje strategie do kształtu nowej gospodarki, aby odpowiedzieć na potrzeby nowych kategorii pracujących. Miejmy więc nadzieję, że nietypowe organizacje spowszednią w niedługiej przyszłości i zaczną reprezentować prawa i interesy nowej klasy pracującej.

JOANNA JURKIEWICZ
PRZEMYSŁAW WEWIÓR

Zdolni do wszystkiego

KONRAD MALEC

Spółdzielnie socjalne osób niepełnosprawnych dają nie tylko możliwość zarobkowania. Są także miejscem samorealizacji i reintegracji społecznej.

Impuls do założenia wielu takich spółdzielni wyszedł od organizacji pozarządowych. Członkowie stołecznej Spółdzielni Socjalnej PETRIO trafili tam z Warszawsko-Praskiego Stowarzyszenia Osób Niepełnosprawnych. Zespół konińskiej Spółdzielni Socjalnej „Otwarci” współtworzą wolontariusze i podopieczni Fundacji na Rzecz Rozwoju Dzieci i Młodzieży „Otwarcie”, która merytorycznie wspiera młodą inicjatywę. Cieszyński „Nowy Horyzont” ma korzenie w Stowarzyszeniu Pomocy Wzajemnej „Być Razem” i Cieszyńskim Stowarzyszeniu Ochrony Zdrowia Psychicznego „Więź”. Z kolei Spółdzielnię Socjalną „Republika Marzeń” powołali niepełnosprawni, bezrobotny i Fundacja Anny Dymnej „Mimo Wszystko”. Infrastruktura oraz praktyczna wiedza organizacji społecznych na temat możliwości i ograniczeń osób niepełnosprawnych są tutaj bezcennym wsparciem.

Niektóre organizacje idą jeszcze dalej. Doświadczenia zdobyte w toku prowadzenia centrów integracji społecznej oraz środowiskowych domów samopomocy umożliwiły Stowarzyszeniu na Rzecz Zrównoważonego Rozwoju Społeczno-Gospodarczego KLUCZ i Chrześcijańskiemu Stowarzyszeniu Dobroczynnemu powołanie w Kluczach (woj. małopolskie) OPOKI – pierwszej w Polsce spółdzielni socjalnej założonej i prowadzonej przez stowarzyszenia.

Inicjatorem bywa także samorząd. Wyszowska Wielobranżowa Spółdzielnia Socjalna SZRON nie powstałaby, gdyby nie burmistrz Grzegorz Nowosielski i jego pełnomocnik Artur Laskowski. Obiecali oni

niepełnosprawnym zlecenia, jeśli tylko ci zorganizują się w formie kooperatywy. Zdarzają się także godne naśladowania spółdzielnie powstające zupełnie samodzielnie, będące dowodem na to, że **trudne doświadczenia osobiste można wspólnie przekuć w coś konstruktywnego**. Dobre przykłady stanowią tutaj Spółdzielnia Socjalna „50+”, założona przez grupę gdyńskich „amazonek” (kobiet po amputacji piersi), a także Wielobranżowa Spółdzielnia Socjalna „Supermediafon” z Wrocławia – efekt samoorganizacji grupy niewidomych.

Czasami stworzenie przestrzeni samorealizacji jest nawet ważniejsze niż umożliwienie zarobkowania. – *Spółdzielnia powstała, aby osoby niepełnosprawne mogły realizować swoje pasje, przy okazji zarabiając* – mówi Paulina Łysiak, wiceprezes zarządu „Republiki Marzeń”.

Z czym do ludzi?

Choć spółdzielnia socjalna jest czymś więcej niż przedsiębiorstwem, ostatecznie o jej przetrwaniu i rozwoju decyduje satysfakcja klientów. Dobrze działające spółdzielnie wygrywają na rynku ceną, jakością lub unikatowymi produktami i usługami, a najczęściej kombinacją tych cech.

– *To, że jesteśmy socjalni, nie oznacza, że nie stajemy w szranki z normalnymi podmiotami. Wygrywamy przetargi na obsługę szkoleń i dostarczanie cateringu dla dużych firm, nawet w Krakowie* – chwali się Agnieszka Ścigaj, wiceprezes OPOKI. – *Pierwsze zamówienie zrobiłoby z przekonania, że powinniśmy wspierać ekonomię*

społeczną. Dziś już nie korzystamy z usług innych firm, a mamy w regionie kilka naprawdę dobrych. Zamawiamy w OPOCE, bo nikt nie zapewni nam równie wysokiej jakości w takiej cenie – zachwala Kazimierz Ściążko, wójt gminy Klucze. Podobnie było ze SZRON-em. – Już nie musimy się nawet reklamować, klienci sami przychodzą, bo wiedzą, że można się po nas spodziewać solidności – wyjaśnia wiceprezes Iwona Kowalewska.

Na dłuższą metę „branie na litość” raczej nie sprawdzi się jako pomysł na biznes. Poza tym spółdzielcy mają większe ambicje. – Nie chcemy zleceń na zasadzie „dajmy im, bo to spółdzielnia socjalna”. Nasze produkty mają być dobre i konkurencyjne – deklaruje wiceszefowa „Republiki Marzeń”, producenta m.in. okolicznościowych kartek ilustrowanych pracami artystów współpracujących ze spółdzielnią. Wtórą jej Angelika Chrapkiewicz-Gądek, druga wiceprezes: *Z rysunków, które otrzymujemy, staramy się wybrać najlepsze i najciekawsze. Liczy się wartość artystyczna, a nie sam fakt, że są to prace osób niepełnosprawnych.* Bywa, że wzory trafiające na kartki, kubki, koszulki i torby powstają na specjalne zamówienie firm czy instytucji.

Przystępna cena i wysoka jakość mogą nie wystarczyć, jeśli na dany produkt czy usługę nie ma zapotrzebowania. Dlatego starcie z rynkiem przetrwały głównie te spółdzielnie, które bardzo świadomie wybrały sferę swojej działalności. Świetnym przykładem jest „Nowy Horyzont”. Początkowy pomysł opierał się na przerobie odpadów z tworzyw sztucznych, jednak kryzys uczynił go nieopłacalnym. Spółdzielcy zareagowali zmianą profilu działalności, wykazując się niezbędną w biznesie elastycznością. Obecnie oferują usługi porządkowe o charakterze odróżniającym ich od całej lokalnej konkurencji. – *Jako jedyni świadczymy usługi kompleksowo, tzn. nie tylko posprzątamy biuro, ale jeżeli jest w nim krzesło ze złamanym oparciem czy wisząca klamka, to je naprawimy.* Oczywiście sprzątamy



Angelika Chrapkiewicz-Gądek, wiceprezes „Republiki Marzeń”

również na zewnątrz – wyjaśnia prezes spółdzielni, Paweł Przybyło, dodając, że jego ekipę odróżnia od konkurencji także dokładność.

Świetny przykład trafnej identyfikacji niezaspokojonych potrzeb lokalnego otoczenia stanowi „50+”. Spółdzielczynie świadczą usługi jako opiekunki środowiskowe lub asystentki osób schorowanych i samotnych. Bezpośrednią inspiracją była historia jednej z koleżanek, która poprosiła o towarzyszenie jej w męczących dojazdach na zabiegi w innym województwie. – *Nie wymagała stałej opieki, a tylko pomocy jednego dnia w tygodniu* – wspomina Grażyna Skorupka, liderka spółdzielni. Wówczas panie zdały sobie sprawę, że wokół nich jest więcej osób potrzebujących wsparcia czy wyręki w części życiowych czynności, a jednocześnie chcących i mających możliwość za to zapłacić.

Nierzadko identyfikację niszy rynkowej umożliwiają własne doświadczenia członków spółdzielni. „Supermediafon” posiada w ofercie m.in. innowacyjne produkty, jakimi są etykiety i wizytówki pisane alfabetem Braille’a. – *Jako niewidomi najlepiej rozumiemy potrzeby osób takich jak my.* Przykładowo, nie każdy materiał w równym stopniu nadaje się do zapisu brajlem – zauważa prezes spółdzielni, Paweł Bogdała.

Ofertę uzupełniają m.in. szkolenia informatyczne dla niewidomych: mając za prowadzącego osobę im podobną, łatwiej uwierzyć, że nauczenie się obsługi komputera leży w zasięgu możliwości.

Na doświadczeniu swoich członków bazuje także spółdzielnia z Konina, szyjąca odzież adaptacyjną dla niepełnosprawnych ruchowo, w zasadzie nieobecna na polskim rynku. Osoby w pełni sprawne nie zdają sobie sprawy, że dodatkowy suwak może przesądzić o możliwości samodzielnego ubrania się, a nieco zmodyfikowany krój - ułatwić poruszanie na wózku. - *Nasze produkty mają być nie tylko wygodne, ale także atrakcyjne i modne* - podkreśla Andżelika Smorawska, szefowa „Otwartych”, specjalistka w zakresie projektowania odzieży.

Są jednak i antyprzykłady. - *Niestety, spotkaliśmy się z postawami: „weźmiemy dotację, a potem będziemy myśleć” lub ze świetnymi pomysłami, jednak bez rozpoznania rynku. Ten drugi przypadek dotyczył naszych znajomych, niepełnosprawnych matematyków i informatyków. Przykro było patrzeć, jak bankrutowali* - wzdycha I. Kowalewska. Paulina Łysiak zwraca uwagę na jeszcze jedną kwestię: *Trzeba intensywnie działać, np. pozyskiwać zlecenia już na pół roku przed rejestracją spółdzielni. Startujemy mając 0 zł na koncie, a po miesiącu trzeba wypłacić pierwsze pensje...*

Dla każdego coś potrzebnego

O ile chwytanie zbyt wielu srok za ogon nie jest w biznesie zalecane, mądre poszerzanie zakresu działalności zwykle wychodzi na zdrowie. Tym tropem poszła spółdzielnia z Wyszkowa, której jeszcze przed rejestracją burmistrz obiecał powierzyć obsługę lokalnej sieci wideomonitoringu. Kooperatywa zauważyła również, że w pobliżu budynku Urzędu Miasta brakuje punktu ksero. - *Dzięki uprzejmości burmistrza udało nam się uzyskać powierzchnię w samym urzędzie, wykrojoną z jego własnej kancelarii* - wspomina Kowalewska. To nie koniec dywersyfikacji źródeł dochodów: w dalszej kolejności SZRON otworzył wypożyczalnię rowerów, której ofertę z czasem poszerzył o kajaki.

Pracownicy spółdzielni z Klucza, pięć kobiet po trzymiesięcznym kursie przygotowawczym, rozpoczęły od gotowania dań jednogarnkowych. Rozwój oferty był możliwy dzięki zaradności ich szefowych - sprostowały do spółdzielni mistrza kucharskiego, który spędził z podopiecznymi OPOKI kilka dni. Od tamtej pory podobne zaproszenia są co jakiś czas wysyłane do specjalistów z zakresu gastronomii, jednak kuchmistryn timerównież same wyszukują i testują nowe przepisy. Zwieńczeniem rozwoju „działu kulinarnego” było otwarcie pierwszej w gminie restauracji. Przewidziany na nią lokal wymagał kapitalnego remontu, który wykonali... wyszkoleni przez spółdzielnię budowlancy, mający już za sobą także pierwsze zlecenia zewnętrzne. W dalszej perspektywie OPOKA ma zamiar

m.in. prowadzić usługi opiekuńcze dla seniorów oraz stworzyć zakład rehabilitacyjny.

Dla gdyńskich amazonek, które poza usługami opiekuńczymi zajmowały się dystrybucją miejskich materiałów promocyjnych, dodatkowym polem działalności stało się rękodzieło. Wytwarzają m.in. korale oraz kapelusze z filcu. - *Rozwijamy swoje pasje i przy okazji zarabiamy* - podsumowuje p. Grażyna.

Korzyści ze współpracy

Choć dobry biznesplan to podstawa, nie sposób przecenić wagi przyjaznego otoczenia instytucjonalnego. Wsparcie samorządu dla spółdzielni może mieć postać m.in. nieodpłatnego przekazywania budynków (tak było choćby w przypadku OPOKI), ale przede wszystkim - zleceń. Dla Spółdzielni Socjalnej Józefowskie Centrum Rehabilitacji Zawodowej i Społecznej z Józefowa (woj. lubelskie) stanowią one wręcz podstawę funkcjonowania. - *Oparliśmy się na pracach, które może wykonać każdy. Głównym filarem naszej działalności jest szeroko rozumiane sprzątanie: zbieranie śmieci z koszy miejskich, ich segregacja, dbanie o czystość w szkołach oraz innych instytucjach publicznych. Obsługujemy stadion miejski (oddelegowana osoba m.in. kosi tam trawę), szalec publiczny oraz dworzec autobusowy. Latem dbamy o tereny zielone, zimą o odśnieżanie* - relacjonuje wiceprezes Jarosław Dziura. Burmistrz był tak zadowolony z jakości i cen usług świadczonych na rzecz społeczności miasteczka, że zainicjował powstanie kolejnej spółdzielni socjalnej.





Kuchnia w Kluczach



Agnieszka Ścigaj, wiceprezes OPOKI

Rozwój „firm społecznych” będzie w istotnym stopniu zależał od zrozumienia idei spółdzielczości socjalnej przez samorządowców. Coraz więcej z nich dostrzega, że wspierając spółdzielnie socjalne, mogą nie tylko obniżyć koszty realizacji zadań publicznych, ale również rozwiązywać problemy społeczne, zwłaszcza związane z długotrwałym bezrobociem.

Znakomitym instrumentem wsparcia spółdzielni są, a raczej mogłyby być, tzw. klauzule społeczne. – *Startujemy w przetargach, ale nieczęsto udaje nam się wygrać. Bardzo pomogłyby nam zapisy przyznające dodatkowe punkty podmiotom ekonomii społecznej lub firmom, które zobowiążą się część pracy zlecić spółdzielni socjalnej* – wyjaśnia Tomasz Knepek, prawnik z bydgoskiej Spółdzielni Socjalnej „Kreatywni”. – *Braliśmy udział w dwóch przetargach, oba przegraliśmy. Ustawodawca nałożył na nas obowiązki społeczne, które chętnie spełnimy, ale władze Warszawy nie widzą różnicy między raczkującym przedsiębiorstwem społecznym a potężną, międzynarodową korporacją i zmuszają nas do konkurowania z gigantami* – mówi Cezary Tomasz Bykowski, szef PETRIO.

Klucze do pracy

„Kreatywni” zatrudniają ponad 30 osób, w większości niepełnosprawnych w stopniu umiarkowanym lub znacznym. – *Są wśród nas osoby dotknięte wszelkimi typami dysfunkcji, od ruchowej po upośledzenia umysłowe* – informuje T. Knepek. SZRON daje pracę 9 osobom, z czego 6 posiada orzeczenie o znacznej lub umiarkowanej niepełnosprawności. PETRIO liczy 7 osób (w tym jedną pełnosprawną, długotrwale bezrobotną), 5 z 6 członków „Supermediafonu” jest niewidomych, z kolei „Nowy Horyzont” skupia przede wszystkim osoby po kryzysach psychicznych. – *W większości są to osoby, które pracowały zawodowo, jednak w wyniku zdiagnozowania lub pogłębienia się choroby straciły tę pracę* – wyjaśnia p. Paweł. Wyjątkowo dużym pracodawcą jest OPOKA – zatrudnia 40 osób, z których większość posiada orzeczenia o niepełnosprawności. Oprócz nich w spółdzielni pracuje pięć osób mających za sobą długotrwale bezrobocie.

Kluczem do sukcesu jest dostosowanie pracy do rodzaju niepełnosprawności i odpowiednie kierowanie nią. – *Przykładowo, nasz niesłyszący pracownik budowlany wykonuje większość prac, nie jest jedynie dopuszczany do tych maszyn, których obsługa wymaga sprawnego słuchu* – wyjaśnia A. Ścigaj. – *Nowoczesne kserokopiarki są bardzo wysokie, mają wielkie pojemniki na papier, przystawki do bindowania itp. Aby mogła je obsługiwać osoba na wózku, musieliśmy poczekać trzy miesiące, aż w fabryce ucięto spód maszyny, a jej przystawki funkcjonują osobno* – informuje wiceprezes SZRON-u. W krakowskim budynku Fundacji „Mimo Wszystko”, z którego korzysta „Republika Marzeń”, udogodnienia dla każdego rodzaju niepełnosprawności widać na każdym kroku. – *Duże korporacje często nie*

respektują konieczności dostosowania miejsca do możliwości swoich niepełnosprawnych pracowników. Nasza firma pamięta, kogo zatrudnia – zapewnia p. Paulina. Od początku cały pomysł na spółdzielnię opierał się na możliwościach osób z dysfunkcjami. – *Oczywiście są rzeczy, których nie wykonają, ale po to zatrudniamy także osoby zdrowe.*

Również organizacja pracy w tego rodzaju kooperatywach musi uwzględniać potrzeby wszystkich pracowników. – *Działamy na dwie zmiany, ale jeśli ktoś nie może pracować popołudniami, np. z powodu rehabilitacji, wówczas pracuje od rana. Do potrzeb naszych podopiecznych podchodzimy indywidualnie* – deklaruje p. Agnieszka.

Przyjęta formuła i zakres świadczonych usług dobrze współgrają z potrzebami kooperatystek z „50+”. – *Zawsze mogę na przykład umówić się z podopiecznym, że przyjdę na 10:00, dzięki czemu między 8:00 a 9:00 będę mogła uczestniczyć w zajęciach rehabilitacyjnych* – precyzuje G. Skorupka. Z kolei np. prowadzenie księgowości w spółdzielni – a więc „na własnym” – można sobie rozłożyć na więcej godzin, wykonując tę pracę spokojniej.

Większość spółdzielni socjalnych osób niepełnosprawnych podkreśla, że tworzone miejsca pracy mają unikalny charakter. – *Naszym szwaczkom niepełnosprawność umysłowa lub fizyczna uniemożliwia znalezienie zatrudnienia na otwartym rynku* – podkreśla prezes Smorawska. Zanim trafili do „Otwartych”, zajęcia nie mogli znaleźć także informatycy, gdyż pracodawców odstraszała ich „inność”, będąca efektem np. mózgowego porażenia dziecięcego. W przypadku członkiń spółdzielni „50+”, których szanse na rynku pracy ograniczają dodatkowo wiek oraz płeć, ważną motywacją do założenia kooperatywy była stosunkowo niewielka liczba przepracowanych lat w związku z perturbacjami wywołanymi chorobą. Podjęcie przez nie pracy wydłuża emerytalny okres składkowy i daje lepsze zabezpieczenie na przyszłość.

Sobie i innym

– *Spółdzielnie socjalne mają misję społeczną, tak jak stowarzyszenia i fundacje, a jednocześnie są podmiotami biznesowymi. Ta dwoistość daje ciekawe możliwości poprawiania jakości życia osób, dla których zostały powołane* – zauważa Paweł Bogdała.

Szczególnie dobry przykład stanowi tutaj „50+”. – *Jedna osoba to mało, a w kupie jest siła* – podkreśla z przekonaniem prezes Skorupka. Spółdzielczyniom udało się m.in. zorganizować turnus rehabilitacyjny, z którego skorzystały także inne kobiety po mastektomii. Z kolei dzięki udanemu startowi w miejskim konkursie na organizację czasu wolnego osób w wieku 55+ członkinie kooperatywy oraz ich sąsiadki z osiedla Karwiny mogą uczęszczać na zajęcia fitness, których cena i intensywność są dopasowane do ich możliwości. Podobnie dzięki uczestnictwu „Nowego Horyzontu”

w jednym z unijnych projektów cieszyńscy spółdzielcy mają stały dostęp do prawnika i psychologa, na których usługi na rynku komercyjnym nie byłoby ich stać. Samoorganizacja w formie spółdzielni ułatwia także realizowanie pasji. – *Wspólnie jeździmy na zawody sportowe i mamy sporo sukcesów na koncie* – nie kryje dumy wiceprezes SZRON-u.

Spółdzielczość to wreszcie możliwość samorealizacji poprzez działania na rzecz innych. I tak SZRON stał się nieformalnym pośrednikiem pracy. – *Nie chcemy wyręczać urzędników, ale często przychodzą do nas ludzie poszukujący zatrudnienia, szczególnie niepełnosprawni. Nie mamy tyle pracy, by dać ją wszystkim, ale często wiemy, kto szuka pracowników, co umożliwia nam skomunikowanie zainteresowanych* – opowiada p. Iwona. Spółdzielcy z Odrzańskiej Spółdzielni Socjalnej z Krosna Odrzańskiego (woj. lubuskie) aktywnie współpracują z miejscowymi stowarzyszeniami, razem organizując szkolenia i warsztaty, zaś kooperatyści z „Republiki Marzeń” społecznie wspomagają przedszkole dla niepełnosprawnych, m.in. organizując imprezy okolicznościowe. – *Te dzieci widzą, że jesteśmy do nich podobni, a mimo to pracujemy i funkcjonujemy jak każdy inny. To im pokazuje, że kiedy dorosną, też będą mogły normalnie żyć* – przekonuje p. Angelika.

„Republika Marzeń” uzyskała dofinansowanie na warsztaty fotograficzne dla niepełnosprawnych umysłowo, ale już ogólnopolski konkurs poetycki zamierza animować „o własnych siłach”. – *Naszym celem jest promocja sztuki osób niepełnosprawnych* – podkreśla P. Łysiak. – *Znam wiele niesamowicie zdolnych osób, które swoje prace chowały do szuflady, wstydziły się.*

Więcej niż praca

Dla niepełnosprawnych praca ma jeszcze większe znaczenie psychologiczne niż dla zdrowych. – *Pozwala przełamać nawyk siedzenia w domu, w najlepszym razie w towarzystwie najbliższych. Wielokrotnie widziałam osoby mające problem w kontakcie z ludźmi, cierpiące na silne natręctwa. Dzięki pracy udawało im się przełamać ograniczenia, a nawet zmniejszyć wiele objawów chorobowych, a w konsekwencji poprawić codzienne funkcjonowanie i zwiększyć samodzielność* – mówi Beata Kurczewska z łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Niepełnosprawnych. Przy jego wsparciu powstała Spółdzielnia Socjalna „Ksero Zawisza”, zrzeszająca osoby mające problemy ze zdrowiem psychicznym. Spostrzeżenia psycholożki podziela p. Grażyna: *Gdybyśmy nie założyły spółdzielni, to, tłumacząc się chorobą, mogłybyśmy do godziny 13:00 chodzić w szlafroku, bo to mnie boli, tamto mnie boli... Odkąd podjęliśmy pracę, nie mamy takiej możliwości i już nic nas nie boli.*

To, że w spółdzielniach osób niepełnosprawnych zazwyczaj pracują również osoby zdrowe, sprzyja integracji społecznej. – *Po paru miesiącach zaobserwowaliśmy, że wszyscy traktują się partnersko i z szacunkiem* – wspomina psycholog. – *Dla osób z dysfunkcjami*

ważne jest samo wyjście z domu, praca i kontakt z innymi osobami – potwierdza p. Tomasz, opowiadając, jak między pracownikami rodzą się przyjaźnie, które owocują świetną atmosferą w spółdzielni.

Panie z „50+” nieustannie podkreślają, że dzięki swojej działalności miały okazję poznać tyle *wspañiałych osób z całej Polski*. Co więcej, praca opiekunek pozwala im częściowo zaspokoić potrzeby rodzinne. – *Jesteśmy w takim wieku, że część z nas straciła już rodziców. Jak się ma 60 lat, to fajnie jest, kiedy pani mająca 80 nas przytuli* – mówi p. Grażyna.

Również liderka „Otwartych” przekonuje, że spółdzielnia to dla jej podopiecznych nie tylko miejsce pracy. – *To możliwość urzeczywistnienia swoich pasji. Tym, co do tej pory robili „po kątach”, mogą się obecnie zajmować zawodowo, a efekty ich pracy są widoczne. Na dodatek dają coś innym, co jest dla nich bardzo ważne.*

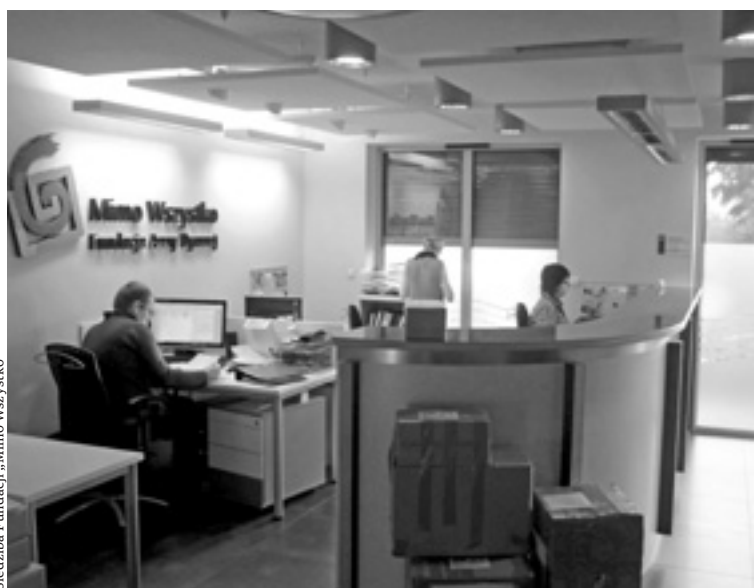
Dotknąć zarządzania

Spółdzielcze ideały zakładają partycypację w zarządzaniu wspólnym przedsięwzięciem. Z kooperatywami niepełnosprawnych, zwłaszcza zakładanymi przez osoby prawne, bywa nieco inaczej. **Bardzo często pracują w nich osoby, które nie są w stanie kierować nawet własnymi losami.** „Ideowe” spółdzielnie dokładają jednak starań, by na miarę ograniczeń wszyscy pracownicy brali **współodpowiedzialność za siebie oraz firmę.** – *Chcemy, aby każdy, kto jest do tego zdolny, „dotknął” zarządzania. Dlatego niemal wszyscy nasi pracownicy rotacyjnie pełnią funkcje kierowników, np. kuchni czy zaopatrzenia. I to działa: kiedy mnie ani Agnieszki nie ma, a często wyjeżdżamy, wszystko tutaj funkcjonuje normalnie – cieszy się prezes OPOKI, Agata Śwędzioł.*

Umiejętne włączanie pracowników w życie spółdzielni przekłada się na jej sukces. – *Na początku byliśmy „my” i „oni”; każde pięć minut dłużej było przez pracowników liczone do nadgodzin. Dziś mówią: nasza OPOKA, a odkąd zaciągnęliśmy kredyt, pracują jeszcze ciężiej, by go spłacić. Poculi, że OPOKA należy do nich, że są jej częścią* – mówi p. Agnieszka.

Mury i bariery

Kluczevska spółdzielnia podjęła starania o utworzenie zakładu aktywizacji zawodowej – miejsca, w którym niepełnosprawni przechodziliby rehabilitację zawodową i społeczną. Zgodnie z prawem ZAZ-y mogą być zakładane przez gminy, powiaty, fundacje, stowarzyszenia i inne organizacje społeczne. Początkowo urzędnicy uznali OPOKĘ za zwykłą firmę i odmówili zgody na prowadzenie ZAZ-u; pokazuje to, jakim problemem bywa niezrozumienie idei przedsiębiorczości społecznej, spotykane nawet na wysokich szczeblach administracji. Szefowie spółdzielni nie złożyli jednak bronii i zaczęły lobbować u wojewody oraz w samorządzie województwa. Efekt: od 15 czerwca 2012 r. przy OPOCE działa zakład aktywizacji.



Siedziba Fundacji „Mimo Wszystko”

Z kolei bariery, jakie napotkał SZRON, miały przede wszystkim charakter mentalny. – *Komendant chciał, by monitoring obsługiwali emerytowani policjanci. Nie wyobrażał sobie, jak to będzie, kiedy do komendy wjadą osoby na wózkach, obawiał się ponadto wycieku informacji, które nie powinny wyjść poza jej mury. Po dłuższym „przeciąganiu liny” zaprosiliśmy go na kawę. Po rozmowie lody puściły – relacjonuje I. Kowalewska.*

Sporo spółdzielni narzeka na powiatowe urzędy pracy. – *Chcieliśmy nawiązać współpracę i wystać niepełnosprawnych na szkolenia, po których mieliby rzeczywiste szanse na zatrudnienie na otwartym rynku. Niestety, urząd woli trzymać ich u siebie, aby w kółko organizować nieprzydatne szkolenia, dzięki czemu może pobierać pieniądze na aktywizację wykluczonych z rynku pracy – mówi wiceszefowa SZRON-u. – PUP-y mogą dawać pieniądze na tworzenie w spółdzielniach miejsc pracy dla niepełnosprawnych; mogą, ale nie muszą. I nie dają: żadna znana mi spółdzielnia socjalna nie otrzymała takich środków.*

O wszelkich trudnościach spółdzielcy na ogół mówią niechętnie. Wolą koncentrować się na osiągnięciach. – *Jeśli jest dobry zespół, można przejść przez wszystkie problemy – deklaruje p. Justyna Kiwert, prezes Odrzańskiej Spółdzielni Socjalnej. – Wiele osób, które były u nas na wizytach studyjnych, przekonało się, że to możliwe. Z większością mamy żywy kontakt, dzięki czemu wiemy, że im też się udało* – mówi z dumą Grażyna Skorupka.

KONRAD MALEC

współpraca Michał Sobczyk

Tekst jest skróconą i zaktualizowaną wersją rozdziału książki „Spółdzielnia socjalna osób niepełnosprawnych. Poradnik”, wyd. Krajowy Związek Spółdzielni Inwalidów i Spółdzielni Niewidomych, 2011.

Dotacja na godne życie



MICHAEL LIND, LAUREN DAMME

Ta odnosząca sukces w Europie koncepcja może uczynić opiekę nad osobami starszymi bardziej przystępną, a także stworzyć solidnie opłacane miejsca pracy - z uwagi na fakt, że osoby urodzone w okresie wyżu demograficznego osiągają właśnie wiek emerytalny.

W następstwie wielkiego kryzysu Stany Zjednoczone mogą być w najbliższych latach narażone na wysoką stopę bezrobocia. To wyzwanie potęguje dodatkowo fakt, że znaczna liczba miejsc pracy w wielu sektorach nie zostanie przywrócona - ze względu na brak tak dużego zapotrzebowania na te stanowiska, jakie obserwowano w obliczu zbyt łagodnej polityki kredytowej w czasie formowania się bańki spekulacyjnej, m.in. w sektorach finansowym, nieruchomości i budownictwa. Kolejne powody nieprzywrócenia owych miejsc pracy to - w perspektywie długoterminowej - przeniesienie ich za granicę w ramach *outsourcingu* lub poddanie automatyzacji.

W tym samym czasie społeczeństwo amerykańskie, starzejące się, będzie wymagało coraz większej opieki osobistej, w tym wsparcia medycznego. Według szacunków w roku 2050 co dwudziesty obywatel USA przekroczy 65. rok życia. Z tego powodu przewiduje się, że usługi związane z opieką społeczną oraz zdrowotną będą najszybciej rozwijającymi się sektorami naszej gospodarki w najbliższym dziesięcioleciu.

Gdyby rynki pracy działały idealnie - jak zakłada to ideologia fundamentalizmu rynkowego - miejsca pracy oferowałyby takie branże jak w rzeczywistości niestabilny sektor budownictwa czy np. sektor opieki nad osobami starszymi, na którą jest ogromne

zapotrzebowanie. W rzeczywistości jest jednak inaczej. Aby pokierować zmianami, przyspieszyć je oraz nadać im łagodniejszy bieg, potrzebna jest przemyślana polityka społeczna.

W dzisiejszej Ameryce, pełnej podziałów i nierówności, gdzie nieznaczna liczba obywateli może cieszyć się korzyściami wzrostu ekonomicznego ostatnich dekad, brak proporcji w podziale tworzonych miejsc pracy sektora usługowego może sprawić, że usługi te będą luksusem dostępnym jedynie garstce bogaczy. Po stronie podaży zwiększa się zatem m.in. liczba sprzątarek, opiekunek do dziecka, obsługi basenów. Jednocześnie po stronie popytu rosnąca liczba Amerykanów ubogich oraz z klasy średniej może znaleźć się w trudnej sytuacji, nie mając możliwości opłacenia osobistej pomocy, która pozwoliłaby im w podeszłym wieku pozostać w swoich domach oraz normalnie funkcjonować tak długo, jak to możliwe.

Ekonomiści przez długi czas wyróżniali kategorię „dóbr interesu publicznego” - takich, których zgodnie z powszechnie wyznawanymi koncepcjami godności potrzebują do życia obywatele każdego społeczeństwa, a które nie są zaspokajane przez wolny rynek. Co prawda programy takie jak Medicare czy Medicaid [amerykańskie programy pomocy medycznej dla osób o niskich dochodach, starszych lub niepełnosprawnych,



© Ed Yourdon, <http://www.flickr.com/photos/yourdon/2766029691/>

administrowane przez władze federalne i stanowe - przyp. redakcji „Nowego Obywatela”] już teraz oferują w przystępnej cenie usługi z zakresu opieki zdrowotnej dla osób starszych oraz biednych, jednak **definicję dobra interesu publicznego należałoby poszerzyć także o niemedyczną opiekę osobistą**. Osoby starsze potrzebują pomocy podczas wykonywania codziennych czynności, takich jak kąpiel, ubieranie się, jedzenie, siadanie oraz wstawanie z krzesła, chodzenie, korzystanie z toalety, wykonywanie telefonów, przygotowywanie posiłków, robienie zakupów, zarządzanie pieniędzmi itp. Obecnie za te potrzeby w znacznym stopniu odpowiada nieformalny rynek usług - szacuje się, że 43,5 miliona dorosłych Amerykanów pełni rolę nieopłacanych opiekunów, pracujących na część lub pełen etat. Owa szara strefa oznacza miliony potencjalnych miejsc pracy, rezygnację z płacenia składek na ubezpieczenie społeczne lub program ubezpieczeń społecznych Medicare, a także niezliczone straty dla władz lokalnych oraz federalnych z tytułu niepłaconych podatków. Opieka nad osobami starszymi przyczynia się również do strat, szacowanych na 33,6 miliarda dolarów rocznie, ponoszonych przez przedsiębiorstwa na skutek obniżonej produktywności pracowników. Dzieje się tak z powodu pośpiechu, w jakim osoby wykonują obowiązki zawodowe, by móc wcześniej wyjść z pracy i zaopiekować się rodzinami. Kolejne 13,4 miliarda dolarów to efekt zwiększonych wydatków na opiekę zdrowotną zestresowanych pracowników-opiekunów.

Polityka sektora publicznego ma za zadanie również naprawę kolejnej dysfunkcji wolnego rynku - niewystarczającego wynagrodzenia. Rzadko zwraca się

uwagę na fakt, że stworzenie w ostatnich latach ogromnej grupy „pracujących ubogich”, wykonujących zawody niewymagające pełnych kwalifikacji, pośrednio zainicjowane zostało dzięki programom państwa opiekuńczego, takim jak np. kupony żywnościowe [program pomocy federalnej oferujący pomoc finansową na zakup żywności osobom o niskich zarobkach lub bezrobotnym - przyp. redakcji „Nowego Obywatela”] lub wsparcie finansowe w postaci odroczenia płatności podatku dochodowego. Korzystanie z takich programów oznacza w domyśle zgodę pracowników na wynagrodzenie, które nie jest w stanie pokryć ich podstawowych potrzeb i musi być uzupełniane wsparciem socjalnym. W praktyce zarówno konserwatyści, jak i partie centrowe przez długi czas akceptowali rolę rządu w „uzupełnianiu” niskich wynagrodzeń poprzez różnego rodzaju „wynagrodzenia socjalne”. Dlaczego nie można stawić czoła wyzwaniom takim jak bezrobocie lub starzejące się społeczeństwo poprzez dotowanie miejsc pracy sektora prywatnego - tak aby pracownicy specjalizujący się w opiece nad osobami starszymi otrzymywali godne pensje? Rząd posiada możliwość zapewnienia takich dotacji, co jednocześnie pozwoliłoby niezamożnym ludziom w podeszłym wieku zapewnić niemedyczną pomoc osobistą. Proponujemy tym samym zmianę w polityce sektora publicznego, która doskonale sprawdziła się w innych krajach demokratycznych: bony usługowe.

Bony usługowe: sprawdzony sukces

Jak działa bon usługowy? Osoby kwalifikujące się do objęcia pomocą otrzymują od rządu bony (za darmo lub niewielką opłatą), których mogą użyć w celu

wynajęcia pracowników do takich zadań jak zakupy czy pomoc w prowadzeniu domu. Pracownicy muszą być zatrudnieni przez firmę, która uzyskała akredytację. Rząd udziela dotacji zatrudniającemu, aby pracownik otrzymał godne wynagrodzenie, będące sumą opłaty za bon oraz dotacji publicznej.

Na skalę ogólnokrajową programy oparte na bonach usługowych zostały wprowadzone z sukcesem w wielu państwach europejskich, m.in. w Belgii, Francji i Szwecji. Programy te stworzono z myślą o stymulacji wzrostu zatrudnienia w formalnym sektorze opiekuńczym oraz w celu pomocy w pracach domowych i opiece osobistej, zorientowanej na osoby starsze i inne. Osoby opiekujące się członkami rodziny mają zatem możliwość wyboru pełnoetatowej pracy lub dalszego wspierania krewnych - lecz tylko jako pracownicy sektora formalnego. Przykładowo Belgia w 2004 r. wprowadziła federalny program, który oferuje dotowane bony (*titres services*) na usługi wykonywane w gospodarstwie domowym, nabywane w firmach akredytowanych przez rząd. Mieszkańcy Belgii mogą w ciągu roku kalendarzowego zakupić 750 bonów podlegających odliczeniu podatkowemu (każdy jest wart jedną godzinę usług) lub 2000 bonów, jeśli są niepełnosprawni, mają niepełnosprawne dziecko, są w podeszłym wieku lub samotnie wychowują dzieci. Koszt usług podzielony jest między odbiorcę usługi (który kupując bon, płaci za usługę około $\frac{1}{3}$ jej wartości netto) oraz rząd, który pokrywa ok. $\frac{2}{3}$ kosztu usługi poprzez ulgi podatkowe dla odbiorcy usługi i bezpośredni zwrot kosztów dla usługodawcy.

Belgijscy pracownicy usługowi biorący udział w programie otrzymują umowę o pracę, dzięki czemu nabywają prawa z tytułu ubezpieczenia społecznego oraz wszelkich innych świadczeń, takich jak odszkodowanie pracownicze. Jest to bardzo istotne, ponieważ $\frac{2}{3}$ pracowników belgijskiego programu wskazało chęć udziału w tym programie jako motywację do wyjścia z szarej strefy. Ewaluacja belgijskiego programu zdradza pewne szczegóły dotyczące kosztów przedsięwzięcia. **Około 40% kosztów programu ponoszonych przez rząd zostaje zrekompensowane dzięki niższym wydatkom na zasiłek dla bezrobotnych oraz inne dopłaty państwowe, a także dzięki dodatkowemu dochodowi ze składek na ubezpieczenie społeczne oraz wpływom z podatku dochodowego.** Powyższe wyliczenie nie uwzględnia jednak wartości innych zalet programu, takich jak zwiększona produktywność i lepszy stan zdrowia pracowników, wynikające z mniejszego stresu oraz zachowania równowagi między życiem prywatnym a zawodowym, społeczne korzyści będące efektem formalizacji szarej strefy, a także lepsze samopoczucie i wyższa samoocena - jako rezultat zatrudnienia w godnych warunkach.

We Francji obowiązuje program społeczny CESU Social (Chèque Emploi Service Universel), ogólnokrajowy system oparty na bonach, wprowadzony przez władze



© Images of Money, <http://www.flickr.com/photos/59937401@N07/6127249966/>

lokalne i regionalne. CESU Social został stworzony w roku 2005 w celu promowania formalizacji sektora usług osobistych we Francji, które według szacunków w 60% świadczone są „na czarno”. Bony wykorzystuje się do zapłaty - opiekunom „bezpośrednim” lub pracownikom zatrudnionym przez firmę zewnętrzną - za opiekę, pomoc w pracach domowych, nauce, utrzymaniu domu lub ogrodu, pomoc osobom starszym, niepełnosprawnym lub podopiecznym (w tym dzieciom).

Odbiorcy programu społecznego (w tym osoby starsze) otrzymują osobistą, przedpłaconą kartę CESU o ustalonej wartości (CESU préfinancé), którą można wykorzystać wyłącznie na wybrane usługi. Odbiorca używa karty w celu zapłaty za usługi, pracownik usługowy otrzymuje wyrównanie od lokalnej jednostki administracyjnej (często za pośrednictwem prywatnej firmy), która następnie opłaca składki na ubezpieczenie społeczne pracownika, jeśli ten jest osobą prywatną. Do czynników motywujących do udziału w programie należą: niższe stawki podatku VAT oraz dotowane przez państwo składki na ubezpieczenie społeczne (w przypadku usług świadczonych osobom starszym) dla firm świadczących usługi CESU Social, 50% ulgi podatkowej dla osób prywatnych świadczących usługi CESU Social, a dla samozatrudnionych pracowników usługowych - zwolnienia z państwowych składek emerytalnych, które zostałyby odprowadzone z dochodu za wykonane usługi.

W 1993 r. wprowadzono system bonów w Szwecji, gdzie szacunkowo ponad 70% usług związanych z opieką osób starszych wykonywano „na czarno”. Przed rozpoczęciem programu urzędy miejskie przeprowadzały ankietę, aby ustalić rodzaj usług, na które

byłoby zapotrzebowanie wśród osób starszych. Następnie odbiorcy usług otrzymują wirtualne bony, za które mogą wykupić określone usługi od akredytowanych podmiotów – publicznych lub prywatnych. W rezultacie odbiorcy usług w ramach opieki nad osobami starszymi ponoszą jedynie 4% kosztów, podczas gdy 80% pokrywane jest z lokalnych podatków, a brakujące 16% pochodzi z budżetu państwa. W ten sposób lokalne władze cieszą się znaczną niezależnością w sposobie świadczenia usług. Jednak władze państwowe nakładają pewne ograniczenia na maksymalne kwoty, jakie odbiorcy zapłacą za usługi, a w przypadku niewywiązania się z należytego świadczenia usług przewidziano kary finansowe.

Zapotrzebowanie w Ameryce

Obecnie w Stanach Zjednoczonych nie istnieje żaden program oparty na bonach usługowych. Ustawa o wsparciu oraz świadczeniu usług w ramach opieki społecznej (Community Living Assistance Services and Support Act – CLASS), początkowo stanowiąca część ustawy o przystępnej opiece z 2010 r. (Affordable Care Act), miała regulować pomoc w czynnościach domowych takich jak ubieranie się czy kąpiel, lecz uprawniała do korzystania z takiej opieki jedynie osoby niepełnosprawne. W przeciwieństwie do programów opartych na bonach usługowych program CLASS był dobrowolnym programem ubezpieczeniowym, opłacanym ze składek beneficjentów. Być może ze względu na opinie, że taki plan byłby niestabilny, administracja Obamy ogłosiła w październiku zeszłego roku zaniechanie inicjatywy CLASS z powodu obaw o zbyt wysokie koszty dla korzystających z programu.

Na poziomie stanowym programem najbardziej zbliżonym do systemu bonów usługowych byłby Oklahoma's Advantage Program, który zapewnia medyczną i niemedyczną pomoc osobom starszym, kwalifikującym się do korzystania z programu ubezpieczeń społecznych Medicaid. Pozwala on odbiorcom wybrać usługodawcę z listy firm prywatnych, akredytowanych przez stan i opłacanych z jego budżetu.

W miejsce bonów usługowych Stany Zjednoczone wprowadziły tzw. programy dla wytchnienia (*respite care programs*), których misją jest pomoc osobom opiekującym się członkami rodziny, a które finansowane są z ogólnokrajowego programu wsparcia dla osób świadczących opiekę krewnym (National Family Caregiver Support Program NFCSP) zgodnie z nowelizacją ustawy o ochronie seniorów (Older Americans Act) z 2000 r. Programy te oferują bony dla osób opiekujących się członkami rodziny, dając im możliwość wynajęcia innego opiekuna, aby sami mogli w tym czasie odpocząć. W stanie Kalifornia istnieje program oferujący bony w wysokości do 3600 dolarów rocznie, który pozwala rodzinom na wybranie usługodawcy.

Mimo że „programy dla wytchnienia” są bardzo dobrym pomysłem ze względu na wsparcie osób

opiekujących się członkami swoich rodzin, niestety nie uwzględniają one rosnącej liczby bezdzietnych Amerykanów w podeszłym wieku, osób starszych, których rodzina i krewni mieszkają zbyt daleko, by móc się nimi zaopiekować, czy wreszcie dorosłych Amerykanów, którzy muszą pracować, zamiast pomagać swoim rodzicom. Programy bonów usługowych byłyby natomiast dopasowane do potrzeb wszystkich seniorów, bez względu na posiadanie rodziny.

Jeśli już staramy się zwiększyć zaangażowanie rządu w zapewnianie niemedycznej opieki osobom starszym, dlaczego nie zatrudnić bezpośrednio pracowników państwowych, zamiast wprowadzać system państwowych dopłat dla pracowników sektora prywatnego? W teorii państwowi pracownicy oczywiście wywiązałiby się z zadania. Jednak zaletą systemu bonów usługowych jest to, że pozwala on pozostać ludziom we własnych domach, bez konieczności korzystania z pomocy instytucji. Ponadto sprawowanie opieki domowej w ramach sektora publicznego spotkałoby się z niewielką akceptacją. Nawet socjaldemokratyczne państwa Europy opowiadały się za państwowymi dopłatami do opieki domowej w ramach sektora prywatnego zamiast tworzenia zastępów państwowych pracowników – osób sprzątających czy ogrodników – przypisanych do poszczególnych gospodarstw domowych.

Bony usługowe przyniosłyby jeszcze jedną korzyść gospodarczą. Wprowadzone w Stanach Zjednoczonych wyposażyłyby decydentów w cenne i elastyczne narzędzie do zwiększenia – nie zastąpienia – ulgi podatkowej dla osób o niskich dochodach (*earned income tax credit* – EITC). Rozwiązałyby to kilka problemów. Jednym z nich jest zbyt duża zależność amerykańskiej polityki sektora publicznego od ulg podatkowych dla osób o niskich dochodach jako narzędzia do podniesienia przychodu najbiedniejszych Amerykanów. EITC jest federalną ulgą podatkową dla osób o niskich i średnich zarobkach. Ulgą podatkową jest bezzwrotna, jako że rząd uzupełnia pensje pracowników, których przychód jest tak mały, że nie płaciliby podatku dochodowego. Większość ekonomistów zgodnie twierdzi, że EITC sprawdza się najlepiej w wyrównywaniu przychodu pracowników z ograniczoną lub przerywaną obecnością na rynku pracy. Ze wsparciem Republikanów i Demokratów EITC zostało jednak w znacznym stopniu rozpowszechnione jako substytut świadczeń rzeczowych – tak niepopularnych wśród amerykańskiego elektoratu – a także wyższej płacy minimalnej, której sprzeciwiają się konserwatyści oraz wiele przedsiębiorstw. Zbyt duża zależność od EITC może być dobrym rozwiązaniem politycznym, jest jednak zła ze społecznego punktu widzenia.

System EITC został zaprojektowany błędnie, co wiadać szczególnie w sytuacjach, gdy zamiast w celu pomocy pracownikom w ich przejściowych problemach z zatrudnieniem, wykorzystuje się go jako uniwersalne

narzędzie zwiększania dochodu w najgorzej opłacanych miejscach pracy. Tak jak w przypadku dopłat do pensji, w tym bonów usługowych, EITC pośrednio dotuje firmy oferujące pracownikom niskie zarobki, mimo że bezpośrednią dopłatę otrzymuje właśnie taki pracownik. Obecny projekt EITC nie przewiduje żadnych ograniczeń co do tego, którzy pracodawcy mogą otrzymać dotacje. **System EITC może dotować pracowników pomagających osobom starszym zrobić zakupy lub posprzątać dom. Może on jednak dotować także osoby pracujące w przedsiębiorstwach wyzyskujących pracowników lub kiepsko opłacanych służących w willach miliarderów. Program bonów usługowych likwiduje ten problem, precyzyjnie definiując rodzaje pracy uprawnione do dotacji. Pomoc w zakupach osobie starszej – tak, czyszczenie basenu – nie. Bony usługowe mają jeszcze jedną przewagę nad systemem EITC i nad innymi programami oferującymi dopłaty do wynagrodzenia. Podczas gdy oba programy – EITC oraz program bonów usługowych – stwarzają ograniczone możliwości redystrybucji dochodu, dzięki bonom usługowym niezamożne osoby w podeszłym wieku mogą pozwolić sobie na usługi, na które nie byłoby ich normalnie stać.**

Bon Godnego Życia

W celu zaspokojenia potrzeb seniorów, przy jednoczesnym tworzeniu miejsc pracy dla osób o niepełnych kwalifikacjach, proponujemy amerykańską wersję programu bonów usługowych, zwaną Programem Bonów Godnego Życia (Dignity Voucher Program) – innowacyjny system bonów dla zapewnienia opieki osobom starszym. Posiadający zalety innych programów oraz uzupełniający już istniejące „programy dla wytchnienia” – ograniczone jedynie do pomocy osobom opiekującym się członkami rodziny – Program Bonów Godnego Życia zwiększyłby zatrudnienie wśród osób o niepełnych kwalifikacjach poprzez stymulację popytu, zwiększając dochód państwa z podatków i podwyższając pensje pracowników opuszczających szarą strefę w celu podjęcia zatrudnienia na formalnym rynku pracy.

Rząd federalny przekazywałby władzom stanowym fundusze na opiekę dla osób starszych w formie Bonów Godnego Życia. Kwalifikujący się seniorzy mogliby wykorzystać bony do zakupu ograniczonej liczby godzin niemedycznej pomocy osobistej – w czynnościach takich jak sprzątanie domu lub transport. Bony oferowałyby firmy akredytowane przez władze federalne oraz stanowe, świadczące opiekę osobistą. Dzięki Bonom Godnego Życia seniorzy mogliby płacić pracownikom usługowym kwoty mniejsze niż minimalne wynagrodzenie. Firmy natomiast byłyby zobowiązane wypłacić swoim pracownikom kwoty powyżej minimum. Rząd następnie wypłacałby firmom różnicę pomiędzy wartością bonu a wynagrodzeniem pracownika. Kongres lub poszczególne stany miałyby

prawo żądać od pracodawców płacenia określonych świadczeń pracownikom (opieka zdrowotna, emerytura/renta) lub ograniczenia kosztów ogólnych, ponoszonych w określonym stosunku procentowym do wartości świadczonych usług.

W celu zminimalizowania ryzyka potencjalnych nadużyć podczas zwiększania efektywności należy uważnie zaprojektować testową wersję programu.

Dopłaty muszą być przekazywane akredytowanym przez rząd firmom zatrudniającym pracowników usługowych (opiekunów), a nie w sposób bezpośredni odbiorcom usług lub pracownikom. Zagwarantuje to, że pieniądze nie zostaną wykorzystane do płatności „pod stołem”. Wymusiłoby to na pracodawcach również przestrzeganie federalnych i stanowych regulacji prawa pracy, szacunek dla praw obywatelskich oraz przepisów dotyczących minimalnego wynagrodzenia. Pracodawcami kwalifikującymi się do udziału w systemie byłyby firmy świadczące usługi osobom starszym, akredytowane przez władze stanowe, a także spełniające wszelkie regulacje lokalne, stanowe oraz federalne. Firmy te, zarówno prywatne, jak i publiczne, powinny być poddawane regularnym kontrolom w celu ograniczenia ryzyka nadużywania systemu.

Przykład zdecentralizowanego systemu szwedzkiego mógłby służyć za dobry model dla Programu Bonów Godnego Życia, ponieważ podnosi wydajność konkurencyjnego sektora prywatnego oraz tworzy nowe miejsca pracy, jednocześnie nie dopuszczając do eskalacji kosztów, obserwowanej w służbie zdrowia Stanów Zjednoczonych. Ponieważ USA dysponują większą niż w Szwecji pulą firm świadczących usługi osobom starszym, system bonów może w bardzo szybkim tempie napędzić konkurencję oraz rozwój sektora, stanowiąc atrakcyjną możliwość utworzenia nowych miejsc pracy.

Tak jak w przypadku modeli opisanych wcześniej, niemedyczne czynności kwalifikujące się do dotacji w ramach Programu Bonów Godnego Życia byłyby określone przez prawo krajowe i stanowe. Czynności te obejmowałyby osobistą pomoc w pracach domowych, transporcie, gotowaniu i innych obowiązkach. Opieka medyczna powinna być wyłączona z Programu Bonów Godnego Życia, ponieważ pokrywałyby ją programy Medicare i Medicaid.

Odbiorcami usług w ramach programu powinny być osoby starsze o niskich lub średnich dochodach, przy czym w celu wykluczenia osób zamożnych możliwe byłoby przeprowadzenie kontroli środków finansowych. Program Bonów Godnego Życia obejmowałby także osoby niepełnosprawne w każdym wieku. Ponieważ zapotrzebowanie na takie usługi o wiele łatwiej stwierdzić na poziomie lokalnym, kwalifikacja odpowiednich odbiorców mogłaby zostać powierzona władzom stanowym lub lokalnym (tak jak w przypadku ewaluacji dokonywanej przez urzędy miejskie w Szwecji), pomimo że dotacje pochodziłyby od rządu



© Sunset Parkerpix, <http://www.flickr.com/photos/fleshmanpix/6289141571/>

federalnego. Jednak indywidualna ewaluacja odbiorców oraz kontrole ich finansów mogłyby zmniejszyć wsparcie polityczne programu oraz znacznie zwiększyć jego koszty administracyjne. Do kwalifikujących się odbiorców można by kierować kampanie podnoszące świadomość, których organizacja jest obowiązkiem władz lokalnych.

Aby poprawnie funkcjonował, Program Bonów Godnego Życia musi być prowadzony w sektorze formalnym. Przykład Belgii pokazuje, że włączenie pracowników usługowych w system państwa opiekuńczego (ubezpieczenie społeczne, program Medicaid, ubezpieczenie od bezrobocia itp.) jest kluczowe dla ich wyjścia z szarej strefy i ochrony przed wyzyskiem. Pracownicy usługowi Programu Bonów Godnego Życia muszą się zatem do niego kwalifikować - podlegać wszelkim stanowym standardom, jak również prawom i obowiązkom pracownika, określonym przez prawo federalne. Ponadto usługodawcami lub pracownikami usługowymi mogliby zostać wyłącznie obywatele Stanów Zjednoczonych lub legalni imigranci. W fazie wstępnej pierwszeństwo miałyby osoby, które na skutek ostatniej recesji przez długi czas pozostawały bezrobotne.

Korzyści z wprowadzenia Programu Bonów Godnego Życia lub innych podobnych programów w Stanach Zjednoczonych nie ograniczyłyby się tylko do stworzenia nowych, godnie opłacanych miejsc pracy dla osób świadczących pomoc domową oraz sprawowania tak potrzebnej opieki nad ludźmi starszymi. W Europie programy bonów odniosły sukces w redukcji zjawiska pracy „na czarno” poprzez zmniejszenie zainteresowania nielegalnym zatrudnieniem. Oceny belgijskiego modelu wykazują, że znacząca część kosztów programu poniesiona przez rząd - co najmniej 40% - może

być bezpośrednio wyrównana przez zwiększony ogólny dochód państwa oraz zmniejszone wydatki z tytułu podatków. Wyrównania te w znacznej mierze zależą od tego, z jakim sukcesem udało się sformalizować opiekę osób starszych wykonywaną w ramach szarej strefy, a więc w jakim stopniu udało się zwiększyć wpływy z podatku dochodowego oraz zmniejszyć liczbę świadczeń wypłacanych osobom bezrobotnym lub zatrudnionym w niepełnym wymiarze godzin.

Program Bonów Godnego Życia mógłby także, poprzez ograniczenie możliwości pracy „na czarno”, zredukować do pewnego stopnia nielegalną imigrację. Dzięki takiemu programowi seniorzy mogliby płacić kwoty mniejsze niż minimalne wynagrodzenie obywatelom USA oraz legalnym imigrantom, którzy z kolei dzięki dotacjom państwa udzielanym pracodawcom otrzymywaliby wynagrodzenie przekraczające płacę minimalną. Płacenie pracownikom usługowym skromnej państwowej pensji utwierdziłoby w przekonaniu, że rządowe dotacje nie służą tworzeniu konkurencji dla obecnych pracowników czy doprowadzeniu do sytuacji, w której pracownicy usługowi nie będą mogli się utrzymać i staną się zależni od pomocy państwa.

Automatyzacja wyboru odbiorców (być może przy pomocy organu ubezpieczeń społecznych) oraz wprowadzenie programu zredukowałoby także koszty administracyjne. Model francuski zdaje się obniżać koszty sektora formalnego - zarówno w przypadku pracowników, jak i odbiorców usług. Po stronie podaży składki na ubezpieczenie społeczne francuskich pracowników są wyliczane automatycznie dzięki przedpłaconej karcie CESU, natomiast po stronie popytu system propaguje bezpośrednie zatrudnienie i zapłatę pracownikom, co ma potencjalnie zmniejszyć koszty oraz zredukować zamieszanie w przypadku odbiorców mających dowolność w zakupie usług.

Sprawdzony za granicą, potrzebny tutaj

Stany Zjednoczone powinny wziąć przykład z sukcesu innych państw, które wprowadziły program bonów usługowych. Tak jak uczyniły to inne kraje, USA muszą stawić czoła zarówno bezrobociu, jak i wyzwaniom starzejącego się społeczeństwa. Opinia polityków, ekspertów i analityków, że propozycja polityki „dwa w jednym” może rozwiązać jednocześnie dwie problematyczne kwestie, powinna zostać poddana krytycznej analizie.

Wierzmy, że nasza propozycja przetrwałaby taką próbę. Z czasem nasza gospodarka zostanie zdominowana przez usługi pomocy osobistej, które nie mogą ulec automatyzacji lub przeniesieniu za granicę, a ogromna część sektora usługowego będzie napędzana przez pomoc świadczoną osobom urodzonym w okresie wyżu demograficznego, wchodzącym obecnie w wiek emerytalny. Owo zapotrzebowanie jest jak do tej pory zaspokajane przez członków rodziny oraz

pracowników szarej strefy. Amerykańskie przedsiębiorstwa tracą w ten sposób wydajność zatrudnionych i ponoszą wyższe koszty związane z opieką zdrowotną dla zajmujących się swoimi krewnymi, podczas gdy szara strefa obniża dochód podatkowy na płaszczyźnie lokalnej, stanowej i krajowej. Istniejące już „programy dla wytchnienia” są niewystarczające i mogłyby zostać uzupełnione lub zastąpione przez program bonów usługowych.

Proponowany Program Bonów Godnego Życia powinien zostać przetestowany jako program pilotażowy. Gdyby odniósł sukces, Kongres powinien rozważyć rozszerzenie zakresu programu i uczynić go stałą częścią amerykańskiego systemu ubezpieczeń społecznych, wychodząc naprzeciw dotychczas niezaspokojonym potrzebom wielu amerykańskich seniorów, wymagających opieki finansowanej z państwowych dotacji oraz pomocy udzielanej prywatnie. Koszty programu byłyby zależne od jego skali. Niektóre koszty – jeśli nie wszystkie – mogłyby być wyrównywane z budżetu państwa dzięki oszczędnościom z wypłat zasiłków dla osób bezrobotnych lub redukcji wydatków podatkowych na odliczenia z tytułu składek od prowadzanych na ubezpieczenie zdrowotne. Koszty amerykańskiego programu bonów usługowych mogłyby zostać pokryte z podatku od wynagrodzeń lub innego podatku, np. z części odprowadzonej z federalnego podatku VAT, czy też pokrywane z ogólnego dochodu państwa.

Sprawdzony za granicą oraz tak potrzebny tutaj program bonów usługowych może rozpocząć nowy rozdział amerykańskiej polityki sektora publicznego. System tego rodzaju osiągnąłby sukces na wielu płaszczyznach. Między innymi zwiększyłby zapotrzebowanie na pracowników sektora usługowego o niskich dochodach. Jednocześnie zapewniłby pośrednie wsparcie finansowe amerykańskim seniorom, którzy są w stanie żyć i funkcjonować we własnych domach, jednak w określonych sytuacjach potrzebują osobistej pomocy, której nie mogą sobie zapewnić na własną rękę. Dzięki temu amerykańskie rodziny zostałyby odciążone w udzielaniu pomocy krewnym w podeszłym wieku. Wreszcie, program zwiększyłby dochód podatkowy, jako że nieformalna i nieadekwatnie opłacana siła robocza zostałaby zastąpiona przez godnie zarabiających pracowników formalnego rynku pracy. Odważny pomysł wykorzystania bonów usługowych do stworzenia nowych miejsc pracy, przy jednoczesnym świadczeniu pomocy osobom starszym, jest dokładnie tym, czego w dzisiejszych czasach Ameryka tak rozpaczliwie potrzebuje.

MICHAEL LIND, LAUREN DAMME

New America Foundation

Tłum. Anna Bednarska

Tekst pierwotnie ukazał się na stronie internetowej czasopisma „Democracy: A Journal of Ideas” (14.03.2012).

Czy lewica to PZPR, UB, łagry, Stalin, „dzieła Marksa i Lenina”? • Czy socjalizm to ZSRR, Bierut, Gomułka i Moczar? • Czy „polska droga do socjalizmu” to cukier na kartki, cenzura i strzelanie do robotników?

poznaj inną lewicę!

LEWICOWO.pl

Pierwszy i jedyny portal internetowy poświęcony tradycjom i dorobkowi polskiej lewicy demokratycznej, patriotycznej i niekomunistycznej

www.lewicowo.pl

• Abramowski • Daszyński • Limanowski • PPS • spółdzielczość • związki zawodowe • Moraczewski • Mickiewicz • Brzozowski • Thugutt • Sempołowska • Żeromski • Krahelska • Hołówko • Ossowski • Zaremba • Ciołkoszowie • Próchnik • Pragier • Zygielbojm • Barlicki • Perl • Niedziałkowski • Krzywicki... i wiele innych materiałów. Kilka razy w tygodniu nowe teksty, w tym unikatowe, nie wznawiane od kilkudziesięciu lat.

Obiecywali jak nigdy, nie dotrzymali słowa jak zawsze,

czyli społeczna odpowiedzialność biznesu po polsku

PRZEMYSŁAW WEWIÓR



©©©Christ1051, <http://www.flickr.com/photos/christ1051/2888530090/>

Od kilku lat obserwujemy w Polsce modę na społeczną odpowiedzialność biznesu (SOB lub z ang. CSR – *corporate social responsibility*). Ogromną popularnością cieszą się oferty konkursowe i certyfikaty dla etycznie działających firm, przedsiębiorcy tworzą strony internetowe i działy zajmujące się pozaekonomicznymi aspektami aktywności gospodarczej. Jednocześnie SOB zmienia oblicze – nie ma być już jedynie filantropią i PR-ową zagrywką, lecz istotnym

elementem zarządzania organizacją. Apologeci dzikiego kapitalizmu widzą w tych trendach dowód efektywności niewidzialnej ręki rynku, która uzgadnia interesy przedsiębiorców z oczekiwaniami konsumentów, lokalnych społeczności, pracowników i dbałością o środowisko naturalne. Czy jednak faktycznie stoimy w obliczu przełomu, który znacząco podniesie jakość naszego życia? Strategie polskich przedsiębiorców rozwiewają złudzenia.

Jak to się robi za zachodnią miedzą?

Niektóre zachodnie doświadczenia mogły dawać nadzieję, że polska moda na SOB przyniesie korzyści. Działania założonej przez Raya Andersona (1934-2011) korporacji Interface Inc. stanowią przykład, że SOB może być strategią, która opłaca się zarówno firmom, jak i społeczeństwu. Ten niekwestionowany potentat w produkcji i sprzedaży wykładzin dąży do tego, by zniwelować oddziaływanie środowiskowe. Anderson rozpoczął swój plan, który nazwał „misją 0”, w 1994 r. pod wpływem lektury „The ecology of commerce” Paula Hawkena. Autor książki dowodził, że tylko korporacje posiadają wystarczające środki finansowe i techniczne, by poradzić sobie z globalnymi problemami ekologicznymi.

„Misja 0” ma być ukończona do roku 2020 i jak na razie przebiega sprawnie: w 2009 r. Anderson deklarował, że Interface znajduje się w połowie drogi do celu, mimo że do produkcji wykładzin potrzebne są paliwa kopalniane (np. ropa naftowa), a więc surowce powodujące silne zanieczyszczenia środowiska. Firma Andersona zastosowała strategię *cradle and return to cradle* (od kołyski z powrotem do kołyski), która polega na zamknięciu cyklu produkcyjnego wykładzin. Intercom na każdym etapie produkcji dąży do wprowadzenia innowacji technologicznych, dzięki którym w trakcie recyklingu będzie mógł odzyskać cały uprzednio wykorzystany nylon i użyć go do następnych produkcji. **Zasada *cradle and return to cradle* wiąże się również z odpowiedzialnością za losy własnego towaru – firma Andersona nie sprzedaje wykładzin, lecz oddaje je w leasing, odzyskując od klientów produkt, gdy ten jest już przeznaczony do utylizacji.**

Jak przyznają przedstawiciele korporacji, strategia SOB jest jednym z najważniejszych czynników, które przyczyniły się do rynkowego sukcesu firmy i sprawiły, że stała się odporna na kryzysy gospodarcze.

Innym ciekawym przykładem jest historia powstania rynku lodówek LPG w Niemczech. W 1987 r. ONZ podpisała tzw. Protokół Montrealski, wzywający do redukcji emisji substancji zubażających warstwę ozonową. W 1991 r. Greenpeace rozpoczął rozmowy z niemiecką firmą DKK Scharfenstein, namawiając jej właścicieli do zastąpienia lodówek wykorzystujących chlorofluorowęglowodory sprzętem opartym na technologii LPG, która jest znacznie korzystniejsza dla środowiska. Producent wprowadził innowację. Społeczeństwo niemieckie w krótkim czasie zrezygnowało z zakupów lodówek starej generacji. Aby nadążyć za nowym trendem konsumpcyjnym i konkurencją, już w 1994 r. swoje strategie musieli zmienić dwaj potentaci na rynku AGD – firmy Bosch i Liebherr. Ostatecznie nowy rynek lodówek LPG całkowicie wyparł dawny, redukując tym samym środowiskowe koszty zewnętrzne.

Gdy przyjrzymy się finansowym i pozaekonomicznym skutkom działalności Interface i DKK Scharfen-



stein, to nie może dziwić, że – jak wykazują badania PricewaterhouseCoopers i MillwardBrown SMG/KRC z 2012 r. – przedsiębiorcy coraz częściej traktują SOB już nie jako filantropię czy PR, lecz jako długofalową politykę zarządzania ryzykiem i wartością własnych organizacji. Takie stanowisko jest widoczne zwłaszcza wśród dużych firm, gdyż to one najszybciej reagują na nowe trendy i innowacje. Strategie zarządzania ryzykiem i wartością organizacji to oczywiście metody powiększenia zysków przynoszonych przez firmy. Zysk przekłada się natomiast na wynagrodzenia kierownictwa, stanowiąc bodziec motywujący przedsiębiorców do podjęcia odpowiednich działań. Zgodnie ze wspomnianymi badaniami, już teraz przedsiębiorcy wymieniają korzyści finansowe jako drugie w kolejności zalety SOB. Gdy zsumujemy odpowiedzi nr 3 („przychody”) i 5 („oszczędności”), to otrzymamy 65 proc. głosów (tylko 9 proc. mniej niż w przypadku odpowiedzi „pozytywny wizerunek”).

Ponadto piewcy nowych strategii podkreślają, że firma, która nie dba o swój interes, nie może uchodzić za społecznie odpowiedzialną. Przedsiębiorcy, którzy zlekceważyliby reguły ekonomii i doprowadzili organizację do upadku, pozbawiliby pracowników źródła utrzymania. Tym samym nie wywiązałiby się ze swego najważniejszego zobowiązania społecznego. Bankructwo organizacji może również odbić się na jej otoczeniu, wywołując falę dalszych niekorzystnych wydarzeń. Te przypadki stanowią mocny argument



© Ta Ann: Behind the veneer, <http://www.flickr.com/photos/taanni/6793631938/>

na rzecz nowej definicji SOB: interesy przedsiębiorców i reszty społeczeństwa tworzą w takich okolicznościach harmonijną całość. Przewaga nowego ujęcia SOB bierze się również stąd, że jej strategię nie są tylko dodatkiem do właściwych działań przedsiębiorstwa. Skoro społeczna odpowiedzialność jest istotnym elementem zarządzania wartością organizacji, to wydatki na nią nie są obcinane nawet wtedy, gdy firma zmagą się z trudnościami finansowymi. Inaczej sytuacja wygląda w przypadku filantropii: w kryzysowych sytuacjach przedsiębiorstwa w pierwszej kolejności rezygnują z działalności dobroczynnej.

Z punktu widzenia społeczeństwa nie wszystkie praktyczne konsekwencje takiego rozumienia SOB są jednak korzystne. Nie sposób bowiem z góry przesądzać, że interesy firmy i jej społecznego otoczenia zawsze można ze sobą pogodzić. SOB jako strategia generuje bardzo zróżnicowane modele biznesowe. Niektóre z nich – jak w przypadku Interface i DKK Scharfenstein – spełniają bardzo wysokie normy etyczne, inne stanowią karykaturę odpowiedzialności.

Co z ciebie wyrośnie?

Niestety najnowsze inicjatywy SOB w naszym kraju pokazują, że nie powinniśmy oczekiwać znaczącej poprawy w standardach prowadzenia biznesu, mimo że polscy przedsiębiorcy deklarują, iż są tym zainteresowani. Czeka nas raczej wyrafinowane kampanie PR-owe, skrywające niemoralne praktyki.

Na przykład na konferencji poświęconej SOB prezes bardzo dużej firmy konsultingowej i znany specjalista od zarządzania ryzykiem przekonywał słuchaczy, w zdecydowanej większości menedżerów wysokiego szczebla, że społeczna odpowiedzialność może polegać na... wyzysku. Mówiąc o tzw. ryzykach reputacyjnych firmy, związanych z *outsourcingiem*, stwierdził on, że ochroniarze i sprzątaczkę zatrudnieni przez agencje pośrednictwa pracy są wyzyskiwani. Zwrócił następnie uwagę, że protesty tych grup społecznych mogą odbić się niekorzystnie na wizerunku firmy, która korzysta z usług agencji. Prelegent radził zatem, by przedsiębiorcy wywierali presję na dostawcach usług i podwykonawcach, którzy mieliby dążyć do poprawy warunków pracy i wynagrodzeń zatrudnionych przez nie osób. Nie sugerował on jednak żadnej istotnej zmiany: poprawa powinna być taka, żeby załagodziła krytykę, ale nie podniosła kosztów pracy. Na SOB pracownicy agencji skorzystaliby niewiele – nadal byłiby wyzyskiwani.

Zwolennikiem prowadzenia takich prowizorycznych działań spod znaku SOB jest np. firma Provident Polska SA. W 2010 r. zorganizowała okrągły stół, przy którym spotkało się 31 reprezentantów jej otoczenia biznesowego – tzw. interesariuszy. Tego rodzaju spotkania mają pomóc firmom poznać oczekiwania grup społecznych, które posiadają wpływ na wartość organizacji, i tym samym uniknąć zagrożeń lub wykorzystać nowe szanse na rozwój. Na Zachodzie od kilkunastu lat regularnie prowadzi je np. koncern Shell, który konsultuje wszystkie nowe projekty z rzecznikami różnych grup interesariuszy, by uniknąć protestów podobnych do tych, jakie w 1995 r. wywołał szkodliwy dla środowiska plan zatopienia na Atlantyku platformy wiertniczej Brent Spar. W Polsce inicjatywa Providenta była zupełną nowością. Efektem okrągłego stołu była lista 32 oczekiwań. Jak zapewnia zarząd przedsiębiorstwa, wszystkie postulaty z wyjątkiem trzech, których nie można było zrealizować ze względów prawnych, zostały wprowadzone w życie. Na spotkaniu zabrakło jednak grupy kluczowej – zadłużonych „przedstawicieli” firmy. Jak tłumaczyło kierownictwo Providenta, instytucja nie zaprosiła dłużników, gdyż ci już wcześniej unikali z nimi kontaktu. Takie wyjaśnienia wydają się być jednak niewystarczające, gdy weźmie się pod uwagę, że to właśnie oni stanowią największą, po klientach spłacających długi terminowo, grupę interesariuszy firmy (są kilka razy liczniejsi od pracowników). Brak wystosowanych zaproszeń do kluczowych partnerów świadczy o tym, że instytucja finansowa nie chce prowadzić poważnych rozmów na temat swojej działalności i wprowadza tylko takie zmiany, które nie naruszają najbardziej kontrowersyjnych zasad jej funkcjonowania.

Innym niewygodnym dla polskich firm zagadnieniem jest brak systematycznych i całościowych strategii SOB. Opinie audytorów, specjalistów od BHP i prawników są gromiące: SOB zajmuje peryferyjną pozycję

w zarządzaniu firmą i bardzo często towarzyszą jej skandaliczne praktyki. Odpowiedzialne działania przedsiębiorców kończą się zazwyczaj na stworzeniu osobnego działu w firmie, który zajmuje się problemami społecznymi i ekologicznymi. Pracownicy tych działów są faktycznie dobrymi specjalistami od SOB, jednak ich decyzyjność jest niewielka. Audytorzy podkreślają, że znajomość pozaekonomicznych aspektów biznesowej działalności powinna być udziałem nie tylko niewielkiej grupy zatrudnionych, ale wszystkich pracowników. W Polsce nagminnie powtarzają się sytuacje, gdy firmy, które chcą uchodzić za odpowiedzialne, nie szkolą zatrudnionych w zakresie praw pracowniczych. Nie powinno to dziwić, skoro wiele z nich świadomie łamie uprawnienia swoich pracowników. Znany jest przypadek, gdy przedsiębiorstwo prowadziło dział SOB, a jednocześnie nie pozwalało pracownikom na korzystanie z przysługujących im przerw w pracy, nakazując załatwianie potrzeb fizjologicznych w pieluchy.

Opinie audytorów mają swoje odbicie w statystykach. Zgodnie z rejestrem Social Accountability Accreditation Services (SAAS) w Polsce tylko osiem firm ma certyfikat SA 8000, kolejnych kilka prowadzi starania, by wdrożyć jego zasady (na świecie ten certyfikat posiada łącznie prawie 3000 firm). Trzeba dodać, że SA 8000 jest najbardziej podstawowym standardem, którego reguły powinny być oczywiste. Mowa tu bowiem o takich zasadach jak np. zakaz pracy przymusowej, stosowania przemocy fizycznej i psychicznej, dyskryminacji, zatrudniania dzieci, opłacania pracowników poniżej ustawowego minimum, a także przestrzeganie zasad BHP, uprawnień do zrzeszania się, zbiorowych negocjacji itd. Aż dziw, że trzeba to audytować.

Czym więc zajmują się pracownicy działów SOB w Polsce? Największą popularnością cieszy się organizowanie akcyjnego wolontariatu, w którym udział biorą pracownicy (wolontariat pracowniczy) lub członkowie lokalnych społeczności. Takie działania rzeczywiście dobrze realizują założenia nowych strategii SOB, gdyż akcyjny wolontariat zwiększa motywację i lojalność pracowników, przyczyniając się tym samym do poprawy wyników finansowych firm. Zarazem jest on łatwy do przeprowadzenia: wolontariusze angażują się bowiem tylko jednorazowo, np. odnawiają budynki domów dziecka. W Polsce tę taktykę SOB szczególnie mocno rozwinęła korporacja DB Schenker – jedno z największych przedsiębiorstw logistycznych na świecie – która dysponuje osobnym budżetem na wolontariat pracowniczy i sformułowała złożony system oceny projektów nadsyłanych przez samych pracowników. Z punktu widzenia społecznych korzyści działania DB Schenker i innych firm korzystających z tej formy SOB nie są jednak żadną rewolucją – nie różnią się one przecież znacząco od filantropii.

Inną często stosowaną w Polsce strategią SOB są akcje edukacyjne z wiedzy o ekonomii i finansowości. Firmy uczą najuboższych, jak powinni racjonalnie

zarządzać pieniędzmi, których, nawiasem mówiąc, nie mają. Osoby prowadzące takie szkolenia i wykłady wychodzą z założenia, że rolą przedsiębiorstw nie jest płacenie pracownikom przyzwoitych pensji, ale dawanie im „wędkę zamiast ryb”. Metafora wędkę jest zresztą jedną z ulubionych przenośni stosowanych przez przedsiębiorców. Kiedy takiej retoryki używają organizacje pozarządowe, zajmujące się np. problemami rozwoju globalnego Południa, bywa ona uzasadniona. W ustach kierowników firm brzmi natomiast jak szyderstwo: przecież miejscem połowu miały być właśnie przedsiębiorstwa. Poza tym nie wolno zapominać, że niskie pensje są spowodowane „wyszcigiem na dno”, który prowadzą przedsiębiorstwa, by zmniejszyć koszty pracy. Gdy już swój cel osiągają, wówczas sięgają po SOB i uczą najuboższych, jak przeżyć za gło-dowe wynagrodzenia. Jak widać, kapitalizm to system heroicznie walczący z problemami, które sam stwarza.

Co robić?

Nietrudno się domyślić, dlaczego SOB rozumiana jako strategia zarządzania stwarza taką rozbieżność standardów. Społeczna odpowiedzialność stanowi tu niejako tylko efekt uboczny działań zmierzających do wzrostu wartości firmy. Gdyby ktoś niezbić dowiódł, że wyzysk, niesprawiedliwość, korupcja, przestępczość i degradacja środowiska są najlepszymi metodami prowadzenia biznesu, to w myśl nowego ujęcia SOB kierownictwo firmy byłoby zwolnione z jakiegokolwiek odpowiedzialności przed ogółem społeczeństwa. Co prawda nie musimy obawiać się, że ktoś obroni kiedyś taką tezę, ale dotychczas nie powstały też żadne badania, które wykazywałyby coś przeciwnego: powszechną opłacalność SOB. W tej sytuacji możemy rozsądnie przyjąć, że odpowiedzialność opłaca się przedsiębiorcom tylko okazyjnie.

Z całą pewnością obniżanie standardów etycznych strategii biznesowych bierze się stąd, że firmy dostrzegają szanse w nieuczciwych praktykach. Z tego powodu Wayne Visser – założyciel organizacji CSR International – określił SOB mianem martwej idei. Po działalności zorientowanej na zysk – argumentuje Visser – nie należy oczekiwać, że stanie się ona zarzewiem poważnej zmiany systemowej. Faktycznie, choć początków nowoczesnego SOB na Zachodzie można doszukiwać się już w połowie lat 50. XX w., to nie rozwiązała ona dotąd żadnego globalnego problemu. Visser pisze: *Praktycznie każdy dostępny sposób mierzenia czynników społecznych, środowiskowych i etycznych w działalności biznesu wskazuje na totalną katastrofę, której CSR nie był w stanie nawet częściowo zapobiec. Jeśli więc wiążemy z SOB duże nadzieje, stanowi to tylko przejaw półperyferyjnego usytuowania Polski: oto kolejna importowana idea, którą zaczynamy dyskutować w czasie, gdy Zachód przestaje w nią wierzyć.*

Niemniej nie można zaprzeczyć, że nowe strategie SOB niosą pewien potencjał, który warto wykorzystać

tam, gdzie jest to rzeczywiście możliwe. Czy moda na etyczny biznes może przyczynić się do tego, że nasze życie choćby pod paroma względami będzie lepsze, a przynajmniej – znośniejsze? Mimo wszystko SOB wydaje się jedynym rozwiązaniem, które jest teraz na wyciągnięcie naszych rąk. W najbliższym czasie nie powinniśmy oczekiwać systemowej zmiany: gospodarka kapitalistyczna nie zostanie wyparta przez np. spółdzielczą, a prywatna struktura własności środków produkcji będzie nadal stanowiła przyczynę tego, że nieliczne finansowe elity pasożytują na społeczeństwie i środowisku. W tej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak skorzystać z zachodnich doświadczeń. Płynie z nich jedna istotna lekcja dotycząca etycznego biznesu, która bardziej zainteresuje obywateli i konsumentów niż samych przedsiębiorców: SOB wymaga społecznej kontroli. Jeśli chcemy społecznie odpowiedzialnego biznesu, to musimy sprawić, by się opłacał – powinniśmy szukać środków, za pomocą których będziemy mogli karać i nagradzać za pozafinansowe skutki działalności przedsiębiorców.



©©© hermitsmoores, <http://www.flickr.com/photos/hermitsmoores/436989912/>



©©© Ars Electronica, <http://www.flickr.com/photos/arselectronica/7636469816/>

Aby zrozumieć, w jaki sposób można wymóc na firmach stosowanie SOB, musimy przyrzeć się, skąd bierze się wartość organizacji. W wyniku bardzo dynamicznych przemian w ciągu ostatnich dziesięcioleci doszło do znaczącej zmiany w strukturze aktywów dużych przedsiębiorstw. W 1980 r. udział aktywów niematerialnych stanowił tylko 40 proc. całej wartości rynkowej organizacji. W 2000 r. ten odsetek wynosił już 86 proc. Stosując uogólnienie, można zatem powiedzieć, że wartość nowoczesnego przedsiębiorstwa to aktywa niematerialne. Mówiąc najkrócej, są one zaufaniem: właścicieli i akcjonariuszy wobec tego, że organizacja będzie się dalej rozwijać, przynosząc zyski i dywidendy; klientów do jakości produktów; kontrahentów, że przedsiębiorstwo wywiąże się ze zobowiązań finansowych; pracowników, że otrzymają należne im wypłaty.

Źródłem zaufania są natomiast oczekiwania różnorodnych grup nazywanych interesariuszami, które tworzą otoczenie przedsiębiorstwa. Choć w każdej branży wygląda to nieco inaczej, to można przedstawić pewną uogólnioną klasyfikację interesariuszy, która odpowiada sile, z jaką oczekiwania poszczególnych grup wpływają na wartość organizacji. Najwyższa kadra kierownicza dużych polskich firm do kategorii najważniejszych interesariuszy zalicza właścicieli, konsumentów i pracowników. Za nimi plasują się rządy, instytucje regulujące, podwykonawcy i dostawcy, a dalej – banki, ubezpieczyciele, konkurencja, media i analitycy, lokalne społeczności, organizacje pozarządowe oraz lokalne i globalne środowisko. Oprócz nich można wyróżnić również takie grupy interesariuszy, które pozostają poza świadomością polskich przedsiębiorców. Wymienić tu należy zwłaszcza obywateli,

środowiska akademickie, różne kategorie samozatrudnionych, osoby pracujące na „umowach śmieciowych” i zatrudnione przez agencje pracy.

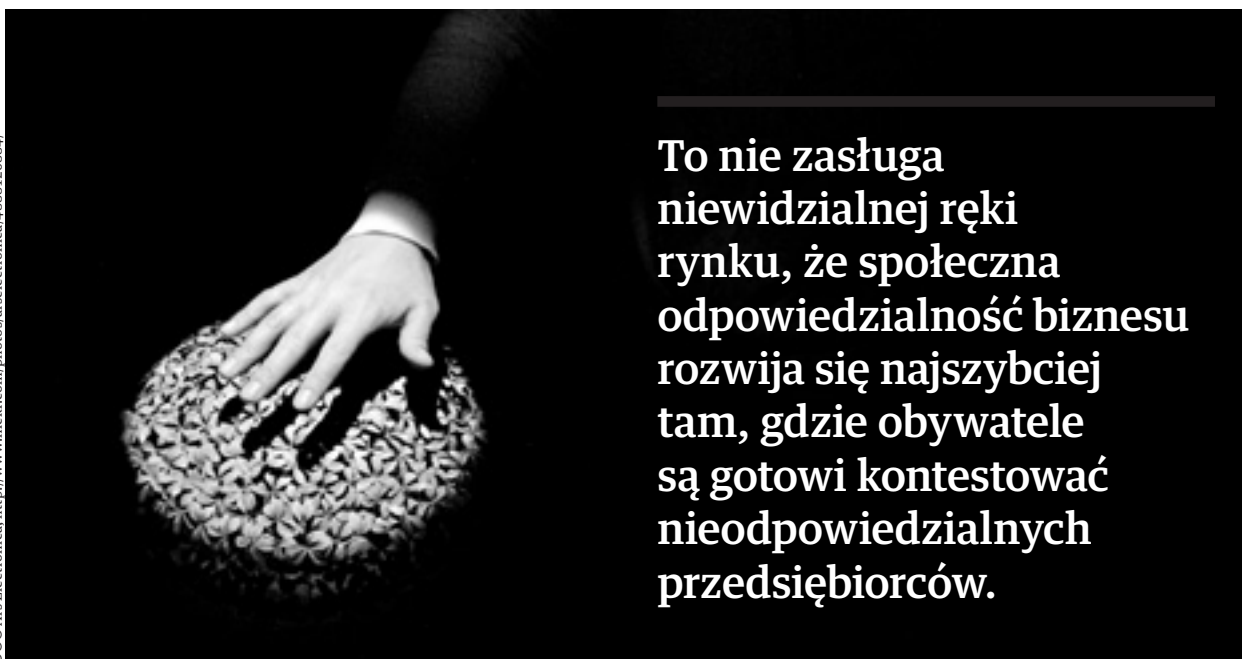
Chcąc dobrze zrozumieć wpływ oczekiwań interesariuszy na wartość organizacji, możemy zastosować analogię odnoszącą się do teorii doboru naturalnego (tym porównaniem posługują się sami przedsiębiorcy, gdy wyjaśniają funkcjonowanie własnych firm). Interesariusze, ich oczekiwania i zaufanie tworzą środowisko, w którym „żyje” i rozwija się organizacja. Strategia biznesowa, która skutecznie realizuje oczekiwania różnych grup i buduje ich zaufanie, przekłada się na wzrost przedsiębiorstwa. Jednak zmiana środowiska – czyli zmiana oczekiwań – wymaga od organizacji powtórnej adaptacji do wymagań stawianych przez otoczenie. Jeśli podmiot gospodarczy nie potrafi dostosować swojej strategii do nowych warunków dyktowanych przez oczekiwania interesariuszy, to traci ich zaufanie – w konsekwencji kurczy się jego wartość. Dalsza inercja prowadzi do załamania się zaufania i „śmierci” organizacji. Znaczenie oczekiwań interesariuszy potwierdza poniższy wykres przedstawiający przyczyny zmian strategii największych polskich przedsiębiorstw: do interesariuszy odnosi się 5 z 11 najważniejszych czynników.

Przedstawioną dynamikę interakcji między przedsiębiorstwami a interesariuszami można potraktować także jako model generowania przemocy strukturalnej. Przemoc o charakterze strukturalnym charakteryzuje się tym, że nie mieści się ona w ramach jakiegoś systemu, ale odwrotnie – niejako z zewnątrz wpływa na układ, zmieniając zasady gry, których muszą przestrzegać różni aktorzy życia społecznego. Zazwyczaj

to duże przedsiębiorstwa generują przemoc strukturalną. Tworzą one nowe normy np. za pośrednictwem lobbingu. Jednak świadomi swojego znaczenia interesariusze mogą w wielu sytuacjach odwrócić tę relację – to ich oczekiwania stanowią bowiem reguły, których firmy muszą przestrzegać. Struktura wartości, która opiera się na aktywach niematerialnych, daje interesariuszom możliwość skutecznego kontestowania nieodpowiedzialnych przedsiębiorstw.

Ciekawym przykładem jest historia oporu przeciwko działaniom Coca-Coli w Indiach. Koncern był w tym kraju oskarżany o spowodowanie zanieczyszczeń wód gruntowych i gleby, spadek poziomu wód oraz stosowanie w produktach substancji, które zagrażały zdrowiu konsumentów. Akcję rozpoczął Amit Srivastava z organizacji pozarządowej Global Resistance, który odwiedził wiele amerykańskich kampusów i założył stronę internetową www.indiaresource.org, aby przedstawić różnym środowiskom, w jaki sposób Coca-Cola niszczy zasoby naturalne i szkodzi lokalnym społecznościom w Indiach. Już w początkowym okresie działań Global Resistance protest poparły trzy amerykańskie kampusy, zakazując sprzedaży na swoim terenie produktów koncernu i prowadząc kampanię informacyjną. Później do konsumenckiego bojkotu przyłączyły się kolejne uczelnie ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Kanady. W tym samym czasie wyzwanie Coca-Coli rzucił sąd w stanie Radżastan, nakazując firmie umieszczać na produktach etykietę informującą o zagrożeniach dla zdrowia, jakie stwarzają pestycydy używane w procesie produkcji napojów. Polityce firmy sprzeciwiło się także indyjskie Ministerstwo ds. Zasobów Wodnych, pracownicy zakładów Coca-Coli oraz





To nie zasługa niewidzialnej ręki rynku, że społeczna odpowiedzialność biznesu rozwija się najszybciej tam, gdzie obywatele są gotowi kontestować nieodpowiedzialnych przedsiębiorców.

lokalne społeczności, gdy rządowe badania wykazały, że fabryki koncernu, pobierając na potrzeby produkcji zbyt dużą ilość wody, przyczyniły się do niedoboru wody w 50 wioskach leżących w rejonie Kala Dera. Lokalnym społecznościom przyszedł z pomocą ruch Sarvodaya, Armia Śiwy oraz Sangharsh Samiti (komitet walki), pomagając mieszkańcom w przeprowadzeniu *bandh* - protestu, który polega na zaprzestaniu pracy i wymiany handlowej. Natomiast lokalne władze innego regionu, Kerali, kierując się podobnymi pobudkami, zamknęły w marcu 2004 r. rozlewnię koncernu wartą 16 mln dolarów. Nie były to jedyne straty Coca-Coli: w wyniku działań różnych grup interesariuszy odnotowała ona w 2006 r. 12-procentowy spadek sprzedaży swoich produktów.

Reakcja kierownictwa i właścicieli była natychmiastowa. Coca-Cola już w 2007 r. zaangażowała się w projekty mające na celu poprawę dostępu do wody pitnej, m.in. zamontowała w Indiach 270 urządzeń służących do poławiania wody deszczowej, obiecując montaż kolejnych instalacji w następnych latach, i zobowiązała się przywracać do systemu wód podziemnych $\frac{1}{3}$ wody wykorzystanej w produkcji. Koncern zaczął także wywierać presję na dostawcach, aby również oni wdrożyli zasady SOB. Najbardziej wymiernym efektem działań koncernu było zmniejszenie zużycia wody potrzebnej do wyprodukowania jednego litra napoju - z 3,14 do 2,54 litra.

Historia tych protestów stanowi szczególnie interesujące studium przypadku. Skuteczne bojkoty zwykle kojarzą nam się z bogatymi krajami Zachodu, gdzie już od lat 60. i 70. istniały silne ekologiczne i konsumenckie ruchy społeczne, a zasobność portfeli mieszkańców pozwala im na swobodny wybór produktów. Tymczasem przykład Indii pokazuje, że kontestacja biznesu jest możliwa również w biednych regionach

świata i mogą ją przeprowadzić interesariusze, którzy uchodzą za słabe podmioty, jeśli tylko potrafią odpowiednio skoordynować swoje działania. Skuteczny nacisk na Coca-Colę został zapoczątkowany przez organizację pozarządową, czyli - stosując klasyfikację polskich przedsiębiorców - interesariusza trzeciej kategorii. Włączyła ona następnie do działań liczne uczelnie wyższe - podmioty rzekomo pozbawione siły sprawczej - które skutecznie kreowały oczekiwania konsumentów. Od tej pory protesty rozwijały się na zasadzie kuli śnieżnej: łącznie w akcji wzięło udział aż osiem różnych kategorii interesariuszy z całego świata. Zdaje się, że to właśnie ta międzygrupowa solidarność przesądziła o sukcesie. Gdyby naprzeciwko koncernu stanęła tylko jedna grupa interesariuszy, to prawdopodobnie nie wytworzyłaby ona masy krytycznej potrzebnej do obniżenia wartości przedsiębiorstwa.

Warto też zwrócić uwagę, że formy oporu skierowane przeciwko działaniom Coca-Coli były bardzo zróżnicowane. Kontestacja odbywała się na każdym dostępnym poziomie: konsumenckim, prawnym i politycznym. Oczywiście włączanie się do akcji różnych interesariuszy sprzyja różnicowaniu strategii, gdyż każda ich grupa dysponuje innymi środkami wywierania presji. Nie należy przy tym zapominać, że poszczególne osoby wchodzą w krąg wielu grup interesariuszy i mogą jednocześnie stosować kilka strategii buntu - w końcu wszyscy jesteśmy zarazem konsumentami i obywatelami.

Interesariuszom najłatwiej jest wyegzekwować wprowadzenie strategii SOB od tych przedsiębiorstw, które zbliżają się do ideału ekonomicznej racjonalności. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem analogicznym, dostrzeżonym już w okresie nowożytnym przez politycznych teoretyków: aby proponować racjonalne rozwiązania problemów politycznych, należy założyć,

że członkowie zrzeszeń politycznych potrafią rozpoznawać własne interesy i dobierać do ich realizacji odpowiednie środki. W wypadku podmiotów ekonomicznych „rozumem” są narzędzia szacowania ryzyka. Nawet najbardziej zmobilizowane społeczeństwo musiałoby nieustannie wchodzić w otwarte konflikty z przedsiębiorstwami, jeśli te nie potrafiłyby wykorzystać metod szacowania społecznych i środowiskowych skutków swojej działalności.

Problem ten zapewne dotyczyłby polskiego społeczeństwa, gdyby chciało wyegzekwować na organizacjach stosowanie strategii SOB. Jak pokazują opracowania stworzone na potrzeby wewnętrzne polskiej firmy doradczej Abadon Consulting, przedsiębiorstwa wciąż uczą się wykorzystywać instrumenty oceny ryzyka. Wśród audytowanych przez Abadon Consulting firm tylko 16 proc. prowadziło kompleksową strategię SOB (60 proc. nie miało żadnej), przy czym zaledwie 5,9 proc. szczegółowo raportowało ryzyka ESG (*environment* - środowisko, *social responsibility* - społeczna odpowiedzialność, *corporate governance* - ład korporacyjny), w oparciu o które sporządza się pozaekonomiczną ocenę przedsiębiorstw. Niski odsetek organizacji raportujących ryzyka ESG stawia pod znakiem zapytania skuteczność kompleksowych strategii SOB wprowadzanych przez pozostałe 10,1 proc. firm. Firmy zmuszone przez społeczeństwa do stosowania nowych narzędzi biznesowych będą szybciej uczyć się szacowania ryzyka, gdyż wymaga tego ekonomiczna racjonalność. Dzięki temu w przyszłości będą sprawniej odpowiadać na oczekiwania interesariuszy.

Tak, tak, tam w lustrze to niestety ja

Etyczne standardy prowadzenia biznesu są w dużym stopniu odbiciem społecznej solidarności i mobilizacji mieszkańców do walki o własne interesy. To nie zasługa niewidzialnej ręki rynku, że SOB rozwija się najszybciej tam, gdzie obywatele są gotowi kontestować nieodpowiedzialnych przedsiębiorców. Skoro biznesmeni zainteresowani są tylko zyskiem, to powinniśmy dążyć do tego, by działalność o niskim standardzie przestała się opłacać. W ten właśnie sposób skłonimy polskie firmy do wprowadzenia innowacyjnych strategii SOB, które zmniejszą negatywne konsekwencje przedsięwzięć ekonomicznych. Przykład Indii pokazuje, że kraje dużo biedniejsze niż Polska potrafią wymóc na największych koncernach zmianę polityki, a rzekomo najslabsi interesariusze są niezwykle skuteczni. Trzeba więc jasno stawiać swoje oczekiwania i konsekwentnie domagać się ich spełnienia. Bodziec do przemian musimy dać sami, bo przyglądając się dotychczasowym działaniom przedstawicieli polskiego biznesu możemy być pewni, że mimo szczytnych deklaracji, są oni zainteresowani wyłącznie robieniem PR-owego cyrku.

PRZEMYSŁAW WEWIÓR

Biura kariery czy iluzji?

DR MIECZYŚLAW GROSZEK

Uczelnie wyższe powszechnie powołały komórki pod nazwami „Promocja absolwentów” lub „Biuro kariery”. Dotyczy to zarówno dużych i renomowanych państwowych uczelni, jak i szkół prywatnych. Przeznaczyły na to sporo pieniędzy i nadają temu znaczną rangę. Zaczyna się to już na etapie rekrutacji studentów, wabionych informacjami o superperspektywach po skończeniu niemal dowolnego kierunku. A gdyby były problemy, to my już mamy na to pomysł – biuro kariery, które każdemu pomoże.

W trakcie studiów ta niefrasobliwa atmosfera jest podtrzymywana, bo w przypadku uczelni prywatnej



© donj22, <http://www.flickr.com/photos/ddebold/6828179595/>



© MattHurst, <http://www.flickr.com/photos/skewgee/4033294775/>

test wiarygodności przeprowadzany jest co semestr, czyli z częstotliwością wpłacania chesnego. I tu również student nie może mieć wątpliwości, że studiuje to, co daje mu dobrą perspektywę znalezienia pracy. A gdyby jednak coś nie wyszło, to my tu mamy biuro kariery... itd. Niewiele inaczej jest na uczelniach państwowych. Nie ma tam co prawda „głosowania portfelim”, ale jest biurokratyczna statystyka, wyrażana hasłem „pieniądze idą za studentem”, czyli tam również nie jest obojętne, ilu przyjęto na początku, ilu realnie studiuje i ilu kończy studia.

Zatem niezależnie od statusu szkoły wyższej, biuro kariery jest jej stałym elementem. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że te komórki są wyrazem pewnej powszechnej iluzji, jaka została wytworzona wokół zatrudniania absolwentów uczelni, a która – jak każda iluzja – ma właściwości ukrywania realnych problemów.

Jaka jest bowiem logika funkcjonowania tych instytucji? Nie tworzą one nowych miejsc pracy, nie uczą przedsiębiorczości, nie ułatwiają startu w samodzielnej działalności gospodarczej. One uczą autopromocji, pisanie „dobrych” listów motywacyjnych i życiorysów, prowadzenia inteligentnych i skutecznych „interwju”. Ale co to oznacza w praktyce? Uczą się po prostu zestawu technik przepychania się po dobro rzadkie, jakim dla licznych absolwentów są miejsca pracy. Nie piszę „atrakcyjne” miejsca pracy, bo w wielu przypadkach chodzi o jakąkolwiek pracę, szczęśliwie, gdy zgodną z wyuczonym zawodem. I na jakimś poziomie kultury, płacy, szans rozwoju. Bo po coś przecież kończyliśmy szkołę wyższą.

A na czym polega wspomniana iluzja? Brak pracy nie powinien być problemem absolwenta (pojedynczego może tak, ale nie 30% rocznika). To przede wszystkim problem rektorów i właścicieli szkół wyższych, w tym państwa jako właściciela szkół publicznych. Bo pierwszym problemem systemowym jest liczba miejsc pracy. Tu jest rola dla państwa jako tworzącego regulacyjne ramy dla wzrostu zatrudnienia, a także rola sektorów prywatnego i państwowego jako tych, które tworzą przeważającą liczbę nowych miejsc pracy. Ale drugim, równie ważnym problemem, jest struktura kształcenia. Tu już nie ma innych „winnych” niż same uczelnie. Nie znam badań ani inicjatyw uczelni, a także Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, które zmierzałyby do dostosowania struktury kształcenia do struktury aktualnych, a co najważniejsze przyszłych potrzeb gospodarki. Zamiast realizować badania rynku, prowadzić konsultacje i negocjacje z organami państwa i reprezentacjami pracodawców, dużo łatwiej powołać biuro promocji absolwentów lub biuro kariery.

Efekty widoczne są gołym okiem. Pomimo że każdy student poszukujący pracy zgodnej ze swoim wykształceniem miał kontakt z różnymi formami aktywności tych komórek, znalezienie pracy dla 30%, a bywa w przypadku niektórych uczelni i kierunków nawet powyżej 50% absolwentów, jest niemożliwe. Gdy student przestaje być studentem i staje się absolwentem, biuro kariery traci swoją jurysdykcję (ono wspiera tylko studentów), a bezrobotnym absolwentem zajmuje się urząd pracy.

DR MIECZYŚLAW GROSZEK

Analitycy i Poeci

PAUL KINGSNORTH

Gdyby przed stuleciem najbardziej bystre umysły tamtych czasów (zastanawiam się, kto by to był: Chesterton, Shaw, Belloc, Jo Chamberlain?) spierały się o przyszłość infrastruktury i energii, jak wyglądałaby ta debata? Jeśli, powiedzmy, wszyscy byliby zgodni co do tego, jak ważne jest wprowadzenie zakrojonego na dziesięciolecie globalnego planu, opartego na wiecznie dyskutowanych „faktach” naukowych, w istocie opartych na politycznych, kulturalnych i społecznych założeniach leżących u podstaw funkcjonowania dzisiejszego świata, o co by się spierali? Ilu dokładnie stojących byłoby potrzebnych do 1950 roku? O to, jak ważne jest wprowadzenie na dużą skalę procesu czyszczenia z końskiego łajna ulic głównych miast? O rozwój i udoskonalanie programu badań nad wiarygodnością wehikułu czasu? O pozyskiwanie funduszy na wprowadzenie na rynek stacji ładowania sterowców?

Podobne myśli przepływały przez moją głowę od kilku tygodni, gdy obserwowałem zaciekle sprzeczki o Fukushima i przyszłość energii atomowej, które miały miejsce wewnątrz ruchu ekologicznego, a później także w mediach. Można śmiało powiedzieć, że żaden ze mnie naukowiec (co łączy mnie z większością tych, którzy wygłaszają stanowcze opinie na temat energii atomowej, oparte wyłącznie na pozorach) i nie mam pojęcia, co dzieje się teraz z japońskimi reaktorami, a także czy największa katastrofa atomowa od czasów Czarnobyla okaże się punktem zwrotnym dla globalnego przemysłu atomowego. W zależności od tego, którego eksperta posłuchamy, okaże się, że był to sukces lub katastrofa.

Zastanawiam się jednak, czy to punkt zwrotny dla ekologów. Od dłuższego czasu ruch ekologiczny był

w odwrocie, a obecnie wręcz wydaje się zagrożony upadkiem. Od kiedy cztery dekady temu rozpoczął działalność, udało mu się rozpropagować część swoich idei w kulturze i polityce (przede wszystkim te, które dotyczyły używania bogactw naturalnych w sposób zrównoważony). Niestety idee te nieuchronnie się rozmyły. Poruszałem ten temat już wcześniej i nie mam zamiaru robić tego ponownie, ale być może warto przyjrzeć się obecnym założeniom ruchu Zielonych.

Wiemy już, jak wielka i nie do zatrzymania jest machina globalnej industrializacji. Wiemy też, że światowa gospodarka opiera się na korzystaniu z bogactw naturalnych i łączy się z wciąż przyspieszającym postępem technicznym, rosnącą populacją ludzką, rozprzestrzeniającym się konsumpcjonizmem, masowym wymieraniem gatunków, zmianami klimatu i wyczerpywaniem zasobów (co bywa kwestionowane). Efekty tych procesów nie wyglądają dobrze. Jeśli chcemy być wobec siebie uczciwi, musimy przyznać, że nie jesteśmy w stanie skutecznie zapobiec nadchodzącym kłopotom. I tu pojawia się problem. Jeśli jesteśmy mocno zaangażowani politycznie, a nasze wartości i obraz samych siebie opierają się na fakcie bycia aktywistami, czyli walce z tymi wszystkimi okropnymi rzeczami, po prostu niekiedy nie możemy sobie pozwolić na uczciwość. To zrozumiałe. Wiem, jakie to uczucie, bo sam dość długo tak postępowałem. W tym momencie musimy się oszukiwać, zaprzeczać sobie w imię naszego zdrowia psychicznego. Możemy się okłamywać, że „jeszcze jedna próba” być może załatwi sprawę. Możemy wmawiać sobie, że Ludzie są ignorantami, są nieświadomi Faktów i że jeśli ich oświecimy, to będą Działać. Możemy wierzyć, że musi jeszcze zostać



podpisana właściwa umowa, że potrzebna technologia zostanie dopiero wynaleziona, że problemem nie jest zbyt duży, lecz zbyt mały rozwój nauki. Możemy też przekonywać się, że Ruch jest potrzebny, aby ujawnić kłamstwa głoszone przez Tych Złych Sprawujących Władzę, którzy uniemożliwiają Ludziom buntowanie się przeciw ich woli, do czego doszłoby, gdyby Ludzie poznali Prawdę. Obojętnie który scenariusz wybierze- my, będziemy pragnęli efektów, a te mogą zostać osiągnięte jedynie dzięki większym nakładom sił. W takim przypadku możemy tylko wmawiać sobie, że jedyną właściwą rzeczą jest wciąż robić to, co robiliśmy do tej pory. Bo alternatywa wobec tego „robienia” to poddać się i patrzeć, jak świat się wali.

W tym miejscu jest dziś ruch ekologiczny. To trudny moment, zwłaszcza ze względu na obsesję na punkcie zmian klimatycznych, która opanowała myślenie o ochronie środowiska w ostatniej dekadzie. Obawa przed dwutlenkiem węgla zdominowała wszystko inne tak bardzo, że idee Zielonych są teraz najczęściej widziane przez pryzmat haseł o jego emisji. Pozostałe kwestie zeszły na dalszy plan. Teraz liczy się tylko redukcja emisji dwutlenku węgla.

To właśnie w tym kontekście doszło do atomowego rabanu. Trzęsienie ziemi i tsunami w Japonii rozerwały elektrownię jądrową, a eksperci zrobili nalot na miejsce zdarzenia już następnego dnia. Większość z nich zdawała się widzieć w tej tragedii jedynie możliwość przeforsowania istniejących już stanowisk w sprawie energetyki jądrowej. Wołali „To nas zabije!” lub „To nas uratuje!”, choć pręty paliwowe w reaktorach wciąż jeszcze topniały. Niektórzy ludzie, jak choćby George Monbiot, wykorzystali wypadek z Fukushima nie do

tego, by powtórnie wyrazić swoje racje, ale do zmiany zdania. Nieważne, jakie były argumenty, desperacja wciąż rosła i stawała się coraz bardziej zrozumiała.

Zieloni są w ślepej uliczce. Jeśli wierzysz w to, że zmiana klimatu będzie niszczyć Ziemię i że jedynym sposobem uniknięcia tego jest ograniczenie emisji dwutlenku węgla w bardzo krótkim czasie, to jest to bardzo ryzykowny sposób myślenia. Nie chodzi o to, że argument jest błędny, bo z pewnością nie jest - choć warto podkreślić, że istnieje cień niepewności. To, co uważa się za Konieczne Do Zrobienia, by zatrzymać zmiany, jest jednak po prostu niewykonalne. Zatem pozostaną nam jedynie poczucie bezsilności i brak jakiegokolwiek nadziei.

Mam wrażenie, że ruch Zielonych z własnej winy tonie w morzu statystyk, które prezentuje. Obsesja dotycząca zmian klimatycznych i nacisk, by widzieć to jako wyzwanie dla inżynierii, któremu należy podołać za pomocą rozwiązań technologicznych stworzonych przez Naukę, wpędziły ruch w zaułek, z którego być może nigdy nie wyjdzie. Większość ekologów głównego nurtu spędza teraz czas, spierając się, czy wolą farmy wiatrowe od elektrowni wodnych, energii jądrowej czy sekwestracji dwutlenku węgla. Przytaczają przy tym niezwykle pewne przewidywania co do tego, co się stanie, jeśli zrobimy lub nie zrobimy tego czy tamtego. Wszystkie te prognozy opierają się na seriach odmóżdżających wyliczeń, wyciągniętych z tych czy innych naukowych opracowań - jakby świat był jednym wielkim arkuszem kalkulacyjnym, w którym wystarczy jedynie wszystko poprawnie obliczyć.

Tym sposobem ekolodzy głównego nurtu żerują na istniejących trendach społecznych. Żyjemy w kulturze

wyjątkowo redukcjonistycznej i pozbawionej polotu. Podczas słuchania lub czytania wiadomości dociera do mnie, że nic nie jest postrzegane jako „prawdziwe”, jeżeli nie jest usankcjonowane i pobłogosławione przez Naukę lub Biznes, a najlepiej przez jedno i drugie. Kultura, w której Richard Dawkins i Ian McEwan postrzegani są jako intelektualne wzory do naśladowania, to kultura, która powoduje, że ruch na rzecz ochrony środowiska składa się ze sfrustrowanych pasjonatów, którzy czują się zobowiązani do powtarzania jak katarzynki określonych haseł, byleby tylko ich usłyszano.

Jeśli chcemy pokonać poczucie bezsilności i brak nadziei nałożone przez ciasnotę tego światopoglądu, gdzie mamy szukać wyjścia? Brakuje nam opowieści i zrozumienia, jak ważne są one, by dotrzeć do sedna tego, co się naprawdę dzieje. U podstaw całej tej światopoglądowej sprzeczki nie leżą bowiem liczby, lecz właśnie narracje.

Walka pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami energii atomowej jest tu przykładem klasycznym. Choć obie strony udają, że informacje i argumenty, którymi się posługują, są prawdziwe i poparte dowodami naukowymi, to zwykle bazują one głównie na uprzedzeniach. To, czy lubisz energię atomową czy nie, jest tak naprawdę odzwierciedleniem twojego światopoglądu: albo jesteś zdecydowanym zwolennikiem zachodniego modelu postępu, albo cię on przeraża lub niepokoi; uważasz, że można zaufać nauce albo masz przeciwne zdanie; jesteś ostrożny albo lekkomyślny; „postępowy” albo „konserwatywny”. Tak właśnie wygląda „zielona debata”, obojętnie, czy dotyczy roślin modyfikowanych genetycznie, czy kapitalizmu. Dla uwiarygodnienia argumentów używanych w takich dyskusjach wybiera się wygodne dla nas fakty, co w czasach Wikipedii jest bardzo proste. Tarapaty, w które Zieloni sami się wpakowali, po części wynikają z tego, że skupiają się oni bardziej na liczbach niż na narracjach. Zielona polityka w swoim wczesnym wydaniu była radykalna, stawiała wyzwania otaczającej rzeczywistości. Chodziło o jej stosunek do historii, które opowiadamy sobie o świecie; opowieści o postępie, przemyśle, podboju natury. Pierwsi Zieloni zakwestionowali te historie, konfrontując je niekiedy z utopijnymi wyobrażeniami o lepszej przyszłości w zgodzie z naturą, ale częściej z historiami o faktycznie istniejących nieuprzemysłowionych społecznościach, np. Buszmenach z pustyni Kalahari, którzy przez 35 tysięcy lat żyli w niezwyklej harmonii z naturą, nie robiąc sobie nic nawet z lwów grasujących w okolicy ich chat. To dopiero jest „równowagowany rozwój”, nieprawdaż? Buszmeni byli najdłużej istniejącą ludzką cywilizacją. Istnieli dłużej, niż możemy sobie wyobrazić. Społeczeństwo przemysłowe w końcu i ich dopadło, podobnie jak dopada wszystko. Mimo to ich przykład wciąż jest aktualny.

Zielonych było wtedy oczywiście łatwo atakować jako romantyków i prymitywistów (część z nich rzeczywiście taka była i nadal jest). W odpowiedzi na te

zarzuty ekolodzy zmienili strategię – postanowili stać się „poważni”, aby słuchano ich tam, gdzie zapadają decyzje polityczne. Zaczęli nosić garnitury, udawać ekonomistów i mówić językiem biznesu i nauki. Pod wieloma względami było to całkiem rozsądne podejście i przyniosło wiele korzyści.

W dłuższej perspektywie strategia ta może być brzemienna w skutkach – Zieloni już stali się zakładnikami narracji tworzonych przez innych ludzi. Niemal przez przypadek Zieloni głównego nurtu odrzucili większość alternatywnych opowieści, na których wyrosli – tak jak dziecko wyrzuca swoje stare misie: kiedyś były ważne, ale teraz jesteśmy dorośli i mamy inne problemy. Takie podejście doprowadziło ekologię do miejsca, gdzie jej zwolennicy mogą tylko spierać się o to, jakich technologii użyć, by nie zabrakło energii dla stale rozwijającej się gospodarki przemysłowej. Jakiegokolwiek wyjście poza to getto naraża ich bowiem na ataki ze wszystkich stron – pojawiają się oskarżenia o myślenie życzeniowe, gdy mówią o zerowym wzroście gospodarczym; nazywani są snobami i hipokrytami, gdy krytykują konsumpcjonizm; określani mianem ekoterrorystów, gdy angażują się w bezpośrednie działania na rzecz ochrony dzikiej przyrody; nazywani naiwnymi idealistami, gdy pytają, czy dobrym pomysłem jest planowanie przyszłości według współczesnych standardów.

Takie głosy krytyki nie są oczywiście niczym nowym, ale teraz Zieloni obecni są też na salonach władzy, a i stawka jest znacznie wyższa. Globalny ruch antyekologiczny rośnie w siłę i ma coraz większe wpływy. Jednocześnie Zieloni zostali od wewnątrz zdominowani przez wygadanych orędowników prowadzenia *business-as-usual*, tylko że tym razem z wyłączeniem węgla. Przesłanie jest jasne: należy poprzestać na sporach o technologię i skończyć z innymi bzdurami. Inaczej nie ma czego szukać w wielkiej polityce. Tak właśnie umierają radykalne ruchy społeczne.

Próbuję zrozumieć, jak doszło do obecnego kryzysu ekonomicznego, i w związku z tym czytam książkę Johna Lanchestera „Whoops!”. Autor wyjaśnia wszystko w sposób zrozumiały nawet dla ludzi takich jak ja. Tego wieczoru czytałem, jak w ciągu kilku ostatnich dekad zmieniły się banki. Kiedy ojciec autora pracował w bankowości, był to „stateczny” biznes, którym zajmowali się głównie ludzie bez wykształcenia. Dziś, jeśli nie masz dyplomu z matematyki z Oxfordu lub Cambridge, będzie ci w tej branży bardzo trudno. To jest, zdaniem Lanchestera, jedna z przyczyn problemów, które nas trapią – bankowość stała się na tyle specjalistyczna i skomplikowana, że większość ludzi – w tym wielu bankowców – po prostu nie rozumie, jak ona działa. Ludzie, którzy obecnie zarządzają transakcjami terminowymi i operacjami w bankowości – tęgie matematyczne umysły – są określani mianem „analityków”. Jeden ze studentów cytowany w książce powiedział, że w trakcie zajęć, na które uczęszczał,



© The Green Party, <http://www.flickr.com/photos/thegreenparty/3409864674/in/photostream/>

studenci musieli zadeklarować się jako „analitycy” lub „poeci”. Mieli zdecydować, czy wolą zajmować się liczbami, czy też słowami.

Współczesny ruch Zielonych przejmuje analitycy. Łatwo zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Analitycy posługują się prostymi, uporządkowanymi argumentami. Być może ich zrozumienie wymaga czasem posiadania dyplomu z matematyki, ale nie wymaga za to zrewidowania własnego światopoglądu i zmiany narracji. Zielony analityk może przekonywać cię do zmiany typu żarówki lub do brania udziału w demonstracjach na rzecz elektrowni atomowej lub farmy wiatrowej, ale nie będzie wymagał, abyś przemyślał swój system wartości i mity stanowiące fundament społeczeństwa, w którym żyjesz. A jeśli sam będziesz chciał z nim o tym porozmawiać, możliwe, że wybuchnie śmiechem i górnolotnie stwierdzi, że wszystko, o czym mówisz, jest bardzo piękne, ale w porównaniu z ratowaniem świata i ograniczaniem emisji dwutlenku węgla nie jest niczym istotnym.

Właśnie tak wygląda cały ten atomowy spór. W artykule „Wind and wave farms could affect Earth's energy balance” Mark Buchanan twierdzi, że źródła

odnawialne nie zaspokoją naszych potrzeb energetycznych. Ale o jakie potrzeby chodzi? O ekspresy do kawy i szerokopasmowy internet czy czystą wodę pitną i funkcjonujący ekosystem? Czy chodzi o zaspokojenie konsumpcjonistycznych potrzeb klasy średniej czy o zapewnienie warunków pozwalających żyć na przyzwoitym poziomie? A może teraz to już dla nas to samo? Jeśli chcesz zobaczyć prawdziwą twarz tego analityka, poproś go o określenie, czym jest według niego „potrzeba”. Zobaczysz, jak płacze się w swojej odpowiedzi.

Jako poeta mam oczywiście własne powody, by sprzeciwiać się takiemu stanowi rzeczy, i często to robię – lecz nie bez empatii czy pewnych wątpliwości. Wiem, dlaczego ruch Zielonych wybrał strategię analityka. Podejście to miało przynosić konkretne efekty, co jest niewątpliwie przydatne w epoce katastrofy ekologicznej. Zadajmy sobie jednak pytanie, w ramach jakiej narracji ma przynosić efekty? Bo to ostatecznie ta narracja zdecyduje, dokąd nas to wszystko zaprowadzi.

Być może wśród Zielonych zbyt wielu jest analityków, a za mało poetów? Myślę, że tak. A raczej chodzi o to, że poeci zostali zmuszeni do milczenia, bo dominuje narracja analityków. Prawdopodobnie kluczowe pytanie brzmi w tym momencie, jak przywrócić należne miejsce opowieściom. Zieloni poeci powinni najpierw dostrzec, że świata nie uratują te same historie, które go zabijają. Być może powinni także zwrócić uwagę na fakt, że świata w sumie nie da się uratować, a wszelkie próby mogą zapędzić ich w ślepy zaułek. Mogą też spróbować odkryć, co sprawia, że widzimy siebie tylko przez pryzmat walki o postęp techniczny, zamiast zastanawiać się, co on nam daje, a co zabiera.

Tarcia pomiędzy „analitykiem” i „poetą” można postrzegać jako sprzeczność między jednostkami. Można też widzieć w nich konflikt między Dwoma Kulturami w obrębie ruchu Zielonych. Najbliższe prawdy jest chyba jednak, że takie napięcia powstają absolutnie wszędzie. Żaden z nas nie jest wyłącznie czy głównie racjonalistą i analitykiem. Nikt z nas całkiem nie wyżył się też poezji. Ten podział zresztą także odzwierciedla nasz sposób myślenia o zachowaniach ludzi. Zarówno analitycy, jak i poeci są potrzebni, ale zaryzykowałbym stwierdzenie, że w tym momencie to poeci powinni przejąć inicjatywę – jeśli w ogóle czują się na siłach, by to zrobić. Nie brak nam argumentów opartych na liczbach, ale mamy ogromny niedobór sensownych opowieści. To znaczy: historii, które nie tylko mają szczęśliwe zakończenie, ale i przekonującą fabułę.

PAUL KINGSNORTH

Tłum. Marta Kasztelan

Tekst pierwotnie ukazał się na stronie internetowej autora www.paulkingsnorth.net

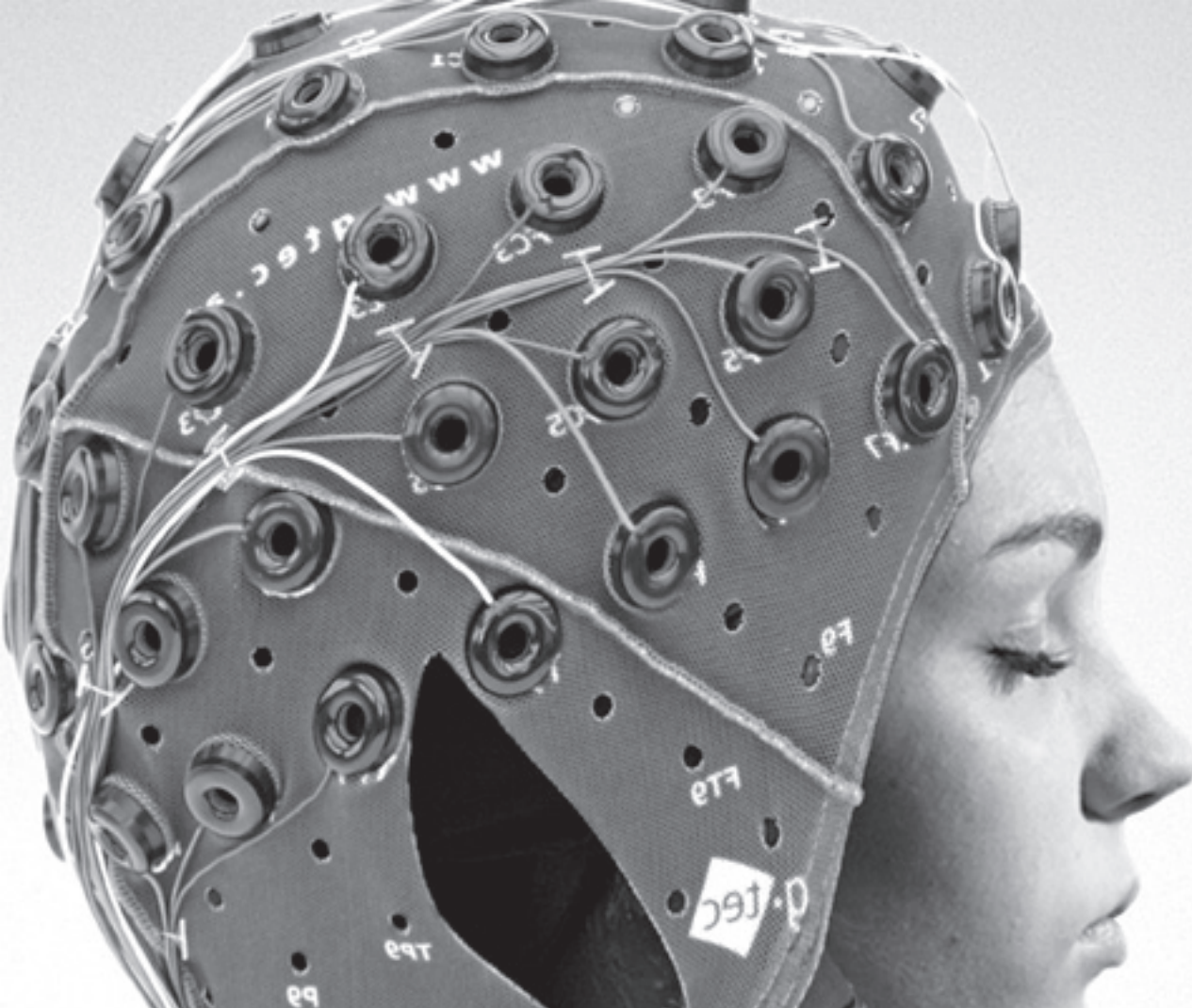
Ekonomia optymizmu

KRZYSZTOF MROCZKOWSKI

Polityki gospodarcze wielu państw europejskich ukazują w czasie kryzysu (a często także i przed nim) swoje ideologiczne oblicze, napędzane irracjonalnymi doktrynami ekonomicznymi. Coraz bardziej widoczna nieskuteczność strategii „zaciskania pasa” przyczynia się do narastającej krytyki dominującej ideologii neoliberalnej i jej praktycznych zastosowań. Nie bez słuszności pojawia się w tym kontekście zarzut „zapominania o człowieku”, o bezdusznej, technokratycznej realizacji cięć oszczędnościowych, bez zważania na społeczne efekty tych działań.

Dehumanizacja ekonomii jest rzeczywiście największą bolączką i głównym wyzwaniem dla teoretyków i praktyków polityki gospodarczej. Dzieje się tak nie tylko – i nie przede wszystkim – z powodu braku wrażliwości na realne ludzkie problemy, której często brakuje przy spisywaniu na papierze „odważnych” tzw. reform budżetowych, drastycznie ograniczających usługi publiczne i skutkujących materialną degradacją szerokich rzesz. Dzisiejsza ekonomia jest martwa i niekompetentna przede wszystkim ze względu na niezrozumienie roli kluczowego czynnika tworzącego bogactwo: człowieka. Właśnie na zrozumieniu ducha Postępu, rozwojowej misji ludzkości opiera się – bardziej niż na jednostkowych doświadczeniach sukcesów poszczególnych państw – sedno bogacenia się społeczeństw i poprawy ich warunków życia.

Doświadczenia historyczne dość jednoznacznie wskazują na absurdalność leseferystycznej, antypaństwowej teorii tworzenia bogactwa narodów. Kraj po kraju, państwo po państwie, od USA, przez Niemcy, po Koreę Południową i Japonię, historie gospodarczego sukcesu nieodwrotnie związane były z rozsądną, intencjonalną polityką państwową¹. Jednak poleganie na doświadczeniach historycznych nie do końca spełnia rolę przekonującego dowodu na słuszność tego prądu myśli ekonomicznej, który zostanie opisany. Po pierwsze, dlatego, że zastępy fanatycznych zwolenników zwodniczych ideologii przeciwstawiają twarde fakty historyczne „eksperymenty myślowe”, udowadniające rzekomo nadrzędną wartość wolnego rynku, bądź też zapewniają o nieuchronności znacząco szybszego rozwoju, jeśli historia potoczyłaby się



inaczej, „gdyby państwo nie przeszkadzało”. Brak jakiegokolwiek możliwości empirycznej weryfikacji radykalnego liberalizmu został zresztą wprost przyznany przez Ludwiga von Misesa, „papieża” libertarianizmu².

Bardziej istotny jednak niż przekonanie naiwnych pomocników oligarchii jest drugi powód. Otóż **pozytywne doświadczenia ludzkości, choć są niezwykle cenne jako poszerzające wiedzę i rozumienie świata, nie mogą być imitowane. Potrzebne jest zrozumienie intencji, ducha kierującego tymi procesami.** Jak zauważymy, studiując historię postępu, proces ten charakteryzuje zmiana, często rewolucyjna, transformująca ludzkość i jej otoczenie. Właśnie ta obserwacja powinna być punktem wyjścia dla generalnej teorii rozwoju oraz kompetentnej krytyki teorii aspirujących do prymatu w polityce gospodarczej, tak leseferystycznych, jak i np. marksizmu i keynesizmu.

Ekonomia, czyli rozwój

Podkreślenie niestaticzności procesów gospodarczych, jako dążących w kierunku wzrostu, **powinno nastąpić już przy definiowaniu ekonomii kategoriach nauki o poprawianiu warunków życia ludzi, alternatywnej wobec często proponowanej „nauki o gospodarowaniu ograniczonymi zasobami”.** Chociaż ta druga definicja jest dosłownie prawdziwa, a ludzkość natrafia na problemy różnego rodzaju deficytów, to jednak proces rozwojowy charakteryzuje się pokonywaniem

owych trudności, wbrew pesymistycznym zapowiedziom teoretyków pokroju Thomasa Malthusa. Jasno zdefiniowany humanistyczny cel nauki ekonomii wyklucza to, co obserwujemy np. w Grecji, gdzie realny dobrobyt ludzi poświęcany jest w imię wirtualnych zobowiązań finansowych. Rok po roku realna grecka gospodarka kurczy się, zabijana przez „odczłowieczenie” mające wszystkie znamiona szaleństwa. Spadające aktywność gospodarcza, produkcja, płace i poziom życia, co stanowi rezultat „reform” w postaci brutalnych deflacyjnych cięć oszczędnościowych, odzwierciedlają nie tylko wielkie wpływy instytucji finansowych, uspołeczniających straty i prywatyzujących zyski, ale przede wszystkim kryzys wynikający z braku humanistycznego myślenia o świadomym, wspartym nauką kształtowaniu lepszego przyszłego losu zbiorowości.

W istocie, człowiek jest motorem i celem procesu rozwojowego. Poprawa warunków życia historycznie przejawia się w możliwości prowadzenia bardziej bezpiecznej, zdrowszej, mniej uciążliwej egzystencji, dzięki zwiększeniu ilości i poprawie jakości dóbr wytworzonych wskutek ludzkiej pracy. Wytwórczość dóbr na głowę zwiększa się w efekcie przełomu naukowo-technicznego lub ulepszeń i ich zastosowania w procesie produkcji, dzięki czemu jest ona wydajniejsza. Tym samym źródło bogactwa narodów może zostać zlokalizowane w postępie naukowo-technicznym, skutkującym poprawą produktywności pracy.

Jedynym zaś źródłem przełomów naukowo-technicznych, wynalazków i ulepszeń jest świadome, intencjonalne użycie unikalnych, tylko człowiekowi dostępnych, świadomie twórczych możliwości umysłu. Te pozornie niepowiązane ze sobą wydarzenia „przełomów” tworzą historyczny proces, który - mimo regresywnych etapów, powodowanych oligarchicznym wirusem pesymizmu - charakteryzuje się jednoznacznym wektorem w stronę materialnie i społecznie bardziej „ludzkich” form życia. **Postęp w osiąganiu coraz lepszych warunków bytowania, odrywający jednostki od materialnych zmartwień, pozwala uwolnić na rzecz humanistycznych procesów rozwojowych coraz większą część potencjału człowieka.**

Każda jednostka zdolna jest do uczestnictwa w tym procesie nie tylko przez wyjątkowe odkrycia, ale również poprzez przyswajanie już odkrytej wiedzy oraz uczenie jej innych, powiększając twórczy i wytwórczy potencjał ludzkości. Tym samym każda jednostka nie się w sobie twórczą iskrę, która może przyczyniać się do społecznego rozwoju, choćby poprzez inspirowanie pozytywnych zachowań. Ogólniejszą konkluzją jest stwierdzenie pozytywnego wpływu wzrostu liczebności populacji na procesy rozwojowe i zdolność pokonywania zagrożeń dla ekosystemu, w tym ludzkości. To stwierdzenie zdaje się potwierdzać zarówno historia, w której zwiększeniu liczby ziemskiej populacji towarzyszył wzrost procesów rozwojowych, jak i intuicja, wskazująca, że rozpowszechnienie potencjału wiedzy dostępnej w danym okresie wśród jak największej liczby ludności zwiększa szanse na dokonanie przełomów naukowych czy zbiorowego wysiłku rozwojowego, przewyżającego wyzwania danej epoki³.

Bezdroża pseudoekonomii

Fałszywe teorie ekonomiczne z zaskakującym uporem omijają te spostrzeżenia, nie wiążąc poprawy warunków życia ludzi z postępem naukowo-technicznym. Leseferyzm, oparty na opiniach rzekomego „ojca ekonomii” Adama Smitha, stworzył wypaczoną interpretację procesów gospodarczych. Wyklucza ona pozytywne intencjonalne działanie na rzecz dobra wspólnego.

Leseferyzm był od samego początku oparty na pesymistycznej interpretacji ludzkiej natury, mającej uzasadnić hegemonię egoizmu w stosunkach gospodarczych. Historycy myśli ekonomicznej wiedzą, że prace Adama Smitha bazowały na miernej wartości publikacji Bernarda Mandeville’a pt. „Bajka o Pszczołach, czyli prywatne wady jako publiczne zyski”. W pracy tej Mandeville stwierdza, iż każde działanie podejmowane z intencją zwiększenia publicznego dobra w rezultacie temu dobru szkodzi. Tylko całkowicie egoistyczne działania, podejmowane przez jednostki we własnym interesie, przyczyniają się do powiększania całkowitego dobrobytu. Tym samym powstała teoria „sumy egoizmów” jako źródła społecznego dobrobytu,

**Brutalne cięcia
oszczędnościowe
odzwierciedlają nie
tylko wielkie wpływy
instytucji finansowych,
ale przede wszystkim
kryzys wynikający
z braku humanistycznego
myślenia o świadomym
kształtowaniu
lepszego przyszłego
losu zbiorowości.**

©©© Krissy Venosdale, <http://www.flickr.com/photos/venosdale/4329020348/>

wykluczająca możliwość intencjonalnego wpływu ludzkości na procesy, które jej dotyczą. Według tej teorii ludzkość - tak w swej masie, jak i indywidualnie - kieruje się wyłącznie zwierzęcymi instynktami strachu i pożądania, co akcentował Smith.

Jak wskazuje badacz historii gospodarczej i krytyk gospodarczego liberalizmu, Jan Koziar, tego typu myślenie zostało zakwestionowane przez polskiego myśliciela, Stanisława Szczepanowskiego. Ten ostatni zauważył: *Nie ma pospolitszej i grubszej myłki jak ta, która przypuszcza, że rozwój sił ekonomicznych jest wyłącznie wpływem egoizmu, łakomstwa i chciwości. [...] Chciwość i łakomstwo mogą prowadzić do lichwy, do gry giełdowej,*



do stolika z kartami, do polowania za posagami, za synekurami, do sprzedawania nazwiska na parawan brudnych interesów, ale przenigdy do rozwoju ekonomicznego [...]. Rozwój ekonomiczny nigdzie na świecie jeszcze się nie pojawił bez współudziału przynajmniej rzetelności, uczciwości, pracowitości i umiejętności⁴.

To stwierdzenie jest niemal dosłownym zaprzeczeniem wywodów Mandeville'a, oznajmającego, że *matactwo, luksus i pycha* bowiem *darzą nas czymś, co jest jak zdrowie* [dla gospodarki - przyp. K.M.] i z *grzechu* korzyść też wyniknie, zaś *splendorem* nie jest *cnota* goła⁵.

Również marksowskie rozumienie procesów gospodarczych, utożsamiające źródła bogactwa (*surplus value*) niemal z samą pracą robotnika, pozostawia wiele do życzenia. Materialistyczne rozumienie procesów gospodarczych czyni u marksistów kluczową kwestię z „zagarnięcia” przez kapitalistów nadwyżki wypracowanej przez robotników. Tym samym naczelną staje się kwestia podziału już istniejących zasobów i potencjałów produkcyjnych, bez stosownego nacisku na tworzenie nowych. Tymczasem procesy rozwojowe, chociaż objawiają się w fizycznej postaci nowych dóbr, mają źródła niematerialne - postęp najpierw tworzy się w umyśle człowieka, jego twórczy akt nie daje się uchwycić, w przeciwieństwie do materialnych rezultatów tego aktu. Postęp w marksistowskiej tradycji po prostu „jest”, gdyż przemysł „staje się” coraz bardziej zmechanizowany. Udział człowieka w tym procesie ogranicza się do zajęcia w stosunkach przemysłowych pozycji wyzyskiwacza lub wyzyskiwanego.

Dzisiejsza degeneracja ekonomii, na czele z absurdalnym traktowaniem papierów wartościowych jako „wartości”, skłania wielu do spojrzenia przyjaznym okiem na keynesowską tradycję ekonomiczną. Rzeczywiście, fiskalna stymulacja gospodarki, nawet bez kompetentnego poszukiwania synergii wydatków infrastrukturalnych, naukowo-badawczych i przemysłowych (jako najefektywniej stymulującej wzrost wartości dodanej), może, szczególnie w warunkach kryzysu, pomóc gospodarce, a z pewnością jakościowo przewyższa destrukcyjną logikę cięć oszczędnościowych.

Jednak również keynesizm popełnia błąd, przyjmując *implicite* statyczne rozumienie procesów gospodarczych. Rozumowanie w kategoriach popytu/podaży nie tylko prowadzi do akceptacji absurdalnych interpretacji, takich jak „kryzysy nadprodukcji”, ale również zawęża rozumienie rozwoju gospodarczego jako takiego. W tej logice nie mieściłyby się takie przełomowe, postępowe projekty jak np. amerykański program kosmiczny NASA, na który, co oczywiste, nie było popytu. Nie stymulacja popytu stanowiła cel amerykańskich wizjonerów inicjujących program NASA - były nim zmiana rzeczywistości i wyniesienie ludzkości na kolejny, wyższy poziom rozwoju poprzez powiększenie zasobu ludzkiej wiedzy i wypracowanie nowych rozwiązań naukowo-technicznych, czyniących ludzkie życie łatwiejszym. Ten państwowy program, według wyliczeń magazynu „Chase Econometrics”, zwrócił społeczeństwu w ciągu niecałych dwóch dekad aż czterestokrotność każdego dolara wydanego na jego realizację. Humanistycznego efektu tego programu nie da się jednak policzyć monetarnie, zmieniona została bowiem nie tylko ilość bogactwa, ale także jego jakość. Do dziś korzyści uboczne z programu kosmicznego, które bez jego podjęcia nigdy by nie powstały, oferują ludzkości wiele praktycznych ułatwień (oraz ciekawych gadżetów) zwiększających komfort życia.

Tym samym keynesowska metoda ożywienia gospodarczego (stymulacja fiskalna), nie dostrzegając kluczowej cechy procesów rozwojowych, jaką jest zmiana zastanych warunków, nieuchronnie wpada w pułapkę niedoceny zasadniczej roli postępu naukowo-technicznego: szukania sposobów wzrostu wartości dodanej. Nie kładąc wystarczającego nacisku na produktywnie wykorzystanie wzrostu ilości pieniądza w obiegu, gospodarka może wpaść w inflacyjną pułapkę, którą wrogowie aktywności gospodarczej państwa przedstawiają jako dowód na bezużyteczność jakiegokolwiek interwencji w procesy gospodarcze. Alternatywnym rozwiązaniem, przedstawianym przez wielu kompetentnych ekonomistów, jest stymulacja kredytowa, dokonywana za pomocą banku państwowego. Taka celowa stymulacja, ukierunkowana na przedsięwzięcia wytwórcze, powodowałaby sytuację, w której dość duży wzrost ilości środków płatniczych w obiegu nie groziłby skokiem inflacji dzięki szybkiemu przyrostowi dóbr i mocy energetycznych⁶.

Nietajna misja ludzkości: Postęp

Poprawne rozumienie ekonomii, także w kontekście adaptacji odpowiednich metod, by podołać nadchodzącym wyzwaniom gospodarczym i ekologicznym, winno być osadzone w humanistycznej tradycji epistemologicznej.

Olbrzymi wkład w rozwój tej tradycji miał niemiecki filozof i naukowiec, Gottfried Wilhelm Leibniz (1646-1716). Swoim rozumieniem procesów ekonomicznych wyrastał on z prądu niemieckiej nauki o nazwie kameralizm, będącej lokalną wersją merkantylizmu i traktującą z wielką emfazą rolę państwa w stymulowaniu procesów gospodarczych. Jeden z czołowych kameralistów, Philipp von Hörnigk, wskazywał na kluczową rolę tego, co dziś nazwalibyśmy produkcją wysokiej wartości dodanej, czyli wdrażania wysoko zaawansowanych metod wytwarzania oraz promowania nowoczesnych gałęzi produkcyjnych, przynoszących najwyższy zwrot kapitału na jednostkę pracy. Leibniz podzielał ten pogląd, a jego koncepcję „taniego ognia” zastosował pierwszy Sekretarz Skarbu Stanów Zjednoczonych, promując poprawę za pomocą metod ochrzczonych później mianem „systemu amerykańskiego”, a polegającymi, mówiąc skrótowo, na wspieraniu infrastruktury i przemysłu.

Leibniz wskazywał na kluczową rolę przemysłu, zauwagając, że handel jest jedynie pochodną potencjału wytwórczego, gdyż bazuje na sprzedaży produktów wytworzonych w manufakturach⁷. Wpływ Leibniza, zarówno jako naukowca-matematyka, jak i filozofa, na rozumienie kwestii rozwoju ludzkości przekracza jakiegokolwiek osiągnięcia merkantylistów. Filozof ten był pionierem myślenia o wzroście potencjału energetycznego jako kluczowego dla rozbudowy potencjałów produkcyjnych, tym samym przewidując zarówno postępy w coraz efektywniejszym „tworzeniu” energii

z zasobów do tej pory nie wykorzystywanych lub wykorzystywanych nieefektywnie, jak i rolę zwiększania tego potencjału w opanowywaniu i upowszechnianiu energochłonnych metod wytwórczych o znacznie wyższej efektywności produkcyjnej. Cel prac Leibniza nad ekonomią wyjaśnia najlepiej on sam: *Dlaczego tak wielu ludzi ma być biednymi i nieszczęśliwymi dla korzyści takiej małej garstki ludzi? Czyż nie jest całym celem Społeczeństwa uwolnić robotnika z jego nędzy? [...] Każdy kraj powinien móc samodzielnie wytwarzać niezbędne surowce i towary przemysłowe, które wcześniej sprowadzał z zagranicy, tak że nie będzie musiał pozyskiwać od innych tego, co może mieć sam dla siebie; każdemu krajowi należy wskazać, jak prawidłowo używać własnych zasobów krajowych [...]. Produkcja dlatego powinna zawsze odbywać się w punkcie pochodzenia surowców⁸.*

Analiza myśli Leibniza pokazuje, że dążenie do osiągnięcia jak najwyższej stopy zwrotu nie oznacza prymitywnego ekonomizmu i nie kłóci się z tym, co neoliberałowie traktują jako zbędne, „nierentowne” zajęcia, czyli z promocją edukacji, kultury i sztuki. Wręcz przeciwnie: jak wykazują Leibniz i inni humaniści, promowanie tych dziedzin jest absolutną koniecznością dla stymulowania tego, co stanowi prawdziwe źródło postępu: kreatywnych, twórczych zdolności człowieka. Tak samo jak konieczne są nieprzynoszące natychmiastowego zysku wydatki na prace badawczo-rozwojowe, tak samo ważna, a nawet ważniejsza, jest inwestycja w człowieka, rozwijająca jego potencjał. Rozwój sztuki czy, ogólniej, kształtowanie człowieka ma wręcz kluczowe znaczenie dla rozwoju tych zdolności. Jak zauważa jeden z najwybitniejszych ekonomistów naszych czasów, prof. Erik S. Reinert, wzrost gospodarczy był efektem nie czego innego, lecz właśnie zmiany paradygmatów myślowych, wpływających z neoplatońskiej tradycji humanistycznej Renesansu, rozwijanej m.in. przez Leibniza⁹.

Reinert przekonująco ukazuje, że źródłem postępu naukowo-technicznego i poprawy warunków życia ludzi były takie procesy jak uprzemysłowienie oraz upowszechnienie nowego podejścia do uczenia się i twórczości, propagowanego przez kręgi neoplatoniskie¹⁰. W takim ujęciu to idee mają prymat nad materią i to idee, jako ostateczna siła organizująca, są zdolne do transformacji świata. W tej tradycji postęp staje się misją ludzkości, jako obdarzonej wyjątkowymi twórczymi możliwościami, różniącej się, wbrew opiniom Mandeville’a i Smitha, od świata zwierząt. Podczas gdy tradycja leseferyzmu wywodzi od pesymistycznego opisu człowieka niewiarę w jego zdolności kolektywnego działania na rzecz dobra wspólnego, tak tradycja humanistyczna wskazuje na odwrotny związek.

Państwo narodowe jest tą formą organizującą impuls rozwojowy społeczeństw, która w ramach danych kultur językowych ukształtowała stymulujące postępy instytucje i wartości, sprzeciwiając się



© Christos Tsoumplekas (Back again), <http://www.flickr.com/photos/tsoumplekas/6776575904/>

oligarchicznemu naciskowi partykularnych interesów. Myśliciele nurtu neoplatońskiego aktywnie zachęcali kierujących państwem do intencjonalnej zmiany warunków życia mas społecznych. Pozytywne czyny o szerszym zakresie przynoszą bowiem większą chwałę ich sprawcy. Podczas gdy dla pojedynczej osoby chwalebne jest za pomocą aktu woli skierować swe myśli i czyny ku realizacji szczytnych idei, uczynienie tego na wielką skalę, za pomocą aparatu państwa, jest jeszcze szczytniejsze: efekt czynienia dobra jest większy. Państwo nie jest zatem ze swej natury tworem nieprzyjaznym, przeszkadzającym pożytecznej aktywności jednostek, lecz wyrazem woli czynienia dobra przez te jednostki. Właśnie działalność państwa, poprzez kreowanie instytucji, stymulowanie wzrostu i upowszechnianie dobrobytu, jest koniecznym elementem procesów rozwojowych, dla których rola kapitału i mechanizmy rynkowe nie są wystarczające¹¹.

Z tej właśnie tradycji, przede wszystkim Leibniza, ale również Condorceta, Vattela i innych, wyrosła amerykańska szkoła polityki gospodarczej, praktykowana przez takich mężów stanu jak Alexander

Hamilton, John Quincy Adams czy Abraham Lincoln. Z ich prac i czynów przebiega optymistyczny duch zmiany, Postępu, o którym pisał Condorcet. Humanistyczna ekonomia święciła wiele triumfów, często jednak napotykała na opór ideologii oligarchicznych. Właśnie dziś ludzkość znajduje się na takim etapie.

Humanistyczna ekonomia stosowana

Postępowa ekonomia przechodzi jednak ostatnimi czasy do ofensywy. Widoczne jest to m.in. w tym, że pomimo medialnej dezinformacji i słabości środowisk akademickich, dobre rozwiązania, np. w sprawie regulacji rynków finansowych, coraz mocniej przebijają się do debaty publicznej. W krótkiej perspektywie państwa narodowe powinny bronić się przed narzucanym globalnym dyktatem neoliberalnej ideologii. Niektóre kraje, jak np. Argentyna, z powodzeniem to robią, używając, ku przerażeniu międzynarodowych instytucji finansowych, narzędzi protekcjonizmu gospodarczego.

W dłuższej perspektywie odrzucenie oligarchizmu i globalna współpraca na rzecz dobra wspólnego są absolutnie niezbędne. Jak wskazuje polski cybernetyk rozwoju, Lesław Michnowski, niedostateczne tempo postępu może doprowadzić do katastrofy społeczno-gospodarczej lub ekologicznej. Ten pesymistyczny scenariusz może zostać odwrócony tylko przez dramatyczny zwrot w polityce światowej, powodujący rozprzestrzenienie potencjału intelektualnego na szersze masy ludzkości, w znacznej mierze niewyedukowane lub wyedukowane na niedostatecznym poziomie. To właśnie człowiek, zauważa Michnowski, jest odpowiedzialny na zagrożenia związane z relatywnymi czasowymi niedoborami zasobów¹².

Warto zauważyć, iż polityka proponowana przez oligarchię, czyli cięcia wydatków i usług publicznych, jest w dłuższej perspektywie samobójcza, bezbronna wobec nowych zagrożeń geofizycznych czy nadchodzących z kosmosu; zagrożeń, które postęp naukowo-techniczny, kierowany rozumem człowieka, mógłby oddalić. Tym samym konieczne jest upowszechnianie wiedzy. Jednym z pomysłów, propagowanych tak przez Michnowskiego, jak i np. prof. Włodzimierza Bojarskiego, jest zmiana systemu patentowego. Jak zauważa ten ostatni, wiedza jest dobrem wspólnym, wszyscy korzystamy z udogodnień wypracowanych przez poprzednie pokolenia w ciągłym dziele Postępu: *Sumaryczny koszt osiągniętego sukcesu jest jednak zawsze znikomy w porównaniu do kosztu poniesionego wcześniej, niekiedy w ciągu wieków, dla zdobycia wiedzy i doświadczeń, dostępnych dziś za darmo, a niezbędnych i wykorzystanych do konkretnego, nowego sukcesu [...]. Humanistyczna i cywilizacyjna misja rozwoju nauki i pomnażania wiedzy od stuleci łączy się z jej upowszechnianiem dla rozwoju i postępu ludzkości, bez żadnych ograniczeń i dyskryminacji*¹³.

Przed ludzkością stoi zatem wielkie wyzwanie zmiany złego porządku na przyjaźniejszy, lepiej wpisujący się w naturalną misję dziejową, jaką od wieków spełnia ludzkość, tworząc świat i na niego oddziałując, wciąż przesuwając granice wiedzy. Nie uda się jednak sprostać temu wyzwaniu bez „uczłowieczenia” na nowo nauki ekonomii, przywrócenia godności i poczucia wartości każdemu ludzkiemu życiu. Nie jest to kwestia wyłącznie poczucia społecznej sprawiedliwości i empatii, tak tępionej przez egoistyczny neoliberalizm, ale także chłodnego rozumu, dostrzegającego narastające zagrożenie dla ludzkości.

KRZYSZTOF MROCZKOWSKI

Przypisy:

1. Zob.: Jan Koziar, *Nie ma gospodarki bez polityki gospodarczej państwa. Na marginesie sztafety Melchiora Wańkowicza*, Wydanie cyfrowe, Wrocław, 2009.
2. Mises w ten sposób chroni swą błędną prakseologię ludzkiego działania przed zderzeniem ze światem rzeczywistym: *Historia nie może ani udowodnić, ani podważyć żadnego ogólnego stwierdzenia w taki sposób, w jaki nauki przyrodnicze przyjmują lub odrzucają hipotezę na podstawie eksperymentów laboratoryjnych. Nie jest możliwa ani eksperymentalna weryfikacja, ani eksperymentalna falsyfikacja ogólnego twierdzenia z dziedziny historii. [...] Poznanie prakseologiczne ma charakter czysto formalny i ogólny, nie dotyczy treści ani specyficznych cech określonego przypadku. Prakseologia dąży do poznania ważnego we wszystkich tych przypadkach, w których warunki odpowiadają dokładnie warunkom podanym w jej założeniach i wnioskowaniach. Jej twierdzenia i ustalenia nie wynikają z doświadczenia. Podobnie jak twierdzenia logiczne i matematyczne, są one zdaniem apriorycznymi. Nie podlegają weryfikacji ani falsyfikacji na gruncie doświadczenia i faktów.* Ludwig von Mises, *Ludzkie działanie*, Warszawa 2007, ss. 33-34.
3. Zob. prace Lesława Michnowskiego, dostępne na www.kte.psl.pl
4. Jan Koziar, op. cit.
5. Bernard Mandeville, *Bajka o Pszczółach, czyli Prywatne Wady jako Publiczne Zyski*, <http://coin.wne.uw.edu.pl/lhardt/MandevilleUl.pdf>
6. Zob. Krzysztof Mroczkowski, *Kredyty dla rozwoju - nie dla zysku*, „Nowy Obywatel” nr 4/2011.
7. Zob. Gottfried Wilhelm Leibniz, *Society and Economy*, Fidelio, vol. 1, no. 3, Fall 1992, p. 54.
8. Ibidem.
9. Ówczesne prace wskazujące na konieczność podejmowania przez państwo działań edukacji kulturowej i wspierania sztuki jako kluczowych dla rozwoju społecznego to, oprócz Leibniza, m.in. Emerich de Vattel, *Droit des gens* (Prawo Narodów, wyd. 1759, <http://www.constitution.org/vattel/vattel.htm>), Nicolas de Condorcet, *Esquisse d'un tableau historique des progrès de l'esprit humain* (Szkic obrazu postępu ducha ludzkiego, wyd. 1795, http://oll.libertyfund.org/index.php?option=com_staticxt&staticfile=show.php%3Ftitle=1669&Itemid=27)
10. Erik S. Reinert, Arno Mong Daastøl, *Exploring the Genesis of Economic Innovations: The religious gestalt-switch and the „duty to invent” as preconditions for economic growth*, European Journal of Law and Economics, 1997/4, pp. 233-283. Dostępne na: <http://www.arno.daastol.com/artprof/96wolff.html>
11. Erik S. Reinert, *The Role of the State in Economic Growth*, „Journal of Economic Studies”, Vol. 26, No. 4/5, 1999, pp. 268-326. Dostępne na: <http://www.othercanon.org/papers/>
12. Zob. Lesław Michnowski, *Społeczeństwo przyszłości a trwały rozwój*, Komitet Prognoz PAN „Polska 2000 Plus”, Warszawa 2006, ss. 54-55.
13. Włodzimierz Bojarski, *Wiedza - dobro wspólne czy monopol komercyjny?*, EkonomiaPolityczna.pl

REKLAMA



**WOLNOŚĆ DLA
MARIANA**

**Bronił Twoich interesów i ma za to
trafić do więzienia. Chyba tak tego
nie zostawisz?**

www.zagorny.pl

NASZE TRADYCJE

DŁUGIE I MOCNE KORZENIE NASZYCH IDEI

Na ratunek!

Paweł Hulka-Laskowski

Coraż częściej przychodzili do mnie znajomi robotnicy i urzędnicy ze stereotypową prośbą o napisanie po francusku albo po niemiecku listu do dyrekcji zakładów żyrardowskich, a przeważnie do dyrektora generalnego, pana Koehlera. Robotnicy pamiętali jeszcze czasy, gdy dawny właściciel Żyrardowa, Karol Dittrich, uprzejmie odpowiadał na listy skierowane do niego, kazał badać wyniki spory, udzielał pomocy, radził potrzebującym rady. Teraz więc, gdy starzy urzędnicy i robotnicy tracili pracę, a nie otrzymywali odpowiedniej emerytury, każdy z nich był przekonany, że byle donieść o tym dyrektorowi generalnemu, to wszystko zmieni się od razu. Ale należało napisać do niego po niemiecku albo po francusku. Korespondencja ta stała się bardzo jednostronna, bo na listy i podania wysłane do pana Koehlera nikt nigdy nie otrzymywał odpowiedzi, bez względu na to, czy pisał urzędnik mający za sobą trzydzieści lat pracy na wysokim stanowisku fabrycznym i społecznym, czy też robotnik, który po półwiekowej pracy został „zredukowany”. Pan dyrektor po prostu nie odpowiadał, dostępu do niego nie było i sprawy likwidowały się jakoś same przez się, ulegały przedawnieniu, zapomnieniu, radykalnemu zlekceważeniu.

Biura fabryczne zostały przeniesione do Warszawy i dyrektor Koehler nakazał urzędnikom, aby się przeprowadzili do stolicy. Ni mniej, ni więcej. Że istniał bezprzykładowy głód mieszkaniowy i że nawet za liche mieszkanko trzeba było płacić wysokie odstępné, tego nie przyjmował po prostu do wiadomości. Niektórym urzędnikom udzielano pożyczki na nabycie mieszkania w Warszawie, a pożyczkę odbierano potrąceniami z pensji. W Żyrardowie opustoszał wielki, kosztowny gmach kantoru głównego, a mnóstwo ładnych i wygodnych mieszkań w domach i willach fabrycznych stało pustkami. Oczywiście, nie brakło amatorów na te mieszkania, ale urzędnicy przenosili się do Warszawy, a osobom prywatnym fabryka mieszkań wynajmować nie chciała. Była to polityka w wielkopańskim stylu: przepadał dla fabryki czynsz mieszkaniowy za tyle pustych mieszkań po wysiedlonych urzędnikach, a w dodatku za pomieszczenia na biura w Warszawie musiały zakłady żyrardowskie płacić 80 tysięcy rocznie. Dla fabryki były to drobiazgi pozbawione większego znaczenia, ale jednocześnie zaprowadzono oszczędności, bardzo podobne do dokuczliwego i złośliwego sknerstwa, którego skutkami obarczano wyłącznie ubogiego robotnika, drobnego urzędnika,

rzemieślnika i kupca. Gdzie się dało zaoszczędzić złotówkę kosztem najuboższej ludności Żyrardowskiej, zaoszczędzano ją jak najskwapliwiej, ale nie żalowano setek tysięcy, gdy chodziło o dogodzenie kaprysom dyrekcji.

Od roku 1927 coraz częściej powtarzano imiona dwóch nowych władców Żyrardowa: Koehlera i Waśkiewicza. Dwa te imiona zrosły się z sobą tak ściśle, że gdy się powiedziało Koehler, to echo niby myśl natrętna dopowiadało: Waśkiewicz. To kazał zrobić Koehler, tamto zarządził Waśkiewicz. [...] Sprowadzano z zagranicy nowych urzędników, tak zwanych asów przemysłowej i handlowej reorganizacji i racjonalizacji. Przyjeżdżał taki pan Pfau. Sześć tysięcy miesięcznie, wspaniała willa, świadczenia wszelkiego rodzaju. Kontrakt na trzy lata. Posiedzieli zacy ludzie trzy lata, wzięli z tytułu umowy 240 tysięcy, wydali z tej sumy na swoje utrzymanie jakie 10 tysięcy najwyżej i wyjechali śmiejąc się zapewne w kufak, że tak łatwo można w Polsce zarobić gruby grosz. Łatwo oczywiście, bo pan Pfau nie miał najmniejszego pojęcia o fabrykacji, a cała jego racjonalizacja pracy i handlu polegała na sztuce wypatrywania, komu by tak jeszcze można urwać coś niecoś z zarobku.

Siedział sobie w biurze tkalni pan Ulrich, specjalista od jedwabiu, chociaż z jedwabiem Żyrardów nie miał nic wspólnego. Likwidowano nawet len, aby tym wydatniej przerabiać bawełnę, jako że główny akcjonariusz pan Boussac był królem bawełny i na bawełnie zbijał majątek. Pobierał ten pan Ulrich 4500 złotych miesięcznie i nie robił literalnie nic, bo jedwabiu w Żyrardowie nie przerabiano. Robotnicy śmieli się z niego, że za całe zajęcie miał ten dyrektor wywabianie płam z tkanin. Kontrakt także na parę lat i na to rady nie było. Posiedział, powywabiał trochę płam i wyjechał wywożąc grube pieniądze. Ilu było w Żyrardowie takich racjonalizatorów i reorganizatorów pracy i jakie pieniądze powywozili, o tym społeczeństwo polskie nigdy nie dowiędzie się całej prawdy, bo to są sekrety „handlowe”. Te właśnie sekrety podlegały bezpośrednio władzy dyrektora generalnego, Koehlera. Angażował inżynierów i dyrektorów specjalistów, ale żadnemu z nich nie pozwolił nic robić samodzielnie. Duża pensja, wysokie stanowisko i wywabianie płam. Dyrektor Koehler sam za wszystko odpowiadał i sam znał się na wszystkim najlepiej. Kazał np. przesuwać ciężkie maszyny w przędzalni lnu i to w taki sposób, że cienka posadzka żelazobetonowa groziła załamaniem się i nieobliczalną w skutkach katastrofą, ale nikt nie byłby się odważył zwrócić mu na to uwagę, bo każdy mógł wylecieć z fabryki na poczekaniu. Dopiero po jego śmierci z największym pośpiechem zdemontowano maszyny i poustawiano je na dawnych miejscach. Gdy pończoszarnia szła nieosobliwie i gdy fachowcy mówili, że trzeba



koniecznie podnieść gatunek wyrobów pończoszniczych i obniżyć ceny, pan dyrektor generalny kazał przenieść maszyny do innego gmachu. Oczywiście, że te kosztowne przenosiny nic nie pomogły.

Taki był pan Koehler. A pan Waśkiewicz? Pewnego dnia pojawił się w Żyrardowie pan w rogowych okularach i „zajął stanowisko”. Miał poprzedników, ale poprzednicy ci jeden po drugim opuszczali Żyrardów, nie chcąc być narzędziem polityki fabrycznej, jawnie przeciwspołecznej. Pan Waśkiewicz zaprezentował się od razu wszystkim i każdemu. Obchód narodowy? Oczywiście, on na pierwszym miejscu. Zebranie towarzyskie w resursie? Naturalnie za jego specjalnym zezwoleniem. Zabawa sylwestrowa? Pod protektorem jaśnie wielmożnego pana dyrektora Jana Waśkiewicza. Urzędnicy mówili między sobą o nowych porządkach, ale tylko szepem, bo nowy dyrektor bywał nie tylko protektorem zabaw sylwestrowych, lecz i groźnym władcą. Był uprządkiem tylko pomocnikiem dyrektora Koehlera, ale obowiązki swoje traktował z wielką sumiennością i interesy fabryki ucieleśniał w sobie. Gdy trzeba było wyszorować podłogę, dawny zarząd dawał szczotki na kijach, ścierki, szare mydło, sodę i kazał szorować. Pan Waśkiewicz przystępował do takich rzeczy obrzędowo: ile szarego mydła trzeba na metr kwadratowy podłogi? Na jak długo wystarczyć ścierka? Ile zużywa się szczotki? Racjonalizacja



© Kelly Short6, <http://www.flickr.com/photos/kellyshort6/7717344594/>

gruntowna. W biurze stawał nad pracownikiem: „Co pan teraz robi? Czy nie można by trochę prędej? Czy umie pan robić to a to?”. Pracę trzech zgarniało się na kupę, dzieliło się ją między dwóch, a trzeci mógł sobie iść. Reorganizacja na całego. [...]

Pan Waśkiewicz rozejrzył się w sytuacji i z całą swą gorliwością zabrał się do służenia swemu Koehlerowi. Przede wszystkim odmlodzenie zakładów żyrdardowskich! [...] Zaczęto sobie opowiadać, że na miejsce starych i niestarych robotników przyjmuje się dzieci, ale te dzieci muszą terminować. [...] Pomysł był kuszący: rodziców na bruk, a ich dzieci pracować będą darmo, w zamian za perspektywę otrzymania później pracy stałej. Pan Waśkiewicz zabrał się do zrealizowania tej pięknej myśli z gorliwością wprost nieznównaną. Bywają tacy służbiści, którzy dla przypodobania się swemu panu gotowi wyleźć ze skóry. Pojawiły się „Kontrakty oddania chłopca na naukę rzemiosła”. W kontraktach tych pan Waśkiewicz dyskutował dla fabryki i dla własnej kariery braki ustawodawstwa społecznego, bierność społeczeństwa, a przede wszystkim nędzę wyzyskiwanych. Wszyscy wiedzą przecie, że fabryka rozbiła rzemiosła na szereg rękoczynów przy maszynach i że w żadnej fabryce robotnik, choćby pracował trzydzieści czy czterdzieści lat, nie wyuczy się rzemiosła. A więc fikcja i podstęp, czyli chytry wyzysk.

SŁOWA MOGĄ BYĆ BRONIA

Na czym polegają dzisiaj wrażliwość społeczna i także zaangażowanie najwybitniejszych polskich ludzi kultury? Odpowiedź jest oczywista: na potępianiu rodzimego Ciemnogrodu oraz na dbaniu o środowiskowe interesy. Przez ponad 20 lat istnienia III RP do wyjątków należały sytuacje, gdy twórcy o głośnych nazwiskach zabrali głos w sprawie istotnych problemów społecznych.

Jasne, istnieje i regularnie przypomina nam o sobie instytucja tzw. listów otwartych, sygnowanych przez postacie znane i uznane, nagradzane, wychwalane, z samych szczytów zasług i splendoru. A to potępią Rydzyka, a to oburzają się na prowincjonalny przypadek antysemityzmu, a to zachęcają, abyśmy byli bardziej europejscy niż czołowe kraje Europy. Ich autorzy są niezwykle pomysłowi i odważni, skoro z otwartą przyłbicą wygłaszają opinie wygłaszane przez... wszystkie wielkie i wpływowe media.

W efekcie zamiast głosu narodowego sumienia mamy głos środowiskowego kołtuna. I co z tego, że ów kołtun jest nowoczesny, wykształcony, obyty i bywały, skoro jego opinie są tak samo konformistyczne i bezrefleksyjne, jak poglądy najciemniejszego tłumu? Pani Dulska pozostaje sobą także wtedy, gdy posiada profesorski tytuł lub jest laureatem/-ką prestiżowej nagrody. Inna rzecz, że co drugi z tych „listów otwartych” nawet nie udaje głosu w sprawie na serio publicznej – jest obroną którejś z kolesiowskich instytucji, uznaniowo stworzonej posady czy dotacji przeznaczonej dla „samiych swoich”.

Próbuję sobie przypomnieć przypadek, gdy nazwiska z górnej półki zabrały głos w obronie słabszych i pogardzanych, a przy tym niemodnych środowisk. Czy upomniały się, dajmy na to, o rolników żyjących na skraju biedy, o ich dzieci pozbawione perspektyw, o wielkomiejskich bezrobotnych, o kolejne grupy zawodowe tracące „przywileje” w postaci stałej umowy o pracę czy pensji ciut wykraczającej ponad poziom przetrwania, o likwidowane prowincjonalne biblioteki i szkoły, o brakujące przedszkola i bankrutujące szpitale? Bieda, bezrobocie, zapaść cywilizacyjna całych rzesz i regionów, jawnie szkodliwe decyzje wymierzone w najsłabszych, cynizm i pogarda okazywane im przez elity władzy i biznesu – to wszystko przechodzi bez reakcji luminarzy literatury i sztuki. Syci i zadowoleni mają syte i zadowolone poglądy. W końcu byt określa świadomość, jak zauważył pewien niemodny dziś myśliciel.

Podobnie jest z twórczością takich person. Polska ostatnich dekad – gdyby sądzić na podstawie rodzimego dorobku kulturowego tuzów tego świata – jest

Nauka rzemiosła u pana Waśkiewicza miała być zrazu bezpłatna, czyli że ani on nie płacił terminatorowi, ani rodzice terminatora nie płacili jemu. Ale w warunkach straszliwej nędzy, jakie razem z Koehlerem wytworzył, sama nadzieja otrzymania pracy była już sowitą zapłatą, więc dzieci rodziców wygnanych z fabryki garnęły się tłumnie do terminu, aby pracować darmo tam, gdzie rodzice ich pracowali za jakie takie wynagrodzenie. Terminowanie miało trwać aż trzy lata, podczas gdy naprawdę wystarczają cztery tygodnie, aby się wyuczyć sekretów pilnowania maszyny. Dawniej terminator fabryczny otrzymywał od razu wynagrodzenie jako dniówka, a po czterech czy sześciu tygodniach nauki własne krosna czy własny przydział przy maszynie. A tu trzy lata! Majster dawnego typu zobowiązywał się, że terminatora czegoś naprawdę nauczysz, ale pan Waśkiewicz nie myślał brać na siebie takiego obowiązku i pozostawiał sobie wolną rękę. [...] Taki kontrakt wiązał ucznia i jego rodziców, ale do niczego nie zobowiązywał pana Waśkiewicza. Terminator pracował, oczywiście, jak stary robotnik, niekiedy jeszcze wydajniej, bo wiadomo, że siły młodociane uskrzydla wrażenie nowości i pociąga zaciekawienie, wzbudzając gorliwość, jakiej w starych robotnikach być nie może. I takich właśnie „terminatorów” można było wyzyskiwać jako robotników darmowych, aby ich następnie wyrzucić i zastąpić nowymi darmowymi terminatorami. Gdy opinia zaczęła sarkać na to bezpłatne terminowanie, pan Waśkiewicz raczył płacić po 80 groszy dziennie, ale rzecz osobliwa, że terminator od razu otrzymywał książeczkę robotniczą, a kierownik oddziału nie troszcząc się o to, że ma do czynienia z terminatorem pana

Waśkiewicza, który ma pobierać po 80 groszy dziennie, wyznaczał mu wynagrodzenie od sztuki. W rezultacie takich dziwnych manewrów młodociany po parotygodniowej darmowej robocie otrzymywał wreszcie pierwsze wypłaty, wynoszące jakie trzy złote z groszami za tydzień pracy. Ale co najważniejsze, to fakt, że na kontrakty oddania chłopca na naukę rzemiosła przyjmowano nie chłopców, ale dziewczyny. Chłopców do fabryki nie przyjmowano. Popracowały takie młode robotnice, pozarabiały po trzy-cztery złote na tydzień i zgodnie z umową zostawały zwolnione w chwili, gdy trzeba było przyznać im większy zarobek, a na ich miejsce przyjmowano terminatorki nowe. Obrót młodocianymi siłami robotniczymi był żywy, praktyczny, cyniczny. [...]

Mniejsza o majstersztyki takich panów, ale obojętność społeczeństwa, bierność wyzyskiwanych i brak jakiegось głębszego zainteresowania dla spraw tak ważnych ze strony prasy – to zagadka po prostu tragiczna. Zainteresowanie się Żyrardowem miało przyjść dopiero później, gdy już było tylko prostym stwierdzeniem smutnych faktów, nie dających się odrobić. Na razie pojawiały się w prasie tylko luźne uwagi, notatki, artykułiki, z których ani jeden nie próbował sięgnąć głębiej. Jedyną konsekwentną akcję prowadził Magistrat. Prezydent miasta, p. Edmund Orlik, krzątał się, jeździł do Warszawy, informował władze, organizował pomoc dla bezrobotnych, szukał rozwiązania sprawy żyrdowskiej, gdzie tylko mógł, zalecając Żyrardów jako pierwszorzędną ośrodek przemysłowy. Inicjował akcję prasową w obronie Żyrardowa, zdobywał ciekawy materiał dowodowy, dotyczący gospodarki nowego zarządu, polecał układać memoriały dla władz



©© Knoxville Museum of Art, <http://www.flickr.com/photos/28703188@N02/4205409202/>

rządowych, sejmu, prasy. Lecz trudności żyrardowskie nie były odosobnione i wyłącznie nasze. Robotnik żyrardowski, pozbawiony pracy w fabryce, nie miał dokąd odpłynąć i dlatego dzień w dzień przed Magistratem i przed biurem Funduszu bezrobotnych tworzyły się zatory unieruchomionej energii robotniczej. Trzeba było radzić. Ale jak? Roboty publiczne wymagały dużych pieniędzy, a o kredyty nie było łatwo. Magistrat i Rada Miejska wyzyskały wszystkie możliwości dopomożenia bezrobotnym, ale te możliwości były ogromnie ograniczone w stosunku do bezmiaru nędzy, jaka się w Żyrardowie zagnieżdżała. [...]

Tymczasem pan Koehler sprowadza nowe kosztowne maszyny-automaty, przy których obsługa ludzka jest niemal zbędna, a pan Waśkiewicz przesiewa przez sito swoich kombinacji imiona tych, którzy mają być niebawem „zredukowani”. Z ust do ust idzie smutna wieść, że lista nowych redukcji już jest gotowa, że czterystu osiemdziesięciu robotników pójdzie na bruk. Ale na to nie ma rady. To jest racjonalizacja i reorganizacja pracy. Reorganizacja w imię czego? Dla kogo? Czy to naprawdę nikogo nie obchodzi, że tysiące ludzi musi głodować, ulegać straszliwej degradacji społecznej w rozpacz i nędzy? Czy jedyną odpowiedzią na te pytania jest i będzie zawsze to jedno nic nie mówiące słowo: kryzys? Co to jest kryzys? Kto jest sprawcą kryzysu? Kiedy się skończy ten wielopostaciowy kryzys? [...]

W Żyrardowie było coraz gorzej. Związki zawodowe zostały rozbite albo wegetowały żałośnie, w fabryce pracowało zaledwie tysiąc dwieście robotników, pan Waśkiewicz zwalniał bezustannie robotników i urzędników, niektórych namawiał usilnie do opuszczenia Żyrardowa. Jednocześnie likwidował w Żyrardowie bogate życie towarzyskie i kulturalne, otaczając się ludźmi prawie wyłącznie obcymi. Swoją gorliwość w służeniu Boussakom posuwał coraz dalej, wynajdował różne sposoby i chwytły, odebrał robotnikom Dom Ludowy, zbudowany dla nich przez Karola Dittricha, zamknął też szkołę tkacką, jedyną w województwie warszawskim, i zabierał się do opanowania miasta. Przed letnimi urlopami wymawiał wszystkim robotnikom pracę, wobec czego owe dwa tygodnie wypoczynkowe, które prawodawca chciał uczynić źródłem radości i porą wytchnienia dla spracowanego robotnika, stawały się dla wszystkich istnym piekłem niepokoju i zgryzoty, bo nikt nie wiedział, czy po urlopie letnim znajdzie jeszcze pracę w fabryce. Zarazem obrót siłami młodocianymi, czyli terminatorami fabrycznymi, był coraz bystrzejszy, według plastycznego wyrażenia p. Haliny Krahelskiej, bylej inspektorki fabrycznej. [...]

Chodziło o złamanie człowieka pracy, o pogębienie go i zatriumfowanie nad jego bezradnością. I na to wszystko rady nie było. Koehler miał siłę

krajem szczęśliwym, nieomal kwitnącym. Jeśli coś tu odbiega od ideału, to jedynie dlatego, że ktoś indywidualnie zblądził czy zgrzeszył, tak samo przypadkowo, jak przypadkowo trąba powietrzna powstaje niekiedy nad zamieszkałą okolicą, nie zaś w szczerym polu. Czasem w ich filmach czy książkach ktoś pije, bije żonę lub stracił pracę albo wolność, bo pił lub bił żonę. Problemy społeczne, a tym bardziej ich systemowe uwarunkowania niemal nie istnieją w twórczości sławnych i znanych.

Ktoś powie, że kultura, sztuka i literatura nie muszą, że twórca to człowiek wolny, więc w duszy mu gra to, co chce. Nie zmuszajmy nikogo do pisania, wyśpiewywania, fotografowania czy malowania biedy, bo to się skończy źle. Wolna myśl i talent umrą śmiercią naturalną, gdy spróbujemy wtłoczyć je na siłę w „tematykę społeczną”. Czeką nas wówczas powtórka z socrealizmu, polityka zabija sztukę, będzie nudno, szaroburo i ponuro, widz lub czytelnik zacznie ziewać lub przeklinać złe ułożenie gotówki w takim nieporadnym dziele sztuki. Oczywiście te obawy odchodzą w niepamięć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy trzeba schlebiać silnym i możnym. Wtedy pani Dulka płci obojga popiera, protestuje, apeluje, tworzy komitety honorowe, oburza się i ostrzega. Kiedyś artystyczne wolne duchy mówiły *non serviam* – nie będę służył. Dzisiaj powtarzają za politycznymi kołtunami sprzed ponad stulecia, że przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy. I nieważne, czy Najjaśniejszymi Panami są premier i minister finansów, czy znany biznesmen lub organizacja „pracodawców”, czy wpływowa gazeta, której nie jest wszystko jedno.

Można by ciągnąć ten lament jeszcze długo, ale bardziej wymowne jest skonfrontowanie postaw dzisiejszych Pań Dulskich z ich poprzednikami po fachu. Z ludźmi, którym talent i szerokie horyzonty nie tylko nie przeszkadzały oprócz uprawiania „czystej sztuki” interesować się problemami społecznymi, ale wręcz przeciwnie – uważali oni, że właśnie ów talent i związane z nim pozycja i autorytet zobowiązują ich do ukazania problemów trudnych, niewygodnych i zamiatanych pod dywan.

Przypominamy w dziale „Nasze Tradycje” bardzo drobny wycinek takich postaw. Pierwszy z tekstów to fragmenty książki **Pawła Hulki-Laskowskiego**. Dziś to postać raczej zapomniana, jeśli kojarzona przez szersze rzesze, to jako pierwszy polski tłumacz „Przygód dobrego wojaka Szwejka”, za życia należał jednak do literackiego mainstreamu. Oprócz książki Haška przełożył na nasz język dzieła m.in. Jonathana Swifta, Karela apka, J.F. Coopera, wydał kilka książek własnych, publikował liczne teksty w najważniejszych czasopismach literackich międzywojnia. Wśród jego znajomych byli nie tylko liczni ludzie kultury czy wpływowe postacie rodzimej polityki, ale i np. prezydent Czechosłowacji, T.G. Masaryk. Mógł do woli brylować na salonach,

po swojej stronie i z całym cynizmem wyzyskiwał to prawo silniejszego. Zaś pan Waśkiewicz odślawiał mu usłużnie wszystkie braki naszego ustawodawstwa robotniczego i społecznego i doradzał, w jaki sposób można wyzyskać każdy z tych braków. Ogarniała nas rozpacz, ale cóż było robić? Podczas gdy w Paryżu i Berlinie ukazywały się książki o przesileniu demokracji i kryzysie parlamentarizmu, w Żyrardowie widzieliśmy najistotniejsze przyczyny tych zjawisk. Ludzie pracy, ta podwalina najgłębsza gmachu cywilizacji, poczuła nagle, że dźwigają ciężar nad siły, obcy i wrogi. Wszystko, co dawniej tworzyło właściwą treść istnienia, polityka, wiedza, sprawy społeczne, lepsza przyszłość, znikło wobec zagadnienia elementarnego instynktu życia. Demokracja, faszyzm, dyktatura, socjalizm, oświata, komunizm, klerykalizm, antyklerykalizm – wszystko to stało się nagle nieistotne, obojętne, dalekie i obce. Jeszcze w nowelkach Gorkiego ubogi zecer wolał utracić pracę niż sprzeniewierzyć się swoim przekonaniom. Degradował się wprawdzie na robotnika niższej kategorii, musiał malować płoty, ale nie skazywał się na śmierć. Miał jeszcze rozległy wybór między dobrym a gorszym. Taki wybór znikł teraz zupełnie: najlichsza, najmarniej płacona praca albo głód, poniewierka, cierpienie i może nawet śmierć głodowa. Nie to było ważne, czy pracę da demokracja, czy komunista, klerykał i wstecznik, ale to, czy się ją w ogóle dostanie. Koniunktura gospodarcza pociągnęła za sobą koniunkturę polityczno-społeczną. [...] Roztrząsanie spraw demokracji czy dyktatury to sprawa sytych, głodni nie mieli ani ojczyzny, ani przyszłości, ani przekonań polityczno-społecznych. Tragiczny popyt na chleb zmniejszył z natury rzeczy popyt na ideologie społeczno-polityczne. [...]

Redukcje postępowały, obrót siłami młodocianymi był coraz szybszy. Poszczególne oddziały fabryki szły po trzy-cztery dni w tygodniu, a przy tym w całej wielkiej fabryce pracowało już nie 9 tysięcy robotników jak dawniej, ale niewiele ponad tysiąc. Jednocześnie wszakże administracja była taka kosztowna, jak bodaj nigdy dotąd. Sam Koehler pobierał kilkaset tysięcy rocznie, a tacy reorganizatorzy, jak Pfau, Ulrich i wielu innych otrzymywali po kilka tysięcy miesięcznie. W biurach warszawskich siedzieli różni dygnitarze zagraniczni, mający bardzo wysokie pensje, a techniczny personel fabryki był liczny. Na tę kosztowną administrację, która była nie mniejsza od administracji dawnej, gdy w fabryce pracowało 9000 ludzi, lecz raczej większa, musiała zapracować nieco ponad tysiąc robotników. Chodziło, oczywiście, nie tylko o administrację, ale i o akcjonariuszy, więc robotnik żyrardowski miał co dźwigać na swoich barkach. W dodatku musiał wziąć na siebie sprawę bezrobotnych towarzyszy, bo nowy zarząd fabryki z zasady nie dawał na cele społeczne ani grosza. Gdy opinia publiczna zaczęła



© Kelly Short6, <http://www.flickr.com/photos/kellyshort6/7716872636/in/photostream/>

się dopominać od fabryki pomocy dla bezrobotnych, zarząd nałożył na swoich urzędników 2-procentowy podatek od pensji, co w razie najlepszym mogło dać kilka tysięcy miesięcznie, czyli po kilkadziesiąt groszy na bezrobotnego. Była to „akcja ratunkowa” na odczepne.

Inteligentni robotnicy zdawali sobie sprawę z tego, że nie chodzi już o jedno z dawnych bezroboci, ale o wielkie zasadnicze przemiany, które setki tysięcy i miliony robotników wyrzucają poza nawias systemu pracy. Kierownicy tkalni nie troszczyli się teraz o to, czy tkacze zechcą pracować na trzech albo czterech krosnach, bo doszło tymczasem do tego, że jeden tkacz obsługiwał 10–12 krosien-automatów, a miejsce 200 cewiarek zajęły maszyny obsługiwane przez kilka młodych dziewczyn. Podczas gdy dawna cewiarka zarabiała 20–30 złotych tygodniowo, co przy 200 pracownikach cewiarskich dawało od 4 do 6 tysięcy złotych tygodniowo, po zracjonalizowaniu cewiarni maszyny przy obsłudze kilku dziewczyn pracowały za 60–80 złotych tygodniowo. W przędzalni pozsuwano maszyny i pracę porozdzielano w ten sposób, że gdzie dawniej pracowały trzy prządki, tam postawiono jedną. Gdy w oddziałach pomocniczych, w których robotnicy pracowali na dniówkę, powstawały zaległości, Koehler nie pozwolił przyjmować nowych robotników, ale domagał się od kierowników tych oddziałów, aby całą pracę wykonywali przy pomocy personelu posiadanego. Oczywiście, że nie można było dokonać

tego inaczej, niż przez wymuszanie na robotnikach pracy nad siły i nad normę. Dzień roboczy przedłużano o kilka godzin, za które jednak nikomu nie płacono. Bezkarność takich nadużyć była zapewniona, bo żaden robotnik nie byłby się odważył zaprotestować lub udać się ze skargą do inspektora. Skutek protestu lub skargi mógł być tylko jeden: utrata pracy. A tego żaden robotnik ryzykować nie chciał.

Racjonalizacja pracy i „odmładzanie” fabryki prowadziły do tego, że robotników starszych zastępowano siłami młodymi. Od dziesięcioleci istniał w Żyrardowie zwyczaj, że starym robotnikom, którzy przestawali pracować, wypłacano emeryturę w wysokości od kilku do kilkunastu rubli miesięcznie. Do tej fabrycznej emerytury były właściciel Żyrardowa, Karol Dittrich, dodawał od siebie od dwóch do pięciu rubli miesięcznie. Jeśli dodamy, że każdy robotnik starszy miał znaczne oszczędności w Fundacji Karola Augusta Dittricha, założonej i utrzymywanej przez Karola Dittricha, to zrozumiemy, że żaden emeryt po opuszczeniu fabryki nie doznawał skutków jakiejś nędzy. Nowy zarząd spoglądał na emerytury jak na trwałe fatalne zło, którego trzeba było pozbyć się jak najprędzej razem z wszystkimi świadczeniami społecznymi. Redukowano tedy emerytury razem z płacą, a ta stawała się coraz mniejsza. Tkacz, który pracował na dwunastu krosnach, nie zarabiał oczywiście tyle, ile zarobiłoby w normalnych warunkach pięciu lub sześciu tkaczy, ale dostawał za swoją wytężoną pracę o 50 do 100% więcej, niż dostawał dawny tkacz, pracujący na dwu krosnach. [...]

Skutki racjonalizacji są olbrzymie. Tu nie chodzi o jakieś drobne ulepszenia produkcji i zbytu, ale o rewolucję w wielkim stylu. Dotychczas rewolucje gospodarcze i społeczne były dziełem zrozwyczajonych mas i zwracały się przeciwko posiadaczom zbyt wielkich bogactw i zbyt wielkiej władzy. Teraz posiadacze wielkich bogactw i absolutnej władzy dokonywali rewolucji przeciw bezbronnyim i bezradnym masom. Rozmiary tej rewolucji wyraziły się w Żyrardowie liczbami tragicznymi: z 9000 dawnych robotników pozostało przy pracy 1200–1500, a więc siódma czy szósta część. Gdyby racjonalizacja pozabawiała chleba tylko siódmą część robotników, można by mniemać, że się ta część bezrobotnych ostatecznie gdzieś podzieje, rozplynie po całym organizmie społecznym i nie rzuci się w oczy postacią klęski. Zmniejszy się liczba małżeństw, obniży się liczba urodzin i na tym koniec, jeśli jeszcze dodać odpowiednie zmniejszenie się dochodu społecznego i powiększenie się zysków kapitalistów. A tu taka katastrofa! Dla nas sprawa nieobojętna, bo robotnik jest nasz i trzeba go żywić, kapitał jest obcy i zyski wywozi za granicę. Racjonalizacja więc, taka, jaka odbywa się w Żyrardowie, oznacza obniżenie

walczyć z „ciemnogrodem”, uprawiać „czystą sztukę” itd. Zrobił jednak coś zgoła przeciwnego.

Przez 8 lat prowadził wytężoną kampanię publicystyczną, próbując zwrócić uwagę opinii publicznej na to, co dzieje się w jego rodzinnym mieście – Żyrardowie. A działo się bardzo źle. Wielkie zakłady włókiennicze, niegdyś znane w całej Europie i stanowiące jeden z symboli przemysłu na ziemiach polskich, były stopniowo doprowadzane do ruiny przez – jak byśmy to dziś nazwali – „inwestora zagranicznego”, konkretnie zaś francuskiego, który przejął fabrykę na początku lat 20. Prowadzono tam rabunkową gospodarkę, nie licząc się z nikim i niczym – ani z pracownikami, ani z lokalną społecznością, dla której zakłady były niegdyś głównym żywicielem, ani z interesami państwa polskiego i z jego regulacjami prawnymi. Było tam wszystko, co najgorsze: i straszliwy wyzysk, i wyrzucanie setek ludzi na bruk, i zrujnowanie budżetu miasta, i oszustwa podatkowe, i fałszowanie wyrobów, i nielegalny transfer zysków zagranicę itd., itp.

Hulka-Laskowski poruszył niebo i ziemię, żeby temu przeciwdziałać – napisał wiele artykułów w prasie wszelkiego rodzaju, przygotował liczne apele do władz różnego szczebla, dwoił się i troił, żeby ratować swoją „małą ojczyznę”, choć mógł wyjechać gdziekolwiek i tam się beztrudno urządzić. Zwieńczeniem jego wysiłków była książka „Mój Żyrardów”, wydana w roku 1934. Otwierała ją wymowna dedykacja: *Robotnikom żyrdowskim, towarzyssom walk i porażek, z wyrazem niezłomnej wiary w ostateczne zwycięstwo*.

Książka to przeplatana wątkami autobiograficznymi swoista kronika upadku miasta pod jarzmem bezwzględnej władzy. Pełna emocji, osobistych refleksji, ale i bardzo rzetelna pod względem dokumentacyjnym – fakty, daty, nazwiska i liczby są tu zebrane pieczołowicie, brzmiąc jak fachowa mowa oskarżycielska. Przypominamy niewielki fragment „Mojego Żyrardowa”, które mówią same za siebie w kwestii postawy pisarza. Warto uszakże zwrócić uwagę na jedno – otóż Hulka-Laskowski nie tylko dokumentuje lokalny przypadek, bliski mu z racji pochodzenia (jego rodzice – i on sam w młodości – byli pracownikami zakładów żyrdowskich, zanim rozpoczęła się tam gospodarka rabunkowa) i zamieszkania. Jego refleksje wykraczają poza Żyrardów i jedną fabrykę – obserwując ich losy, pisarz nabiera świadomości społecznej, dostrzegając, że choć sytuacja lokalna jest w swej brutalności może wyjątkowa, to stanowi przejaw szerszej tendencji. Tak oto z literackiego pięknoducha rodzi się człowiek dostrzegający strukturalne wady ówczesnego porządku ekonomicznego i dający w książce świadectwo owej przemiany.

Warto dodać jeszcze jedno, żeby opowieść była pełna. Otóż 8-letnia kampania Hulki-Laskowskiego przyniosła efekt. W ślad za jego artykułami i apelami poszły w końcu działania wymiaru sprawiedliwości i władz publicznych. W 1934 r., kilka miesięcy po wydaniu „Mojego Żyrardowa”, państwo polskie angażuje



© Cea, <http://www.flickr.com/photos/centralasia/539014689/>

dochodu społecznego, a tym samym obniżenie stopy życiowej i wszystkie tego skutki.

Rodziło się pytanie: kiedy i na czym skończy się racjonalizacja i co stanie się z bezrobotnymi? Pytanie takie nie istniało dla kapitalisty, ale narzucało się nam. Kapitałiści prześcigali się wzajemnie: w Żyrardowie jeden tkacz pracował na dwunastu krosnach, u Ettingona w Łodzi jeden tkacz pracował już na 32 krosnach. Kto może więcej i taniej produkować, ten bije słabszego przeciwnika i zwycięża. Ale pobity przeciwnik nie ginął z głodu. Jak w wojnach orężnych królowie i cesarze bili się swoimi poddanymi, tak w walce kapitalistycznej wielcy bogacze załatwiali swoje rozrachunki kapitalistyczne na skórze ubogich robotników, nie troszcząc się o los bezrobotnych, o ich życie i śmierć. Trudno było zgodzić się z myślą, że ostatecznym celem racjonalizacji przemysłu jest anarchia gospodarcza i społeczna. [...] Taka jest rzeczywistość gospodarcza. W Australii hodowcy zabijają i niszczą 800 000 owiec, w Brazylii niszczy się setki tysięcy worków kawy, w Argentynie, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie palą masy zboża, w Meksyku wojsko niszczy miliony bananów, w Ameryce Południowej i w Egipcie palą olbrzymie masy bawełny, nawet w Czechosłowacji topią w Dunaju mnóstwo sławnych czeskich ogórków, a w Holandii hodowcy tulipanów płacą specjalnym robotnikom za niszczenie milionów cebulek kwiatów, które dotychczas rozchodziły się po całym świecie. To są rzeczy, których prosty ludzki rozum, nie wypaczony nałogami myśli kapitalistycznej, zrozumieć nie jest w stanie. [...]

Napisałem artykuł o rzeczywistości gospodarczej widzianej w perspektywie Żyrardowa i posłałem go do „Gazety Polskiej” jako głos dyskusyjny, z góry

licząc się z tym, że redakcja może go nie wydrukować. Zresztą nie przywiązywałem żadnej specjalnej wagi do tego artykułu, bo widziałem przecie na własne oczy, że paroletnia kampania prasowa przeciwko zarządowi Żyrardowa nie dała w wyniku ostatecznym literalnie nic. Dawniejszy zarząd na każdy najdrobniejszy artykuł odpowiadał natychmiast, chociaż mógł się być z rynkiem polskim nie liczyć, ile że rynkiem właściwym Żyrardowa była cała Rosja aż po Samarkandę i Port Artur. Obecnie zarząd fabryki kpił sobie z prasy i nawet nie raczył zwrócić uwagi na jej głosy. Byłem przekonany, że i tym razem będzie tak samo. [...] Stała się rzecz nieoczekiwana. Nie tylko że prasa polska żywo zainteresowała się artykułem moim, przedrukowując wyjątki z niego i komentując je życzliwie, ale co najważniejsze, zarząd Zakładów żyrardowskich zdecydował się nareszcie odpowiedzieć na stawiane mu zarzuty, chociaż w artykule swoim nie wymieniał nazwy miejscowości i nazwisk fatalnych działaczy. Lecz odpowiedź dana mi piórem p. senatora G., członka rady Zakładów żyrardowskich, była w duchu nowego kursu. Pan senator G. jako urzędnik przedsiębiorstwa musiał stanąć po jego stronie, jednakże cały jego artykuł był tak stylizowany, iż tylko potwierdzał moje zarzuty. Autor tego artykułu poza ogólniki wyjść nie umiał. Rozpisał się o przyjaźni polsko-francuskiej, jak gdyby miała ona w tym wypadku cokolwiek do rzeczy, rozwiódł się szeroko nad szlachetnością pana Koehlera, dodał coś niecoś o trudnościach, o kapitale, o popieraniu rządu i zrobił ze mnie szkodnika społecznego, który w dodatku mieszka w domu fabrycznym, czyli że już z tej racji powinien dać w dudkę pana Koehlera. Artykuł pana senatora G. ukazał się w wolnej trybunie „Gazety

Handlowej” i wywarł na mnie wrażenie przygnębiające. Odpowiedziałem mu w „Gazecie Polskiej”, co myślę o tej odpowiedzi, wezwałem go, aby zaprzeczył faktom przeze mnie podanym o terrorze panującym w Żyrardowie, o szykanowaniu polskich urzędników i robotników, o sprzedawaniu w kraju francuskich tkanin ze stemplem fabryki żyrdowskiej. Pan G. odpowiedział znowu komunałami w „Gazecie Handlowej”, że tego-owego, że „słowami robotników bezrobotnych nie nakarmimy”. Było to przykre uchylanie się od odpowiedzialności. [...]

Tymczasem po ukazaniu się moich artykułów w „Gazecie Polskiej” Żyrardów stał się nagle tematem wysoce aktualnym dla całej prasy polskiej. Dzień w dzień „Informacja Prasowa” posyłała mi wycinki różnych gazet piszących o Żyrardowie a jednocześnie dostawałem listy z całego kraju z informacjami o stosunkach przemysłowych w Łodzi, na Śląsku i indziej. [...]

Do ogarnięcia całokształtu życia społeczno-gospodarczego brakło mi zainteresowania, a może zdolności. Marks był dla mnie lekturą trudną i niezrozumiałą. Ale nagle ujrzałem hierarchię kapitalistyczną tuż przed oczami: Waśkiewicz, Koehler, Bousass... Pakiet akcji przechodzi z rąk do rąk i nagle człowiek, który przy pomocy machinacji giełdowych i fałszywej przysięgi zdobywa miliony, staje się panem losów ludności żyrdowskiej. Apartament za milion, urządzenie mieszkania za pięć milionów, trzy Rolls-Royce'y, wspaniałe zbiory, diva opery paryskiej jako przyjaciółka... Takie to dziwne: do roku 1914 nie miał nic, o Żyrardowie może nigdy nawet nie słyszał, na dostawach wojennych „dorobił się majątku”, kupił sobie akcji... A tymczasem ludzie, którzy z dziada-pradziada siedzieli w tym mieście, budowali je na fundamentach swej nędzy i wyrzeczności, na gruźlicach, rupturach, na tysiącu nieszczęśliwych wypadków i nagłych śmierci w trybach maszyn, stają się niczym, dodatkiem do maszyn, budynków, wielkich placów, domów mieszkalnych, pałaców, will, parków...

Kierowniczka jednej ze szkół opowiada nam, że dzieci zasypiają przy lekcjach, bo są chronicznie głodne. Sami widzimy, że dzieci zaczynają żyć na własną rękę: sprzedają gazety, grają o pieniądze, spekulują, na czym się da, aby zarobić kilkadziesiąt groszy. Wieczorem widuje się na ulicach sporo młodych kobiet. Chodzą, jakby na kogo wyczekiwały, zwalniając kroku, spoglądają na przechodnia... Wprost się wyczuwa, że mają okropne bicie serca, że nie wiedzą, jak się zachować, aby mieć sposobność upragnioną do zarobienia kilku złotych. Ale zabiegi ich nie zdają się na nic. Tyle ich jest, a tak mało w Żyrardowie ludzi zarobkujących, którzy mogliby wyrzucić zgoła niepotrzebnie kilka złotych. Przecie za trzy złote wegetuje nieraz cała rodzina przez tydzień.

się w rozwiązanie problemu – dzieje się to na szczeblu międzynarodowym i owocuje konfliktem dyplomatycznym z Francją, nie obywa się bez procesów sądowych, ale po dwóch latach właścicielem fabryki zostaje Państwowy Bank Rolny. Od 1936 r. zakłady dźwigają się z upadku, rosną produkcja i zatrudnienie, miasto ożywa.

Kolejny przypomniany przez nas tekst to fragment „Rozdroża” **Marii Dąbrowskiej**. Autorki przedstawiać nie trzeba, natomiast o książce nieco mówi jej podtytuł – „Studium na temat zagadnień wiejskich”. Praca ta to fachowy, pełen skrupulatnie zebranych informacji niemal 200-stronicowy apel o rozwiązanie palącego problemu, jakim była w ówczesnej Polsce sytuacja chłopów i mieszkańców wsi. Mówiąc krótko, były to realia przeraźliwej biedy, zacofania i braku perspektyw. Dąbrowska stała się głosem tych ludzi, wołając o wielkie reformy społeczne, które pozwolą im wydobyć się z dna otchłani. W kwestii doraźnej był to także apel o przeprowadzenie wreszcie autentycznej reformy rolnej, która wskutek oporu warstw posiadających była przez niemal cały okres II RP realizowana w formie szczątkowej. W książce tej, wydanej w roku 1937, pisarka upomina się jednak nie tylko o chłopów czy wieś. Wskazuje ona, że poprawa kondycji tych terenów i warstw społecznych jest kluczem do rozwoju i umocnienia państwa polskiego jako takiego. Można powiedzieć, że to modelowy przykład obywatelskiej troski o dobro publiczne, o Rzeczpospolitą.

Fragmenty „Rozdroża” wybraliśmy nieprzypadkowo. Maria Dąbrowska była od młodości związana z inicjatywami społecznymi. W wieku niespełna 20 lat weszła w krąg lewicowo-ludowego pisma „Zaranie”, wkrótce potem stała się entuzjastką i propagatorką ruchu spółdzielczego, była wszędzie tam, gdzie powinna być zaangażowana inteligencja, czyli wśród słabych i wykluczonych, oraz tam, gdzie powstają inicjatywy mające ich zorganizować, by poprawić ich los. Wśród jej publikacji nieliterackich są broszury takie jak np. „Finlandia – wzorowy kraj kooperacji”, „Kooperatyzm we wsi belgijskiej” (obie napisała w wieku zaledwie 24 lat) czy „Spółdzielczość zwyciężająca”, a jej broszura „O wykonaniu reformy rolnej” została wydana w roku 1921, czyli w początkach odrodzonej Polski.

„Rozdroże” jest jednak warte szczególnej uwagi. Powstało, gdy jego autorka była już znaną i cenioną pisarką – momentem kluczowym była tu edycja „Nocy i dni” w latach 1932–34. Również ona, podobnie jak Hulka-Laskowski, nie musiała już zajmować się żadnymi kwestiami społecznymi, a tym bardziej takimi i w taki sposób, które z punktu widzenia możliwych i wpływowych były bardzo niewygodne. Tymczasem pisarka uważała, że nadal ma zobowiązania społeczne, nie mniej ważne niż kariera literacka. Jej książka wywołała wielką dyskusję na temat problemów wsi i rolnictwa, nierzadko były to głosy oburzenia i potępienia albo polemiki dalekie od rzetelności, za to napastliwe wobec autorki. Ona nie tylko nie wycofała się ze swego stanowiska, ale

Racjonalizacja, kultura chrześcijańska, wolność, równość, braterstwo, prawo do pracy, prawo do życia, do oświaty, do szczęścia... Człowiek chce żyć. Najprzód wyprzedaje się ze wszystkiego, czego bezpośrednio do utrzymania życia nie potrzebuje, potem sprzedaje ostatnie graty, ubranie, bieliznę, buty, jednym słowem wszystko, co można wymienić na chleb. Wreszcie sprzedaje swoją moralność, obyczaje, wierzenia, wstyd, godność ludzką... Za kawałek chleba. [...] Z takimi smutnymi myślami wyszedłem po obiedzie 26 kwietnia na ulicę, aby odetchnąć po pracy. Snuli się obdarci robotnicy, ze szkoły wychodziły dzieci, po wyboistym bruku terkotał wózek chłopski. Było słoneczno i smutno w pustce ulic konającego miasta. Z bramy szkolnej wyszła błada i wzburzona znajoma, sąsiadka z trzeciego domu, pani Blachowska, higienistka. Podeszła i głosem ochrypłym mówiła coś, co było fantastycznie nieprawdopodobne. Że w tej chwili ktoś słyszał wiadomość podaną przez radio, iż mąż jej zabił Koehlera. Niemożliwe! Gdzie? W Warszawie! W biurze? Nie wiadomo. Nie, to chyba nieprawda. [...] Taka pewno pogłoska... Nie, to wiadomość urzędowa, przez radio podana... Błada pani Blachowska stoi chwilę bezradna, potem żegna się i idzie do domu, a niebawem widzimy ją idącą wolno ku dworcowi kolejowemu.

Ludzie przystają z sobą i rozmawiają szeptem, wskazują za siebie wyprostowanym kciukiem, że tam, w Warszawie... Nikt nie wierzy. [...] Czy pan już słyszał? Chyba nieprawda... W biurze policji mówili, że prawda. Idę ulicą i myślę o tym, co właśnie słyszałem. [...] W lutym pisałem w „Gazecie Polskiej”, że jeśli polityka dyrekcyi trwać będzie dalej, to krwawa tragedia nie każe czekać na siebie. Przyszedło zdziwienie, że ten zabity człowiek nie rozumiał tak prostej rzeczy, iż ludzi kopać nie można, że nawet racjonalizacja winna odbywać się jakoś po ludzku. [...]

Pierwsza połowa sierpnia. Co słyszać? Nic dobrego. Redukcje, racjonalizacja, bieda. [...] Minął październik, przyszedł łagodny i słoneczny listopad, a potem równie łagodny grudzień. Bieda wzmagala się, komitety pomocy bezrobotnym wznowiły działalność i zaczęły zbierać składki. Ale cóż znaczyło kilkaset złotych miesięcznie na tylu bezrobotnych? Tymczasem w dalszym ciągu zwalniano starszych robotników i urzędników, zaś od pracowników biurowych żądano pracy za trzech. Każdy podporządkowywał się wymagającym zwierzchnikom, bo sama myśl o utracie pracy pełna była ponurej grozy. Gdzież były te czasy, gdy organizacje zawodowe miały głos w sprawach płacy, przyjmowania, zwalniania i zaopatrywania starych robotników? Fabryka może się procesować przez wszystkie instancje, robotnik pozbawiony środków do życia nie może się prawować bez końca. Tymczasem upływają dni, miesiące i lata, starzy emeryci wymierają, nowi mają za sobą mniej lat pracy, a sprawiedliwość działa

powoli i z wielką rozważą. Tylko głodnym i nagim pilno. Świat ma czas. [...]

Pracodawca? Chlebodawca? Miły Boże, byliśmy przecie w ciągu wieków chlebodawcami wszelkiego draństwa i wszelkich nędznych a tępych pasożytów i byliśmy ich pracodawcami, dając im pot, i krew, i zdrowie, i wszelki sens swojego ludzkiego życia na tej ziemi. Oni brali pracę naszą i nasz chleb, oni byli pracobiorcami i chlebobiorcami naszymi, a my byliśmy dawcami, żal się Boże, dobrowolnymi i ciemnymi. [...]

Czytuję dużo pisarzy polskich i zagranicznych i ku wielkiej radości swojej przekonuję się, że najlepsi i najszlachetniejsi spośród nich przestali być rezydentami kapitalizmu. Galsworthy pokazał na przykładzie z życia, czym jest forsytyzm, który jedyny cel życia widzi w gromadzeniu pieniędzy. Kaden-Bandrowski robi u nas to samo, obnażając tendencje różnych partyjników zmierzających do spieniężania haseł polityczno-społecznych. Stary Andre Gide z uniesieniem mówi o człowieku budującym nowy świat i całą duszą pragnie doczekać się zwycięstwa tego człowieka. Młodzież francuska tworzy front antykapitalistyczny od prawicy katolickiej aż po lewicę marksowską. [...] Na jednym biegunie życia widzimy drapieżny i nigdy nienasycony kapitalizm, który do celów swoich idzie po trupach, a na drugim biegunie staje do służby szlachetne i piękne człowieczeństwo. Proza angielska zwalka energicznie obłudę urzędowej moralności, proza polska służy wysokim ideałom społecznym i uszczelniającym. I zdaje się, że już wiemy, co będzie dalej: pozostawimy Morganom ich złoto, Rockefellerom ich źródła ropy, a Vickersom ich armaty. Niech sobie to wszystko mają. Ludzkość świadoma wartości życia i pracy pójdzie własnymi drogami. Kapitalizm to ciemnota mas; gdy się ta ciemnota rozwije, kapitalizm zniknąć musi.

W perspektywie ulicy Żyrardowskiej ukazuje się nowy piękniejszy świat, w którym ideałem najwyższym nie będzie już zysk i wyzysk. Wnuki nasze z niedowierzaniem pytać będą, czy to prawda, iż różni ograniczeni carowie skazywali na więzienie i na śmierć ludzi, którzy nie taili swej wiary, że istnieje doskonalszy i sprawiedliwszy sposób wytwarzania i podziału towarów, niż ten, jaki zaprowadził i utrzymał kapitalizm. Patrząc na dziedziniec szkolny przed moimi oknami i wierząc niezłomnie, że tłum dzieci bawiących się tam w tej chwili, to przyszli obywatele lepszego i sprawiedliwszego świata.

W tym świecie, nad którym nie będzie już panował anarchiczny i drapieżny kapitalista, znajdzie miejsce także mój Żyrardów. Budowały go razem z innymi ręce moich dziadów i rodziców, pracowałem przy jego budowie przez dziesiątek lat i ja, pracuję przy innym warsztacie i dzisiaj. Lecz oto przyszedł człowiek obcy, który jeszcze wczoraj nic

nie wiedział o nas i naszej pracy, i na mocy jakichś nędznych papierków położył na nas łapę i zaczął nam wyznaczać skromniutkie racje chleba, ograniczać nasze prawo do życia. Spadła na nas fala straszliwej nędzy, zgryzot, niepokoju. Ale już wielu z nas rozumie, że to jest komiczne. Gdy komizm tej sytuacji zrozumiemy wszyscy i parskniemy wesołym śmiechem, gmach kapitalizmu, więzienie ludzkości i zmora świata, runie. [...]

Jednocześnie otrzymałem kwestionariusz ankiety na temat wzmożonej przestępczości na gruncie Żyrardowa. Znam swoje miasto rodzinne i wiem, że było ono zawsze bardzo spokojne, od razu tedy przyszło mi na myśl, że ta wzmożona przestępczość ma pewien przyczynowy związek z „gospodarczą” działalnością Boussaków i ich, żal się Boże, polskich naganiaczy. Stałe redukcje ery Koehlera i Waśkiewicza musiały doprowadzić do wzmożonej nędzy i co za tym idzie do wzmożonej przestępczości. Jeśli Boussac w krótkim czasie wyciąga z Żyrardowa kilkadziesiąt milionów „czystych” zysków, to nam pozostawia odpowiednie straty i gospodarcze, i moralne.

Udaję się z tymi myślami do prezydenta miasta, p. Edmunda Orlika. Czy to prawda, że tak zatruwająco wzmogła się przestępczość? Niestety, tak. W ostatnich latach kroniki policyjne zanotowały kilkadziesiąt morderstw i zabójstw, kilkaset krwawych bójek, kilka tysięcy kradzieży większych i mniejszych. Nędza jest straszliwa. Zdaniem lekarzy 60% młodzieży żyrdowskiej to kandydaci gruźlicy płuc. Panoszą się straszliwie choroby weneryczne. Od kiedy wzmogła się tak bardzo przestępczość? Od roku 1926 – brzmi odpowiedź. A więc od czasu wielkiego lokautu i tych stałych redukcji, które cechowały rządy Koehlera i Waśkiewicza. [...] Przypomina mi się pewien szczegół z memoriału wydanego w roku 1927 staraniem prezydenta Orlika dla informowania władz i opinii publicznej o przyczynach i skutkach upadku Żyrardowa. Jest w tym memoriale mowa o tym, że zarząd Boussaków sprzedawał na złom dobre maszyny żyrdowskie. Teraz czytamy w „Gazecie Polskiej” z 5 II 1934, że te maszyny powędrowały do francuskich fabryk p. Boussaka i tam ten „złom”, sprzedany mu za bezcen, pracuje normalnie dalej. Istna otchłań brudów moralnych i chamskie, cyniczne deptanie ludzkich praw robotnika żyrdowskiego. Ale to cuchnące bagno oszustw i złodziejstw już jest odsłonięte i musi zostać zlikwidowane. Inaczej być nie może.

Paweł Hulka-Laskowski

Powyższy tekst to fragmenty książki „Mój Żyrardów. Z dziejów polskiego miasta i z życia pisarza”, wydanie II, Czytelnik, Warszawa 1958 (pierwodruk w roku 1934). Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji „Nowego Obywatela”. Zaznaczono większe skróty.

w dodatku rok później opublikowała kolejną książkę – „Moja odpowiedź. Refleksje nad polemiką z »Rozdrożem«”, w której jeszcze dobitniej sformułowała swoje stanowisko. Nie była to zresztą ostatnia tego rodzaju publikacja Dąbrowskiej – już kilka miesięcy później na księgarskie półki trafił jej książkowy reportaż „Ręce w uścisku. Rzecz o spółdzielczości”. To jedna z najlepszych publikacji dokumentujących rozwój polskiego ruchu spółdzielczego oraz biorących go w obronę przed zarzutami warstw posiadających.

W tekstach Hulki-Laskowskiego i Dąbrowskiej warto zwrócić uwagę na pewną kwestię. Otóż to nie są li tylko apele do sumień, napisane pod wpływem emocji w obronie słusznej sprawy. Oboje poświęcili omawianym problemom wiele wysiłku. Ich książki zawierają mnóstwo informacji wymagających wgryzienia się w temat i wytrwałości, powstawały miesiącami, które można było poświęcić na cokolwiek innego. To coś więcej niż odruch serca oburzonego na taki czy inny problem – to przemyślany, poważny wysiłek ludzi przekonanych o tym, że jego podjęcie stanowi społeczny obowiązek.

Trzeci z prezentowanych tekstów ma charakter nieco inny niż poprzednie. Autora, **Stefana Żeromskiego**, również nie trzeba przedstawiać. Jego zaangażowanie społeczne jest podobnie wieloletnie i imponujące jak w przypadku Dąbrowskiej. Był m.in. współzałożycielem „uniwersytetu ludowego” w Nałęczowie, wymyślił dla spółdzielczości spóżywców nazwę organu prasowego (która później stała się nazwą całego ruchu) – „Społem”, u zarania II RP brał udział w powołaniu Towarzystwa Przyjaciół Pomorza, apelował o obronę polskości Spisza, był inicjatorem utworzenia związku zawodowego literatów itd.

Prezentowany tekst poświęcony jest jednak grupie stosunkowo niewielkiej, ale wyjątkowej – żołnierzom, którzy stracili wzrok w czasie wojny. Są to zarazem osoby wymagające pomocy, słabsze i niesamodzielne, a jednocześnie ludzie, którzy zdrowie narażali w celu szlachetnym, jakim jest walka o niepodległość. Dlaczego ów tekst jest szczególny? Stefan Żeromski poparł „Latarnię” – towarzystwo pomocy ociemniałym – nie tylko słowem, ale i czynem. Był członkiem owej inicjatywy, a nawet pełnił w niej społecznie, do czasu znacznego pogorszenia stanu swego zdrowia, funkcję skarbnika. Zbierał składki, drobiazgowo je notował i rozliczał wydatkowanie, wszystko to robiąc już w czasach, gdy był bodaj najbardziej szanowanym żyjącym polskim pisarzem, postacią nieomal pomnikową. Gdy zmarł, niewidomi nazwali jego imieniem swą świetlicę terapeutyczno-integracyjną w Warszawie.

Cóż można dodać na temat postaw trojga literatów, których teksty prezentujemy w niniejszym numerze? Wystarczy jedynie tyle, że na ich tle bardzo kiepsko wypadają dzisiejsze „wielkie nazwiska” polskiej literatury. Pani Dulska zatriumfowała – oby nie na zawsze.

R.O.



Ziemia dla chłopów

Maria Dąbrowska

Zwolennicy wielkiej własności ziemskiej usiłują tedy przekonać opinię publiczną, że chłopci gospodarują gorzej od ziemian i że uprawa na małych parcelach jest mniej wydajną niż na wielkich obszarach. Czy byłoby jednak w stanie dowieść, że ta zła gospodarka chłopska musi trwać wiecznie? Że nie będzie mogła nigdy stać się dobrą, a nawet świetną i podnieść swej wydajności do największych możliwych granic? Bo tylko w takim wypadku niski poziom gospodarki chłopskiej mógłby decydować o zmianie kierunku naszej polityki rolnej, o zaniechaniu parcelacji, a nawet o uchwaleniu nowej ustawy rolnej, mającej na widoku ochronę i tworzenie jak największych warsztatów rolniczych. Niestety, zapal, z jakim udowadnia się słabą wydajność gospodarstw chłopskich, zdaje się świadczyć o takim właśnie głębokim przeświadczeniu ziemian, że ta słaba wydajność jest rzeczą nie do usunięcia. Że chłop nigdy nie będzie mógł dorównać wysokością plonu wielkim folwarkom, że zatem przesuwanie stanu posiadania na jego korzyść grozi zubożeniem kraju, ogłodzeniem miast, niemożnością wyżywienia armii, a także wyżywienia społeczeństwa na wypadek wojny.

Wyobraźmy sobie jednak, że pewnego pięknego poranka reforma rolna okazuje się snem. Parcelacji więcej się nie prowadzi. Stosunki zarówno własnościowe, jak ludnościowe na wsi ustalają się według stanu rzeczy z czasów, dajmy na to, od 1921 do 1931 roku. Cóż by się wtedy okazało?

Według Małego Rocznika Statystycznego Polska liczyła w r. 1921, okrągło biorąc – 3 miliony 200 tysięcy drobnych gospodarstw chłopskich i... 19 tysięcy gospodarstw folwarcznych. Na każde 100 gospodarstw mieliśmy wtedy 99,4% gospodarstw drobnych i średnich, a 0,6% gospodarstw wielkich. Stosunek powierzchni użytków rolnych, posiadanych przez te gospodarstwa był, oczywiście, zupełnie inny niż wzajemny stosunek ich liczby. Trzy miliony gospodarstw chłopskich posiadało 19 000 000 ha użytków rolnych, zaś 19 tysięcy wielkich majątków posiadało ich około 6 000 000 ha (bez lasów, których wielka własność posiadała wg tego samego źródła w r. 1921 około 4 000 000 ha). Ale nawet i przy tym stosunku już wtedy większość ziemi ornej należała w Polsce do chłopów. W ciągu następnych dziesięciu lat, tj. w okresie wykonywania reformy rolnej, stosunek ten zmienił się jeszcze bardziej na korzyść

gospodarstw włościańskich. Prof. Wł. Grabski oblicza, że w r. 1931 wielka własność posiadała 4 547 700 ha, zaś drobna – 21 046 000 ha użytków rolnych. Jesteśmy zatem już dziś – tak jak zresztą w pewnym sensie byliśmy zawsze – krajem nie tylko rolniczym, ale i w znacznej mierze chłopskim, pomimo żeśmy się przez wieki rządili tak, jakby chłop między nami nie było, i do dziś rządymy się tak, jakby on był niewygodną pozycją, której wartość trzeba konieczne pomniejszać i lekceważyć.

A teraz ludność. Mały Rocznik Statystyczny podaje, że w r. 1931 było w Polsce 23 119 000 ludności wiejskiej. Po odliczeniu znikomej liczby ziemian i kilku milionów Ukraińców i Białorusinów, i jeśli zważymy, że ludność miejska jest w znacznej części niepolska, możemy śmiało powiedzieć, że z górą dwie trzecie Polaków – to chłopci, właściciele drobnych gospodarstw oraz proletariatus i półproletariatus rolny. Jesteśmy więc nie tylko krajem, ale w jeszcze większym stopniu narodem chłopskim.

Kto zatem powiada, że chłop nie jest w stanie wyżywić Polski, ten mówi, że Polska w ogóle nie jest w stanie wyżywić się – więc istnieć.

Kto powiada, że chłop nie jest w stanie sprostać zadaniom obrony państwa, ten mówi, że naród polski nie jest w stanie obronić się przed napaścią.

Kto twierdzi, że zamożność, aprowizacja i bezpieczeństwo kraju winny zależeć głównie od stanu i obszaru wielkich majątków ziemskich, ten mówi, że byt narodu i państwa powinien się wspierać na świetności kilkunastu tysięcy rodzin, posiadających zaledwie piątą część użytków rolnych i stanowiących znikomy ułamek odsetka obywateli. Byłoby to niby wsparcie olbrzymiego gmachu na wątlej zapalcie, choćby ta zapalcia i ze szczerego była złota. Rzecz możliwa dziś już tylko w majaczeniach gorączki.

Szerzenie więc tak namiętne poglądu o nieodwołalnej niższości gospodarstw chłopskich jest najbardziej defetystyczną koncepcją, jaką Polska od swego zmartwychwstania wydała. Jest zaszczepianiem największej niewiary w Polskę i naród polski, jaka kiedykolwiek zrodziła się w naszej łatwej do poddawania się złym natręctwom umysłowości. Pogląd ów jest również jedną jeszcze niekonsekwencją myśli ziemiańskiej, gdyż prowadzi nieuchronnie do idei zniesienia w ogóle indywidualnej gospodarki rolnej. Toteż znajduje on, nieoczekiwane zapewne przez ziemian, poparcie w tych sferach lewicowych, które w kolektywizacji drobnych gospodarstw widzą jedyny sposób dźwignięcia naszego rolnictwa na wyższy szczebel rozwoju. [...]

W Czechosłowacji stosunek ilości wielkich gospodarstw (ponad 100 ha) do małych i średnich jest jeszcze bardziej niż u nas na niekorzyść wielkiej własności, zwłaszcza pod względem powierzchni folwarków, znacznie przez tamtejszą reformę rolną okrojonej. Przy tym ilość gospodarstw najmniejszych,

tj. liczących do 5 ha, jest w Czechosłowacji cokolwiek wyższa niż u nas i wynosi 72% ogólnej liczby gospodarstw, gdy u nas 71%.

W Niemczech stosunki własnościowe są mniej więcej takie jak w Polsce, z tą różnicą, że gospodarstwa najmniejsze (do 5 ha) wynoszą tam aż 77% ogólnej liczby gospodarstw.

Holandia pod względem własności rolnej nie posiada stosunków całkiem zdrowych, ponieważ część jej drobnych rolników uprawia grunty dzierżawione od wielkich właścicieli. Jednakże jako typ gospodarki wszechwładnie panujący mamy tam bardziej niż gdziekolwiek indziej gospodarstwo drobne. Folwarków o typie pracy właściwym wielkiej własności mamy w Holandii tylko 0,1%, a zajmują one zaledwie 1,5% ogólnej powierzchni gruntów (u nas 27% gruntów ornych, w Niemczech 20%, w Czechach 13%). Przy czym gospodarstwa najmniejsze również przeważają tam nad innymi rodzajami drobnych gospodarstw (66% ogólnej liczby).

Szwajcaria jest krajem prawie wyłącznie drobnej chłopskiej własności. W Szwecji, Finlandii, Danii proces rozdrobnienia wielkiej własności na korzyść chłopskich gospodarstw (z przewagą średnich) jest znacznie dalej posunięty niż u nas.

A czyż możemy o wszystkich wymienionych tu krajach powiedzieć, że są zacofane lub upadające pod względem kultury rolniczej? Całkiem przeciwnie. Są to kraje najwyższej ze znanych dotąd i wciąż wzmagającej się wydajności wszystkich ziemiopłodów, najwyższej też kultury i chłopskiej, i ogólnej. Bez przesady można powiedzieć, że im bardziej który z nich jest chłopski, tym jest zamożniejszy i kulturalniejszy. Holandia osiągnęła w dodatku przepiękne rezultaty pracy chłopskiej na gruntach sławnych ze swej wyjątkowej nieurodzajności. Nie od rzeczy też będzie zauważyć, że są to wszystko, jak dotąd, kraje najmocniej ugruntowanego pokoju społecznego. I nie bez głębszego znaczenia jest fakt, że właśnie typowy kraj wielkiej własności i przysłowiowej nędzy chłopca, jakim była zawsze Hiszpania, stał się widownią najokrutniejszej wojny domowej.

Jeśli na wysoki poziom rolnictwa chłopskich krajów zachodniej Europy miały wpływ uboczne, pozarolnicze warunki, to byłoby również wielkim pesymizmem i wielką rezygnacją z naszych społecznych i gospodarczych uzdolnień, gdybyśmy twierdzili, że te odpowiednie warunki u nas w żaden sposób nie mogą się pojawić, czy też zostać stworzone. Zwłaszcza gdy jednym z tych warunków jest spółdzielczość rolnicza, dla której rozwoju brak tylko większego rozpowszechnienia się oświaty wśród włościan. Spółdzielczość – o której mówiliśmy już pod kątem zatrudnienia nadmiaru ludności wiejskiej – jest prócz tego konieczną nadbudową, bez której drobne gospodarstwa nie mogą należycie prosperować, przy której natomiast, zachowując

wszystkie właściwe sobie zalety, zyskują ponadto wszystkie atuty wielkiego przedsięwzięcia aż do możliwości stosowania motoryzacji łącznie. Nasze sfery ziemiańskie, a tym bardziej sympatyzująca z nimi prasa, mają słabe i mocno zaściankowe pojęcie o spółdzielczości rolniczej, nic więc dziwnego, że nie dostrzegają przeurotowego znaczenia tej potężnej dźwigni gospodarczo-społecznej, która gdzie indziej w stosunkowo niedługim czasie postawiła drobną własność na świetnym poziomie i wyprawała jej produkty na rynki światowe. Znaczenia tego ziemiaństwa nie dostrzega nawet wtedy, kiedy tu i ówdzie bierze w przedsięwzięciach spółdzielczych udział. Jeszcze większą niewiedzę pod tym względem przejawia ogół inteligencji miejskiej, która o spółdzielczości ledwie coś niecoś mętnie słyszała i, powtarzając na wiarę twierdzenie o niższości chłopskich gospodarstw, nie zdaje sobie sprawy, jak wiele już istnieje na świecie sposobów przeobrażenia tej niższości w najdoskonalszą wyższość. [...]

Wróćmy jednak do tych słabych plonów na gospodarstwach włościańskich. I zobaczmy z jakimi to plonami, z jaką wydajnością porównywa się je tak namiętnie. Czyż wydajność naszych wielkich folwarków może w istocie komu zaimponować? Zdaje mi się, że w porównaniu z krajami dobrze gospodarującymi nasze plony rolnicze są tak samo zbyt niskie u wielkiej własności, jak u małej. Można bez obawy pomyłki zaryzykować twierdzenie, że wydajność naszych wielkich folwarków jest niższa niż wydajność gospodarstw chłopskich w tych krajach, gdzie rolnictwo stoi na właściwym poziomie. Weźmy dla przykładu buraki cukrowe jako produkt stanowiący u nas (na skutek cukrowniczej polityki uprzywilejowań) prawie monopol większej własności. Buraki chłopskie tak dalece nie wpływają tu na cyfry statystyki, że Mały Rocznik Statystyczny podaje jako przeciętny zbiór z hektara większej własności 215 kwintali z hektara i jako przeciętny zbiór ze wszystkich gospodarstw Polski tę samą cyfrę 215 kwintali z hektara. Otóż Niemcy mają zbiór z hektara 292 kwintali, Belgia – 306 q, Dania – 310 q, Szwecja – 337 q, Szwajcaria – 349 q, Holandia – 372 q z hektara. Co do Holandii zwłaszcza i Szwajcarii możemy na pewno powiedzieć, że nie wielkie, lecz drobne gospodarstwa przyczyniają się tam do tak wysokiego zbioru buraków z hektara. Pszenicy wielka własność produkuje u nas 13 q z hektara, zaś Holandia 28,8 q. [...] Gdybyśmy rozporządzali odpowiednimi cyframi, zapewne powiedziałyby nam one to samo i o innych ziemiopłodach. Toteż drobni rolnicy wymienionych tu krajów przysłuchiwaliby się z największym zdziwieniem niepojętej dla nich obronie tezy o niższości małych gospodarstw. Nie mogliby zrozumieć ani celu, ani pobudek upierania się przy tej tezie i doszliby w końcu do bardzo zasmucających wniosków o naszym zdrowym rozsądku.



© Kris Haamer, <http://www.flickr.com/photos/krishaamer/2835427723/>

Ziemianie nasi potrafią się czasem przyznawać do niskiego stanu swej gospodarki w porównaniu z innymi krajami. Ale to tylko wtedy, gdy może to im posłużyć jako dowód, że jeśli oni źle stoją, to gospodarka chłopska tym bardziej nie może nigdy osiągnąć świetnych wyników. Trudno sobie wyobrazić – pisze na ten temat jeden z publicystów „Gazety Rolniczej” – *aby małorolny, a nawet 10-hektarowy gospodarz mógł swemu inwentarzowi dać te warunki, jakie z wielkim wysiłkiem daje mu większa własność – z miernym, jak świadczą rynki zagraniczne, wynikiem. Otóż w wielu krajach nie tylko sobie te doskonałe warunki hodowli i uprawy chłopskiej wyobrażano, ale je w całej pełni urzeczywistniano.*

Laik, czytający gazety i słyszający ciągle o większej wydajności folwarków i o słabym plonie gospodarstw chłopskich, wyobraża sobie zapewne jakieś niebotyczne różnice, myśli, że skoro się taki alarm o to podnosi, to wydajność chłopska jest może, kto wie, o połowę mniejsza niż dworska. Tymczasem niezawodny Rocznik Statystyczny powiada nam, że różnice te są dość znikome. W r. 1935 gospodarstwa drobne i średnie (do 50 ha) produkowały z hektara 11,1 q pszenicy, zaś gospodarstwa wielkie – 13 q. Żyta: małe – 11,2 q, wielkie – 13,1 q. Jęczmienia: małe – 11,6 q, wielkie 14,1 q. Owsa: małe – 11,4 q, wielkie – 12,8 q. Ziemniaków: małe – 114 q, wielkie – 118 q. Buraków: małe – 195 q, wielkie – 215 q. Różnice więc wynoszą dla zbóż 1,9 do 2,5 kwintala, dla okopowych – 4 do 20 kwintali z hektara.



© waterarchives, <http://www.flickr.com/photos/waterarchives/5625826816/>

A teraz chciejmy zauważyć, jaki, mówiąc dzisiaj-
szym językiem, start mają ci dwaj „zawodnicy”, tak
mało stosunkowo różniący się między sobą plonami
z hektara. Z jednej strony ziemianie, rozporządzają-
cy wiedzą rolniczą, znacznymi środkami, udoskona-
lonymi narzędziami i maszynami, mający możliwość
stosować najwłaściwsze nawozy sztuczne i w ogóle
najlepsze sposoby uprawy. Posiadający też na ogół
ziemie zmeliorowane i wyższej klasy, ponieważ mieli
zawsze, jak wiemy, nieograniczoną prawie swobodę
wybierania sobie gruntów. Z drugiej strony chłop –
w przeważającej większości niedostatecznie oświe-
cony, prawie nieużywający nawozów sztucznych,
rzadko stosujący nowsze metody upraw, niemający
kapitału nakładowego, posługujący się często pry-
mitywnymi narzędziami, mający zazwyczaj ziemie
gorsze i niezmeliorowane. Jeśli będąc postawionym
w o tyle gorsze warunki, chłop różni się tak nie-
wiele wydajnością z hektara od ziemianina, to jak-
że nie dojść do przekonania, że przy jakim takim
rozwoju oświaty i organizacji z łatwością dogonił-
by i prześcignął dzisiejsze plony wielkiej własności.

Że w odpowiednich i sprzyjających warunkach
(do których należy i życzliwość społeczeństwa dla
tej sprawy) ten wzrost wydajności nie daje na sie-
bie czekać, to widać snadnie po gospodarce krajów,
gdzie reforma rolna była nie chroniczną chorobą,
ale szybką i skuteczną operacją. Należą do nich
między innymi Łotwa, Estonia i Litwa. Inż. Zyg-
munt Chmielewski w „Czasopiśmie Spółdzielni Rol-
niczych”, nr 20/1936 r., powiada między innymi, że

na Litwie po przeprowadzeniu reformy rolnej wy-
dajność gruntów chłopskich wzrosła od 12 do 52%.
Jeszcze bardziej podniosła się hodowla.

W ostatnich czasach prof. Wł. Grabski („Parcela-
cja wobec struktury, koniunktury i chwili dziejowej
Polski”) podważał mocno ów i bez tego problematyczny „dogmat” o niższości drobnych gospodarstw,
stwierdzanej na podstawie plonów z hektara. Do-
wodzi on, że *dla oceny gospodarczego znaczenia
większej i mniejszej własności należy badać, któ-
ry typ własności potrafi więcej wygospodarować
nie z obsiewanej, ale z posiadanej przestrzeni.* Przyjąwszy to założenie prof. Grabski zastosował
nową metodę statystyczną, za pomocą której wyka-
zał przejrzyste, że wielka własność daje we wszyst-
kich głównych ziemiopłodach, oprócz buraków
i jęczmienia, plony niższe z hektara niż własność
chłopska. Inaczej mówiąc, że na jednostkę posiada-
nych obszarów drobna własność obsiewa i obsadza
większy procent powierzchni, a folwarki – mniejszy.
Stąd wniosek, że jeśliby nawet, po przeprowadzeniu
daleko idącej parcelacji, wydajność z chłopskiego
hektara nie podniosła się od razu wydatnie, to bar-
dziej drobiazgowie i pełne wykorzystanie nabytej
przestrzeni nadrobiłoby z nawiązką niedobór, mo-
gący powstać z cokolwiek mniejszej na razie plen-
ności. [...]

Wyższość gospodarstwa chłopskiego w wywo-
dach prof. Wł. Grabskiego uderza jeszcze bardziej,
gdy zestawia on cyfry dotyczące hodowli. Te cy-
fry mówią zresztą same za siebie i przy użyciu

jakichkolwiek metod statystycznych nikt nigdy nie kwestionował rozległych możliwości, jakimi drobna własność góruje w tej dziedzinie nad wielką. [...] Prof. Wł. Grabskiemu starano się odpowiadać i rzeczowo, a przynajmniej z pozorami rzeczowości. Pisano więc, że choć odsetek niebranej pod uprawę zbóż głównych i okopowych przestrzeni jest u ziemian większy, to w zamian zużywają oni wszystkie pozostałe obszary na kultury specjalnie cenne, takie jak sady, ogrody, rośliny oleiste czy nasienne. Zaś co do hodowli zauważano, że choć chłop góruje liczbą inwentarza nad ziemianinem, ale jakość tej hodowli jest niska. Podkreślano między innymi, że chłop nigdy nie sprostą zadaniom dostarczenia państwu konia remontowego (wojskowego).

Jeśli jednak weźmiemy do rąk to prawdziwe *enfant terrible* – Mały Rocznik Statystyczny, zobaczymy w nim rzeczy następujące. Sady i ogrody zajmują w Polsce 552 000 hektarów obszaru. Żadnych innych danych Rocznik Statystyczny co do tej gałęzi gospodarstwa narodowego nie podaje. Musimy sobie pomóc tym, co wiadomo „z życia”. Sad i ogród istnieją przy każdym polskim dworze, niekiedy mają wcale pokaźne rozmiary. U chłopów do niedawna tylko w województwach południowo-wschodnich i zachodnich można było zauważyć sadki przy każdej prawie chacie. Na olbrzymiej części pozostałych obszarów, z wyjątkiem śliwkowego pobrzeża Wisły, sławna dzika grusza była prawie jedyną przedstawicielką wiejskiego „sadownictwa”. Hodowla jarzyn i warzyw jeszcze mniej była wśród włościan rozpowszechniona.

Możliwe zatem, że w tej dziedzinie ziemiaństwo górowało niepomniernie nad chłopem i że stosunkowy obszar wziętych pod sady i ogrody gruntów był na jednostkę posiadanej powierzchni większy u ziemian niż u chłopów. Cóż z tego jednak wynika? Że nasze ziemiaństwo znało się wybornie na smakach warzyw i owoców, co nawet już Rej ślicznie przekazał literaturze. Poza tym jednak ta część wytwórczości rolnej nie była nigdy należycie wciągnięta w ogólny obrót naszego gospodarstwa. Dziś jest już lepiej pod tym względem. Znam nawet piękny majątek, w którym znaczna część obszaru zamieniona została na łąkę amerykańskie plantacje jabłek, prowadzone według wszelkich zasad nauki ogrodniczej. Ileż jednak mamy w Polsce takich wyjątków? Na ogół pod względem roli, jaką w handlu może odgrywać warzywnictwo i owocarstwo, stymy bodaj czy nie na ostatnim miejscu w świecie. Brak danych statystycznych z tej dziedziny jest chyba dość wymownym wskaźnikiem znikomości tych kultur. I choć ziemianie mogą i powinni wiele tu jeszcze zrobić, zdaje się, że zmienić radykalnie taki stan rzeczy będzie mógł tylko chłop. W moich ostatnich wędrówkach po wsi mazowieckiej zdumiewał mnie pęd, z jakim chłopci masowo rzucają się dziś do

sadownictwa. W każdej z chat, w których zdarzyło mi się gościć, można już było swobodnie mówić o renetach, landsberskich i kronselskich, o pięknej z Boskop, antonówkach, kosztelach i nawet koksach. Warzywnictwo też już zaczyna między włościanstwem kielkować. [...]

Co do jakości hodowli chłopskiej, to w samej rzeczy pozostawia ona niemal wszystko do życzenia. Zarówno pod względem samego inwentarza, jak i produktów od niego pochodzących. Ale czyż z tego może wypływać co innego, jak tylko wniosek o konieczności wielkiej ofiarnej pracy i państwa, i całego społeczeństwa, nie wyłączając ziemian, aby zmienić ten opłakany stan rzeczy? Że ogólne polepszenie bytu chłopskiego, spółdzielczość i oświata mogą tu cudów dokonać, to, powtarzam raz jeszcze, rzecz więcej niżli pewna. Wszak już przed wojną angielskie miasta nie chciały spożywać innych jaj, bekonów i masła niż pochodzące z chłopskich kooperatyw duńskich – a pisząca te słowa kupowała wówczas w Brukseli jaja z kooperatyw fińskich i... syberyjskich. [...]

Przejdźmy z kolei do kwestii gospodarstwa chłopskiego wobec zadań wyżywienia miast i zaopatrzenia armii. Niestety, nie znam statystyki, która by wyliczała, ile produktów spożywają nasze miasta z większej, a ile z mniejszej własności. Nikogo to może nigdy nie interesowało, bo wartością małych gospodarstw zaczęliśmy się poważnie zajmować dopiero w najostatniejszych czasach. Na podstawie jednak tego, co już wiemy, trudno przypuszczać, aby drobna własność, produkująca w cyfrach absolutnych przeważającą ilość artykułów pierwszej potrzeby, nie miała sporego znaczenia w aprowizacji miast, nawet jeżeli odrzucimy te gospodarstwa, które na razie zaledwie same ze swych płodów mogą użyć i nic prawie na rynku nie sprzedają. Pomijając dostawy z dalszych stron przez pośredników, każdy mieszkaniec miast wie dobrze, jaką rolę odgrywają chłopci podmiejscy w dostawie mnóstwa produktów bezpośrednio do domów. Oczywiście, że i organizacja tego zbytu jest żadna i jakość tych produktów najczęściej kiepska. Wybredniejsze podniebienia, bardziej wymagające żołądki i lepiej zaopatrzone kieszenie poszukują też specjalnie produktów z wielkiej własności. Ale i takiej ludności w miastach, i takich produktów na rynku jest chyba (poza zbożem) szczupła mniejszość. Ta wyborowa ziemiańska produkcja to luksus, który nie może być miarą sądów o wyżywieniu miast, chociaż u nas właśnie takie rzeczy bywają miarą sądów.

A teraz armia. Bardzo możliwe, że to wojsko właśnie przede wszystkim pochłania produkcję wielkiej własności i że jest mu wygodniej aprowizować się w dużych majątkach. Lecz armia jest dla narodu, a nie naród dla armii. Armia, mimo jej bezwarunkowej konieczności, szczytnych zadań, wspaniałych



zalet i miłości, jaką budzi, nie może być wyłącznym ideałem życia narodu w tym znaczeniu, aby dla niej wolno było rezygnować z reform wymaganych przez nieodparte konieczności gospodarczo-społeczne. Jeżeli dobro, a nawet byt narodu i państwa żądają oparcia gospodarki rolnej o drobną własność, to armia, ta – jak się ciągle podkreśla – najlepiej obywatelsko wychowana część społeczeństwa, niewątpliwie dostosowuje swoje metody aprowizacyjne do tych wymagań dobra narodowego.

Armia bowiem nie jest stworzona do tego, żeby bronić samej siebie, ani żeby bronić pomysłowości kilkudziesięciu tysięcy rodzin, lecz aby bronić dobra całego narodu. Gdy o to dobro nie zadbamy, to i bronić w końcu nie będzie czego.

Posługiwanie się rzekomym interesem armii w walce z reformą rolną uchybia zarówno poczuciu obywatelskiemu wojska, jak rozumowi jego władz gospodarczych. Intendentura wojskowa stoi bez wątpienia daleko bardziej na wysokości swych zadań, niż przypuszczają sfery chcące w nią wmówić to, co dla nich byłoby wygodniejsze. Potrafi ona wypracować takie metody zaopatrywania, które mogą być pogodzone ze stopniowym przeobrażeniem się polskiego ustroju rolnego. Naturalnie – znów to trzeba powtórzyć – najszerzy rozwój spółdzielczości (w danym wypadku spółdzielni zbytu ziemiopłodów) jest i tu koniecznym warunkiem rozwiązania nastroczających się trudności. Dla ułatwienia wojsku aprowizacji z gruntów chłopskich kraj musi pokryć się organizacjami wspólnej sprzedaży pldów rolnictwa. I wojsko może tu bardzo pomóc, bo właśnie pewność otrzymania dostaw do armii mogłaby być doraźnym życiowym bodźcem i dla podniesienia gatunkowości produktów, i dla organizowania ich zbytu.

Ciekawe, że płk. Dzugay, wygłaszając w czerwcu roku ubiegłego przed audytorium ziemiańskim odczyt o rolnictwie w Czechosłowacji, podkreślił bardzo wyraźnie łatwość aprowizacji armii czechosłowackiej właśnie wskutek istnienia spółdzielczości zbytu, zorganizowanej, jak wiadomo, głównie przez włościan tego kraju. Szkoda, że ziemiaństwo nie zapamiętało sobie tego szczegółu o aprowizacji wojska czechosłowackiego, nim zaczęto wdrażać w naszej armii myśli kierowania zainteresowań aprowizacyjnych tylko w stronę wielkiej własności. [...]

Zapominamy i o tym, że armia to nie szczupłe grono świetnych oficerów, skoligaconych rodzinnie lub towarzysko ze sferą ziemiańską. Że armia – to siłą rzeczy nade wszystko chłopi, wypełniający już dziś nie tylko szeregi, ale – coraz częściej – i kadry oficerskie. Trudno przypuścić, żeby ta już dziś na wskroś ludowa siła zbrojna nie znalazła w sobie dostatecznego zrozumienia dla najżywotniejszej sprawy narodu, jaką jest wciągnięcie w orbitę ogólnego życia gospodarczego masy chłopskiej. Tej masy chłopskiej, której symboliczną nazwą, zawołaniem, herbem zbiorowym niejako są przecież od dawna dwa słowa: żywią i bronią.

Maria Dąbrowska

Powyższy tekst to fragmenty jednego z rozdziałów książki „Rozdroże. Studium na temat zagadnień wiejskich”, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Warszawa-Kraków 1937. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji „Nowego Obywatela”. Zaznaczono większe skróty, pominięto przypisy, poprawiono pisownię według obecnych reguł.

„Latarnia”

Stefan Żeromski



0000 lecerle, <http://www.flickr.com/photos/lecerle/287487187/>

Nowe, powojenne życie z jego zgiełkliwym przemysłem i zabiegliwym handlem, z młodzieńczym upajaniem się pięknem istnienia i beztroską zabawą rozbiło swoje namioty na cieniach padających po ziemi od mogił bohaterów zabitych przez ślepe pociski lub nie mniej ślepe ciosy ręki człowieczej.

Świat nowy chętnie i szybko zapomina o tym, komu zawdzięcza swą wolność, swobodę wszelkich poczyniń i nic o tym nie chce wiedzieć, iż tańczy w upojeniu na cieniach padających od mogił. Lecz obok straganów i siedlisk życia nowego stoją świadkowie żywi, posępni wygnani z świata, który już odszedł i minął, a niemający możliwości w mieszania się w tłum pracy i zabawy: to ślepi, którym wojna minioną wypaliła oczy. Spojrzenie ich niewidzących źrenic przesuwają się, jak czarne skrzydło śmierci, po obszarach pracy, przenika zabiegi powojennego gromadzenia bogactw, zgiełk

klótni i radość zabawy. Ślepi słyszą z wyrazistością podwójną, potrójną wszystko, cokolwiek się dzieje w ciemności, która u stóp ich zalega. Ślepi mają dusze pełne goryczy i zgrozy. Przebywając w okęgach bezprzykładnego cierpienia, przykuci do miejsca niedoli, na bezczynność skazani, mają serca napelnione jadem. Najgłębszym bodaj nieszczęściem istoty żyjącej, której zadaniem jest zdobywanie żywności, odzieży i schroniska, oraz obrona przed wrogiem, jest brak najniezbędniejszego ze zmysłów, brak wzroku. Lecz utrata siły widzenia w kwiecie wieku męskiego, gdy się ją posiadało od dzieciństwa, jest nieszczęściem, którego nikt z widzących nawet wyobraźnią najwyższą zmierzyć i zgruntować nie zdoła. A jednak tę to właśnie otchłań należy mierzyć i badać, o ile społeczeństwo ludzkie nie ma być tłumem egoistów.

Jest właśnie możliwość ulżenia ciężaru jarzma niedoli ślepych żołnierzy, wydobyć z ich serca, skoro

nie można światła ich źrenicom przywrócić, kolca żalu i rozpacz, który je przebija. Jest możność dania im w ręce kija podpory, wsparcia ramieniem ich kroków w ciemności, dania im do rąk pracy odpowiedniej, która by im zapewniła życie wśród ludzi, jako braci wśród braci.

Zaledwie część niewidomych żołnierzy, w liczbie siedmiuset jednostek, jest zarejestrowana, mieści się częścią w zakładach w Warszawie, Lwowie, Bydgoszczy i Płocku. To ci, którzy mają schronienie nad głową i dołę osłodzoną pieczołowitością rodaków. Lecz są ślepi żołnierze, w nędzy i zapomnieniu bląkający się po drogach życia, potrącani przez biedę i odepchnięci od pociechy za to, iż oczy dla wolności ojczyzny stracili.

Ucywilizowane społeczeństwa od dawna pracują nad ulżeniem niedoli ociemniałych rodaków. Od szesnastu lat poświęca się tej pracy Miss Winifred Holt w Ameryce, tworząc ogniska pod nazwą Phare (Latarnia), których celem jest zapobieganie zupełnej ślepoty i stała dla ociemniałych pomoc. Już dwanaście lat temu została otwarta w Nowym Jorku przez prezydenta Stanów Zjednoczonych pierwsza z tych instytucji, a dziś posiada, oprócz siedziby głównej, prowincjonalne oddziały. W roku 1916 przez prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej został otwarty instytut Phare w Paryżu, z którego wyłoniły się cztery prowincjonalne placówki. W roku 1920 powstała Phare w Rzymie. Wszystkie te instytucje i ogniska pochodzą duchowo od amerykańskiego pierwowzoru i zachowują z nim serdeczne stosunki.

„Latarnia” polska powstała w grudniu 1921 roku z inicjatywy Miss Winifred Holt, która przybyła do Polski w celu zbadania stanu ociemniałych na wojennym terenie. „Latarnia” polska ogranicza się na razie do rejestracji ociemniałych, niesienia pomocy tym ofiarom wojny przez reedukację, pomoc materialną, udzielanie informacji i wskazówek.

Pierwszą jej czynnością było urządzenie gwiazdki dla ociemniałych żołnierzy w szpitalu przy ulicy Zakroczymskiej. Zamierzeniem „Latarni” polskiej jest spisanie wszystkich ociemniałych na wojnie polskich żołnierzy, wydobyć ich z ciemności, wyszkolenie w zawodach dla nich dostępnych, danie im możności zarobkowania, nauka czytania i pisanie według systemu Braille’a. W zakładzie reedukacyjnym, jaki ma powstać, urządzone będą dla ociemniałych odczyty, koncerty, dostarczy się im możności gimnastyki, pływania, sportów, jak ślizgawka, taniec, jazda, na rowerze, boksowanie się, jazda konno itd., co się praktykuje w Phare’ach francuskich i amerykańskich. Pensjonarze tamecznych instytucji dla ociemniałych mają swe zespoły muzyczne i zebrań towarzyskie z widzającymi. Dwa z Phare’ów francuskich już zwinęto, gdyż ociemniał, nauczony się zarabiać na życie, pożenił się i założył własne warsztaty pracy zarobkowej.

Miss Winifred Holt, zwiedzając polskie zakłady, spotkała dwu dzielnych oficerów ociemniałych na wojnie, zaprosiła ich do Phare w Paryżu w celu wyszkolenia się na przyszłych instruktorów „Latarni”. „Latarnia” z funduszków dotychczas zebranych umożliwiła im podróż, a misja francuska w Warszawie eskortowała tych dwu oficerów do Paryża, zdobywając sobie jeden więcej tytuł wdzięczności całego naszego narodu. Ci dwaj oficerowie, wyrwani z objęć wiecznego smutku, uczą się dziś wszelkich możliwych zajęć, odpowiednich dla niewidomych, by z czasem, powróciwszy do kraju, wyszkolić rodaków w zakładzie reedukacyjnym. Na stworzenie tej placówki potrzeba środków ogromnych, tysięcy i milionów, o które zwraca się „Latarnia” do całego społeczeństwa. Niech płyną zapisy i dary dla ociemniałych żołnierzy! „Latarnia” będzie organem wdzięczności rodaków dla tych, którzy najwyższy skarb człowieka i radość życia poświęcili dla umiłowanej ojczyzny.

Protektorat nad „Latarnią” objął łaskawie Naczelnik Państwa, honorowym prezesem komitetu jest generał Haller, członkami zarządu tymczasowego są pp. St. Staniszewski, księżna Eustachowa Sapieżyna, hrabina Róża Tyszkiewiczowa, Fr. Lilpopowa, dr Jarecki, dr Kępiński, dr Kamocki.

Siedziba tymczasowa „Latarni” mieści się przy ulicy Czackiego nr 9.

Stefan Żeromski

Powyższy tekst pierwotnie ukazał się jako odezwa do społeczeństwa w „Tygodniku Ilustrowanym” nr 16, 15 kwietnia 1922 r. W ślad za tym pismem opublikowały ją inne ówczesne dzienniki i tygodniki. Przedruk za: Stefan Żeromski – „Elegie i inne pisma literackie i społeczne”, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Warszawa-Kraków 1928. Poprawiono pisownię wedle obecnych reguł.



Korczak, jakiego znać nie chcemy

Jarosław Górski

ŻYCIE WIDZIANE PRZEZ ŚMIERĆ

Niestety, Rok Korczakowski ogłoszono w naszym kraju w związku z najmniej odpowiednią rocznicą. Bo oto śmierć Janusza Korczaka, oczywiście śmierć heroiczna, śmierć z miłości, śmierć będąca sprawdzianem idei, staje się nie tylko najważniejszym wydarzeniem z jego twórczego życia, ale także najważniejszym tego życia i tej twórczości przesłaniem. W tysiącach polskich szkół odbywają się, wymagane przez program i kuratoria, akademie i uroczyste lekcje pod takimi hasłami, jak „Wierność silniejsza niż śmierć”, „Miłość życiem płacą”, „Śmierć w imię dziecka”. Recytuje się wiersze o Korczaku, zawsze opowiadające o śmierci:

*Ukochał dzieci, które świat dorosłych obdarzył
chłodem, głodem i przekleństwem, co ciężko
przeszły swą króciutką drogę od urodzenia do
śmierci męczeńskiej.*

(Stefania Grodzieńska, „O Januszu Korczaku”)

*Idzie cień. Janusz Korczak, ten lekarz warszawski.
Prowadzi poprzez getto dzieci z sierocińca,
Dwoje ich wziął na ręce i wyszedł z dziedzińca.
Jak ten, co na Golgotę krzyż dźwigał mozolnie,
Idzie na miejsce kaźni. Idzie dobrowolnie.*

(Antoni Słonimski, „Pieśń o Januszu Korczaku”)

*Któryś zmyślał baśnie, sam stałeś się legendą,
Któryś oszukał dzieci, że śmierć je rychła nie
czeka,*

Tobie dobroć i męstwo śmiertelną koszulę przedą

I pamięć o Tobie wzbiera jak rozlewista rzeka.

*Idziesz z dziećmi i idziesz, idziesz bardzo daleko,
Tam, gdzie Giordano Bruno, tam, gdzie Ukrzyżowany*

(Włodzimierz Słobodnik, „Tren ku czci Janusza Korczaka”)

W latach 80. i 90. XX wieku, niejako przy okazji beatyfikacji i kanonizacji Edyty Stein, w niektórych środowiskach katolickich pojawił się postulat, aby beatyfikować także Korczaka. Postulat ten na szczęście nie doczekał się formalnej realizacji, jednak na naszych oczach spełnia się nieformalnie, ludowo. Oto polska, katolicka wyobraźnia zbiorowa anektuje niezwykle skomplikowaną i niejednoznaczną postać po to, aby przykrawać ją do bezpiecznego i oswojonego modelu świętego męczennika. W chrześcijańskiej martyrologii męczeńska śmierć ma tę zaletę, że z jednej strony może potwierdzać, a z drugiej – przekreślać uczynki i poglądy żyjącego świętego. W przypadku nawróconego łajdaka, niedowiarka czy poganina męczeńska śmierć będzie dowodem prawdziwości jego nawrócenia i unieważni wszystko, co miało miejsce przed nawróceniem. W przypadku postaci cnotliwej od narodzin, męczeńska śmierć będzie naturalną konsekwencją, ale także ostatecznym dowodem trwałości cnoty. W przypadku postaci skomplikowanych męczeńska śmierć będzie ich ostatecznym uproszczeniem, bo przecież nie powinno się szukać dziury w całym, a w życiu



©© Mitchio, <http://www.flickr.com/photos/chisquared/5125811054/>



©© Ed from Ohio, http://www.flickr.com/photos/ed_aisela/3756634554/

zwieńczonym męczeńską śmiercią niejasności, przesłań i momentów, nad którymi trzeba by się zbyt długo zastanawiać i konfrontować je z naszym wyobrażeniem o tym, co dobre, a co złe.

I tak oto w postaci Janusza Korczaka, człowieka, który kochał dzieci tak bardzo, że oddał za nie życie, ważne są zwłaszcza dwa elementy: miłość do dzieci i męczeńska śmierć. Co to znaczy kochać dziecko, to każdy, z wyjątkiem może psychopatów i skończonych cyników, jakoś sobie wyobraża, każdy też zdaje sobie sprawę z tego, że dzieci trzeba kochać, więc wszyscy mamy prawo widzieć w Korczaku patrona własnych wyobrażeń. Oczywiście wyobrażenia te wzmacniane są przez publikowane wielokrotnie fotografie Korczaka, ukazujące twarz zatroskaną i pełną miłości, może niepokoju o dzieci. Fotografie osób, bardziej niż dokumentalną, mają wartość testu projekcyjnego, można w nich ujrzeć to, co komu w duszy gra. Fotografie zmarłych mają także tę wartość, że są całkowicie statyczne, nie zmieniają się już, nie zaskoczą odbiorcy. A kiedy na podstawie tych zdjęć tworzy się pomniki, wtedy odbiór zastęga razem ze spiżem lub betonem, z których monumenty te ulano.

Nie chcę tych pomników obalać, nie chcę też bagatelizować bohaterskiej śmierci Korczaka. Chcę tylko napisać, że skupianie się na tym jedynym epizodzie z życia Korczaka służy często zasłonięciu pozostałych. Poglądy Korczaka – i te na wychowanie, i te dotyczące życia społecznego w ogóle – są wciąż na tyle rewolucyjne, na tyle sprzeczne z powszechnie

panującymi poglądami i przesadami wychowawczymi, z rodzinną i instytucjonalną praktyką wychowawczą, że nie chcemy się z nimi konfrontować, nie chcemy ich znać. Wpasowanie jednego z najciekawszych myślicieli i praktyków społecznych w odwieczny frazes o miłości aż po śmierć pozwala pozbyć się problemu z jego koncepcją i doświadczeniem¹. Pozwolę sobie przytoczyć tu anegdotkę. Kilka lat temu zostałem poproszony, aby opowiedzieć o Korczaku i Domu Sierot w małej warszawskiej podstawówce. Dzieci bardzo chętnie słuchały o pomysłach Starego Doktora, o tym ekstrawaganckim domu dziecka, o gazecie, którą tworzyły dzieci dla dzieci, o sądzie, który zazwyczaj wybacał, ale miał kompetencje osądzić, a nawet wyrzucić samego Korczaka; o zakładach ze złośnikami i o obieraniu kartofli. Pogadanka była więc udana, a gdy się skończyła, dzieci zaczęły zadawać pytania. Nie pamiętam wszystkich, ale w mojej głowie zachowało się szczególnie to ostatnie, które zadał chłopak może dziewięcioletni, taki, który wiercił się przez całe spotkanie i coś tam śmiesznego dogadywał sąsiadom:

– Proszę pana, a czy Korczak bił dzieci?

Sytuacja nieco niezręczna, ale wydawało mi się, że wybrnąłem:

– Był temu absolutnie przeciwny – mówiłem – bo uważał, że to okropne, że dorośli wykorzystują to, że są więksi od dzieci, aby siłą narzucać im własną wolę. Mówiłem wam już, że w Domu Sierot nie było kar, a kar fizycznych w szczególności. Ale Korczak,

choć dzieci świetnie rozumiał, chociaż bardzo starał się nad sobą panować, był nerwusem. Zdarzało się, że kiedy jakiś dzieciak zalał mu mocno za skórę, wytargał go za uszy, zlał po łapach, zdarzyło mu się jednego szczególnego łobuziaka chwycić za fraki i rzucić o drzwi. Korczak wstydył się tego. Jak się coś takiego zdarzyło, podawał sam siebie do sądu. Umiał przeprosić. Im był starszy, tym rzadziej mu się zdarzało. Sami wiecie najlepiej, jak dzieci potrafią wkurzyć, prawda? Zresztą, to były inne czasy, teraz już nawet największy nerwus wie...

Dzieci kiwały głowami ze zrozumieniem, one wiedziały. Ale dwie nauczycielki spoglądały na mnie takim wzrokiem, jakim pewnie patrzyła Meduza, gdy zamieniała ludzi w kamień. Jedna z nich ogłosiła koniec spotkania, a kiedy dzieci wyszły z sali, podeszła z pretensjami. Oskarżyła mnie nawet nie o przekazywanie treści nieodpowiednich dla dzieci, ale wprost o kłamstwo. Na nic były moje wyjaśnienia, na nic propozycje wspólnego przeczytania fragmentów „Jak kochać dziecko”, którego tekst miałem zresztą pod ręką. „Korczak kochał dzieci i nigdy, ale to przenigdy nie uderzył dziecka i nie ma potrzeby czytać czegośkolwiek, skoro wiadomo...”.



©©©Threthny, <http://www.flickr.com/photos/threthny/6741768031/>

Ach, muszę się teraz mocno wytłumaczyć, że choć podziwiam nie tylko myśl, twórczość i działanie, ale i samą postać Korczaka, a bicie dzieci uważam za barbarzyństwo, absolutnie nie napisałem tego, co powyżej, by Korczaka kompromitować, a tym bardziej jakkolwiek usprawiedliwiać czy relatywizować przemoc wobec dzieci. Korczak sam opisywał sytuacje, kiedy nerwy mu puszczały, ponieważ jego projekt wychowawczy był stworzony nie przez kamienny pomnik, nie przez statyczną fotografię i nie do pomników był adresowany. Korczak – neurotyk i choleryk, roztrzepany do granic możliwości, często humorzasty – pomimo tych cech podjął się pracy wychowawczej i kierował swoje pomysły do ludzi nie doskonalszych niż on sam. Wychowawców o stalowych nerwach nie ma (może byli w czasach, gdy nieznośnych wychowanków zsyłano na galerie albo do karnych kompanii), a tam, gdzie się od wychowawcy wymaga perfekcyjnego opanowania, tam w miejsce zabronionych zachowań wejdą takie, których się nie da zabronić, a które dla dzieci są nie mniej, a często nawet bardziej krzywdzące. **I właśnie dlatego – taki pogląd przebija z wszystkich prac Korczaka – dzieciom potrzebny jest nie tyle święty, co system, który biorąc pod uwagę naturę dziecka, weźmie w karby nie-doskonałego wychowawcę.** System, który zresztą życie – kluczowe pojęcie w poglądach Korczaka – będzie weryfikowało i zmuszało do zmiany.

WYCHOWANIE PRZEZ ŚMIERĆ

To właśnie opozycja *życie-śmierć* jest osią korczakowskiego rozumienia wychowania, a także jego rozumienia kwestii społecznych w ogóle. Wychowanie dotychczasowe, a więc przynajmniej, także to, którego doświadczają dzieci czasów nam współczesnych, w dużej mierze polega na zarażaniu dziecka śmiercią. Dziecko nie ma doświadczenia śmierci, mimo że czasami się z nią styka i wyobraża ją sobie (a szczególnie dotyczyło to przecież sierot, z którymi Korczak pracował), a życie, którego przeżyło tak mało, widzi jako niemal nieskończenie długie. W swojej wyobraźni jest więc nieśmiertelne, a może lepiej powiedzieć, wyłącznie żywe, bo kategorią śmierci się po prostu nie posługuje. Żyje instynktownie i życia nie trzeba go uczyć. Dorosły nie tylko zdaje sobie sprawę z kruchości i ulotności życia, nie tylko przeżył już tyle, że wie, iż wcale tak wiele mu nie zostało, a więc życie wcale nie jest długie. Dorosły wręcz myśli o życiu w perspektywie śmierci, poświęcając większość czasu, energii, troski na jej odwołanie, odsunięcie nieco w czasie, zapobieżenie, o ile to tylko możliwe, jej nagłemu czy nierychłemu, ale i nieuchronnemu zjawieniu się. W pewnym momencie zabiegi mające na celu odsunięcie śmierci są już tak intensywne, że w ogóle całe życie zaczyna być postrzegane w tym kontekście.



©©© sean drelinger, <http://www.flickr.com/photos/seandrellinger/4336270613/>

Śmiercią zaraża dziecko taki rodzic, którego miłość i troska nieustannie podsuwają wyobrażenie, że dziecko może zginąć, że może stać mu się krzywda. Zarażają dziecko instytucje wychowawcze – przedszkole, szkoła, dom dziecka – w których najważniejszym kryterium działania jest uchronienie dziecka przed fizyczną szkodą, zapobieżenie wszelkim możliwym wypadkom. Zaraża śmiercią powszechne wyobrażenie o tym, że jeśli dziecku coś się stanie, jeśli poniesie ono jakikolwiek uszczerbek na zdrowiu, zawsze winny jest jego opiekun. Wychowawca największą odpowiedzialność – prawną i moralną – ponosi za zapewnienie dziecku fizycznego bezpieczeństwa i wszystkie inne swoje zadania może postrzegać jako drugorzędne. **Czy rodzic, czy instytucjonalny wychowawca, będzie więc przede wszystkim zainteresowany tym, aby wpoić w dziecko obawę przed jakimkolwiek zachowaniem niosącym ryzyko fizycznej śmierci lub krzywdy. A że to właśnie wszelkie przejawy życia niosą największe ryzyko śmierci, staramy się, by dziecko żyło jak najmniej: nie biło się, nie biegało, nie brało do ust niczego, co nie zostało zweryfikowane przez wychowawcę, siedziało cicho i spokojnie w widocznym miejscu, aby się nie przewiało, nie zakrztusiło, nie przewróciło, nie zgubiło, aby nie zostało porwane, zgwałcone, zamordowane. To, że dziecko, którego życie jest przytłumione, cierpi, że – tak jak kwiat, któremu odebrano dostęp do słońca – nie ma**

szans na prawidłowy rozwój, nie interesuje nas wcale, skoro nasze zarażone śmiercią sumienie jest spokojne.

Korczak to cierpienie dostrzegł i oburzyło go ono wcale nie mniej niż cierpienie dziecka, któremu w ogóle odmawia się opieki, które się głodzi, zmusza do pracy ponad możliwości, wykorzystuje seksualnie czy krzywdzi fizyczną przemocą. To cierpienie tym większe, że sprawcy motywują je własną troską, miłością, poświęceniem, a więc pobudkami tak wzniosłymi i szlachetnymi, że zbuntować się przeciw niemu, choćby tylko w głębi serca, wydaje się dziecku niegodziwością. Wychowawca, który chce z dzieckiem żyć, a nie zarażać je śmiercią, powinien najpierw umieć to cierpienie dostrzec, a później uznać, że śmierć jest nieodłączną częścią i konsekwencją życia. Że dziecko powierzone jego opiece może zostać kaleką czy nawet umrzeć. Aby dać dziecku prawo do życia, należy dać mu prawo do śmierci. I właśnie prawo do śmierci Korczak uznał za pierwsze, najważniejsze z projektowanych praw dziecka². Niech ma prawo umrzeć, aby mogło żyć. A wychowawca, aby pozwoił dziecku żyć, musi mieć, musi umieć dać sobie prawo do pomyłki, do tego, aby dziecko powierzone jego opiece umarło.

PRACA I ŚMIERĆ

Człowiek dorosły pracuje najczęściej nie po to, aby realizować potrzebę twórczości, ekspresji,

kontaktu ze światem i innymi ludźmi. Pracuje po to, żeby zarobić na jedzenie, dach nad głową, ubrania, lekarstwa, które dopiero pozwolą mu żyć i odsunąć nieco śmierć.

O tych jedzeniu, dachu nad głową, ubraniach czy lekarstwach rzadko myśli jako o czymś, co przynosi mu beztrudną radość, ale najczęściej jako o uciążliwej konieczności, dzięki której może odsunąć śmierć lub zapobiec społecznej degradacji. Pracuje, żeby odłożyć coś na starość, żeby uniknąć poniżenia umierania w nędzy i poniewierce. Pracuje, aby zyskać wyższy społeczny status, który pozwoli mu przestać pracować lub zmienić pracę na mniej upokarzającą, co ma też ten efekt, że sama praca jest przez niego postrzegana jako nużąca, podła konieczność, sama w sobie nie będąca życiem, choć życie to warunkująca³.

Istotny jest tu również fakt, że klasy postrzegane jako wyższe, a więc te, które zawłaszczyły nie tylko bogactwo i władzę, ale także narzuciły niższym klasom swoje poczucia estetyki, godności i honoru, albo nie pracują, albo wykonywane przez siebie zajęcia przedstawiają jako lepsze, piękniejsze, bardziej godne. W końcu więc dorosły całą swoją pracę, całą społecznie pożyteczną aktywność życiową zaczyna postrzegać przez pryzmat śmierci, każdą pracę postrzega jako poniżającą i wysysającą życiowe siły. Jedyną wypracowaną przez wieki kategorią pozwalającą człowiekowi pracującemu zachować nieco godności jest poświęcenie. **Człowiek, wykonując zajęcia ciężkie, wyniszczające, zabierające życie i postrzegane jako niegodne, może poczuć się lepiej, jeśli wyjaśni sobie ich konieczność nie własnym dobrem, lecz dobrem bliskich, zwłaszcza dzieci, czy w ogóle innych ludzi. Tym samym jednak przerzuca własne upokorzenie na tych, wobec których się poświęca, obarczając ich odpowiedzialnością za własne cierpienie, nawet jeśli znoszone dzielnie.** Mówi o tym narrator utopijnej powieści „Szkoła życia”, będącej artystycznym wykładem poglądów samego młodego Korczaka: *Mus, przyzwyczajenie czy „stępienie” – wreszcie poświęcenie – niewoliły ludzi do wykonywania czynności, które przesąd i nieświadomość uważały za poniżające i niegodne człowieka*⁴.

Takim, skażonym śmiercią, postrzeganiem pracy dorośli usiłują na wiele sposobów zarazić dzieci.

Jedni – to jest przykład zarażania śmiercią najmniej skomplikowany, choć najbardziej nas dziś oburzający – wykorzystują władzę nad dziećmi, aby je do pracy przymusić, jej efekty po prostu złupić i zaprząć do własnych celów, choć często tak czy inaczej uświęconych. Każą więc dzieciom – czy to z czystego cynizmu i łajdactwa, czy dla dobra rodziny albo instytucji opiekuńczej lub wychowawczej – pracować zarobkowo, przy czym zagarniają owoce

tej pracy według własnego uznania, uważając, że dziecko jest na tyle dorosłe, aby pracować, ale nie na tyle, by decydować, na co spożytkuje owoce swej pracy.

Mamy tu do czynienia z niewolnictwem sensu stricto, i to nawet gdy wiejski dzieciak zaganiany jest przez ojca do pasania rodzinnych gęsi, miejski syn rzemieślnika do pomocy przy pilnej robocie, a córka do cerowania. Nie mówiąc już o takich przypadkach, o których nawet w Europie do dzisiaj się słyszy – przypomnijmy choćby niedawne doniesienia o prowadzonych przez Kościół sierocińcach w Irlandii – gdy domy dziecka lub ich personel utrzymują się z pracy podopiecznych. A gdy spojrzymy poza nasz kontynent, to zobaczymy szanowane korporacje, w których fabrykach zatrudnia się dzieci za głodowe wynagrodzenie. Jak pisał Korczak: *Praca dziecka ubogiego jest utylitarna, nie wychowawcza, nie liczy się z jego siłami ani cechami indywidualnymi*⁵. Dziecko w takich przypadkach wykonuje pracę niechcianą, przymuszoną, z której efektów jest okradane i której głębszego sensu nie rozumie. Uczy się więc pracy martwej, może nawet nie zdawać sobie sprawy, że mogłaby ona dawać radość.

Inni – zwłaszcza rodzice zamożni, ale także, i to wcale nierzadko, instytucje oświatowe, wychowawcze i opiekuńcze – izolują dzieci od pracy. Opiekunowie, dla których własna praca jest koszmarem, daniną złożoną śmierci przez życie, są przekonani, że praca jako taka jest czymś podobnym. Chcą więc jak najdłużej chronić podopiecznych przed tak strasznym doświadczeniem, przekonani, że szczęśliwe dzieciństwo zapewnią tylko trzymając dziecko jak najdalej od wysiłku i obowiązku, tudzież aplikując wysiłek i obowiązek, ale wyłącznie „rozwojowy”, a więc taki, który będzie procentować w dalekiej przyszłości, gdy dziecko już dorośnie (najróżniejsze szkoły, kursy i lekcje). Przychodzą im w sukurs różne ideologie wychowawcze, a także gotowe przekonania (jak Korczak konsekwentnie je nazywa: przesady) klas wyższych, przenikające także do klas niższych, że dziecko powinno się bawić i uczyć, że taka właśnie aktywność jest zgodna z dziecięcą naturą i służy rozwojowi, a pracować, tym bardziej zarobkowo, nie powinno w żadnym wypadku. **Kochający opiekunowie dbają zwłaszcza o to, aby dzieci im powierzone nie miały najmniejszego kontaktu z pracą uważaną za poniżającą, brudną, wstrętną, a więc taką, jaką zazwyczaj wykonują ludzie z klas najuboższych. W ten sposób dziecku tym bardziej narzuca się przekonanie, że pracy powinno się wystrzegać za wszelką cenę, a jeśli już życie je do niej zmusi, to będzie to poniżające. Że pracując nie żyje się, a co najwyżej zarabia na życie, na odwleczenie w czasie śmierci.**

Jeśli wychowawca – wszystko jedno: rodzic czy pracownik stosownej instytucji – izoluje dziecko od pracy, twierdząc, że chce mu zapewnić lepsze lub dłuższe dzieciństwo, podarować szczęście, którego samemu nie było mu dane doświadczyć, dać czas i możliwości nieskrępowanej zabawy itp., wtedy zaraża dziecko śmiercią, którą sam został kiedyś zarażony. Czyni dziecku krzywdę wcale nie mniejszą niż łajdak, który dla własnej korzyści zmusza dzieci do pracy ponad ich siły i możliwości. A w dodatku ma dla tej krzywdy mnóstwo usprawiedliwień, oczekuje wręcz za nią wdzięczności i od samego dziecka, i od społeczeństwa. Niejednokrotnie Korczak pisze o dzieciach, których potrzeba pracy była przez dorosłych tłumiona i które przez to więdły jak kwiaty, kiedy się im odbierze dostęp do słońca i wody. Janek, bohater „Dziecka salonu”, w tym właśnie widzi przyczynę swoich niedających się opanować neurastenii i smutku, które z koszmarnego, sytego dzieciństwa przenoszą go w pozbawioną celów dorosłość. Król Maciuś I z zazdrością patrzy na gazeciarzy i pomocników rzemieślniczych – swoich rówieśników, którym wolno w biegu i z urzaskiem zarabiać na chleb.

PRACA JAKO ŻYCIE

A przecież praca, czynność – to synonim życia – życia zdrowego, normalnego, jędrnego⁶ – pisze Korczak i konsekwentnie w swoich tekstach utożsamia pracę z życiem. **Praca jest życiem, naturalnym i błogosławionym stanem ludzkiej aktywności, dającym człowiekowi radość, możliwość nie tylko podporządkowywania sobie świata przyrody (jak postrzegał ją np. mentor młodego Korczaka, Stanisław Brzozowski), ale także poczucia się częścią tego świata. Korczak uważa, że to właśnie praca powinna być i środkiem, i celem wychowania, tak jak środkiem i celem wychowania powinno być życie. Oczywiście nie taka praca, której owoce ktoś – czy to rodzinny, czy instytucjonalny wychowawca, a później feudał, kapitalista, państwo – przechwyci i wykorzysta według własnej woli. Oczywiście również nie taka praca, która będzie służyła podporządkowaniu sobie innych ludzi i ich życiowej aktywności.**

Wychowuje się dziecko przez pracę i dla pracy, czyli przez życie i dla życia. I tym właśnie różni się najgłębsza, aksjologiczna podstawa korczakowskiego systemu wychowania od podstaw systemów współczesnych mu reformatorów pedagogiki, takich jak Georg Kerschensteiner, John Dewey, Maria Montessori czy Anton Makarenko. Korczak – inaczej niż oni – uważa, że wychowuje się nie dla państwa, nie dla pracodawcy czy rynku, nie dla społeczeństwa, nie dla zbauwienia, ale po prostu dla życia. Owszem,



© nit6ss, <http://www.flickr.com/photos/53771866@N05/5683109467/in/photostream/>

z takiego wychowania państwo czy społeczeństwo (a może i Niebiosa) mogą odnieść korzyści, ale nie jako przy okazji. To właśnie życie, każde inne, każde odmienne, jest celem samym w sobie. Wychowanie to nie tylko przygotowywanie do życia, ale właśnie życie, i nie da się lepiej człowieka do życia wychować, niż po prostu żyjąc z nim i pozwalając mu żyć.

Według Korczaka wcale nie jest tak, że życie dziecka realizuje się przede wszystkim w bezcelowej i beztroskiej zabawie. *Zabawa jest nie tyle żywiołem dziecka, ile jedyną dziedziną, gdzie mu zezwalamy na inicjatywę w węższym lub szerszym zakresie. W zabawie dziecko czuje się do pewnego stopnia niezależnym. Wszystko inne jest przelotną łaską, chwilową koncesją, do zabawy dziecko ma prawo. [...] Kijek nie jest dla dziecka koniem, ono w braku prawdziwego musi pogodzić się z drewnianym. Jeśli na przewróconym krześle płyną po pokoju, to nie jest to przejażdżka łódką po stawie⁷. To nieprawda, że dziecko nie lubi pracy. Liczne zabawy dzieci są pracą. Jeśli we czworo budują szalęs, kopią skrawkiem blachy, szkłem, gwoździem, wbijają kołki, wiążą, pokrywają dachem z gałęzi, mchem wyścielając, pracując na przemian z wysiłkiem i milcząco, to ospale, ale projektując ulepszenia, rozwijając dalsze plany, dzieląc się wynikami zdobytych spostrzeżeń – to nie zabawa, a nieumiejętna*

praca niedoskonałymi narzędziami, niedostatecznym materiałem, więc mało owocna, ale zorganizowana tak, że każde, zależnie od wieku, sił, kompetencji, wkłada tyle wysiłku, na ile je stać⁸.

Tym bardziej dzieci lubią pracę celową, taką, która przynosi widoczne efekty. Czyli dzieci nie różnią się tu specjalnie od dorosłych, poza tym, że żyjąc krótko, mają inną perspektywę tego, kiedy praca przynosi efekty. Dorosły może czekać na efekt swojej pracy kilka lat, dziecko porzuci aktywność, gdy zorientuje się, że nie jest w stanie ogarnąć wyobrażoną czas potrzebny na uzyskanie owoców, przez co straci poczucie jej sensowności. Ale jeśli tylko będzie mogło sobie wyobrazić, że praca osiągnie cel, powróci do niej z zapalem. Oczywiście dzieci, tak jak i dorośli, mają w zwyczaju migać się od niechcianego obowiązku, unikać zmęczenia czy znużenia, oszukiwać przy pracy, spychać niechcianą robotę na innych itp. Ale nie można przyjmować, że jest to skłonność wyłącznie dziecięca i z tego powodu dzieciom pracy szczędzić.

Wychowawca nie powinien obawiać się także dziecięcych łez i fochów służących wyłganiu się od obowiązku niechcianego w danym momencie. System korczakowski w żadnym wypadku nie był wolny od przymusu, tak jak i życie człowiekowi przymusu nie szczędzi. Dzieci powinny znać pojęcie przykrego obowiązku, oczywiście niektórych obowiązkowych prac nie znoszą, i to należy uszanować, choć nie ulegać. Należy za to starać się je przekonać, że nie ma obowiązku upokarzającego czy poniżającego. Mycie klozetu po maluchu, który jeszcze nie potrafi sam tego zrobić, czy pilnowanie, aby dokładnie się podtarł, to tak samo szczytne czynności, jak dające poczucie satysfakcji pilnowanie, aby po załatwieniu się dokładnie umył ręce. Są pracą szczytną i przede wszystkim celową, bo jej efekt może dziecko zauważyć od razu lub bardzo szybko: a więc w zrozumiałej dla siebie perspektywie.

WYCHOWANIE PRZEZ PRACĘ I DLA PRACY, PRZEZ ŻYCIE I DLA ŻYCIA

I właśnie taka praca obecna była w praktyce instytucji wychowawczych Korczaka: na koloniach, w Domu Sierot i w Naszym Domu. W każdym momencie podkreślano oraz pozwalano dzieciom doświadczyć użyteczności i celowości ich pracy. Dzieci wykonywały wszystkie te działania, które nie wymagały umiejętności bardzo fachowych, takich, na których nauczanie się potrzeba czasu przekraczającego możliwości dziecka. Dorośli fachowcy naprawiali więc instalację elektryczną czy hydrauliczną, ale to dzieci wymieniały przepalone żarówki lub przygotowywały kolegom kąpiel. Zdiagnozowanie i opatrzenie bolącego ucha wymagało interwencji dorosłego lekarza, ale dziecięce kompetencje były wystarczające do obcinania kolegom paznokci lub

przeглядania, czy w ich włosach nie zagnieździły się wszy. Dorosła, doświadczona kucharka przyrządzała smaczne potrawy, ale dzieciom wystarczyło uprawy i umiejętności do obierania ziemniaków, przynoszenia wody i węgla, zmywania po śniadaniu czy obiedzie. I co więcej: umiejętności tych doświadczonych wychowankowie uczyli nowych, nadzór nad pracą dzieci także powierzony był dzieciom, a dorośli starali się, o ile to tylko możliwe, nie ingerować w konsekwencje zaniedbań lub złej pracy dziecięcych pracowników. Jeśli dyżurni, którym powierzono obranie kosza ziemniaków, po obraniu kilkudziesięciu porzucili obowiązek, wtenczas wszyscy – dzieci i wychowawcy – jedli rzadką zupę. Jak najmniej ingerowano także – to bardzo istotne – w sposób wykonania pracy. Praca miała być zrobiona na czas, a jeśli ktoś poradził sobie z nią szybciej, było jego sprawą, czy pomoże mniej sprawnym kolegom, czy będzie się objął.

Praca dzieci na rzecz Domu Sierot była w dużej mierze płatna⁹, a honoraria za jej wykonanie młodzi pracownicy mogli wykorzystać zgodnie ze swoją wolą. Tak wyjaśniał to sam Korczak: *Jakkolwiek w Domu Sierot tylko część dyżurów jest płatna, jestem zdania, że wszystkie powinny być płatne. Chcąc wytworzyć dobrych obywateli, nie mamy potrzeby tworzyć idealistów. Dom Sierot nie robi łaski, opiekując się dziećmi, które nie mają rodziców, a zastępując w materialnej opiece zmarłych rodziców, nie ma prawa nic żądać od dzieci. Dlaczego nie mamy możliwie wcześniej nauczyć dziecka, czym jest pieniądź, wynagrodzenie za pracę; aby czuło wartość niezależności, którą daje zarobek; aby poznało dobre i złe strony posiadania. Nie wychowa żaden wychowawca stu ideowców ze stu dzieci, samorodnie wyłoni się ich kilkoro, a biada im, jeśli nie będą umiały liczyć. Bo pieniądź daje wszystko prócz szczęścia; daje nawet szczęście i rozum, i zdrowie, i moralność. Naucz dziecko, że daje i nieszczęście, i chorobę, że rozum odbiera. Niech za zarobione pieniądze naje się lodów i niech je brzuch rozboli; niech przez dziesiątkę pokłóci się z przyjacielem; niech przegra, zgubi, niech mu ukradną; niech i pożąda, że kupił, niech połakomi się na dochodowy dyżur i przekona, że nie było warto, niech zapłaci za wyrządzoną szkodę¹⁰.*

Wychowankowie Domu Sierot – dziesięcio-, dwunastolatki – pracowali często także na zewnątrz: jako gazeciarze (praca gazeciarza fascynowała Korczaka jako jakby stworzona dla dziecka: dużo gania, krzyku, ale odpocząć można, kiedy się chce, a nie kiedy każą, im więcej się robi, tym więcej zarobi, efekt w postaci monety widoczny natychmiast), u rzemieślników, pomagając w handlu itp. Byli wśród nich i takie, które swoim zarobkiem znacząco pomagały rodzinie, ale był to ich własny

wyбір. Każdy człowiek, niezależnie od wieku, ma prawo rozporządzać swoim zarobkiem. Skoro może pracować, może wydawać, choćby i głupio. Ale zawsze lepiej, jeśli dziecko (i w ogóle człowiek) pieniądze zarobi, niżby miało, np. wykorzystując swoją umiejętność manipulowania uczuciami opiekunów, zagarnąć je i stać się małym wyzyskiwaczem. Bo powtórzmy: praca i zdobywanie środków do życia są życiem samym w sobie, a wszelkie próby chronienia dziecka przed życiem wynikają z dorosłego zarażenia śmiercią.

DAJMY IM ŻYCIE

Dziś nie chcemy pamiętać, że nożyk do obierania ziemniaków, ścierka i szczotka do klozetu były nie mniej istotnymi emblematami korczakowskiego systemu wychowawczego niż sąd, gazeta czy pełna zrozumienia rozmowa z wychowawcą. Że potłuczone kolana, rozbite nosy i blizny na buziach mogły być świadectwem nie złego, ale dobrego wykonywania obowiązków przez wychowawcę. Że były świadectwem *życia*, czyli – to może warto powtórzyć – jedynego korczakowskiego środka i celu wychowania.

Wyobrażamy sobie Korczaka jako zawsze otoczonego gromadką dzieciaków (jak na jego znanych fotografiach), które zawsze do niego lgnęły, mimo że on sam, z konsekwencją godną zauważenia, pisał o takich, które go nie znosiły, które odliczały dni dzielące je od opuszczenia Domu Sierot. Może warto o tym przypominać? **Nie po to, aby Korczaka zrzucić z pomnika, nie po to przecież, żeby dowodzić, że był złym wychowawcą. Ale właśnie po to, aby podkreślić, że dzisiejszy powszechny wizerunek Starego Doktora nie ma nic wspólnego z jego życiem (ani w ogóle z *życiem*), działaniem, systemem wychowawczym.** Wielu jest nauczycieli, którzy chcieliby Korczaka – tego współczesnego świętego – naśladować, a że nie wiedzą jak, idą za wyobrażeniem mężczyzny o szlachetnej, zatroskanej twarzy, do którego dzieci się garną. I tę swoją szlachetność, wyraz zatroskania na twarzy, to garnięcie się dzieci biorą za sprawdzian własnych pedagogicznych kwalifikacji. Może nawet rozważają w wyobraźni, czy w sytuacji ostatecznej dokonaliby korczakowskiego wyboru.

Ale czemu to służy? Jak wielokrotnie pisał sam Korczak, wyrazy miłości i wdzięczności dzieci można kupić za fałszywą monetę, oszukując w ten sposób i je, i siebie samego. *Przystroiliśmy dzieci w uniform dziecięctwa i wierzymy, że nas kochają, szanują, ufają, że są niewinne, łatwowierne, wdzięczne. Gramy bez zarzutu rolę bezinteresownych opiekunów, rozrzewniamy się myślą o ponoszonych ofiarach i, rzecz można, dobrze*

*nam z nimi do czasu*¹¹. Zatroskanie i miłość do dzieci mogą być objawami zarażenia śmiercią. A rozważanie tego, jak zachowalibyśmy się w sytuacji, w której moglibyśmy się znaleźć, ale się nie znaleźliśmy, nie ma chyba większego sensu.

A może właśnie warto by zapomnieć choć na chwilę o świętym Starym Doktorze, który zginął męczeńską śmiercią, zerknąć w przyżółcone książki Janusza Korczaka i zastanowić się nad tym, jak dzisiejszym dzieciom oszczędzić zarażenia śmiercią. Jak dzisiejszym dzieciom, dzisiejszym wychowawcom, dzisiejszym ludziom – pozwolić żyć.

Jarosław Górski

Przypisy:

1. Ciekawe jest to, że z okazji Roku Korczakowskiego kilka polskich wydawnictw zdecydowało się wznowić książki Korczaka dla dzieci, wydana została świetna biografia Joanny Olczak-Ronikier oraz kilka biografii popularnych i książek wspomnieniowych, ale „Jak kochać dziecko” wydano ostatnio w niewielkim nakładzie 10 lat temu. Rynek się nasycił.
2. Wzywam o magna charta libertatis, o prawa dziecka. Może jest ich więcej, ja odszukałem trzy zasadnicze: *Prawo dziecka do śmierci*. *Prawo dziecka do dnia dzisiejszego*. *Prawo dziecka, by było tym, czym jest* (Janusz Korczak, *Jak kochać dziecko* [w:] tegoż, *Dzieła*, t. 7, Warszawa 1993, s. 43).
3. Widzimy tu wyraźne echo poglądów Marksa i jego koncepcji alienacji pracy. Korczak jednak widzi objawy tej alienacji nie tak jak Marks najsilniej w pracy robotników najemnych, dla których praca jest obca również dlatego, że nie jest ich własnością, ale w równym stopniu także np. w pracy rzemieślników i handlowców utrzymujących się z pracy własnej, czy członków elit, którzy muszą pracować, aby utrzymać status, bo oni, choć pracują dla siebie, również są niewolnikami pracy, ponieważ oddają jej swoje życie, pracują, aby żyć, a nie pracują – żyjąc.
4. Janusz Korczak, *Szkola życia* [w:] tegoż, *Dzieła*, t. 4, Warszawa 1998, s. 65.
5. Janusz Korczak, *Jak kochać dziecko* [w:] tegoż, *Dzieła*, t. 7, Warszawa 1993, s. 84.
6. *Szkola życia*, s. 33.
7. *Jak kochać dziecko*, ss. 83–84.
8. Tamże, ss. 84–85.
9. W różnych czasach było z tym różnie, w zależności od tego, jakimi środkami dysponowało Towarzystwo „Pomoc dla sierot”. Nie jest celem niniejszego artykułu historyczna rekonstrukcja zmieniających się warunków Domu Sierot (ciekawym można polecić książkę Idy Merżan *Aby nie uległo zapomnieniu. Rzecz o Domu Sierot*, Warszawa 1987. Sporo o tym pisze też sam Korczak w *Jak kochać dziecko*, a cytowane wydanie tej książki zawiera obszernie przypisy i wyjaśnienia), lecz wskazanie na korczakowskie utożsamienie pracy i życia oraz na doniosłe znaczenie pracy w poglądach pedagogicznych Korczaka.
10. Tamże, s. 289.
11. Tamże, ss. 92–93.

Myśl i sumienie Partii

Kamil Piskala

Wieloletni redaktor „Robotnika”, współtwórca programowego oblicza Polskiej Partii Socjalistycznej, znakomity publicysta i przez wiele lat jeden z przywódców partii. Mimo tak bogatego politycznego życiorysu, Res – bo tak brzmiał jego najpopularniejszy pseudonim – jest postacią zupełnie zapomnianą, znaną bliżej jedynie zawodowym historykom. Tymczasem wiele słuszności jest w słowach jego wieloletniego współpracownika, Jana Libkinda: *Nie tylko więc historia socjalizmu w Polsce, lecz i historia ruchu niepodległościowego, a nawet myśli politycznej polskiej w końcu ubiegłego i na początku bieżącego stulecia nie może być dobrze zrozumiana bez dokładnego poznania działalności Feliksa Perla*. Przyjrzyjmy się wobec tego bliżej losom i ideowej sylwetce tego, którego przez wiele lat polscy socjaliści z szacunkiem nazywali myślą i sumieniem partii.

Feliks Rafał Perl przyszedł na świat 26 kwietnia 1871 r. Pochodził ze zasymilowanej żydowskiej rodziny warszawskich kupców. Jego ojciec wziął czynny udział w powstaniu styczniowym, za co zresztą spędził jakiś czas w więzieniu. Wszystko to nie było bez znaczenia. Finansowe wsparcie, na jakie mógł liczyć ze strony rodziców, niejednokrotnie pozwalało rewolucjonście przetrwać „chude” miesiące. Pod wpływem atmosfery rodzinnego domu Perl nabrał także głębokiego przywiązania do kultury polskiej.

Droga asymilacji, poparta lekturami ówczesnych prac marksistowskich myślicieli na ten temat, określiła poglądy Perla na kwestię żydowską. W jego opinii, Żydzi nie stanowili narodu w nowoczesnym znaczeniu tego słowa. Nie tylko nie posiadali odrębnego, wydzielonego terytorium, będącego miejscem osiedlenia większości członków narodowości, ale nie stanowili także

wspólnoty pod względem kulturalnym. Nie mogła ona powstać, bowiem język jidysz, zdaniem Perla, nie nadawał się do spełnienia kulturotwórczej roli. Z kolei odrębność rasowo-wyznaniowa oraz specyficzna struktura społeczna czyniły z Żydów kastę, będącą reliktem średniowiecza. Żydzi to, jego zdaniem, *mgławica, pełna wewnętrznych sprzeczności, z którą praktycznie dziś nic zrobić się nie da*.

Konsekwencją tych dość kontrowersyjnych poglądów była formułowana przez Perla alternatywa stojąca przed ludnością żydowską – albo asymilacja, albo dalsze odgradzanie się od świata murem dobrowolnego *getta* i konserwowanie *kastowości*. **Występował przeciwko aktom antysemityzmu, ale w wielu artykułach bardzo nieprzychylnie traktował ortodoksyjnych Żydów. Tradycyjna społeczność żydowska stanowiła dla niego synonim ciemnoty, zacofania i gospodarczego anachronizmu. Ostateczna emancypacja i całkowite zniesienie antysemityzmu nastąpić miały, zdaniem Perla, wraz ze zwycięstwem idei społecznej sprawiedliwości – socjalizmu.**

Jego droga do ruchu socjalistycznego była bardzo podobna do tej, którą pokonali inni członkowie „pokolenia niepokornych”. Jako uczeń gimnazjum został członkiem tajnych kółek samokształceniowych, których zadaniem było uzupełnienie – okrojonego i nastawionego na rusyfikację – oficjalnego programu szkolnego. Oprócz historii walk narodowowyzwoleńczych i dziejów polskiego romantyzmu zapoznawano się wówczas także z bieżącą publicystyką polityczną, pracami z zakresu socjologii, ekonomii, filozofii. Wtedy właśnie nastoletni Perl po raz pierwszy zetknął się z marksizmem.



W 1888 r. rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Szybko włączył się w życie polityczne środowiska studenckiego. Został członkiem tzw. marksówki – nielegalnego koła zrzeszającego studentów-marksistów – a także II Proletariatu. W tej ostatniej organizacji Perl uchodził za radykała – był zwolennikiem stosowania metod terrorystycznych, a centralny punkt jego światopoglądu stanowiła idea rewolucji społecznej, znoszącej wszelki ucisk i wyzysk; kwestia walki o niepodległość Polski nie poruszała wówczas umysłów młodych rewolucjonistów.

W maju 1892 r., zagrożony aresztowaniem, musiał opuścić Królestwo. Na emigracji, najpierw w Zurychu, a później w Berlinie i Paryżu, przystąpił do rewizji swego światopoglądu. Po latach wspominał: *Byłem gorliwym zwolennikiem ówczesnej partii socjalno-rewolucyjnej „Proletariat”, zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że świetne dni „Proletariatu” bezpowrotnie minęły i trzeba czegoś nowego w ruchu. Nie bez oporu jednak przyjąłem nowy program, którego głównym rzecznikiem był S. Mendelson. Rychno więc, zastanawiając się dokładniej, szczególnie pod wpływem przyjaciela, B. A. Jędrzejowskiego, przekonałem się, iż hasło „rewolucji socjalnej” nie może zastąpić programu politycznego, a żywotny program polityczny musi się oprzeć na walce z najeźdźcą i uwzględnić należycie sprawę polską.*

Tym przełomem w ruchu socjalistycznym, którego potrzebę odczuwali ówczesni działacze, był Zjazd Paryski, rozpoczęty 17 listopada 1892 r. W obradach wzięli udział przywódcy różnych grup i nurtów polskiego ruchu socjalistycznego, a jego celem było wypracowanie platformy programowej dla jednolitej partii socjalistycznej, która obejmie wpływami wszystkie

najważniejsze ośrodki Królestwa. Tak powstała Polska Partia Socjalistyczna i jej program socjalizmu niepodległościowego.

W dyskusjach nad programem paryskim Perl, mimo stosunkowo niewielkiego stażu w II Proletariacie, odegrał rolę bardzo znaczącą. **Stał na stanowisku, że pierwszym zadaniem socjalistów powinna być walka o odbudowę niepodległej Polski i nadanie jej demokratycznego charakteru. We własnym państwie, korzystając ze swobód politycznych i wolności agitacji, polski proletariat miał już walczyć o realizację ideału socjalistycznego.** Odpowiadając na zarzuty części dyskutantów, że realniejsza jest wewnętrzna demokratyzacja Rosji, którą należy traktować jako etap na drodze do niepodległości, mówił: *W Rosji [tak] trudno zdobyć minimum swobód, jak niepodległość. Wszystko w Rosji musi być zdobyte drogą rewolucyjną. A skoro tak, po co mówić o etapach rozwoju i ustępstwach. Nie rozumiem także liczenia na jakieś kombinacje polityczne, musimy iść wprost do celu i w Rosji, ponieważ wszystko się zdobywa rewolucją, a więc możemy osiągnąć swój cel w rewolucyjnym agitowaniu.* Podobny pogląd podzielała większość delegatów – w programie nowej partii w sposób organiczny spleciona została idea walki o niepodległość z pracą na rzecz realizacji ustroju socjalistycznego. Na straży czyściwości tych zasad w PPS przez wiele lat stał właśnie ich orędownik na paryskim zjeździe, czyli Feliks Perl.

Należał on do tych, którym, żeby użyć sformułowania K. Pietkiewicza, *Marks już nie wystarczał, niezbędny był Limanowski.* Perl traktował patriotyzm jako naturalne i uzasadnione uczucie miłości do ojczyzny. To nie tylko sentymentalne przywiązanie do „ziemi ojców”, ale również poczucie łączności z całą kulturą narodową oraz

wspólnoty z przedstawicielami tej samej narodowości. Celem socjalistów nie może być więc negowanie naturalnego uczucia, ale raczej praca na rzecz nadania kulturze narodowej możliwie demokratycznego i ludowego charakteru. W warunkach ucisku narodowościowego, patriotyzm, zdaniem Perla, jest bardziej żarliwy, a przez to łatwiej o polityczną mobilizację opartą na uczuciu przywiązania do ojczyzny. Jednak nie był to jedyny powód, dla którego postulował wprowadzenie hasła odbudowy niepodległej Polski do programu PPS.

Postulat niepodległości uzasadniał dwoma wzajemnie powiązаныmi argumentami. Pierwszy odwoływał się do „naturalnego” prawa do samostanowienia 20-milionowego narodu o bogatej kulturze i kilkusetletniej tradycji państwowej. Drugi argument bezpośrednio odwoływał się zaś do interesów ruchu socjalistycznego. Odbudowa niepodległej Polski musiała oznaczać wyrwanie części ziem spod władzy cara rosyjskiego – najbardziej reakcyjnego monarchy ówczesnej Europy. Ponadto, niepodległa Polska (Perl myślał głównie o zaborze rosyjskim) będzie państwem bardziej rozwiniętym gospodarczo i społecznie od Rosji, a tym samym, zgodnie z ówczesnym kanonem marksizmu, bliższym ostatecznemu zwycięstwu socjalizmu. Wreszcie, niepodległa Polska, jak wierzył Perl i jego towarzysze, będzie państwem demokratycznym, otwierającym przed socjalistami możliwości legalnego działania, nieosiągalne w caracie. W tej sytuacji polski ruch socjalistyczny byłby w stanie, zdaniem Perla, szybko pomnożyć szeregi i dorównać liczebnością ugrupowaniom z zachodu Europy.

Od Zjazdu Paryskiego z żelazną konsekwencją przypominał w swojej publicystyce o konieczności walki o niepodległość jako warunku przyszłego zwycięstwa socjalizmu w Polsce. Nic więc dziwnego, że jednym z najczęściej wracających w jego tekstach wątków była krytyka Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, postulującej walkę o zniesienie kapitalizmu, równoznaczne z likwidacją wszelkiego ucisku narodowościowego. Socjaldemokratom zarzucał, że pomimo szermowania cytatami z Marksa, Engelsa i Kautsky'ego w kwestii niepodległości Polski zajmują stanowisko... niesocjalistyczne. Koronnym argumentem było dla niego poparcie dla odbudowy niepodległej Polski, które w toku swojej politycznej działalności wielokrotnie powtarzał Marks.

Odrzucał też poglądy głoszone przez Różę Luksemburg na temat braku ekonomicznych przesłanek odbudowy państwa polskiego. Zarzucał jej, że w tendencyjny sposób dobiera argumenty i nie dostrzega narastających konfliktów pomiędzy przemysłem centralnych guberni rosyjskich a przedsiębiorcami z Królestwa. Jego zdaniem odbudowa niepodległej Polski,

wbrew przewidywaniom autorki „Akumulacji kapitału”, prowadzić miała do przyspieszenia rozwoju gospodarczego kraju. Stworzony zostałby bowiem chłonny rynek wewnętrzny, a rodzimy przemysł mógłby korzystać z opieki i protekcji własnego rządu, nie zaś rozwijać się tylko w takich ramach, jakie wyznaczał dotychczas polityczny interes imperium carów. Polemizując z Luksemburg, pisał: *Po pierwsze, żadna tendencja rozwoju kapitalistycznego nie może Polski przerobić na bezwłasnowolną część Rosji, po drugie, związki ekonomiczne nie są dostateczną podstawą spojenia państwowego, o ile temu przeczą interesy kulturalne, narodowe i polityczne (nie mówiąc już o tym, że właśnie na tle związków ekonomicznych powstają i antagonizmy ekonomiczne)[...] po trzecie, tendencja rozwoju ekonomicznego sprowadzająca się do tego, że kapitał musi mieć rynki zbytu, wcale niekoniecznie i nie zawsze wymaga utrzymania dotychczasowych związków politycznych, tym bardziej zaś – przymusowych.*

Tak więc nie uznanie „organicznego wcielenia” i walka o demokratyzację Rosji powinny stanowić program polskich socjalistów, lecz konsekwentna praca na rzecz odzyskania niepodległości. *Proletariat już dziś musi do niej dążyć – pisał – musi się starać zbliżyć do tego ideału, musi walczyć o to wszystko, co odrębności narodowej i społecznej Polski nadaje, choć częściowo, polityczny wyraz.*

Od momentu zakończenia Zjazdu Paryskiego, mimo młodego wieku i niedużego doświadczenia, Perl stał się jednym z czołowych działaczy polskiego ruchu socjalistycznego i jednym z najważniejszych publicystów pism wydawanych na emigracji: „Przedświtu” i „Światła”.

Ciekawe były podejmowane przez niego próby wykazania łączności idei socjalistycznej z tradycjami kultury polskiej. Przeciwnicy socjalistów, jak choćby narodowi demokraci czy księża, starali się przedstawić ich jako kosmopolitów, wojujących ateistów i burzycieli porządku społecznego, całkowicie obcych polskości. Z tymi zarzutami, choć nie brzmiały one szczególnie poważnie, socjaliści musieli podjąć polemikę, o ile chcieli uzyskać szeroki wpływ społeczny. Feliks Perl w popularnej broszurze „Komunizm w pierwotnym chrześcijaństwie” pokazywał socjalistów jako spadkobierców idei przyświecających Jezusowi i pierwszym chrześcijanom.

Przeciwstawiał współczesny mu Kościół, cieszący się materialnym dostatkiem, zhierarchizowany i nastawiony na podtrzymywanie społecznego status quo, Kościołowi pierwszych chrześcijan, wyrzekających się bogactw i doczesnych przyjemności. *Wobec ludowego charakteru chrześcijaństwa w pierwszej jego dobie – pisał – nic dziwnego, że znajdziemy w nim wyraźne i niewątpliwe dążenia komunistyczne.*



Jeżeli ludzie są sobie braćmi, jeżeli bliźniego należy kochać jak siebie samego, to czyż podobna odróżnić „moje” od „twojego”? Własność prywatna jest wyrazem samolubstwa i oschłości serca; kto pragnie miłości powszechnej i „Królestwa Bożego na ziemi”, ten powinien wyznawać zasadę wspólności i czynem ją stwierdzać. Jednak z biegiem czasu Kościół, którego zadaniem było głosić idee wolności, równości i sprawiedliwości, zdradził historyczne posłannictwo i stał się instytucją opresyjną, czerpiącą korzyści z wyzysku mas. Walkę o realizację idei powszechnego szczęścia, odrzuconej przez Kościół, podjęli wobec tego socjaliści. [...] *naturalnie, szczęścia bezwzględnego, doskonałego nie ma tu na ziemi i rozkosze „tysiącletniego królestwa”, które mało-wała wyobrażnia pierwszych chrześcijan, nigdy nie będą udziałem śmiertelnych. Lecz nam wystarczy to szczęście, które zdobędziemy sobie w społeczeństwie bez klas i bez wyzysku, bez nędzy i ciemnoty. Oto nasz „gruby materializm”. Oto nasza prawdziwa idea Chrystusa naszych czasów.*

„Sojusznikiem” socjalistów, zdaniem Perla, był również Mickiewicz. Jan Cynarski wspominał, że Perl *potrafił [...] cytować z pamięci bardzo długo ustępy wybitnych poetów-romantyków*, niektórzy nawet byli przekonani, że Perl zna na pamięć całego „Pana Tadeusza”. Twórczość jego autora interpretował w duchu niepodległościowym i radykalnym. **Mickiewicz był dla niego niezrównanym poetą buntu, sprzeciwu wobec gwałtu i orędownikiem przyszłej Polski Ludowej.** Perl pisał: *choć socjalizm nasz dzisiejszy różnić się musi od mickiewiczowskiego, to wszakże dla nas jest najważniejszym, że Adam był socjalistą.* Jego poezja miała zwiastować nadejście lepszych dni i stanowiła nieocenione narzędzie w rękach socjalistycznych agitatorów. W popularnej i szeroko kolportowanej broszurze pisał: *Wielkiemu poecie, gorącemu rewolucjonście i szlachetnemu człowiekowi postawiono w Warszawie pomnik. Teraz wiecie, czytelnicy, co nam Mickiewicz mówi z wysokości swego pomnika. On nam wciąż przypomina potrzebę walki*

z wrogiem, nieubłaganej walki o wolność. On nas uczy ofiarności dla wielkiej sprawy, budzi w nas nienawiść do ucisku i miłość do ludu i do ludzkości. On nam mówi też o przyszłych lepszych czasach, zdobytych krwią naszą i poświęceniem, kiedy słońce wolności zajaśnieje nad ziemią polską i lud nasz nieszczęsny zrzuci wreszcie kajdany nędzy, ciemnoty, ucisku...

Wybuch rewolucji w 1905 r. i związany z tym spór w łonie PPS o wybór odpowiedniej taktyki przyspieszyły rozwój konfliktu w partii. Dwie antagonistyczne grupy – „starzy” z Piłsudskim i dawnymi liderami na czele oraz „młodzi” – rozpoczęły walkę o przywództwo w partii.

W sporze tym Perl był nastawiony raczej kompromisowo i dążył do utrzymania jedności. Osobiście jednak sympatyzował ze „starymi”, z którymi dzielił silne przywiązanie do postulatu odbudowy niepodległej Polski i niewiarę w możliwość rzeczywistej demokratyzacji Rosji. Dostrzegał oczywiście zależność polskiej rewolucji od wydarzeń zachodzących w centralnych ośrodkach Cesarstwa, przestrzegał jednak przed bliższym wiązaniem walk polskiego proletariatu z polityką rosyjskich stronnictw socjalistycznych. Jego zdaniem, dzięki specyficznemu położeniu polskich robotników, rewolucja w Królestwie miała szansę osiągnąć cele znacznie poważniejsze niż ruch rewolucyjny w Rosji. Na pytanie „koordynacja czy utożsamienie?”, zawarte w tytule broszury nastawionej na polemikę z „młodymi”, jednoznacznie odpowiadał: koordynacja. Zbliżenie organizacyjne i utożsamienie taktyki polskich i rosyjskich socjalistów uważał za krok szkodliwy dla dalszego rozwoju walki rewolucyjnej. Zamiast tego nawoływał, aby dążyć do utrzymania stałych stosunków z obozem socjalistycznym w Rosji w celu porozumiewania się i wzajemnego na siebie oddziaływania.

Nie dziwi więc, że gdy w PPS doszło do ostatecznego przesilenia i rozłamu na dwa odrębne ugrupowania, Perl wybrał tworzoną przez „starych” Frakcję Rewolucyjną. W trakcie pierwszego zjazdu nowej partii, odbytego w 1907 r., Perl występował obok W. Jodko-Narkiewicza jako główny mówca w sprawach programowych i to właśnie projekt przygotowany przez niego stał się podstawą nowego programu partyjnego. Jako jeden z najlepszych publicystów Frakcji uzasadniał na łamach prasy, że to „fracy” są prawdziwymi spadkobiercami tradycji PPS, *która w imię i z punktu widzenia socjalizmu powiązała interesy społeczno-polityczne i narodowe proletariatu Polski, wytworzyła syntezę tych interesów, w której miejsce właściwe zajęły dążenia proletariatu jako klasy ekonomicznie wyzyskiwanej, społecznie upośledzonej, jak i potrzeby polityczno-narodowe proletariatu, jako*

klasy rewolucyjnej w narodzie ujarzmionym, w kraju podległym obcemu panowaniu.

Decyzja Perla o przystąpieniu do PPS-Frakcji Rewolucyjnej była motywowana nie tylko kwestiami programowymi, ale również poczuciem przywiązania do „starych”, z którymi od lat wspólnie znosił trudy życia emigranckiego i konspiracyjnego. O tym, jak ważną był częścią tego środowiska, świadczy fakt, że to właśnie do niego Piłsudski pisał przed akcją pod Bezdąnami słynny list z prośbą o ewentualny nekrolog i wyjaśnieniem przyczyn, które zadecydowały o wyborze drogi rewolucjonisty, kończący się słowami: *A teraz buzi, chłopcze. Tobie i wszystkim Wam, starzy druhowie, z którymi się przemarzyło tyle, przeżyło jeszcze więcej i kochało się dobrze. Twój i ich Ziuk.*

Z czasem jednak Piłsudski coraz mniej był *Ziukiem*, coraz bardziej zaś stawał się Komendantem. Wiązało się to ze zmianą taktyki i przejściem do szkolenia kadr wojskowych przyszłego powstania antyrosyjskiego. Kierunek polityki PPS-Frakcji Rewolucyjnej ulegał coraz poważniejszym zmianom. Zacieraly się akcenty socjalistyczne w agitacji, ciężar działalności partii zaczął coraz bardziej przenosić się do Galicji, a głównym zajęciem części jej przywódców stawała się praca na rzecz Związku Walki Czynnej i formacji strzeleckich.

Perl obserwował te zmiany z niepokojem – obawiał się utraty przez partię robotniczego oblicza i zawarcia sojuszu z prawicą w imię realizacji powstańczych planów. Na łamach „Przedświtu” przestrzegał swoich partyjnych kolegów, pisząc: *Odrzucamy koordynację z burżuazyjną niemocą wszelkiego gatunku, z polityczną kołowacizną i nacjonalistyczną frazeologią klas posiadających.* Efektem narastającego konfliktu był rozłam w 1912 r. i utworzenie nowej partii – PPS-Opozycja, której niekwestionowanym przywódcą został Perl.

„Opozycjoniści” stawiali sobie za cel obronę programowych tradycji PPS oraz utrzymanie ścisłej syntezy haseł niepodległościowych i socjalistycznych. Zdaniem Perla doktryna „militaryzmu rewolucyjnego”, realizowana przez Piłsudskiego i jego najbliższych współpracowników, była błędna, bowiem odrywała powstańcze wysiłki od emancypacyjnych dążeń mas ludowych. Szkolenie wojskowe, pozbawione wyraźnego związku z ideologią socjalistyczną, niewiele różniło się, jego zdaniem, od pozbawionych szans realizacji inteligenckich mrzonek irredentystycznych. *Fałszywym jest i szkodliwym – pisał – gdy się „uświadczenie wojskowo-rewolucyjne” wyodrębnia jako osobny, udzielny świat, w którym nie obowiązuje metoda socjalistycznego myślenia, który wytwarza własną ideę i własną politykę poza kontrolą socjalistycznych zasad. Dodał też, że partia socjalistyczna opiera się na*



© Dan Barak, <http://www.flickr.com/photos/superdan/48050474/>

proletariacie i na tych odłamach innych warstw społecznych, które na stanowisku proletariackim stoją. [...] Przecież ruch zbrojny rewolucyjny opierać się będzie na masach ludowych, głównie na proletariacie miejskim, a mas tych nie poruszy, spójni moralnej im nie da, interesów i ideałów ich nie wyrazi „tęsknota do zupełnej z Ducha i z Woli solidarności w narodzie”, ani „koordynacja”, ani od socjalizmu starannie odseparowany „militaryzm rewolucyjny”, ani inne pomysły inteligenckie – lecz walka z najazdem pod sztandarem socjalistycznym.

PPS-Opozycja, w której oprócz Perla znaleźli się m.in. Tomasz Arciszewski i Kazimierz Pużak, okazała się jednak efemerydą, która przestała istnieć wraz z wybuchem I wojny światowej. „Opozycjoniści” w końcu wysłany do władz PPS oznajmiali: *W chwili walki orężnej z najazdem rosyjskim zniknąć muszą wszelkie różnice, które nas dotychczas dzieliły. PPS-Opozycja rozwiązuje swoją organizację i przystępuje do PPS, wzywając jednocześnie wszystkich socjalistów polskich do walki o niepodległość kraju i interesy ludu pracującego we wspólnych szeregach.*

Perl na fali patriotycznego uniesienia wstąpił do Legionów, jednak jako człowiek już nie najmłodszy, obdarzony kiepskim zdrowiem i kondycją, szybko został zwolniony ze służby przez komisję lekarską. Skupił się wobec tego na odbudowie struktur PPS w Królestwie, która była zadaniem kluczowym, jeśli socjaliści chcieli odegrać rolę w przyszłej walce o ustrojowy kształt

niepodległej Polski. Powodzenie procesu odbudowy PPS było w dużej mierze zasługą Perla, przez cały okres wojny będącego niekwestionowanym przywódcą partii.

Wybuch wojny zmusił socjalistów do przejścia od abstrakcyjnych rozważań o drogach wiodących do odbudowy niepodległej i demokratycznej Polski do konkretnej działalności na rzecz realizacji tego hasła. Stanowisko, które w sporach wokół taktyki PPS zajmował Perl, było jednoznaczne. Postulował, aby partia prowadziła samodzielną, wyraźnie klasową politykę i unikała porozumień z ugrupowaniami burżuazyjnymi oraz rządami mocarstw centralnych. Był przekonany, że **o sile partii nie będą stanowić gabinety, ale rzeczywiste poparcie mas społecznych. Dlatego też znacznie bardziej cenił pracę organizacyjną na najniższym szczeblu, niż konwentykły i jałowe negocjacje z przedstawicielami ugrupowań burżuazyjnych.**

Odrzucał ideę „konsolidacji narodowej”, czyli ponadpartyjnego porozumienia różnych sił politycznych w imię wspólnych wysiłków na rzecz odbudowy państwa polskiego. Podsumowując wojenną politykę różnych stronnictw inteligentnych, często tworzonych przez dawnych członków Frakcji Rewolucyjnej i lojalnych współpracowników Piłsudskiego, pisał: *widzieliśmy ustępliwość nadzwyczajną wobec konserwatyzmu, stałe uganianie za kompromisem i żywiołami prawicy, kosztem zasad politycznych i wpływów społecznych, widzieliśmy po prostu jak pracowało się nad tym, by wypchnąć na czoło różne konserwatywne wielkości, zazwyczaj zupełne miernoty, a nawet zera.*

Podobne poglądy zdobyły sobie wkrótce poparcie większości liderów PPS. Radykalizacji partii i emancypacji spod wpływów Piłsudskiego sprzyjały także wydarzenia w Rosji. Rewolucja lutowa, której efektem było obalenie caratu, w opinii Perla stanowiła zapowiedź zmiany nastrojów w całej Europie. Długotrwała i krwawa wojna doprowadziła wreszcie, jego zdaniem, do politycznego rozbudzenia społeczeństw europejskich. Rewolucja rosyjska była tego najlepszym dowodem, jednak wszystko wskazywało na to, że to jedynie pierwszy krok, a fala radykalizmu i dążeń demokratyzacyjnych wkrótce zaleje cały kontynent.

Celem socjalistów w Polsce powinno być uzyskanie tych nastrojów już nie tylko dla odbudowy niepodległego państwa, ale również dla możliwe najszerzego zdemokratyzowania jego ustroju. Rewolucja jest smutną koniecznością – mówił podczas jednej z narad polityków obozu niepodległościowego. Ta rewolucja jest to szereg ruchów w całej Europie. Nie ma tu mowy o robieniu rewolucji. Ale trzeba ją opanować, jak przyjdzie żywiołowo. Rzeczą stronnictw demokratycznych

i ludowych pokierować nią. [...] Nie bądźmy bierni, gdy ona wybuchnie, aby nie opanowały jej żywioły anarchiczne [...]. Owe żywioły anarchiczne to w pierwszej kolejności SDKPiL – pewne wpływy tej partii wyjaśniał politycznym niewyrobieniem pracowników i obecnością anarchistycznych „przeżytków” w ruchu robotniczym, stanowiących dziedzictwo okresu, gdy masowa walka proletariatu nie była możliwa, a dominowały poglądy spiskowe. [...] esdectwo może czerpać swoje znaczenie tylko z niewyrobienia robotników. A jeżeli prawi o swojej „naukowości” to dlatego, że do esdectwa mają pociąg umysły talmudyczne spośród inteligencji, a raczej półinteligencji – ludzie nie żyją głębiej z Polską i uważający tę swoją talmudyczność i brak głębokich uczuć za – naukowość.

Wojenna taktyka PPS, której architektem był Perl, przyniosła pożądane skutki. W listopadzie 1918 r. powstało suwerenne państwo polskie, a na jego czele stanęły rządy współtworzone przez ugrupowania postępowe. Wkrótce jednak lewicowy gabinet został zmuszony do dymisji, wyraźnie widoczne było też, że państwo polskie, wbrew dążeniom Perla i jego towarzyszy, raczej nie będzie „ludowe”. Jednocześnie coraz szerszym strumieniem napływały wieści z Rosji, gdzie umacniały się władze bolszewickie, zachęcające do pójścia w swoje ślady socjalistów z innych państw. Zachęty te trafiały na podatny grunt – w PPS rosła w siłę partyjna lewica, zarzucająca kierownictwu partii zbyt łatwe oddanie władzy i odrzucenie postulatu dyktatury proletariatu. W ten sposób rozpoczynała się jedna z najgorętszych dyskusji programowych w dziejach PPS, a jej efekt miał zadecydować na długie lata o ideowym obliczu partii i jej politycznej taktyce.

Perl był wówczas zwolennikiem parlamentarnej i ewolucyjnej drogi do socjalizmu. Nadejście ustroju społecznej sprawiedliwości uważał za konieczne, chciał jednak, aby dokonało się bez rozlewu krwi i wojny domowej. Jednocześnie był przekonany, że sytuacja po temu jeszcze nie dojrzała, a rewolucyjna niecierpliwość utoruje drogę kontrrewolucji. Był autorem określenia „rewolucja w majestacie prawa”, które na trwałe weszło do kanonu polskiej myśli socjalistycznej. W trakcie sejmowej debaty mówił: *Użyję tu porównania Lassalle’a, który mówił, że rewolucja, rozumiana jako wielka przemiana społeczna, może się odbyć w różnych formach; w znacznym stopniu zależy to od czynników dzierżących władzę czy przyjdzie rewolucja z rozwianym włosem, z mieczem w dłoni, czy przyjdzie w majestacie prawa. My zasiadamy tutaj w Sejmie, my socjaliści, którzy agitowaliśmy za wyborami do tego Sejmu, którzy przyczyniliśmy się do powstania tego Sejmu, [...] dołożymy wszelkich starań, ażeby rewolucja, która*

jest nieunikniona jako wielka przemiana społeczna, odbyła się u nas w całym majestacie prawa. I chodzi o to, ażeby i reakcja rozumiała to, że to jest konieczność historyczna. Jeśli nie zrozumie tego, to rewolucja przejdzie po nich z ich własną szkodą.

Koncepcja „rewolucji w majestacie prawa” była ostro krytykowana przez wewnątrzpartyjną lewicę. Postulowała ona przesunięcie głównego ciężaru polityki socjalistów z burżuazyjnego parlamentu do rad delegatów robotniczych, a także radykalizację taktyki partii i rozpoczęcie przygotowań do ewentualnego przejścia władzy siłą. Do konfrontacji różnych koncepcji programowych doszło na kongresach PPS w 1919 i 1920 r. Feliksowi Perlowi, głównemu mówcy z ramienia kierownictwa partii, przyszło odpierać zarzuty radykałów. Do zwolenników dyktatury proletariatu mówił: *Pomiędzy krańcowymi pojęciami Polska burżuazyjna i Polska socjalistyczna mieści się jeszcze pośrednie: okres demokracji. Socjalizm jest twórczością, która oprzeć się musi na demokracji. Zanim dojdziemy do socjalizmu, musimy przejść przez ten konieczny szczebel, którym jest sejm.*

Dyktaturze proletariatu w wydaniu bolszewickim zarzucał, że oznacza ona nie tylko zniesienie wolności burżuazyjnej, ale zniesienie wolności jako takiej. Zdaniem Perla samo pojęcie „dyktatura proletariatu” jest mylące – proletariatu jako wielomilionowa klasa nie jest w stanie sprawować dyktatury, władza pozostaje w rękach wąskiej grupy i zamienia się w dyktaturę nad proletariatem, skutecznie ograniczającą spontaniczny rozwój ruchu robotniczego. Przekonywał partyjnych towarzyszy, że *należy odrzucić pojęcie „dyktatury proletariatu” jako prowadzące do zaniku wolności i ustanawiające rządy arystokratyczno-demagogiczne.*

Ostatecznie Perl zdołał przekonać większość członków partii i to właśnie przygotowany przez niego projekt został przyjęty w 1920 r. jako oficjalny program PPS, tym samym określając na całe dwudziestolecie główne zasady ideowe polskiego ruchu socjalistycznego.

W niepodległej Polsce, już po ustabilizowaniu granic i rozładowaniu rewolucyjnych nastrojów, Perl znalazł się nieco na uboczu życia politycznego. Posiadał co prawda mandat poselski, był też członkiem najwyższych władz PPS, jednak ze względu na pogarszający się stan zdrowia starał się ograniczać aktywność na tych polach. Większość energii poświęcał na redagowanie „Robotnika”, który po latach konspiracyjnego wydawania mógł w końcu stać się legalnym, wysokonakładowym dziennikiem. W redakcji Perl panował niepodzielnie, budząc u młodszych współpracowników mieszaninę podziwu i lęku. Traktowano go *jak cudem zachowany relikw z poprzedniego,*

bohaterskiego pokolenia ofiarników i ludzi podziemnych walk o niepodległość i socjalizm. Józef Mieszkowski, wówczas korektor w „Robotniku”, wspominał, że gdy na sali pojawiał się Perl, *wszyscy pochylali się pilnie nad robotą. Perl bowiem sam pracował aż do zapomnienia, ale i od innych wymagał, by rzetelnie pracowali. Mówiono o nim, że jest wprawdzie osobą ludzką, ale bez ludzkich potrzeb. Gdy utonie w robocie, zapomina o wszystkim.* Może nie jeść, nie pić, nie spać. Nie znosi jedynie, gdy mu przeszkadzają, kiedy pisze. „Robotnik” był pismem poważnym i niezwykle rzetelnym, **Perl nie publikował tekstów anonimowych i niesprawdzonych informacji, nie gonił za sensacją i plotkami. Gdy niektórzy proponowali, aby redagować dziennik w sposób bardziej przystępny, miał w zwyczaju odpowiadać: Musimy wychowywać masy, a nie zniżać się do ich poziomu.**

Mimo że nieco wycofany, Perl zabierał głos zawsze, gdy przychodziło socjalistom rozstrzygać poważne kontrowersje taktyczne. Gdy sytuacja polityczna w kraju zaczęła się coraz bardziej komplikować, a na prawicy i lewicy pojawiły się głosy nawołujące do zastąpienia demokracji parlamentarnej rządami „silnej ręki”, Perl przestrzegał licznych w PPS zwolenników powrotu do władzy Piłsudskiego: *Broniliśmy go przed zarzutami, chcemy go widzieć na wysokich odpowiedzialnych stanowiskach – ale stwierdzić musimy, że Piłsudski nie jest naszym człowiekiem. Nie wolno z niego robić lewicowego Mussoliniego.* Będącego następstwem zamachu majowego procesu demontażu demokracji i budowy systemu rządów autorytarnych nie dane było mu już jednak widzieć. Zmarł, po ciężkiej dziesięciomiesięcznej chorobie, 15 kwietnia 1927 r.

Feliks Perl nie był pozbawiony wad – wedle współpracowników był apodyktyczny, oschły, chimeryczny. Głoszone przez niego poglądy miały wielu przeciwników, a ironiczny sposób prowadzenia przez niego polemiki często irytował i złościł. Mimo to otoczony był powszechnym szacunkiem. Jego nieprzeciętny intelekt, całkowite oddanie sprawie i zupełna bezinteresowność sprawiały, że nad trumną Perla z szacunkiem pochylili głowę nawet polityczni przeciwnicy. Jego wieloletni współpracownik, Jan Libkind, pisał: *Postać Feliksa Perla, jak nić czerwona snuje się przez trzydziestopięcioletnią historię Polskiej Partii Socjalistycznej. Stał u jej kolebki, stworzył program, uzasadniał i bronił od ataków z lewej i prawej strony, bronił czystości jego zasad, był sumieniem partii.* Natomiast Ignacy Daszyński **u stóp trumny przykrytej czerwonym sztandarem i ostatnim numerem „Robotnika” mówił o nim: Poświęcił wszystko, nie żądał niczego.** Te słowa stanowią chyba najlepszą puentę życia i pracy Feliksa Perla.

Kamil Piskala

Inne drogi rozwoju

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Czy istnieje tylko jeden - zachodni i neoliberalny - pomysł na dynamiczny rozwój gospodarczy? Czy państwo sprzyja wzrostowi dobrobytu, czy gwarantuje go rzekomo jedynie „niewidzialna ręka rynku”? Czy istnieje ekonomia bez wartości, poza kulturą i tożsamością społeczeństw? Dlaczego edukacja sprzyja społeczno-gospodarczej *prosperity*? Czy transformacja ustrojowa musi oznaczać antyspołeczne „reformy”? Czego Polacy mogliby się nauczyć od Azjatów? Książka Haesung Lee „Kapitalizm konfucjański. Koreańska droga rozwoju” pozwala przemyśleć te i podobne kwestie.

Publikacja zaspokoi ciekawość każdego, kto interesuje się problemem gospodarek lokalnych i globalnej, wpływem kultury i religii na kwestie społeczne, analizuje różne modele ekonomiczne, możliwe rodzaje transformacji, kryzysów oraz rozwoju rynków i państw. Jest to zarazem książka z pogranicza filozofii społeczeństwa i historii idei, umożliwia wgląd we wciąż aktualne spory dotyczące przechodzenia od jednych typów ustrojowych do innych. Stanowi dobrze uargumentowany głos w dyskusji, czy istnieje jeden globalny, neoliberalny model rozwoju i reform, który działa efektywnie zawsze i wszędzie na mocy uniwersalnych zasad ekonomicznych. Jest to zatem - choć mówi o odległym państwie - książka również o ustroju gospodarczym, który w oczach wielu Polaków zajmuje dziś miejsce, jakie niegdyś piastowała sowiecka wersja marksizmu ze swoimi doktrynerskimi poglądami na temat „konieczności historycznych”.

Jak zauważa w recenzji książki prof. Tadeusz Paleczny, *jest to pierwsze w socjologii polskiej studium historyczno-porównawcze odnoszące się do dwóch wielkich tradycji filozoficznych, społecznych i ekonomicznych.*



Z jednej strony autor odnosi się do analizy znaczenia weberowskiego racjonalizmu, etyki protestanckiej i ducha kapitalizmu liberalnego (indywidualistycznego), z drugiej prezentuje model konfucjański, kolektywistyczny, wspólnotowy, w pewnym sensie konserwatywny.

Rozdział pierwszy omawia konfucjanizm i wartości konfucjańskie, drugi wprowadza w zagadnienie „konfucjanizm a system gospodarczy”. Część trzecia to analiza teoretyczna rozwoju gospodarczego krajów Azji Wschodniej. Czwarta z kolei daje wgląd w historyczne realia rozwoju gospodarczego Korei. Obejmuje lata od 1876 do okresu rozwoju gospodarczego Republiki Korei w ramach kapitalizmu światowego.

W ostatnim rozdziale przyglądamy się relacjom między etyką konfucjańską a „duchem (zachodniego) kapitalizmu”. W zakończeniu autor kreśli możliwości i ograniczenia kapitalizmu konfucjańskiego.

System konfucjański opiera się na życiu rodziny jako pierwotnym elemencie ładu społecznego. Stąd wniosek, że *jeśli ktoś nie odczuwa miłości i szacunku wobec własnych rodziców, nie można oczekiwać, że będzie okazywał miłość i zainteresowanie wobec innych osób*. Klimat moralny społeczeństwa wynika z więzi pierwotnych, z wychowania. Powie ktoś, że znamy dobrze ten rys pedagogiczny i etyczny z rodzimych realiów. Jednak w kulturze konfucjańskiej idzie on dalej: *Jednostka nabywa swoją tożsamość w grupie społecznej, a nie dzięki własnym cechom*. Dlatego następną pożądaną cechą relacji między osobą a otoczeniem jest w konfucjanizmie użyteczność, która rozgrywa się na płaszczyźnie obowiązku: *Konfucjusz uważał, że jeśli każdy wypełnia swoje obowiązki wynikające z zajmowanej pozycji społecznej, to społeczeństwo jako całość cieszyć się będzie porządkiem*.

Jak zauważa Lee, konfucjanizm poprzez swoisty system wartości znacząco wpływa na różne obszary życia jednostkowego i społecznego. Stąd najważniejsza kwestia, stanowiąca sedno książki, wyraża się w pytaniach: *Czy wpływ ten da się także zaobserwować na płaszczyźnie gospodarczej? Czy konfucjanizm odcisnął swoje piętno na systemach gospodarczych krajów Azji Wschodniej, a jeśli tak, to jakie są konsekwencje tego wpływu?* I odpowiada: *Długotrwała, bo licząca sobie ponad dwa tysiące lat obecność konfucjanizmu w kulturze społeczeństw wschodnioazjatyckich nie mogła pozostać bez wpływu na życie gospodarcze*. Tu pojawia się pytanie, jaki charakter miał ten długofalowy, wieloaspektowy wpływ: pozytywny czy negatywny?

Haesung Lee omawia przeciwne sobie teorie dotyczące tej kwestii. Pierwsza stwierdza negatywne oddziaływanie konfucjanizmu na realia społeczno-gospodarcze i ustrojowe. Pochodzi ona od Maxa Webera, który dowodził, że system ten wpływał negatywnie na innowacyjne procesy gospodarcze, gdyż uzależniał je od tradycji, lokalnych obyczajów czy woli urzędnika. Konfucjanizm miał być zatem ekonomicznie nieracjonalny. Dysponował inną racjonalnością, ukierunkowaną na rodzinę i społeczeństwo hierarchiczne. Tymczasem istotne dla rozwoju kapitalizmu na Zachodzie było zastąpienie lojalności opartej na stosunkach osobistych przez bezosobowe zobowiązania. Odejście od personalizmu było dla Webera jednym z haseł zarówno nowoczesnej ekonomii, jak i nowoczesnego państwa – przypomina Lee. Świat fundamentalnie hierarchiczny, osadzony głęboko w relacjach interpersonalnych, jest tutaj skostniały, nieelastyczny. Znamienna jest pewna historiozoficzna, eurocentryczna kalka, jaką posłużył się Weber, stwierdzając, że dopóki Chiny będą społeczeństwem rolniczym, żyjącym wedle zasad konfucjanizmu, „żyć będą w średniowieczu”.

©©© Park Jongwoo, <http://www.flickr.com/photos/docu/6024097189/>



©©© Tennessee Wanderer, <http://www.flickr.com/photos/tnwanderer/262314097/>

Odmienne spojrzenie przynoszą teorie współczesnych myślicieli wywodzących się z Azji. Zdaniem chińskiego analityka Ying-Shi Yu *w pierwszej kolejności należy dokonać wyczerpującej analizy chińskiej ekonomii i historii idei, w celu stworzenia solidnej podstawy empirycznej do dalszej dyskusji i odrzucenia dotychczasowych wysoce spekulatywnych studiów*. Uczony dowodzi, że u podstaw tej konieczności stoi zrozumienie specyfiki i odrębności cywilizacyjnej Azji, a zatem uchwycenie odrębności procesu rozwojowego, który nie jest i nie może być kalką świata zachodniego. Tymczasem zarówno poglądy Webera, jak i azjatycka recepcja marksizmu podkreślały zależność (a tym samym wtórność) rozwoju cywilizacyjnego Azji od Zachodu. Panowało przekonanie, krytykowane przez Ying-Shi Yu, że *model studiów rozwoju historycznego zaproponowany przez Marksa dla warunków europejskich posiada uniwersalną ważność, to znaczy, że stanowi on model rozwoju społecznego stosowalny do wszystkich społeczeństw ludzkich*. Ale ten właśnie pogląd ma być kardynalnym błędem, ważącym także na ocenie konfucjanizmu.

Haesung Lee analizuje następnie poglądy innej szkoły uczonych, twierdzących, że *Azja Południowa, Wschodnia i Południowa, Ameryka Łacińska i świat islamu oraz Afryka także będą mogły uczestniczyć w procesie modernizacji, nie pozbywając się swojej odrębności*.



© dok1, <http://www.flickr.com/photos/dok1/99768509/>

©©© jonasginter, <http://www.flickr.com/photos/27017674@N06/7561481186/>

kulturowej (z całą pewnością należałoby tutaj dodać także kraje postkomunistyczne Europy). Jako najwybitniejszego przedstawiciela tego środowiska autor „Kapitalizmu konfucjańskiego” wskazuje pochodzącego z Chin profesora Harvardu, Tu Wei-Minga. Uczony ten twierdzi, że w „krajach konfucjańskich” (Chiny, Japonia, Korea) w różnych okresach następowała modernizacja bez równoczesnej westernizacji regionu.

*Jakie mogą być dobroczynne skutki takiej sytuacji? Zdaniem Tu Wei-Minga **przywódca rola rządu w gospodarce rynkowej jest konieczna. Liberalnej doktrynie Zachodu, jakoby rząd był „złem koniecznym”, a rynek sam mógł stanowić „niewidzialną rękę” kierującą społeczeństwem, sprzeciwiają się doświadczenia wielu krajów usiłujących budować gospodarkę kapitalistyczną w oparciu o tę ideologię i danie pierwszeństwa żywiołowym procesom ekonomicznym. W krajach tych obserwuje się daleko posuniętą polaryzację społeczeństwa, poważne zjawiska patologiczne (narkomania, alkoholizm, przemoc) oraz poczucie osamotnienia jednostki, anonimowość. [...] Dla tworzenia i utrzymania ładu społecznego niezbędne jest funkcjonowanie rządu wrażliwego na potrzeby obywateli, odpowiedzialnego za ich dobrobyt i odpowiadającego przed ogółem społeczeństwa. Ten właśnie model „wrażliwego rządu” zawierać ma tradycyjne elementy konfucjańskie, stanowiące naturalną część tożsamości niektórych państw azjatyckich.***

W ostatniej części drugiego rozdziału Haesung Lee bada zawartość samego pojęcia „kapitalizm konfucjański”, związanego z sukcesem gospodarek azjatyckich w latach 70. i 80. XX wieku. Jego częściami składowymi miały być m.in. silne przywództwo, szacunek dla ciężkiej pracy, poświęcenie się edukacji, oparcie relacji międzyludzkich na rodzinie. Co interesujące, sam termin „kapitalizm konfucjański” wymyślili Europejczycy, przejęto go jednak najpierw w Japonii, później w Korei Południowej. Jego integralną część stanowi następujący pogląd: *Teza, że interwencja rządu to – nawet w najlepszym przypadku – zło konieczne, nie znajduje potwierdzenia w odniesieniu do systemów ekonomicznych Azji Wschodniej [...]. Interwencja rządowa przyjmuje tam bardzo zróżnicowane formy i często przynosi pozytywne efekty gospodarcze w początkowych fazach rozwoju. Widzimy tu jednak znamieny kompromis na rzecz doktryny neoliberalnej, skoro „interwencjonizm” czy „etatyzm” traktowane są jako pewien rozwojowy etap peryferyjnego kapitalizmu, nieustannie odnoszonego do ekonomicznego i symbolicznego „centrum” – ekonomii Zachodu.*

Jak zauważa Lee, w okresie ostatnich pięciu tysięcy lat na terenie Azji Wschodniej funkcjonował najsilniejszy system gospodarczy na świecie. Dopiero dziewiętnastowieczna rewolucja przemysłowa w Europie zmieniła tę sytuację [...]. *Nowoczesny kapitalizm nie rozwinął się*

w Azji Wschodniej samoistnie, lecz pod wpływem zachodniego imperializmu. Przez Azję Wschodnią autor „Kapitalizmu konfucjańskiego” rozumie tzw. Większą Azję Wschodnią, czyli poza Chinami, Japonią, Koreą Południową obejmuje nią kraje grupy ANIC (Asian Newly Industrializing Countries), czyli Tajwan, Hong Kong i Singapur. Dla rozwoju kapitalizmu na tym obszarze kluczowe okazały się w przypadku Japonii lata 1950-1953 (nakręcenie koniunktury w czasie wojny koreańskiej), w przypadku Korei Południowej i państw ANIC lata 60. i 70., zaś lata 70. dla Chin. Według analiz Banku Światowego - komentuje Lee - *rozwój krajów tego regionu cechowały w tym okresie nie tylko niezwykle wysokie wskaźniki wzrostu ogólnej działalności gospodarczej i produkcji na głowę mieszkańca, ale także skuteczne przeciwdziałanie długotrwałej nędzy.*

Warto zwrócić uwagę, na przykładzie Korei Południowej, jak zmieniały się struktury gospodarcza i eksportowa oraz jak kształtował się dochód narodowy w epoce powojennej. *Możemy tu mówić o rzeczywistych rewolucjach przemysłowej i społecznej.* I tak w roku 1953 rolnictwo, leśnictwo, rybołówstwo obejmowały 47,3% całego dochodu narodowego Korei. W roku 1980 już tylko 14,7%, a w 1997 niecałe 6%. Z kolei budownictwo, zaopatrywanie w energię elektryczną, gaz i wodę to w roku 1953 tylko 2,6% całego dochodu narodowego, w 1980 r. już 10,1%, a w 1997 r. - 16,9%. Działalność produkcyjna to w roku 1953 jedynie 9,0%, a w 1997 r. już 25,7%. Udział administracji publicznej, edukacji, ochrony zdrowia, opieki socjalnej, pozostałej działalności usługowej, komunalnej i socjalnej w dochodzie narodowym badano w Republice Korei dopiero od 1970 r. Wówczas wynosił on 9,4%. Do roku 1997 wzrósł dość nieznacznie, do 11,2%.

Warte odnotowania są także zmiany w strukturze eksportu, gdyż to on przez lata windował wzrost gospodarczy tego kraju: *na początku uprzemysłowienia, w 1964 r., surowce stanowiły 45,3% eksportu, zaś wyroby przemysłu lekkiego - 45,3%. Później udział przemysłu ciężkiego i chemicznego wzrósł do 72,3%, a przemysłu lekkiego zmalał do 20,4%, surowców - do 7,3%.*

Haesung Lee analizuje także sytuację ruchu związkowego w Korei Południowej, dotykając w ten sposób ciemnych stron rozwoju. Polityka władzy wobec związków była represyjna - zarówno rząd, jak i pracodawcy wspólnie dbali, żeby płace utrzymywały się na dość niskim poziomie, *obydwie strony były bowiem zainteresowane konkurencyjnością koreańskich produktów na światowych rynkach, a właściciele przedsiębiorstw dodatkowo wyższymi zyskami.* [...] W sytuacji niskich płac, złych warunków pracy i represyjnego prawa pracy, w połowie lat 80. zaczął się rozwijać ruch związkowy. Znacząco wzrosła liczba strajków i lokautów, zwiększając się z 276 przypadków w 1986 r. do 3617 w 1987 r. Można tu zaryzykować nieco ironiczną tezę,

że tak oto Korea Południowa stała się drugą Polską Ludową, zrewoltowaną przez „Solidarność”.

Znaczny wpływ na rozwój ruchu związkowego miało powstanie klasy wysoko i średnio wykwalifikowanych robotników, zatrudnionych w dużych zakładach przemysłu ciężkiego. Co ciekawe, ważna dla rozwoju ruchu związkowego była rola studentów i organizacji religijnych: *według nieoficjalnych danych, ponad 3000 studentów zostało robotnikami w latach 80., ukrywając swe wykształcenie po to, aby zatrudniono ich na stanowisku niewymagającym wykształcenia średniego, aby móc bezpośrednio inicjować protesty robotnicze.*

Zaistniałe zmiany społeczno-gospodarcze musiały wzbudzić zainteresowanie specjalistów. Autor książki omawia zatem różne analizy przemian w Azji Wschodniej. Przedstawia m.in. klasyczną teorię rozwoju, wedle której pojęcie modernizacji jest równoznaczne z westernizacją, a Zachód *postrzegany jest jako nośnik kompleksu cech będących synonimem nowoczesności, przewyższający cały świat [...] we wszystkich wymiarach - społecznym, politycznym, gospodarczym.* Jednak ta skrajnie imitacyjna koncepcja nie mogła wyjaśnić całej złożoności kapitalizmu konfucjańskiego. Inne wytłumaczenie daje tzw. model afektywny, w którym kluczową rolę odgrywają emocjonalne więzi i zorientowanie na grupę. Ma to prowadzić do szeregu istotnych różnic między gospodarkami Azji Wschodniej a Zachodu. Hung-Chao Tai, profesor nauk politycznych i międzynarodowej ekonomii politycznej na uniwersytecie w Detroit, twierdzi, że firmy wschodnioazjatyckie nie tylko mają przynosić zysk, ale także pełnić rolę twórcy więzi między pracownikami. Ponadto w modelu wschodnioazjatyckim najważniejsza jest lojalność i wiara w firmę oraz w interes narodowy. Poza tym *narody należące do tradycji konfucjańskiej są bardziej zorientowane na przyszłość, mieszkańcy Azji Wschodniej są cierpliwi, nastawieni raczej na długoterminowe myślenie strategiczne niż na natychmiastowe zyski.* Tai podkreśla także bardzo duże znaczenie edukacji w kapitalizmie konfucjańskim, traktowanej niemal jako „religia narodowa”. Ostatecznie, zdaniem tego naukowca, *ekonomiczny sukces krajów ANIC był możliwy dzięki połączeniu uprzemysłowienia z kulturą zorientowaną na człowieka (innymi słowy, wartościami konfucjańskimi).*

W czwartej części książki Lee opisuje kwestie rozwoju gospodarczego Republiki Korei: od kraju peryferyjnego, zależnego od Japonii, do państwa, które po II wojnie światowej dzięki wejściu w orbitę wpływów Stanów Zjednoczonych miało szansę znaleźć się w „centrum” światowego systemu gospodarki. Po pierwsze jednak, jak podkreśla autor, sukces gospodarczy Korei Południowej był możliwy dzięki czynnikom zewnętrznym (za wzrostem gospodarczym krył się wysoki stopień uzależnienia od handlu zagranicznego). Po drugie, nawet stopniowa zmiana struktury

gospodarki Republiki Korei nie uchroniła tego państwa od problemów gospodarczych pod koniec XX wieku, w tym kryzysu walutowego z roku 1997. Stąd konkluzja autora „Kapitalizmu konfucjańskiego” brzmi: *o ile nie zmienią się warunki pozaekonomiczne, Korea Południowa nadal będzie odgrywać rolę semiperyferyjną, tylko sąsiadując w światowym rankingu z państwami wysokorozwiniętymi*. Zwracam uwagę na tę kwestię, eufemistycznie określoną jako „warunki pozaekonomiczne”, ponieważ pokazuje ona, wbrew dobranej znanej wolnorynkowym sloganom, jak bardzo geopolityka i interesy mocarstw determinują procesy ekonomiczne i społeczno-gospodarcze. Nawiązując do pewnej znanej myśli: rynek może mieć zawsze rację, o ile pozwoli mu na to kanonierki Wielkiego Brata.

W ostatniej części pracy Haesung Lee uszczegóławia kwestie związane z instytucjonalizacją wartości konfucjańskich na gruncie kapitalizmu wschodnioazjatyckiego. Są to kwestie nader pouczające także z polskiej perspektywy. Lee stwierdza: *Mimo tego, że Korea realizowała zasady kapitalistycznego ustroju gospodarczego, większość Koreańczyków zdecydowanie uważała, że sektor prywatny powinien być podporządkowany instytucjom państwowym. To przekonanie, wywodzące się z konfucjanizmu, miało poważne skutki dla polityki państwa wobec przedsiębiorstw, w tym także wobec wielkich konglomeratów*. I tak w latach 70., mimo nie najłatwiejszej sytuacji gospodarczej, rząd przeznaczył duże środki na rozwój kilku gałęzi przemysłu ciężkiego (stalowego, maszynowego, stocznioowego). Była to konieczność ze względu na uprzemysłowienie i obronność kraju, jednak same przedsiębiorstwa nie były zainteresowane strategią rządową. Władze zatem narzuciły swoją politykę gospodarczą: *W ten sposób państwo południowokoreańskie nie tylko promowało wzrost gospodarczy, ale także stworzyło klasę kapitalistów, klasę średnią i wykwalifikowaną siłę roboczą*.

Autor „Kapitalizmu konfucjańskiego” przedstawia także powstanie i rozwój południowokoreańskich korporacji, czyli *chaeboli* (czebol). Termin ten oznacza duże przedsiębiorstwo prywatne/gospodarcze, a wedle bardziej wnikliwych definicji grupę składającą się z dużych firm należących do członków rodziny lub ich krewnych i przez nich zarządzanych, działającą w wielu różnych dziedzinach gospodarki. *Chaebole* datują swój znaczny rozwój na lata 70., choć ich korzenie sięgają epoki okupacji japońskiej. W latach 80. osiągnęły tak wysoki stopień rozwoju, że stały się właściwie suwerennymi bytami, rozszerzyły swą działalność w sposób niezwykle ekspansywny i zaborczy. Ten sposób zachowania się na rynku określano terminem „macek ośmiornicy”.

Narastające patologie i kryzys wymusiły konieczność reform. Geneza, rozwój i patologie południowokoreańskich korporacji świetnie ukazują, zdaniem

Lee, blaski i cienie konfucjańskiej kultury i kapitalizmu konfucjańskiego. *W tradycyjnym społeczeństwie konfucjańskim więzy rodzinne, klanowe i państwowe są najistotniejsze, i w związku z tym odgrywają znaczącą rolę w tworzeniu i funkcjonowaniu chaeboli*. W takich warunkach dały o sobie znać na dużą skalę także negatywne strony zjawiska: znaczny lobbying, powstawanie układów koleżeńskich i wzajemnego protekcjonizmu między lobbystami a organami wykonawczymi, pomiędzy grupami chaeboli a biurokracją państwową. *Doszło do nakładania się sfery publicznej na prywatną*.

Haesung Lee analizuje także wpływ instytucjonalizacji wartości konfucjańskich na płaszczyźnie edukacyjnej. Edukacja nie jest tu traktowana tylko jako zdobywanie informacji i wiedzy. Jest drogą do uczynienia człowieka lepszym, bardziej społecznym. Jak podkreśla autor „Kapitalizmu konfucjańskiego”, w powojennej Korei edukacja stała się fundamentem awansu społecznego oraz głównym czynnikiem rozwoju gospodarczego. *Rodzice poświęcają wiele czasu i środków finansowych na edukację swych dzieci. Dobrze wykształceni Koreańczycy odegrali kluczową rolę w absorpcji zaawansowanych technologii z krajów rozwiniętych i dzięki nim Korea osiągnęła wysoki stopień postępu technologicznego*. Sukcesy edukacyjne wynikały przede wszystkim z przyjętej strategii, która miała swoje zaplecze w wartościach kulturotwórczych konfucjanizmu. *Rząd koreański, stawiając czoła globalnej konkurencji, aktywnie wspierał edukację i kształcenie swoich pracowników*.

Raz jeszcze chciałbym podkreślić wagę tej książki dla polskiego czytelnika. Haesung Lee stwierdza: *Kraje Europy Wschodniej i Środkowej oraz Bliskiego Wschodu, w których dominuje chrześcijański lub islamski model system wartości i porządek społeczny [...] powinny rozwinąć własny model kapitalizmu, w zgodzie ze swoim historycznym doświadczeniem i warunkami lokalnymi*. Być może budujemy taki model, jednak nieświadomie i z najgorszych cech naszej tożsamości kulturowej. Ale do świadomie tworzonej strategii rozwoju bardzo nam daleko. Dlatego warto wczytać się w „Kapitalizm konfucjański”. Jest to bowiem opowieść o kapitalizmie zdolnym wytyczać nowe drogi rozwoju społecznego, które nie będą się sprowadzać do kopiowania obcych wzorów ani nie będą polegały na zerwaniu z własną tradycją, lecz umożliwią twórcze połączenie tych dwóch źródeł rozwoju społecznego.

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Haesung Lee, *Kapitalizm konfucjański. Koreańska droga rozwoju*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2011.

Książkę można nabyć w sprzedaży wysyłkowej:
tel./fax 56 648 50 70, e-mail: marketing@marszalek.com.pl

Mateusz Batelt – absolwent nauk politycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Tłumacz języka angielskiego i niemieckiego. Wikipedysta i miłośnik wolnego oprogramowania. Członek Amnesty International i Stowarzyszenia Wikimedia Polska. Pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Filip Bialek (ur. 1984) – współzałożyciel i członek redakcji internetowego magazynu „Nowe Peryferie” (www.nowe-peryferie.pl), gdzie próbuje przekonywać, że polskie państwo i polska tożsamość powinny być podmiotowe; okazjonalnie pisze też o stanie internetu. Pochodzi z Podlasia, mieszka w Kielcach. Studiował filozofię na UJ; lubi swojego psa, nie lubi pisać biografów.

Natalia Ćwik – związana z sektorem pozarządowym, od kilku lat zajmuje się również tematyką odpowiedzialnego biznesu. Publicystka, wykładowca, posiada kilkuletnie doświadczenie dziennikarskie. Przygotowuje publikacje, artykuły eksperckie oraz badania. Współpracowała z licznymi organizacjami pozarządowymi, aktywnie wspiera rozwój III sektora. Od 2009 r. pracuje jako Menedżerka ds. Zarządzania Wiedzą w Forum Odpowiedzialnego Biznesu – wspiera rozwój pracowników, prowadzi regularny audyt wiedzy, rozwija zasoby i narzędzia umożliwiające efektywne gromadzenie i wykorzystywanie wiedzy. Wcześniej kierownik w Fundacji im. Lesława A. Pagi, działającej w obszarze rynku kapitałowego i edukacji. Realizowała również projekty pomocy rozwojowej w Afryce Wschodniej (m.in. projekty infrastrukturalne, w tym: informatyzacja placówek edukacyjnych) i współtworzyła

programy edukacji globalnej. Absolwentka Instytutu Orientalistycznego na Uniwersytecie Warszawskim, Istituto Universitario Orientale w Neapolu oraz studiów menedżerskich w SGH. Członkini Polskiego Stowarzyszenia Fundraisingu oraz Instytutu Odpowiedzialnego Biznesu. Interesuje się w szczególności tematyką odpowiedzialnego/zrównoważonego zarządzania dostawami, ekonomią zrównoważonego rozwoju oraz innowacjami. Fascynują ją nowoczesne techniki i technologie pokojowego aktywizmu.

Lauren Damme – starsza analityk w Programie Wzrostu Gospodarczego, który prowadzony jest przez lewicowy think tank New America Foundation. Specjalizuje się w międzynarodowych badaniach porównawczych. Pisuje na tematy gospodarcze, dotyczące praw pracowniczych i zabezpieczenia społecznego. Zanim zaangażowała się w działania New America Foundation, pracowała m.in. dla londyńskiego think tanku Local Government Information Unit oraz dla Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Jarosław Górski – polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkadziesiąt artykułów publicystycznych i popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz” o literackich obrazach męskości oraz powieść obyczajową „Wersje”. Mieszka w Warszawie.

Mieczysław Groszek

(ur. 1951) – doktor ekonomii, absolwent SGPiS (SGH), w latach 1973–1989 był asystentem i adiunktem w Katedrze Ekonomii SGPiS. Autor wielu publikacji naukowych i prasowych z zakresu integracji gospodarczej,

ekonomiki przedsiębiorstwa i problematyki udziału samorządu pracowniczego w zarządzaniu. W latach 80. publikował w prasie podziemnej, wspierając ruch samorządów pracowniczych. Od 1990 r. związany z bankowością. W 1993 r. kierował zespołem przygotowującym ustawę o restrukturyzacji finansowej przedsiębiorstw i banków (tzw. ustawa oddłużeniowa). Pełnił funkcję dyrektora, prezesa lub wiceprezesa różnych banków (m.in. Bank Własności Pracowniczej SA, BRE Bank SA, Polski Bank Rozwoju SA). Był przewodniczącym i/lub członkiem wielu rad nadzorczych. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Obecnie wiceprezes Związku Banków Polskich.

Bartłomiej Grubich (ur. 1985) – absolwent socjologii i filozofii (UAM). Obecnie mieszka w Poznaniu, choć wciąż przede wszystkim jest z Bydgoszczy. Uważa, że traci dużo czasu na rzeczy mniej istotne, że za dużo myśli i za mało działa, ale usilnie szuka dobrych proporcji pomiędzy tymi sprawami. Aktualnie stara się empirycznie na własnym przykładzie sprawdzić, czy po studiach czeka tylko szara rzeczywistość. Kontakt: bgrubich@interia.pl. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Srećko Horvat – chorwacki pisarz, tłumacz i filozof. Jest dyrektorem Subversive Forum, corocznej międzynarodowej konferencji odbywającej się w Zagrzebiu. Jego ostatnia książka zatytułowana „Attention! The Enemy is listening!” to zbiór wywiadów z takimi osobistościami jak Amos Oz, Francis Fukuyama, Gayatri Spivak, Stéphane Hessel czy Zygmunt Bauman.

Joanna Jurkiewicz (ur. 1986) – absolwentka socjologii w ramach Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Interesuje się prawami pracowniczymi. Próbuje wyznawać zasadę Churchilla: *no sports*, ale czasem robi ustępstwa na rzecz biegania.

Paul Kingsnorth (ur. 1972) – angielski pisarz, publicysta i dziennikarz, aktywista społeczny i ekologiczny; z wykształcenia historyk. Jego aktywność obywatelska zaczęła się na studiach, kiedy zaangażował się w akcję przeciwko budowie autostrad, za co został aresztowany. W 2001 r. znalazł się na liście „10 największych rozrabiaków Wielkiej Brytanii”. Jego teksty ukazują się na łamach pism głównonurtowych („The Guardian”, „Independent”, „Le Monde”, „New Statesman”) i niezależnych (m.in. „The Ecologist”, do którego redakcji swego czasu należał). Autor książkowych reportaży o ruchu antyglobalistycznym („One No, Many Yeses”) oraz na temat niszczenia angielskiego krajobrazu i lokalnych więzi społecznych („Real England”). Jak sam mówi, stara się wskazywać powiązania między ludźmi a miejscami, polityką a życiem jednostek – tak, by zaczęły się interesować procesami, które dzieją się wokół nich. Jeden z głównych animatorów ambitnej inicjatywy, której celem jest wypracowanie nowego języka opisu rzeczywistości w obliczu kryzysu cywilizacyjnego i ekologicznego (zob. www.dark-mountain.net). Pracował m.in. w centrum rehabilitacji orangutanów na Borneo, był pokojowym obserwatorem podczas rewolucji zapatystowskiej w Meksyku i sprząta-czem w barze sieci McDonald’s.

Autor nagradzanych wierszy. Mieszka na Tamizie, w pobliżu Oxfordu. Strona internetowa: www.paulkingsnorth.net.

Michael Lind – współzałożyciel New America Foundation – amerykańskiego lewicowego think tanku. Pełni funkcję dyrektora politycznego w Programie Wzrostu Gospodarczego, który prowadzony jest przez New America Foundation. Wykładał na Harvardzie i na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. Publikuje m.in. w „Financial Times”, „New York Times” i „Democracy Journal”. Autor kilku książek o tematyce politycznej i historycznej.

Konrad Malec (ur. 1978) – przyrodnik, z zainteresowaniem i sympatią spogląda na tzw. hipotezę Gai, autorstwa Jamesa Lovelocka. Lubi przemieszczać się przy użyciu własnych sił, stąd rower i narty biegowe są mu nieocenionymi przyjaciółmi. Miłośnik tego, co lokalne i nieuchwytnie, czego nie da się w prosty sposób przenieść w inne miejsce. Każdą wolną chwilę spędza na łonie Natury. Dumny ojciec Olafa. Członek redakcji „Nowego Obywatela”.

Łukasz Maślanka (ur. 1986) – doktorant w Instytucie Filologii Romańskiej KUL. Na co dzień zajmuje się literaturą francuską XIX i XX wieku oraz historią idei (zwłaszcza zagadnieniami konserwatyzmu, nacjonalizmu, faszyzmu, kolaboracji oraz stosunków francusko-niemieckich). Publicystyczne ciągotki realizuje jako członek lewicowego kolektywu „Nowych Peryferii” oraz wolny strzelec współpracujący z pravicową

„Teologią Polityczną”. Publikował również w „Pressjach”.

Krzysztof Mroczkowski

(ur. 1987) – publicysta, ekonomista i historyk. Propagator zapomnianej historii myśli ekonomicznej i teorii rozwoju. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Janina Petelczyc (ur. 1985) – absolwentka Instytutu Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego, od 2010 r. doktorantka. Interesuje się zabezpieczeniem społecznym, polityką rodzinną i międzynarodową porównawczą polityką społeczną. Pozazawodowo pochłania ją astronomia, podróże i marlarstwo holenderskie. Warszawa od pokoleń, prowadzi o mieście bloga (mojawarszawa.blox.pl). Współtworzy Fundację Kultury Brazylijskiej Terra Brasilis, współpracuje z Ośrodkiem Myśli Społecznej im. F. Lassalle’a. Stała współpracowniczką „Nowego Obywatela”.

Kamil Piskala (ur. 1988) – student V roku historii na Uniwersytecie Łódzkim. Interesuje się dziejami polskiej lewicy, międzywojenną Polską i historią myśli politycznej. Swoje najlepsze lata spędza w archiwach i bibliotekach. Socjaldemokrata. Związany z Klubem Krytyki Politycznej w Łodzi.

Ryszard Szarfenberg

(ur. 1966) – specjalność akademicka: polityka społeczna, doktor habilitowany w zakresie nauk o polityce, adiunkt w Instytucie Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego, zastępca Dyrektora Instytutu Polityki Społecznej (kadencja

2008-2012). Ekspert Zespołu przygotowującego Narodową Strategię Integracji Społecznej 2004-2010 (2002-2004), przewodniczący Rady Wykonawczej Polskiego Komitetu European Anti-Poverty Network (od 2010 r.), członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej (kadencja 2008-2012). Autor wielu publikacji z zakresu teorii polityki społecznej i *welfare state*, europejskiej i międzynarodowej polityki społecznej, a także wykluczenia społecznego i pomocy społecznej. Jego książka pt. „Krytyka i afirmacja polityki społecznej” (2008) została uznana przez Komitet Nauk o Pracy i Polityce Społecznej Polskiej Akademii Nauk za najlepszą pracę naukową opublikowaną w 2008 r. Autor licznych artykułów, publikowanych głównie w czasopismach naukowych (m.in. „Polityka Społeczna” i „Problemy Polityki

Społecznej”). Mieszkał w różnych miastach, osiadł w Warszawie. Inne informacje i publikacje: rszarf.ips.uw.edu.pl.

Igor Štikš (ur. 1977) jest pisarzem bośniackiego pochodzenia. Studiował komparatystykę i filozofię na Uniwersytecie w Zagrzebiu. Był związany z chorwackim dwutygodnikiem „Zarez”. Obecnie jest pracownikiem naukowym na Uniwersytecie Edynburskim. Razem ze Srećko Horvatem jest autorem książki „The Right to Rebellion – An Introduction to the Anatomy of Civic Resistance” (2010).

Przemysław Wewiór

(ur. 1986) – absolwent filozofii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika i doktorant na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego.

Autor wielu tłumaczeń i publikacji naukowych, dotyczących głównie historii idei w okresie nowożytnym. Pasjonat biegania, miasta Łodzi i dobrych seriali. Kontakt: pwewior@gmail.com

Krzysztof Wołodźko

(ur. 1977) – na ogół publicysta, blogger (www.consolamentum.salon24.pl). Pisał i/lub pisze m.in. do „Trybuny”, „Życia Duchowego”, „Znaku”, „Gazety Polskiej Codziennie”, „Kontaktu”, portali Teologii Politycznej, deon.pl, ngo.pl. Uczestnik cyklu dokumentalnego „System 09” i „System: rewolucja Solidarności”. Członek Zespołu „Pressji”. Członek redakcji „Nowego Obywatela”.

projektowanie i skład publikacji

strony www

identyfikacja wizualna

składamy tę gazetę

koperatywa.org

DOBRE STUDIO GRAFICZNE

gry edukacyjne

CZYTELNIKU, ZAPRENUMERUJ NOWEGO OBYWATELA

1. zapłacisz aż 10 zł taniej za kolejne cztery numery - prenumerata roczna to koszt 50 zł, zaś cena 4 numerów pisma wynosi 60 zł
2. wesprzesz finansowo nasze inicjatywy (pośrednicy pobierają nawet do 50% ceny pisma!)
3. będziesz miał pełny dostęp do internetowego archiwum kwartalnika
4. masz szansę na ciekawe i cenne nagrody
5. często dostaniesz drobny upominek dołączony do numeru
6. prenumerata to wygoda - „Nowy Obywatel” w Twojej skrzynce pocztowej

TYLKO
50 zł
ROCZNIE

Opłacić roczną prenumeratę w banku lub na pocztę i czekać, aż „Nowy Obywatel” sam do Ciebie przywędruje :-)
Możesz też skorzystać z naszego sklepu wysyłkowego, dostępnego na stronie nowyobywatel.pl/sklep

Wpłaty w wysokości **50 zł** należy dokonywać na rachunek:
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta: 78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Prenumeratę można rozpocząć od dowolnego numeru.

UPOMINKI



Książki „Kultura a natura” Jana Gwałberta Pawlikowskiego oraz „Wyznania wojownika Ziemi” Dave’a Foremana otrzymują:

- **Adam Rabęda**, Siemianowice Śląskie
- **Andrzej Smosarski**, Warszawa
- **Elżbieta Bujko**, Orneta
- **Maciej Włodarczyk**, Poznań
- **Radosław Drozd**, Knurów

PRENUMERATA NAPRAWDĘ SIĘ OPŁACA

NOWY OBYWATEL

Przyświecają nam następujące wartości:

Samorządność, czyli faktyczny udział obywateli w procesach decyzyjnych we wszelkich możliwych sferach życia publicznego.

(Re)animacja społeczeństwa. Sprzeciwiając się zarówno onnipotentnemu państwu, jak i liberalnemu egoizmowi, dążymy do odtworzenia tkanki inicjatyw społecznych, kulturalnych, religijnych itp., dzięki którym zamiast biernych konsumentów zyskamy aktywnych obywateli.

„Demokracja przemysłowa”. Dążymy do zwiększenia wpływu obywateli na gospodarkę, poprzez np. akcjonariat pracowniczy, ruch związkowy, rady pracowników. 1/3 życia spędzamy w pracy - to zbyt wiele, aby nie mieć na nią wpływu.

Sprawiedliwe prawo i praktyka jego egzekwowania, aby służyło społeczeństwu, nie zaś interesom najsilniejszych grup.

Media obywatelskie, czyli takie, które w wyborze tematów i sposobów ich prezentowania kierują się interesem społecznym zamiast oczekiwaniami swoich sponsorów.

Wolna kultura. Chcemy takiej ochrony własności intelektualnej, która nie będzie ograniczała dostępu do kultury i dorobku ludzkości.

Rozwój autentyczny, nie pozorny. Kultowi wskaźników ekonomicznych i wzrostu konsumpcji, przeciwstawiamy dążenie do podniesienia jakości życia, na którą składa się m.in. sprawna publiczna służba zdrowia, powszechna edukacja na dobrym poziomie, wartościowa żywność i czyste powietrze.

Ochrona dzikiej przyrody, która obecnie jest niszczona i lekceważona w imię indywidualnych zysków i prymitywnie pojmowanego postępu. Jeśli mamy do wyboru nową autostradę i nowy park narodowy - wybieramy park.

Solidarne społeczeństwo. Egoizmowi i uznaniowej filantropii przeciwstawiamy społeczeństwo gotowe do wyrzeczeń w imię systemowej pomocy słabszym i wykluczonym oraz stwarzania im realnych możliwości poprawy własnego losu.

Sprawiedliwe państwo, czyli takie, w którym zróżnicowanie majątkowe obywateli jest możliwie najmniejsze (m.in. dzięki prospołecznej polityce podatkowej) i wynika z różnicy talentów i pracowitości, skromne dochody nie stanowią bariery w dostępie do edukacji, pomocy prawnej czy opieki zdrowotnej.

Gospodarka trójsektorowa. Mechanizmom rynkowym i własności prywatnej powinna towarzyszyć kontrola państwa nad strategicznymi sektorami gospodarki, sprawna własność publiczna (ogólnokrajowa i komunalna) oraz prężny sektor spółdzielczy. Nie zawsze prywatne jest najlepsze z punktu widzenia kondycji społeczeństwa.

Gospodarka dla człowieka - nie odwrotnie. Zamiast pochwał „globalnego wolnego handlu”, postulujemy dbałość o regionalne i lokalne systemy ekonomiczne oraz domagamy się, by państwo chroniło interesy swoich obywateli, nie zaś ponadnarodowych korporacji i „zagranicznych inwestorów”.

Przeszłość i różnorodność dla przyszłości. Odrzucamy jałowy konserwatyzm i sentymenty za „starymi dobrymi czasami”, ale wierzymy w mądrość gromadzoną przez pokolenia. Każdy kraj ma swoją specyfikę - mówimy „tak” dla wymiany kulturowej, lecz „nie” dla ślepego naśladownictwa.



KLUB OBYWATELA

www.nowyobywatel.pl/klub

okazja!

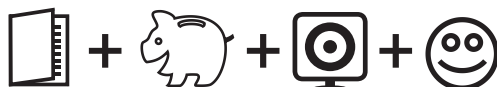
ZAPŁAĆ WIĘCEJ

ale tak, by miało to sens

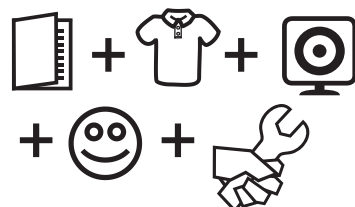
opcja 1
4x15 PLN
salon prasowy



opcja 2
50 PLN
prenumerata



opcja 3
120 PLN
klub obywatela





**ZAWSZE RAZEM
W SŁUSZNEJ SPRAWIE**

Tygodnik
SOLIDARNOŚĆ

ul. Grójecka 186 lok. 613, 02-396 Warszawa, tel./fax: 22 882 27 96
redakcja@tygodniksolidarnosc.com